

GDYBYŚ MIAŁA WYBÓR POMIĘDZY NIEBEM
A PIEKŁEM, CO BYŚ WYBRAŁA?

DEMONY

POKUSA

LISA DESROCHERS

Wydawnictwo Dolnośląskie

Desrochers Lisa

Demony Pokusa

Gdybyś musiała wybrać pomiędzy Niebem a Piekłem, co byś wybrała? ... Jesteś pewna? Frannie Cavanaugh to porządna dziewczyna, choć nie bez skazy. Zawsze trzymała wszystkich na dystans – nawet najbliższych przyjaciół – i wydaje się, że ostatni rok w liceum będzie taki sam... do chwili, gdy do jej klasy trafia Luc Cain. Nikt nie wie, skąd pochodzi nowy uczeń, ale Frannie najwyraźniej coś do niego przyciąga. Nie wie, niestety, że jego mocodawcami są siły piekielne, i że ona sama posiada wyjątkowe umiejętności, które władcę Piekła przyprawiają o dreszcz podniecenia. Luc ma za zadanie przywieść ją do grzechu, a jest niesamowitym przystojniakiem. Niefortunnie dla Luca, Niebiosy mają inne plany. Anioł Gabe za wszelką cenę będzie się starał popsuć Lucowi szyki. Niebawem się okazuje, że walczą nie tylko o duszę dziewczyny. Jeśli jednak Luc przegra, wszyscy będą musieli zapłacić piekielnie wysoką cenę.

ROZDZIAŁ 1

Grzech pierworodny

LUC

Jeśli istnieje piekło na ziemi, to na pewno jest nim liceum. I jeśli ktokolwiek zdecydowanie ma podstawy formułować takie stwierdzenie, to ja. Biorę głęboki oddech — głównie z przyzwyczajenia, bo demony nie muszą oddychać — potem podnoszę wzrok na groźne niebo, w nadziei że to dobry znak, i otwieram ciężkie drzwi. Na obskurnych korytarzach panuje cisza, jako że od pierwszego dzwonka minęło prawie pięć minut. Jesteśmy tylko ja, wykrywacz metalu i przygarbiony ochroniarz w zmiętym granatowym mundurze. Zwleka się ze skrzypiącego plastikowego krzesła, ogląda mnie i marszczy brwi.

— Spóźniłeś się. Identyfikator — mówi głosem ochryłym od trzech paczek fajek wypalanych każdego dnia.

Wpatruję się w niego kilka minut, pewien, że mógłbym go zmieść jednym podmuchem, i mimowolnie się uśmiecham, kiedy kropelki potu pojawiają się na jego ziemistym czole. Fajnie, że wciąż mam to coś, chociaż coraz częściej rzygać mi się chce od tej roboty. Po pięciu tysiącach lat wykonywania tego samego obowiązku z demonem dzieją się takie rzeczy. W tej misji jednak za niepowodzenie spotka mnie poćwiartowanie i Czułość Ognia — większej motywacji nie potrzebuję.

— Jestem nowy — mówię.

— Połóż torbę na stoliku.

Wzruszam ramionami i prezentuję dłonie. Nie mam żadnej torby.

— Podaj mi pasek. Ćwieki uruchamiają detektor. Ściągam pasek i rzucam go staruszkowi, przechodząc przez bramkę. On go chwyta i pokasłuje.

— Idź prosto do biura.

— Nie ma problemu — mówię już na odchodnym. Wsuwam pasek w szlufki i wchodzę do biura.

Pchnięte gwałtownie drzwi odbijają się od ściany, a wiekowa sekretarka podnosi wzrok, podskakując:

— W czym mogę pomóc?

Biuro jest równie szare i blade oświetlone jak korytarze, jeśli nie liczyć jaskrawych karteczek, które niczym psychodeliczna tapeta szczelnie pokrywają ściany. Z tabliczki na biurku dowiaduję się, że recepcjonistka nazywa się Marian Seagrave. Kiedy dźwiga się z krzesła, słowo honoru, słyszę, jak poskrzypują jej stawy. Ma więcej zmarszczek niż shar pei i krótkie, niebieskie kręcone włosy przepisowe u wszystkich stu-latek. Krągłe ciało odziała w przedpotopowy mundurek: turkusowe spodnie z poliestru i kwiecista bluzka starannie wpuszczona do środka.

Leniwym krokiem idę do biurka i nachylam się ku niej.

— Luc Cain. Pierwszy dzień — mówię, błyskając ujmującym uśmiechem: tym, który zawsze odrobinę wytrąca z równowagi śmiertelników.

Wpatruje się we mnie przez chwilę, nim odzyskuje głos.

— Och, witam w Liceum Haden, Luc. Zaraz ci dam plan lekcji.

Stuka w klawiaturę komputera, a po chwili rozlega się brzęczenie drukarki. Wypluwa mój rozkład zajęć — ten sam, który dostaję od stu lat, a to z racji nast-

nia nowoczesnego systemu edukacyjnego. Ze wszystkich sił udaję zainteresowanie, kiedy sekretarka mi go podaje i mówi:

— Proszę bardzo, masz tu też numer szafki i szyfr. Będziesz musiał zebrać potwierdzenia przyjęcia na lekcje od wszystkich nauczycieli i przynieść mi je jeszcze dzisiaj. Spóźniłeś się już na odprawę, więc powinieneś pójść od razu na pierwszą lekcję. Zobaczmy, co to jest... tak, angielski z panem Snyderem. Sala sześćset szesnaście. To w budynku numer sześć, za drzwiami w prawo.

— Już idę — mówię, uśmiechając się. Nie zaszkodzi zaliczyć personel administracyjny do sojuszników. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą.

Odzywa się dzwonek, a ja wychodzę przez drzwi na już pogrążone w rozgardiaszu korytarze. Zapachy bijące od nastoletnich przedstawicieli rodzaju ludzkiego uderzają mnie falami. Czuję kwaskowaty cytrus strachu, gorzki czosnek nienawiści, anyż zawiści i imbir — żądza. Mnóstwo potencjału.

Pracuję w dziale akwizycji, ale zwykle do moich obowiązków nie należy oznaczanie dusz. Mam jedynie zasiewać ziarno i naprowadzać ludzi na ognistą ścieżkę. Dzięki mnie zaczynają od drobiazgów. Grzechy przystawkowe, że się tak wyrażę. Za mało, żeby oznaczyć ich dusze dla Piekła, ale wystarczająco, żeby ostatecznie do nas trafili. Nie muszę nawet używać mocy... choć gdybym musiał, nie stanowiłoby to dla mnie problemu. Poczucie winy nie należy do wachlarza emocji w wyposażeniu demona. Ot, wydaje się uczciwsze, jeśli grzeszą z własnej woli. I tu znowu — nie żeby mnie obchodziło bycie uczciwym. Po prostu ten drugi sposób jest zbyt łatwy.

Prawdę mówiąc, zasady są jasne. Jeśli dusze śmiertelników nie są oznaczone, nie możemy ich zmusić, żeby zrobili coś, co nie leży w ich charakterze, ani

w zaden sposób manipulować ich działaniami. Na ogół jedyne, co mogę zrobić dzięki swojej mocy, to zamieszać im w głowie, zamazać odrobinę granicę pomiędzy dobrem a złem. Każdy, kto mówi, że szatan mu coś kazał, wciska kit.

Przechadzam się korytarzem, wciągając zapachy nastoletniego grzechu, tak gęste, że czuję ich smak. Wszystkie sześć moich zmysłów wrze z oczekiwania. Bo ta podróż jest inna. Przybyłem tu po jedną konkretną duszę i kiedy idę w stronę budynku numer sześć, przeszywa mnie trzask rozpalonej do czerwoności energii — dobry znak. Nie spieszę się, sunąc powoli przez chmarę i badając perspektywy, aż docieram do klasy jako ostatni, równo z dzwonkiem.

W sali 616 jest równie ponuro jak w pozostałych częściach szkoły, ale poczyniono przynajmniej próby udekorowania jej. Na ścianach widnieją grafiki na temat sztuk Szekspira — wyłącznie tragedii, tak swoją drogą. Ławki są zestawione po dwie i niemal pełne. Podchodzę środkowym przejściem do biurka pana Snydera, podaję swój rozkład zajęć. Odwraca ku mnie szczupłą twarz. Na samym czubku długiego, prostego nosa tkwią okulary.

— Luc Cain. Potrzebne mi potwierdzenie przyjęcia na zajęcia czy coś takiego — mówię.

— Cain... Cain... — Przeczesuje dłonią rzednące siwe włosy i przegląda listę uczniów, aż znajduje moje nazwisko. — Jesteś. — Podaje mi żółty świstek, zeszyt do wypracowań i egzemplarz „Gron gniewu”, po czym znowu zerka do dziennika. — Dobra, siądziesz między panem Butlerem a panną Cavanaugh. — Potem wstaje, poprawia okulary i wygładza niewygładzalne fałdy swoich białej koszuli oraz mundurka khaki. — No dobrze, proszę państwa... — oznajmia. — Przesiadamy się. Wszyscy, od panny Cavanaugh poczynając, przesiadają się o jedno miejsce w prawo. Do końca

półroczu będzie pani miała nowego kolegę do wypracowań.

Stadko posłusznych małych lemingów gdera, ale wszyscy robią, co im kazano. Ja siadam na miejscu wskazanym przez pana Snydera, pomiędzy panem Butlerem — wysokim, chudym okularnikiem z brzydką cerą i oczywistymi zaburzeniami samooceny — a panną Cavanaugh, której szafirowe oczy wpatrują się prosto w moje. Tu nie ma żadnych problemów z samooceną. Czuję, jak pod skórą przechodzi mnie gorący prąd, kiedy odwzajemniam jej spojrzenie, mierząc ją wzrokiem. A miarę zdejmuję ze zdecydowanie drobnej popielatej blondynki o włosach falistych, związanych w węzeł na karku, o bladej skórze. Ognistej. Pewne widoki na przyszłość. Nasze ławki są złączone, więc będę miał chyba mnóstwo sposobności, aby ją wybadać.

FRANNIE

Dobra, może i nie jestem jakąś omdlewającą panienką, ale na miłość boską, nie do wiary, co za towar właśnie wszedł na naszą lekcję angielskiego. Wysoki, ciemny, z gatunku niebezpiecznych. Mhm... nie ma to jak śliczna zabaweczka na uroczy początek dnia — i chyba mnie ogłupia. Uwaga, premia. Najwyraźniej będziemy partnerami od wypracowań, bo obsesyjno--kompulsywny Snyder każe się nam przesuwac o jedno krzesło, żeby zrobić miejsce dla nowego. Boże uchron, żebyśmy kiedykolwiek siedli inaczej niż w porządku alfabetycznym.

Powoli taksuję wzrokiem jego czarny tiszert i džinsy, nie wspominając o ciele pod spodem — przecudnym — kiedy idzie powoli i siada po mojej lewej stronie. Wsuwa wysokie ciało do przydzielonej ławki

z wdziękiem chytrego czarnego kota, a ja jestem gotowa przysiąc, że temperatura pomieszczenia podskoczyła o dziesięć stopni. Ciemnawe światło odbija się słabym blaskiem od trzech metalowych pręcików przeszywających zewnętrzny koniec jego prawej brwi, kiedy wpatruje się we mnie spoza jedwabistych czarnych kosmyków najczarniejszymi oczami, jakie w życiu widziałam.

Snyder chwilę przechadza się w milczeniu pod tablicą, po czym mówi:

— Wyjmijcie zeszyty i „Grona gniewu”. Jako że pan Steinbeck nie zdołał znaleźć odpowiedniego miejsca na zakończenie rozdziału na siedemdziesięciu jeden stronach rozdziału dwudziestego szóstego, przypomnicie sobie, że arbitralnie wymusiliśmy takowy u dołu strony pięćset dwadzieścia dziewięć. Dzisiaj będziemy czytać resztę rozdziału na lekcji i podkreślać co ważniejsze kwestie Steinbecka.

Pan Tajemniczy wreszcie odwraca wzrok, a ja czuję się splądrowana — ale nie w negatywnym sensie, jeśli można tak powiedzieć. Czuję się, jakby mnie sprawdził na wylot i jeszcze jakby spodobało mu się to, co zobaczył.

— Panno Cavanaugh, może zechciałaby pani powrócić do klasy?

Głos Snydera jest jak wiadro zimnej wody wylane na moją głowę — i zapewne tego potrzebuję, bo coś się w środku zrobiło zbyt duszno.

— Ze jak proszę?

— Niezła recenzja wczoraj w „Boston Globe”. Myślę, że ładnie ujęli sens waszego programu.

Podobało mi się zwłaszcza zdjęcie — mówi z uśmiechem. — Zechciałaby pani rozpocząć czytanie? Strona pięćset trzydzieści.

Rozglądam się. Wszyscy mają książki otwarte, nawet Pan Tajemniczy. A moja ciągle jest w torbie. Więcej

choć i do łatwo spływających rumieńcem nie należą, teraz czuję, jak spiekam cegłę, kiedy wyciągam „Grona gniewu”, otwieram i zaczynam czytanie. Moje usta czytają Steinbeckowy opis śmierci kaznodziei Casy'ego z rąk dzierżącego trzon od kilofa krępego mężczyzny, na oczach jego przyjaciela Toma. Ale mój umysł jedynie obrzeżem rejestruje cokolwiek z tego fragmentu, bo czuję obecność Pana Tajemniczego, który siedzi jedynie kilkanaście centymetrów ode mnie i cały czas na mnie patrzy. Dukam słowa, kiedy pochyla się bliżej i dociera do mnie zapach cynamonu. Och... Snyder przychodzi mi na ratunek.

— Dziękuję, panno Cavanaugh. — Rozgląda się po klasie.

„Wybierz Pana Tajemniczego”.

Uśmiecha się do mnie i przesuwając wzrok na nowego.

— Panie Cain, może pan podejmie czytanie.

Pan Tajemniczy ciągle się na mnie gapi, lekko drwiący uśmiech podnosi w górę kąci jego ust.

— Oczywiście — mówi i zaczyna czytać głosem, który brzmi jak ciepły miód, jest gładki i lekko słodki. Ale jego oczy nie odrywają się ode mnie od razu, dopiero po chwili kierują się na książkę. — „Tom spojrzał na kaznodzieję. Błysk latarni mignął po nogach zabójcy i po białym nowym trzonie kilofa. Tom bez słowa skoczył na George'a i wyrwał mu go z rąk. Za pierwszym razem poczuł, że chybił, i ugodził w ramię, za drugim druzgoczący cios trafił w czaszkę, a zanim krępy chłop runął na ziemię, trzy nowe ciosy dosięgły jego głowy...”*

Sprawia wrażenie, że podoba mu się makabryczny fragment. Rozkoszuje się nim, naprawdę. Snyder zamyka oczy i patrzy, jakby coś rozważał. Pozwala Tajemniczemu czytać do końca rozdziału, czyli o wiele

* **John Steinbeck, *Grona gniewu*, przeł. Alfred Liebfeld, PIW, Warszawa 1974.**

dłużej niż komukolwiek z nas przez cały rok. Rozglądam się po klasie i wszyscy — nawet twardziel i mądrała Marshal Johnson — wydają się zahipnotyzowani.

— Mam czytać również rozdział dwudziesty siódmy, panie Snyder? — pyta Tajemniczy, a Snyder gwałtownie wybudza się z transu.

— Ach... Nie, dziękuję, panie Cain. To wystarczy. Pięknie przeczytane. No dobrze, proszę państwa, na jutrzejszą lekcję proszę przedstawić najważniejsze motywy u Steinbecka w drugiej połowie rozdziału dwudziestego szóstego. Możecie też nad tym pracować do dzwonka.

Tajemniczy odwraca się do mnie, zamyka książkę i chwilę na mnie patrzy.

— A więc, panno Cavanaugh, masz jakieś imię?

— Frannie. A ty?

— Luc.

— Miło poznać. Niezła sztuczka.

— Która? — Oczy mu rozbłyskują, kiedy piękny, niecny uśmiech rozlewa mu się po twarzy.

— Czytanie bez patrzenia na książkę. Poprawia się na krześle, a uśmiech trochę przygasa.

— Mylisz się.

— Nie, wcale się nie mylę. Nawet nie zerknąłeś na książkę od drugiego zdania i za późno przewracałeś kartki. Po co się uczysz na pamięć Steinbecka?

— Nie uczę się. — To ci kłamczuch, ale nie mówię tego na głos, bo on już zmienia temat. — Co to za artykuł w „Globe”?

— Nic wielkiego. Taki tam tekst o wysyłaniu listów do Pakistanu. Takie przyjaźnie korespondencyjne. Głównie pomaga to nam zrozumieć się nawzajem... no wiesz, nasze kultury i takie tam.

— Naprawdę? — W jego głosie pobrzmiewa cyniczna nuta.

— Chcesz jakieś nazwisko? — Przetrzęsam torbę i wyciągam teczkę. — Mam tego sporo.
— Zastanowię się. Mamy chyba być partnerami od wypracowań, cokolwiek to znaczy.
— No tak. — Pomimo tego dziwnego czytania bez patrzenia ani myślę narzekać. On jest zdecydowanie o krok albo i dwadzieścia przed Aaronem Dalym, który zabrał swoje chore zatoki na drugą stronę przejścia i teraz siąka nosem nad zeszytem Jenny Davis, a nad moim już nie. — Mamy omawiać lekturę i spisać plan z najważniejszymi punktami. Panu Snyderowi zależy na wszelkim omawianiu — mówię, wznosząc oczy do nieba. Ale to tylko na pokaz, bo bardzo mnie nęci omawianie z Tajemniczym. — Więc... co sądzisz o zagadce Toma?
Piszę „Frannie i Luke — rozdział 26-2, plan” na górnym marginesie pustej strony w zeszycie. On podnosi brew, wysuwa długopis z moich palców, skreśla Luke'a i pisze nad nim „Luc”.

LUC

Patrzę, jak pisze w swoim zeszycie „Frannie i Luke — rozdział 26-2, plan”, i nie wiem, dlaczego przejmuję się, że źle zapisuje moje imię. Poprawiam je, zanim jej udzielię odpowiedzi.
— Myślę, że dokonał pewnych wyborów, których konsekwencje musi teraz ponieść. — Należy do nich ogień wieczysty w Otchłani.
Patrzy na mnie z wielkim niedowierzaniem.
— Takie to proste, co? Żadnych okoliczności łagodzących? Żadnej drugiej szansy?
— Nie. Nie wierzę w drugie szanse. — Podziemie nie jest gorącym zwolennikiem tego pojęcia.
Poprawia się na krześle i splata ramiona na klatce piersiowej, przyglądając mi się badawczo.

— Nigdy nie popełniasz błędów? Nie zrobiłeś niczego, czego żałowałeś?

— Nie.

— Każdy ma na koncie coś, co wolałby cofnąć. Pochyliam się do niej i wpatruję w szafirowe oczy.

— A co ty chciałabyś cofnąć, Frannie?

Drży, kiedy wypowiadam jej imię, a ja zdaję sobie sprawę, że gram nie fair. Podziałam zbyt dużą dawką nacisku, chociaż ani nie chciałem, ani nie musiałem tego robić. Ale podoba mi się reakcja. Kiedy odpowiada, w jej głosie brzmi silna nuta bólu i czuję delikatny zapach róży — smutek. Szukam głębiej w tych oczach, żeby znaleźć jego źródło.

— Całe mnóstwo — mówi, nie odwracając oczu. Nie mam pojęcia czemu, ale ni stąd, ni zowąd wiem, że nie chcę jej skrzywdzić. Czuję piekielną potrzebę uszczęśliwienia jej. A potrzeba do tego tylko lekkiego nacisku...

Przestań. A to skąd się bierze, u licha? Nawet nie rozpoznałem wrażenia, które pojawiło się z tą myślą. Demony nie mają uczuć. W każdym razie nie takich. To nie jest misja dobrej woli... Przybyłem tu w ściśle sprecyzowanym celu, a panna Frannie Cavanaugh dobrze rokuje. Bardzo dobrze. Ściśle rzecz biorąc, budzi się we mnie nadzieja, że ona jest tą Jedyką. A kiedy rozlega się dzwonek, zdaję sobie sprawę, ku swemu zdumieniu, że to ona nie pozwalała mi odwrócić wzroku, a nie odwrotnie. Robi się interesująco.

Mruga powiekami, jakby wybudzona ze snu, i zerka na pusty zeszyt.

— Hm, chyba nie posunęliśmy się za daleko.

— Ja bym tak nie powiedział. — Przesuwam książkę po biurku.

Czyta dziesięć czarnych punktów pod nagłówkiem „Frannie Cavanaugh i Luc Cain — rozdział 26-2, plan” i patrzy gniewnie.

— Och, no dobra, to chyba wygląda nieźle. — Znowu pełna niedowierzania. Trochę płonie. Dzięki temu czuję się jak u siebie.

— Znalazłeś już swoją szafkę w tym szcurzym gnieździe? — pyta, wrzucając książki do torby i wstając.

— Jeszcze nie szukałem. — Wskazuję jedyny swój dobytek: zeszyt i „Grona gniewu”.

— Cóż, będzie coraz gorzej, więc jeśli nie chcesz taszczyć ze sobą wszystkich rzeczy, pomogę ci ją znaleźć.

Wyciągam z kieszeni spodni karteczkę z numerem szafki i szyfrem, kiedy podążamy do drzwi.

— Numer... hmm — uśmiecham się. Świat śmiertelników jest czasami taki ucieszny.

— Słucham?

— Sześć, sześć, sześć — mówię, a ona zabawnie na mnie patrzy.

— O, to tutaj zaraz. — Wskazuje drugą stronę korytarza. — Zaraz obok mojej.

I chociaż wiem, że przeznaczenie to pierdoły — czysta wymówka dla śmiertelników, żeby dokonywać wyborów, których w innym wypadku by nie dokonali — to naprawdę jest znak. Przyglądam się jej uważniej. Jeśli ona jest tą Jedyną, co staje się coraz bardziej prawdopodobne, muszę oznaczyć jej duszę dla Piekła, zanim jakiś paskudny anioł mnie ubiegnie. Co z grubsza przekłada się na „natychmiast”. Bo fakt, że tak trudno było ją namierzyć, oznacza, że oni ją chronią. Jeśli ją chronią, to ją obserwują. Szybko się dowiedzą, że ją znalazłem. Rozglądam się po zatłoczonym korytarzu.

Mnóstwo perspektyw, ale żadnych aniołów. Na razie.

Rusza przez korytarz do swojej szafki, a ja się ociągam przez kilka chwil, żeby podziwiać widok. Jest drobniotka — ma jakieś metr pięćdziesiąt pięć. Niemal trzydzieści centymetrów niższa niż moja ludzka

postać. Ale nie jest małą dziewczynką. Ma krągłości we wszystkich właściwych miejscach. Śmieję się do siebie. Chociaż nieczystość jest jednym z siedmiu grzechów głównych, to nie żądza uczyniła mnie tym, kim jestem, i niezbyt często jej doświadczałem w ciągu siedmiu tysięcy lat swojego istnienia — chociaż wykorzystywałem ją kilka tysięcy razy. Naprawdę będzie zabawnie. Kroczę korytarzem i dopadam ją w chwili, gdy dociera do swojej szafki. Obracam zamkiem swojej kilka razy, aż drzwiczki odskakują.

— Jak to zrobiłeś? — pyta, jakby wiedziała, że użyłem mocy.

— Co?

— Miałam tę szafkę na początku roku i zamieniłam ją, bo zamek był zepsuty.

— Cóż. Pewnie go naprawili.

Muszę być ostrożniejszy. Ta śmiertelniczka jest nadzwyczajnie spostrzegawcza. Potknąłem się w klasie, bo nie patrzyłem na książkę — co ona zauważyła, bo sama też nie patrzyła na książkę. I teraz znowu z szafką, bo kiedy próbuję właściwej kombinacji cyfr, stwierdzam, że Frannie ma rację: rzeczywiście zamek jest zepsuty. Patrzy z powątpiewaniem.

— Tak, pewnie tak, tyle że nigdy tu niczego nie naprawiają. Tak już jest w Liceum Hades.

Co, u diabła?

— Słucham? Liceum Hades?

— Tak, kumasz? Haden — Hades. To tylko jedna literka, a nabiera znaczenia, i to jakże trafionego.

— Hm.

— Tak? Nie zgadzasz się? — Wskazuje na spękany tynk, łuszczącą się farbę, przepalone żarówki, wyżłobione linoleum i powgniatane stalowe szafki dokoła nas.

— A więc wygląda na to, że trafiłem na właściwe miejsce. — Uśmiech rozciąga moją twarz. Czyż to nie

idealnie, że mój cel chodzi do liceum przezywanego Piekłem? Czy mógłbym chcieć więcej?

Odwraca wzrok i sięga do szafki, ale nie może ukryć uśmiechu igrającego w kącikach ust.

— Jeśli twoim właściwym miejscem jest to gówniane, skończone rybackie miasteczko, to współczuję.

Musisz być naprawdę żałosny.

Wybucham śmiechem — nie mogę się powstrzymać — i nagle drzę, kiedy dolatuje do mnie nuta imbiru Frannie. Mhm... Ani chybi gustuje w żałosnych.

— Jak to się stało, że zmieniasz szkołę miesiąc przed końcem?

Uśmiecham się w duchu.

— Interesy.

— Ojca? — draży.

— Można tak powiedzieć.

Patrzy na mnie, a na jej czole pojawia się bruzda, kiedy próbuje rozgryźć moje słowa. Potem z trzaskiem zamyka szafkę.

— A jaką masz teraz lekcję?

Wyciągam plan z kieszeni i strząsam go, żeby się rozłożył.

— Chyba matematykę, sala trzysta siedemnaście.

— Oooo. Pani Felch. Jakże mi przykro.

— Dlaczego? O co chodzi z panią Felch?

I wtedy właśnie rozlega się dzwonek. Frannie się wzdryga.

— Po pierwsze, dostaniesz kozę, jeśli wraz z dzwonkiem nie będziesz siedział na swoim miejscu... bardzo mi przykro. A po drugie, ona gryzie.

— Mhm. Zobaczymy.

Zatrząskuję szafkę i ruszam w stronę budynku numer trzy — i nie staram się ukryć uśmiechu, bo jej wzrok wypala mi dziurę w plecach, gdy się oddalam korytarzem. Dobry początek.

ROZDZIAŁ 2

Piekielna draka

FRANNIE

Na fizyce okazuje się, że jestem rozproszona i zasadniczo niezdatna do użytku. Na szczęście mój partner od ćwiczeń, Carter, ma kompletnego świra na punkcie nauk ścisłych i zwykle i tak chce wszystko na ćwiczeniach robić sam. Więc dzisiaj pozwalam mu samodzielnie się biedzić z płytką obwodu drukowanego. Carter poprawia okulary na nosie i pochyla się nad nią jak troskliwa matka, a ja tymczasem rozważam, jak to możliwe, że ten Luc się pojawił jak diabeł z pudełka i zrobił ze mnie ckliwą idiotkę. Którą przecież nie jestem. W stosunku do żadnego chłopaka.

Śledzę poczynania Cartera, bo on ani trochę nie jest tak kumaty, jak mu się wydaje, i czasami ryzykuję życie lub członki, wsadzając rękę, by naprawić to, co on schrzanił. Ale na koniec zajęć zerkam na swoje notatki i stwierdzam, że wszędzie napisałam „Luc” zamiast „omy”. Długopisem. Niedobrze. Chociaż walczę ze sobą usilnie, niemal biegiem wracam do swojej szafki po dwugodzinnych ćwiczeniach. Ale tuż za zakrętem na ramieniu czuję dłoń. Odwracam się i widzę Ryana Keefe, czy też Reefera, jak mówią o nim przyjaciele. Podchodzi, za blisko, i patrzy na mnie. Potem uśmiecha się krzywo i już wiem, co mnie czeka.

— Cześć — mówi, nadgarstkiem odgarniając z twarzy brązowe dredy sięgające do ramion.

Próbuje mnie przygwoździć do ściany, ale wyslizguję mu się.

— Cześć, Reef. Co jest?

Opiera o ścianę swoją niską, masywną sylwetkę i rozgląda się po korytarzu w poszukiwaniu swojej paczki, która czai się przy drzwiach stołówki.

— Chcemy, żebyś wróciła — mówi, wysuwając podbródek do przodu.

Odwracam się i ruszam swoją drogą, udając, że wcale nie przyprawił mnie o przyspieszone bicie serca.

— Nie ma mowy.

Przecina mi drogę, opierając ramię o ścianę.

— Ja chcę, żebyś wróciła — mówi cicho. Waham się na tyle długo, by wziąć głęboki oddech, zanim odwrócę się do niego. A potem staram się zachować kamienny wyraz twarzy, ale czuję, że serce mi topnieje, kiedy spoglądam w jego wielkie ziemistobrązowe oczy.

— Słuchaj, Ryan... Nie... nie chodzi o ciebie, naprawdę. — Skręcam się, bo tak paskudnie to brzmi, ale to prawda.

Ciężkim ruchem opada na ścianę i wygląda kiepsko.

— Świetnie. Gadka „nie chodzi o ciebie, chodzi o mnie”. Każdy facet marzy, żeby ją usłyszeć.

— Przepraszam. Ale to prawda. Że chodzi o mnie, nie o ciebie.

Nie może opanować zdenerwowania.

— Dlaczego? Jak to: chodzi o ciebie?

— Nie wiem. Chyba nie szukam poważnego związku. Uśmiecha się z powątpiewaniem.

— To by mi odpowiadało. Żadnych więzów — mówi, jakby myślał, że zapomnę, że powiedział, że mnie kocha.

Uśmiecham się i odpycham go, bo nie ma sensu mu o tym przypominać.

— Na pewno by ci odpowiadało.

— Poważnie, Frannie. Chłopaki chcą, żebyś wróciła. Nie możemy znaleźć nikogo tak dobrego choćby z grubsza jak ty.

— Sam możesz śpiewać. Nie potrzebujecie mnie.

— Ja się nadaję tylko do chórków. Potrzebny nam prawdziwy wokalista. Najlepiej dziewczyna.

Wiesz, ze względu na czynnik atrakcyjności seksualnej.

Wywracam oczami.

— Przykro mi. Powinieneś dać jakieś ogłoszenia, no wiesz, przesłuchania porobić. Tutaj, w szkole, na pewno jest z tysiąc osób, które śpiewają lepiej ode mnie.

— Daliśmy ogłoszenia. Pozyskaliśmy tylko Jenę Davis, która przypomina śpiewaczkę operową, i Cassidy O'Connor, która jest niezłą laską, ale... — Krzywi się.

— Znam kogoś, kto byłby doskonały. To przyjaciółka mojej siostry. Dam jej twój numer.

Znowu ruszam, ale zatrzymuje mnie jego ręka oparta o ścianę. Jęczę w duchu i tłumię nagłą chęć, żeby wykręcić mu tę rękę i rzucić nim o ścianę.

Pochyla się, ustami muska moje ucho, czuję zapach chłopięcego piżma. Palcami zrogowaciałymi od strun gitary sunie po moim ramieniu, przyprowadzając mnie o dreszcz.

— Ale ja chcę ciebie. Tęsknię za tobą, Frannie. Moje serce trzepocze, kiedy przypominam sobie dotyk tych warg na mojej skórze, ale otrząsam się z tych myśli. „Nie kochasz mnie”.

Wzruszam ramionami, schylam się pod jego ramieniem i truchtem ruszam korytarzem, a wokół mojej szafki zastaję zgraję dziewcząt. Trwa jakaś szalona prezentacja uczennic Liceum Haden z Lukiem po-

środku. Widzę Stacy Ravenshaw i jej cheer-zdzirki; Cassidy O'Connor, skromną irlandzką piękność; Valerie Blake, wysoką, ciemną i śliczną kapitan drużyny siatkarek; i Angelique Preston, bogini z klasy starszej — blond, piękną i cycatą, z głębią intelektualną na miarę kałuży.

Nagle wpadam we wściekłość. Przechodzi mi przez głowę totalnie śmieszna i szaleńczo irracjonalna myśl: „Ja go pierwsza zobaczyłam”. Wyobrażam sobie, jak przepycham się przez trzepoczący rzesami i drżący tłum, żeby się do niego dostać, po drodze wyrywając włosy garściami i wydłubując oczy.

„Naprawdę muszę się, do cholery, pozbierać”. Wykorzystuję szkolenie dzudo, żeby się skoncentrować. Po dziesięciu sekundach medytacji i uspokojeniu oddechu przepycham się przez fanki do swojej szafki, gdzie wymieniam książki i odwracam się do ucieczki... i właśnie wtedy szybka ręka wypala mi dziurę w ramieniu.

— Hej! Co masz teraz? — Ten lepki, miodowy głos jest tuż za mną, tak blisko, że czuję jego ciepło. Odwracam się i uśmiecham do Luca, a ostre spojrzenie Angelique niemal rozcina mnie na pół.

LUC

Odwraca się i czuję zapach jej wściekłości — czarny pieprz — tłumiący imbirowe pożądanie pozostałych. Och... Dobry początek. Pierwszy krok. Uśmiecha się z wyższością do Angelique i mówi:

— Historię z...

— Z Sanghettim, sala dwieście dziesięć? — wpadam jej w słowo.

— Ty też?

— Tak.

Już sięgam po jej rękę, kiedy ona rusza korytarzem, ale powstrzymuję się, bo nie umknęło mi, jak

się wzdrygnęła od gorąca mojego dotyku, kiedy chwyciłem ją za ramię. Jestem dosłownie tak gorący, że nie sposób ze mną wytrzymać. Zerkam na Frannie ukradkowo, a ona wbija wzrok w podłogę.

— Więc... potem lunch? — pyta.

— Chyba tak.

— Chcesz siedzieć z moją paczką? — Jej głos brzmi niepewnie, nie ma w nim tego ognia pewności siebie co zwykle.

— Kusząca propozycja, ale muszę się czymś zająć. Może kiedy indziej. — Prawdę mówiąc, wszelkie ludzkie jedzenie jest odrażające, a już jedzenie w szkolnej stołówce... nie dałbym rady.

— Nieważne — mówi, machając ręką.

Wyczuwam nutę imbiru i wszystko we mnie wibruje jak szarpnięta struna gitary, kiedy przeszywa mnie trzask gorącej błyskawicy. Ona jest tą Jedyką. Jestem tego pewien. Jej dusza ma być oznaczona, ale nie zainkasowana, i dobrze, bo inkasowanie to nie mój zakres obowiązków. Szczwana z niej sztuka, muszę przyznać. Ostatnie dwa demony, które wysłaliśmy, nie zdołały jej znaleźć i teraz się smażą na dnie Czeluści Ognia. Ale to były pośledniejsze demony — Trzeci Poziom. Teraz więc przysłaliśmy najlepszego, czyli mnie, oczywiście. To instynkty ostre jak brzytwa doprowadziły mnie tu właśnie — do Poziomu Pierwszego, rzut kamieniem od statusu elity. Nigdy mnie nie zwiodły. A teraz przywiodły mnie do Liceum Haden, prosto do Frannie Cava-naugh.

Wchodzimy na historię i Frannie siada prawie na środku klasy. Ja idę do pana Sanghettiego, który kiwa się na krześle, na granicy przewrotki, z nogami na biurku. Uśmiecham się, bo wyobrażam sobie, że jego krzesło się wywala — ot, przypadkiem — a on leci do tyłu.

— Pan Sanghetti? Podnosi wzrok.

— Tak.

Podaję mu swój plan, a on wywraca oczami, wzdycha głęboko i raczy mnie wielkim przedstawieniem zawierającym ściągnięcie nóg z biurka i dźwignięcie wielkiego ciała w średnim wieku do pozycji stojącej.

— Pewnie potrzebne ci potwierdzenie?

— Tak mi powiedziano.

Przetrząsa biurko i w końcu wyciąga zmięty żółty papierek, a potem się odwraca po ćwiczenia z półki za biurkiem. Znowu zerka na mój plan i zapisuje numer ćwiczeń obok mojego nazwiska w swoim dzienniku.

— Siadaj, gdzie chcesz, Lucyferze — odzywa się, podając mi ćwiczenia i gestem wskazując salę.

— Proszę do mnie mówić Luc.

— Nie ma sprawy, Luc. Siadaj, gdzie chcesz — powtarza i ponownie kiwa ręką.

Obracam się i wracam do Frannie, zajmując ławkę po jej prawej stronie. Kiedy siadam, Sanghetti zaczyna sprawdzać obecność.

— Jose Avilla. Jennifer Barton. — Ręce podnoszą się kolejno. — Zackary Butler. Lucifer Cain.

Rzuca mi spojrzenie szeroko otwartych oczu. Ja się tylko uśmiecham szeroko.

— Mary Francis Cavanaugh.

Czuję, jak mój uśmiech staje się jeszcze szerszy, kiedy Frannie podnosi rękę. Mary Francis. Och, urocze.

Sanghetti kończy odczytywanie listy, każe nam otworzyć podręcznik na stronie 380 i głądzi o upadku chrześcijańskiej Jerozolimy w czasie krucjat.

Ja tylko się gapię na Frannie — na Mary Francis, przepraszam — i śmieję się w duchu.

I jakoś w połowie lekcji Mary Francis kieruje wzrok prosto na mnie.

Nagle światła przygasają, a ja wyobrażam sobie pradawną Jerozolimę wyświetlającą się na tablicy interaktywnej.

— Jakie były przyczyny walki o Jerozolimę? — pyta Sanghetti.

Kilka rąk się podnosi, a ja słucham odpowiedzi, pamiętając, jak to było naprawdę. Ponieważ rzeczywiście tam byłem, to każda lekcja historii, w której uczestniczyłem — a zebrała się ich już jakaś setka — wydawała mi się śmieszna. Zupełnie jak w zabawie w głuchy telefon, kiedy coś szepczesz jednej osobie do ucha, a to coś jest powtarzane przez szereg osób, aż osoba ostatnia wypowiada powtarzany tekst na głos i on zupełnie nie przypomina słów pierwszej osoby.

FRANNIE

No i dobrze, ciągle się gapię na Luca. Zabijcie mnie, nie mogę nic na to poradzić. A on przez całą historię ma na twarzy ten zadowolony z siebie uśmieszek. Nie mam pojęcia, czego on dotyczy, ale jak tak teraz o tym myślę, może to i dobrze, że odrzucił zaproszenie na lunch. Nie jestem pewna, czy jestem gotowa podzielić się nim z Taylor. Ona i Riley zawsze mi gadają, że się umawiam z litości, co znaczy, że ich zdaniem zawsze wybieram półsieroty w potrzebie. Riley uważa, że to kwestia kontrolowania, i może ma rację. Nie robię niczego, czego nie chcę, i nie zamierzam skończyć w jakimś związku, w którym poczuje się pod naciskiem. Ale jest też Taylor. Odkąd się poznałyśmy w czwartej klasie, łączy nas przyjacielska rywalizacja. Niestety dla niej — ja zawsze wygrywam stopniami. Niestety dla mnie — ona zawsze wygrywa chłopakami. Jeśli tak wszystko przeanalizować, półsieroty w potrzebie są po prostu bezpieczniejszym wyborem, głównie z tego powodu, że nie są w guście Taylor.

Ale kiedy patrzę, jak Luc patrzy z uśmieszkiem na Sanghettiego, wiem na pewno dwie rzeczy: Luc nie jest półsierotą w potrzebie, a Taylor na niego poleci.

A więc czymkolwiek jest to szaleństwo rozgrywające się we mnie, lepiej żebym to ogarnęła. Ciągłe się na niego gapię. I oczywiście on mnie przyłapuje i mierzy się ze mną wzrokiem. Kiedy dostrzegam, że nie oddycha, zdaję sobie sprawę, że ja też nie. Biorę głęboki oddech. On chyba to zauważył i też bierze oddech. I uśmiecha się. I skręca moje wnętrzności w węzeł. Wrr!

— Luc, masz jakieś przemyślenia? — Sanghetti stoi przed nami. Skąd on się tu wziął, do diabła? Luc rozpięta się na krześle, splata palce za głową i wyprostowuje nogi pod ławką, krzyżując je w kostkach. Kieruje wzrok na Sanghettiego.

— Cóż, nie sposób wskazać jedną konkretną przyczynę. Myślę, że wszystko się sprowadza do teologii, chociaż pierwsza krucjata nawet się nie zaczęła jako wojna religijna. Myślę, że papież Urban denerwował się, bo naciskał go Konstantynopol, więc chciał zdobyć jakieś punkty i pokazać im, gdzie ich miejsce.

Sanghetti stoi i patrzy przez chwilę szeroko otwartymi oczami, potem odwraca się i rusza pod tablicę.

— Cóż, myślę, że to jeden z punktów widzenia. — Znowu staje twarzą do nas. — Niekoniecznie właściwy, ale jednak punkt widzenia.

Luc pochyla się do przodu, opiera łokieć na biurku, jego oczy płoną. Nagle spokojny uśmiech osiada na jego twarzy.

— Cóż, jeśli nie chce pan wierzyć, że chodziło o zagarnięcie władzy, to znam też opinię, że banda francuskiej szlachty umierała z nudów i szukała jakiegoś zajęcia.

I tu staje się ciałem wyświechtany frazes „ocalony przez dzwonek”, tyle że nie jestem do końca pewna, kto jest ratowany: Luc czy Sanghetti.

Odwracam się do Luca.

— Lucyfer?

— Owszem, Mario Franciszko. Patrę na niego gniewnie.

— Masz na imię Lucyfer? Jak diabeł? Znowu ten szelmowski uśmiech.

— We własnej osobie. Tam, skąd pochodzę, to zwyczajne imię.

Wstaję z krzesła.

— Czyli gdzie to jest?

Jego oczy błyskają, głodne i spragnione.

— Na pewno tam nigdy nie byłeś. Wzdrygam się i kręcę głową.

— Co też niektórzy rodzice robią swoim dzieciom. Rusza ze mną do drzwi, a w jego obsydianowych oczach pojawia się iskra ubawienia.

— Pozwolę sobie zgadnąć. Maria Franciszka... porządna katolicka rodzina z... czekaj, nie podpowiadaj... z ósemką dzieci?

— Piątką. — Nie podoba mi się jego ton. — Nara — rzucam przez ramię, ruszając na stołówkę.

— Nara — odpowiada, ale czuję, jak jego wzrok wwierca mi się w plecy, kiedy idę korytarzem.

Przez drzwi stołówki przepycha mnie fala ludzi. W środku zastaję Taylor i Riley przy naszym zwykłym stoliku, tuż przy drzwiach, żeby łatwiej było się zmyć. Ściany, podłoga i blaty stolików w stołówce są w kolorze rzygów, tak aby plamy po prawdziwych rzygach nie rzucały się w oczy. Od samego patrzenia na ten kolor czuję lekkie mdłości.

Riley garbi się nad książką i wygiętym widelcem dziabie sałatkę. Taylor podskakuje na krześle, a jej nastroszone żółto-różowe włosy wirują dziko. Z jej podskoków i lubieżnego błysku w oku wnioskuję, że mogę zapomnieć o niedzieleniu się Lukiem. Ona wie.

Mimo wszystko Taylor zawsze stanowiła mój ideał przyjaciółki. Bo naprawdę jesteśmy do siebie podobne pod wszystkimi ważnymi względami. Żadna z nas nie

jest serdeczna ani milusia. Obie mamy swoje granice, żeby nikogo nie dopuścić zbyt blisko. I obie od początku przestrzegaliśmy tych granic. Nie wiem, czego dotyczą jej, a ona nigdy nie pyta o moje. Nigdy nie musiałam się obawiać, że będzie mnie do czegoś zmuszać, że spróbuje złamać moje linie obrony. I nawzajem.

Riley ze swoimi wszystkimi uczuciami jest z kolei niebezpieczna. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam jej twarz, Angelique Preston rozcierała na niej lody miętowe z wiórkami czekoladowymi. Było to latem po siódmej klasie. Szliśmy z Taylor do lodziarni, a tam Angelique trzymała przyszpiloną do ściany budynku Riley. Widziałam po słowach wydobywających się z ust Angelique — „tłuszcioch” czy coś w ten deseń — i po zranionym, upokorzonym wyrazie twarzy Riley, że to nie jest żaden niegroźny przyjacielski psikus. Nawet nie przystanęłam, żeby się zastanowić, tylko zerwałam ramię Angelique z Riley i wykręciłam ją w headlocku. I w tym jednym momencie, za jednym zamachem, zdobyłam przypadkową przyjaciółkę i śmiertelnego wroga.

Kiedy teraz patrzę na Riley, jest ona wątłym cieniem dawnej siebie. Wciąż ma krągłe kształty, ale z tego gatunku, który chłopców doprowadza do szaleństwa. Założyłabym się, że w tamtym momencie, przyciśnięta do ściany lodziarni, ociekając czekoladowymi wiórkami, zdecydowała się schudnąć.

— Gadaj! — powiedziały obie, kiedy rzuciłam torbę na podłogę.

— Co?

Taylor patrzy na mnie gniewnie, a jest w tym świetna.

— Nie ukrywaj przed nami, Fee! Wiemy o nowym cudownym byczku, więc gadaj! Już!

Świetnie. Wieści szybko się rozchodzą. Zgrywam niewinną.

— Jest cudowny? Kto tak mówi? Taylor wciąż zabija mnie wzrokiem.

— Ale z ciebie zdzira.

— Mówisz, jakby to nie był komplement.

— No powiedz! — wrzeszczy Riley, waląc książką w blat, i teraz już gapią się na nas ludzie z trzech sąsiednich stolików.

— Dobra, luz. Dajcie mi zjeść. — Zerkam na niezidentyfikowaną breję na tacach przechodzących ludzi. — Co to jest, u diabła?

Twarz Riley się mnie.

— Pewnie jakieś tofu. W tym tygodniu znowu skończyła się kasa na dzielni.

— Rewelacja. Może tam pójde, zanim się skończy sałatka — zerkam na drzwi, w nadziei że Luc zmieni zdanie, i uciekam, podczas gdy Taylor aż kipi. Powoli wybieram najlepsze ochłapy zwiędłej sałaty, przez jakieś pięć minut wybieram największe brownie, wypijam colę i napełniam ponownie kubek i dopiero potem powoli wracam do stolika. Mogłabym przysiąc, że widzę, jak Taylor idzie z uszu dym.

— Gadaj, do cholery! — mówi, kiedy padam na krzesło.

— To tylko jeden nowy, Luc. — Moje oczy wędrują do drzwi, w nadziei że jednak się pojawi.

— Skąd jest?

— Nie mam pojęcia.

Taylor miażdży mnie wzrokiem.

— Gdzie go poznałaś?

— Na angielskim, u Snydera.

— Umówił się już z tobą? — pyta Riley. Znowu zerkam na drzwi i wznoszę oczy do nieba.

— Nie udało mi się nawet zaprosić go na lunch.

— Hmm. — Widzę, jak trybiki Taylor zgrzytają z wysiłku. — Jakoś nie wydaje mi się, żeby on był w twoim typie.

Wzruszam tylko ramionami. Jej oczy płoną z podekscytowania.

- Więc może nas spikniesz? I teraz czuję ucisk w żołądku.
- Jak chcesz.
- A co z imprezą w piątek? Tą u Gallaghera. Myślisz, że by poszedł, gdybym go zaprosiła?
- Jeszcze go nawet nie poznałaś. — Zgryźliwość w moim głosie zaskakuje nawet mnie samą. Wiedziałam, że tak będzie. Skąd moje zaskoczenie?
- Wyraz jej twarzy wskazuje, że przeszła na tryb planowania. Stuka palcem po brodzie.
- Impreza jest pojutrze. Jeśli ty go nie zaprosisz, jest mój. — Raczy mnie szerokim uśmiechem. Odpowiadam uśmiechem, chociaż fałszywym i słodkim jak sacharyna.
- Wiesz co, Tay? Idź do diabła.

LUC

Pracuję nad tymi sprawami, którymi musiałem się zająć w czasie lunchu, co głównie wiąże się z przemykaniem chyłkiem po parkingach, szafkach i rampach załadunkowych w poszukiwaniu kogokolwiek przydatnego. Ale muszę powiedzieć, że trudniej mi się skupić, niż się spodziewałem. Wyobrażam sobie, jak mała piaskowa blondynka idealnie pasowałaby do mojego ciała, kiedy... Dobra... to się robi idiotyczne. Skup się.

Ale nie wiem czemu nagle się okazuje, że leniwym krokiem podchodzę do drzwi stołówki — nie raz, nie dwa, ale pięć razy, aż w końcu się poddaję i wchodzę do środka. Ruszam prosto do Frannie, od tyłu, ona siedzi przy drzwiach. Akurat słyszę, jak mówi: „Wiesz co, Tay? Idź do diabła”, i uśmiecham się, bo moim zdaniem to urocze, że zaprasza do towarzystwa przyjaciółkę.

— Cześć — mówię. — To miejsce jest wolne?

Mój uśmiech staje się szerszy, kiedy ona podskakuje jak oparzona. Hmm... co my tu mamy? Grejpfrut? Troszeczkę się boimy? Bystra dziewczuszka. Ale nagle pochwytnię nutę imbiru i mój uśmiech staje się jeszcze bardziej promienny. Ona mnie pragnie. Świetnie.

Jej przyjaciółki — szczupła blondynka z różowymi pasemkami, blaskiem w czarnych oczach i ozdobą na ustach, i bardziej nieśmiała z wyglądu, brązowowłosa piękność o intensywnie brązowych oczach — wpatrują się we mnie. Później nad nimi popracuję.

— Chyba tak. — Frannie obraca się na krześle i jej oczy przelotnie zerkają w moje. — Myślałam, że masz coś do zrobienia — mówi, a rozczarowanie w jej głosie nie pasuje do imbiru, który wydziela.

— Już to zrobiłem.

Blondynka wstaje z błyskiem oczu, opiera się o blat i uwydatniając dekolt, pochyla się ku mnie nad stołem.

— Ekhm... Fee, nie przedstawisz nas? — Sugestywny uśmieszek wykrzywia jej wargi pokryte różowym błyszczkiem, a oczy nie odrywają się od moich ani na chwilę.

Frannie wierci się na siedzeniu, odwraca się ode mnie, żebym nie widział wyrazu jej twarzy. Ale jestem pewien, że czuję w powietrzu nutę anyżowo-lukrecjowo-słodką.

— Dobra... Luc, to Taylor i Riley. Kłaniam im się.

— No więc dlaczego posyłasz koleżankę do piekła? Do diabła, chciałem powiedzieć. Nie żebym widział w tym coś złego. Tak się tylko zastanawiam.

— Bo tam jej miejsce. — Ponad stołem patrzy spode łba na blondynkę, czyli Taylor.

— Tak sądzisz? — pyta Riley z uśmiechem.

— Cóż, myślę, że poczekamy, zobaczymy. — Uśmiecham się zachęcająco do Taylor. Może się przydać.

Oczy Taylor strzelają iskrami, kiedy mówi:

— Ekhm, Luc... słyszałeś może, że u Gallaghera w piątek jest impreza?

I teraz już pojmuję rozczarowanie Frannie. Jej anyż niemal mnie zwala z nóg. Zazdrość. Interesujące. Pewnie zdołam to jakoś wykorzystać.

— Coś mi się obilo o uszy.

— Idziesz? — pyta Taylor.

Posyłam Frannie swoje przenikliwe spojrzenie wrażliwca.

— To zależy. A ty idziesz? Zerka na mnie, po czym mówi:

— Chyba.

— No to i ja sobie nie daruję — uśmiecham się szeroko.

Nie umyka mi gniewne spojrzenie Taylor ani rumieniec Frannie, kiedy odwraca się z powrotem do stolika i rozpuszcza włosy, które rozsypują się na ramiona i zasłaniają jej twarz. Siadam na krześle obok niej i przysuwam je do stolika, tak że nasze ramiona niemal się stykają. Jestem pewien, że czuje moje gorąco, ale nie mam nic przeciwko rozgrzewaniu i kłopotaniu Frannie. To rutynowe zajęcie.

— Czy może którąś z pań zawieźć na imprezę? Frannie podnosi wzrok, oczy ma szeroko otwarte.

— Nie! — krzyczy.

Pozostałe dwie wybuchają śmiechem, po czym Ri-ley się uśmiecha do mnie nieśmiało.

— Frannie chciała powiedzieć, że my zawsze chodzimy na imprezy razem.

Taylor pożera mnie wzrokiem.

— Ale nie zawsze razem wychodzimy z imprez — mówi, podnosząc jedną brew i trącając Riley łokciem. Ona zaś uśmiecha się promiennie i też ją trąca.

— Dobrze wiedzieć. — Próbuję zajrzeć Frannie w oczy, ale ona znowu się chowa za włosami.

ROZDZIAŁ 3

Oczy Anioła

FRANNIE

Zawiasy skrzypią, kiedy otwieram drzwi do przerdzewiałego, używanego chevroleta cutlass Riley i wsiadam do środka. Ona się na mnie dosłownie gapi.

— Kim jesteś i co zrobiłaś z Fee?

— Słucham?

— Masz pomalowane oczy. O co chodzi? Skubię gąbkę wychodzącą z rozdarcia w czarnym winylowym siedzeniu, a Riley rusza.

— Nie wiem. Po prostu miałam ochotę się pomalować.

— I nie ma to nic wspólnego z wysokim, mrocznym, przekłuwany?

Ignoruję ciasny węzeł w żołądku i otwieram okno.

— Słyszałaś Taylor. Zaklepała go. Pewnie i tak zresztą nie przyjdzie.

— I odpuści sobie ten cały żar? — mówi, dotykając palcem mojego ramienia. — Akurat! Przyjdzie. — Znowu na mnie zerka, a jej twarz nagle poważnieje. — Powinnaś spróbować, Fee. Widzę, że się nim interesujesz. To może być ten jedyny.

Fala zakłopotania zaskakuje mnie, a w gwałtownej reakcji obronnej wylewam z siebie potoki słów.

— Pewnego dnia się wybudzisz z marzeń i pojmiesz, że nie ma takich cudów jak ten jedyny.

Natychmiast zaczynam żałować tych słów. Ukrywam poczucie winy, odwracając się, by oprzeć ramię na oknie. Na przedramieniu opieram podbródek i czuję wiatr na twarzy. Ona jedzie ulicą, przestrzegając ograniczeń prędkości. Przed skretem do Taylor całkiem się zatrzymuje.

— Przepraszam, Ry. Nie przejmuj się moją wredotą. Ja po prostu chyba nie umiem poważnie traktować tego gówna o prawdziwej miłości... No... przepraszam... — Milknę nieprzekonująco.

Po głosie można by sądzić, że Riley jest bliska płaczu, i nie odwracam się, żeby na nią spojrzeć.

— Któregoś dnia się jeszcze zdziwisz, Fee.

— Niech będzie.

Zajeżdżamy pod dom Taylor, która wypada biegiem i wskakuje na tylne siedzenie. Dokładnie w tej samej chwili staje za nami Jackson Burchell. Taylor trąca mnie w tył głowy.

— Popatrz, Fee. Przyjechał twój niezbyt tajemniczy wielbiciel.

Skrećam się w środku i zsuwam się niżej na fotelu.

— Świetnie.

Taylor przybiera protekcyjny ton.

— Powinnaś się trzymać Jacksona. To o wiele bezpieczniejszy wybór.

Brat Taylor, Trevor, zeskakuje ze schodów na werandę i uśmiecha się do Riley w drodze do samochodu Jacksona. I ja się do niej uśmiecham szeroko i przykam ją w udo, kiedy Taylor patrzy groźnie przez okno na brata i burczy:

— Dupek.

Wścieknie się, kiedy się dowie, że Riley się spotyka z Trevorem.

— Gotowe na imprezę? — krzyczy, kiedy Riley w ślad za Jacksonem wyjeżdża na ulicę.

Podsuwam się z powrotem do góry i odwracam do niej, a ona odpina właśnie dwa górne guziki bluzki i szczypie się w policzki.

— Chyba tak.

Kiedy zauważa moją twarz, jej podniecenie w jednej chwili przeradza się w antypatię.

— Nie ma mowy!

— Co?

— Chcesz Luca! Udaję złość.

— Chyba wymusowała ci ostatnia szara komórka.

— Ale chrzanisz! Makijaż?! — wyrzuca ręce do góry.

Riley uśmiecha się do lusterka wstecznego.

— Obawiasz się konkurencji, Tay?

Taylor przyciska plecy do kanapy, ramiona spleta ciasno na klatce piersiowej i wydyma usta.

— No to jak, Fee? Wchodzisz w to?

— Musisz się opanować, Tay — mówię.

Zajeżdżamy na imprezę i jeszcze nim stajemy, wyteżam wzrok w szarym zmierzchu, przeglądając tłum zebrany na podwórku Gallaghera. Gallagherowie mają dziesiątkę dzieciaków, z których jedno to Chase, chłopak mojej siostry Kate. Każda licealna impreza od zarania dziejów odbywała się na podwórku Gallagherów — pewnie ze względu na to, że ich tata pracuje nocami, a mama jest zbyt zmęczona, żeby się przejąć naszymi poczynaniami.

Przez chwilę czuję rozczarowanie, ale potem chyba ulgę, kiedy zdaję sobie sprawę, że twarz, której szukam, nie znajduje się w tłumie.

Prawdę mówiąc, nie mogłam odpowiedzieć na pytanie Taylor, bo nie mam pojęcia, co do diabła wyprawiam. Prawie godzinę przygotowywałam się do wyjścia. Nawet pozwoliłam, żeby Kate, nasza stała guru od stylu, pomogła mi wybrać ciuchy i zrobiła makijaż.

Jakby naprawdę zależało mi na wyglądzie. I denerwuję się jak diabli, co mi się nigdy nie zdarza. Nie w tym też rzecz, że jestem nadmiernie pewna siebie. Po prostu na ogół gównu mnie obchodzi, co ludzie o mnie myślą.

Taylor chwyta mnie za rękę.

— Chodź ze mną po piwo. — Po drodze przyciąga mnie blisko. — Jeszcze go nie ma — szepcze mi do ucha.

— Nie obchodzi mnie to — mówię, chociaż to łgarstwo.

Jej oczy migoczą.

— Świetnie. Bo mnie i owszem.

Czuję nagły ból w brzuchu, zupełnie jakbym połknęła czyjś haczyk. Dlaczego sama myśl o nim przyprawia mnie o takie sensacje? Na pewno jest niebezpieczny. Taki facet, co to umie powoli przełamywać opory dziewczyny.

Docieramy do beczki, gdzie piłkarz Marty Blackstone — kark, na którego Taylor miała oko, zanim pojawił się Luc — daje wielki pokaz napinania bicepsów przy pompowaniu kurka.

— Cześć, Tay — mówi, napełniając jej kubek. — Wyglądacie na spragnione. Zdecydowanie potrzeba wam chłodnego orzeźwienia. — Uśmiecha się szeroko i podaje jej piwo. Podaje też mnie i Riley.

Nad ramieniem Riley widzę Trevora i jego kumpli, jak wylewają się z auta Jacksona, i nagle dociera do mnie, co Riley w nim widzi. Trevor jest dla mnie prawie jak brat, więc nigdy tak na niego nie patrzyłam, a on niepostrzeżenie wyrósł na fajnego towara. Ma miły uśmiech i dołeczki, jak Taylor, ale poza tym zawsze myślałam, że jest niski i mizerny. Tymczasem on się zrobił całkiem krzepki, więc musiał nad tym pracować, a dzięki długim blond włosom wygląda trochę jak gwiazda rocka.

Nie odrywając oczu od Riley, i Trevor rusza przez trawnik. Jackson podąża za nim, jasnoszare źrenice śledzą mnie wytrwale. Odgarnia brązową grzywkę z twarzy, żeby lepiej widzieć, a ja szybko odwracam wzrok, żeby nie pomyślał, że mu się przyglądam. Nie przyglądam. Wiemy, o co chodzi. Na imprezie w zeszłym tygodniu obściskiwaliśmy się z Jacksonem w szafie. Wtedy wydawało się to niezłym pomysłem — pewnie dlatego, że Reefer robił do mnie słodkie oczy i bałam się, że mogę ulec. Ale w zeszłym tygodniu w szkole dowiedziałam się, na czym polega problem z napalonymi hokeistami. Jedno macanko, a oni już myślą, że cię mają. Do tej pory nie dałam rady go spławić.

— Cześć, Trevor — rzuca Riley swobodnie. Zerka szybko na Taylor.

Trevor wbija wzrok w ziemię z nieśmiałym uśmiechem i szura nogami.

— Cześć.

— Spływaj, Trev — rzuca Taylor. Widzę, jak Riley markotnieje.

Trevor jednak szybko się ogarnia. Obejmuje Taylor.

— Jasne, kumam, że szwendanie się ze mną byłoby kłopotliwe dla ciebie, lepiej wyglądam i w ogóle. Wybucham głośnym śmiechem, bo to prawie prawda, i nagle przerywam gwałtownie, kiedy czuję czyjąś rękę na tyłku. Odwracam się i widzę metr osiemdziesiąt Jacksona z wyszczerzem.

— Siema, Frannie. Może byśmy wrócili do poprzednich zajęć? — pyta, podnosząc brew.

Najcenniejszą zdobyczą, jaką wyniosłam z treningów dzudo, jest kontrola — zarówno fizyczna, jak emocjonalna — ale od dziewczyn nie można jej oczekiwać zbyt wiele. Przyciskam jego rękę do tyłka, uśmiecham się słodko, po czym chwytam tę rękę, uginam nogi i przerzucam Jacksona przez ramię. Ciężko uderza

o ziemię i leży chwilę na plecach, wciągając powietrze. Podnosi na mnie wzrok szeroko otwartych oczu, usta rozdziawia w wielkie O. Pochylam się nad nim i mówię:

— No siema, Jackson. A może jednak nie? Taylor przybija mi piątkę.

— Ła! Nindza lejdi w akcji. To było urocze! Jackson zbiera się na nogi, wciąż oddychając z trudem, a Trevor go otrzepuje.

— O rany, facet, to było żałosne.

Jackson nie odpowiada. Stoi tylko i wpatruje się we mnie. Przybieram postawę bojową, myśląc, że może być niewesoło, ale on się uśmiecha.

— Jezu, to dopiero jarające. No świetnie.

Jackson wyczekuje. A ja po wyrazie jego oczu widzę, że już mnie rozebrał w swojej żałosnej wyobraźni. Od pół godziny krążę pomiędzy towarzystwem a ogniskiem, które pali się z trzaskiem, i staram się pozostać poza jego zasięgiem. Przemieszczam się poza obręb naszej gromadki i widzę, że Jackson krąży, żeby mnie dopaść.

Gdzie jest Reefer, kiedy go potrzebuję?

W myślach wymierzam sobie kopniaka, opieram się o poręcz na ganku, pochylam głowę pokonana i czekam na nieuniknioną rękę na tyłku.

Więc na dźwięk głosu, spokojnego i melodyjnego, podskakuję jak smarkula.

— Wyglądasz, jakbyś szukała pomocy.

Podnoszę wzrok prosto w te niewiarygodnie niebieskie oczy i gdyby niebo miało twarz, to słowo honoru — tak ona by właśnie wyglądała. Obcisły biały tiszert podkreśla opaleniznę i naprawdę poważną muskulaturę. Opiera się o poręcz obok mnie, jakby był tu cały czas — jakby pasował bardziej do tej zapadłej dziury

niż do plaży w San Diego z deską surfingową pod pachą.

— Co? — nic więcej nie potrafię z siebie wydobyć. Uśmiecha się i przeczesuje ręką włosy sięgające do

linii brody — platynowe fale, które w świetle migoczących płomieni jakby zmieniają barwę od złotej po czerwoną i z powrotem.

— Czyżbym źle zinterpretował sytuację? — lekkim ruchem głowy wskazuje Jacksona.

Wznoszę oczy do nieba.

— Nie, ale umiem sama o siebie zadbać, dzięki. — Odrywam się od poręczy i wracam do grupy.

Anielski Chłopiec nie idzie za mną. Dalej stoi przy ganku i patrzy, jak Jackson podejmuje trop.

Obchodzę imprezę, wracam do poręczy i opieram się o nią obok Anioła. Wbijam gniewny wzrok w ziemię.

— Nie myśl sobie, że jednak musisz mnie ratować. Chichocze, a ja swój gniewny wzrok kieruję na niego.

— Wiesz co? Zapomnij. — Zbieram się do odejścia, ale coś silnego przenika mnie jak tysiąc małych błyskawic, kiedy jego ręka dotyka mojego ramienia, zatrzymując mnie gwałtownie.

— Przepraszam, słowo daję, nie śmiałem się z ciebie — mówi ciągle ubawionym głosem. — Śmiałem się z niego. — Przygląda mi się, a mnie przenika dreszcz od stóp do głów. — Nie ma żadnej szansy.

— No dobra — z powrotem opieram się o poręcz. Prawdę mówiąc, wróciłam w równej mierze pożerać wzrokiem Anioła, co wymknąć się Jacksonowi.

— Jestem Gabe — mówi, odwracając się do mnie twarzą.

Wpatruję się w niego. O Boże. Przestań! Przenoszę spojrzenie na jego klatkę piersiową, która okazuje się nie mniej warta uwagi.

— Frannie.

Zerka na kubek z piwem w mojej dłoni i odrywa się od poręczy. I wtedy właśnie słyszę Taylor:

— O Boże przenajświętszy!

Oglądam się. Cała grupa się na nas gapi. Marty zdołał się zakraść i objąć Taylor w talii, ale ona się odsuwa.

I nie tylko my zauważamy Gabe'a, bo widzę, że Angeliqne wraz ze swą bandą rusza tutaj zza ogniska. Pędzi prosto do niego, a on podnosi pokrywę skrzyni z lodem obok beczki, i pochyla się nad nią, udając, że sprawdza zawartość lodówki. A tak naprawdę wpycha swoje miseczki DD prosto w twarz Gabe'a. Szukam Adama Martina z najstarszej klasy, faceta Angeliqne — ale nigdzie go nie widać.

— Jest coś innego do picia? Woda? Napoje gazowane? — mówi Gabe, wpatrując się we mnie.

I... mhm... te oczy. Czuję, jak moje serce trzepocze przez chwilę, staram się przywrócić mu normalny rytm.

— Mam piwo, dzięki — mówię, ale w tej samej chwili czuję, jak ktoś wyjmuje mi kubek z ręki.

— A ja zaraz ci doleję. — Gorący oddech Luca na moim karku wywołuje dreszcze, a moje trzepoczące serce zamiera. Odwracam się, jego twarz znajduje się ledwie kilka centymetrów od mojej. Jedwabne kosmyki rozczochranej czupryny muskają moje czoło, kiedy wciągam jego zapach: cynamon... och...

Taylor prawie traci rozum.

— O cholera! Skąd się wziął? Luc prostuje się i dolewa mi piwa.

— Byłem w pobliżu — mówi, wskazując gestem tłum i ognisko. Ale ja sama byłem tam przed chwilą — i nie widziałam go.

— Rany... dobra. Na tej imprezie trzeba piekielnie dużo napojów orzeźwiających. — Patrzy to na Luca, to na Gabe'a, potem uwalnia się z objęć Marty'ego i swo-

bodnym krokiem zbliża się do Luca. Spogląda na mnie, unosząc brew. — A więc? Zostajemy?

— Och, no... — Patrzę na Riley w nadziei na ratunek. — Chyba wychodzimy?

Riley ciągle się gapi na Gabe'a.

— Jeszcze nie.

Luc podaje mi moje piwo i wbija gniewny wzrok w Gabe'a, który przysuwa się bliżej.

— Gabriel — mówi, a jego ciepły miodowy głos nagle staje się tak zimny, że mógłby piekło zamrozić.

— Witaj, Lucyferze. — I chociaż uśmiech na twarzy Gabe'a nie traci na sile, to jego głos staje się beznamiętny.

— Zaraz... wy się znacie? — Staję między nimi, trochę niepewnie. Powietrze wokół nas wydaje się naładowane elektrycznością, od której czuję mrowienie na całej skórze.

Gabe z uśmiechem przygląda się Lucowi.

— Można tak powiedzieć.

— Niestety — dodaje Luc. Jakby się uśmiechał, ale jego chłodne zachowanie ani trochę nie jest chłodne. Nawet z odległości pół metra czuję napięcie jego ciała, naprężonego, gotowego do skoku. Szczęki ma zaciśnięte, pięści zwinięte u boków, aż go świerzbi, żeby w coś walnąć... albo w kogoś. Mogłabym przysiąc, że widzę maleńki błysk czerwonej błyskawicy, który migocze nad powierzchnią jego dłoni i znika między kłykciami.

Stoję po prostu, mowę mi odjęło, całe moje ciało się gotuje od napięcia w powietrzu, i próbuję skumać, kiedy trafiłam do Strefy Cienia. Bo kiedy przenoszę wzrok z Luca na Gabe'a i z powrotem, wiem na pewno tylko to, że to nie może się dziać naprawdę. I zaczynam się zastanawiać, czy może Jackson doprawił mi czymś piwo.

Angeliaque, zdawszy sobie sprawę, że nie znajduje się w centrum uwagi, posyła mi gniewne spojrzenie, po

czym ściąga dżinsową kurtkę, żeby odsłonić koszulkę z ogromnym dekoltem. Wciska się przede mną, między Luca a Gabe'a, a ja z ulgą wydostaję się poza strefę tego czegoś, tej dziwnej elektrycznej siły. Taylor jednak natychmiast wypycha Angelią z drogi.

— Gdzie Adam? — pyta ją ośliżle słodkim głosem ze stosownym fałszywym uśmiechem.

Angelią wbija obcas w stopę mojej przyjaciółki.

— Jaki Adam?

Zaczynam czuć lekkie oszołomienie i zdaję sobie sprawę, że nie oddycham. Wycofuję się z grupy, zamykam oczy i biorę głęboki oddech, próbując się pozbierać.

— Więc — cichy głos Luca w moim uchu powoduje, że podskakuję. Otwieram oczy i czuję, jak nogi mi miękną. Odgarnia kosmyk włosów z mojej twarzy, zakładając go za ucho. — Miałem nadzieję, że pozwolisz się odwieźć do domu.

Po łomocie serca orientuję się nieomylnie, że pozostanie z Lukiem byłoby pomyłką. Zerkam na Gabe'a, który wciąż się we mnie wpatruje. Gorąca fala sunie w górę po mojej szyi na twarz, kiedy zdaję sobie sprawę, że pozostanie tu mogłoby być jeszcze większą pomyłką.

Podchodzę do Riley.

— Gotowa? Idziemy. — Mój głos brzmi absolutnie desperacko, i chyba naprawdę jestem zdesperowana.

Ona ogląda się na Trevora i uśmiecha się.

— Przepraszam, Fee — mówi, odwracając się ode mnie ze wzruszeniem ramion.

Czuję za plecami żar bijący od Luca, zbyt blisko, ale nie odwracam się, żeby na niego spojrzeć.

— Ja jestem gotów — mówi.

O Boże. Dlaczego nie mogę oddychać? Kieruję wzrok z powrotem na Gabe'a, co okazuje się błędem, bo on wciąż wpatruje się we mnie, a te nie-

bieskie oczy ani trochę nie rozwiązują moich problemów oddechowych.

Odwracam się plecami do nich obydwóch — i zauważam Reefera i jego paczkę wysiadających z czarnego pikapa.

Cholera.

Odwracam się znowu do Luca, ale unikam jego wzroku. Przy niedoborze tlenu myślenie nie jest łatwe, ale jakoś daję radę wydukać:

— No... dobra... Możemy jechać... chyba... jeśli chcesz.

Riley trzyma się z dala od pyskówki. Podnoszę lekko głos, żeby mnie usłyszała.

— Riley — patrzy w moją stronę — jadę z Lukiem, dobra?

Płomienie migoczą w jej oczach, kiedy uśmiecha się porozumiewawczo i kiwa głową.

Jeszcze raz zerkam na Gabe'a, który zatrzymuje moje spojrzenie i posyła mi olśniewający uśmiech, a potem czuję opuszki palców Luca, jak przepalają mi tiszert na plecach. Wyczuwam cynamon, kiedy pochyła się nade mną i szepcze:

— Jedźmy.

Pod jego dotykiem ciarki przebiegają mi po brzuchu i pędzą do głowy i kończyn, przybierając na sile, aż całe moje ciało buzuje — niektóre części bardziej niż pozostałe. Potulnie idę na swoich galaretowatych nogach do jego auta.

LUC

Ach, więc wysłali Gabriela. Nie zwykłego anioła — tylko takiego z chóru Dominacji. Protektora z Drugiej Sfery. I to nie jakiegoś tam Dominację, lecz lewą rękę Samego Gabriela. To może oznaczać tylko jedno: dusza Frannie jest warta walki.

Kiedy odjeżdżamy z imprezy, Frannie ogląda auto.

— Nieźle, shelby cobra GT. I to w świetnym stanie. Klasyka. Sześćdziesiąty siódmy?

Mimowolnie się uśmiecham.

— Sześćdziesiąty ósmy. Znasz się na mustangach. Odwraca się do mnie z uśmiechem, a mnie nagle uderza, jaka ona jest niewiarygodnie żywa. Nie w tym rzecz, że wszyscy śmiertelnicy są z definicji żywi, ale są pewne stopnie żywości. Niektórzy ludzie są zasadniczo martwi, nawet jeśli myślą, że żyją. Frannie od nich nie należy.

— To było imponujące, tak swoją drogą. Zerka na mnie z ukosa.

— Co?

— To przerzucanie nad głową takiego mięśniaka. Otwiera oczy szeroko.

— Widziałeś to?

— Widziałem. On musi ważyć ze dwa razy tyle co ty. Naprawdę imponujące.

Odwraca się i wygląda przez okno.

— A, nieważne. — Ale widzę, że się uśmiecha.

— Więc...?

— Więc co?

— Gdzie się tego nauczyłaś?

— Na dzudo. Trenuję od ośmiu lat.

— Interesujące. — Z każdą minutą ta dziewczyna bardziej mi się podoba. — Dokąd mam jechać?

Odwraca się do mnie z leciusięnkim uśmiechem.

— Chyba mówiłeś, że mnie odwieziesz do domu. — Zaczyna się odprężyć, kołysze ramionami do muzyki lecącej z magnetofonu.

— Hmm. Tak powiedziałem? Cóż... jeśli tego właśnie chcesz...

Podnosi wysoko brwi i poskramia uśmiezek, który czai się w kącikach ust.

— Miałeś na myśli coś innego?

— Moglibyśmy popracować nad planem na angielski _ mówię i z wielkim trudem powstrzymuję chichot.

— Naprawdę? Tak sobie wyobrażasz gorącą randkę?

— Przepraszam, nie wiedziałem, że mamy gorącą randkę. — I tym razem już nie mogę powstrzymać chichotu, kiedy widzę, jak ona się skręca. — Jakie gorąco ci odpowiada? Jestem zdolny do żaru w każdym natężeniu, od wersji Ciepły Luc do... i tu wcale nie żartuję... Gorętszy niż Piekło.

Patrzę, jak rumienia się jej policzki. Samochód zalewa fala imbiru. To doskonały postęp.

— Hm... no cóż... myślałam raczej o... może byśmy popracowali nad tym planem... — Milknie, a czerwona jest jak węgle Piekła.

— Plan... doskonała sugestia. Dlaczego sam na to nie wpadłem? — Obdarzam ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem. — U ciebie czy u mnie?

Marszczy czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Może powinnam po prostu pojechać do domu — mówi w końcu.

— Jak sobie życzysz.

Jedziemy w milczeniu, ale kiedy skręcam w jej ulicę, wyskakuje:

— Pijesz coffee hot? Za rogiem jest Starbucks. Opony piszczą, gdy zbyt szybko skręcam w prawo, i staram się ukryć uśmiech, bo Frannie chwyta siedzenie, żeby na mnie nie wpaść.

— Więc skąd znasz tego Gabe'a? — pyta znad parującego kubka z kawą.

— To długa historia. — Jakieś siedem tysięcy lat.

— Przyjaźnicie się czy coś?

— Niezupełnie. Raczej gramy w przeciwnych drużynach.

— Futbolowych? — Wygląda na zdumioną, najwyraźniej nie widzi mnie w roli piłkarza.

Pochyliam się do przodu i wpatruję w jej oczy, muskając palcami po wierzchu jej dłoni leżącej na stoliku. Drzy, a mnie przechodzą cisarki — podniecenie? wyczekiwanie? — gdy czuję jej przyspieszony puls. Myślą naciskam nieco mocniej.

— Wiesz, o wiele bardziej wolałbym porozmawiać o tobie. Powiedz mi coś, czego nie wiem o Mary Francis Cavanaugh.

Omdlewa odrobinę i przez długą chwilę patrzy mi w oczy.

— Nienawidzę swojego imienia — mówi w końcu oszołomiona.

— Więc czemu nie każesz mówić na siebie Mary?

— Bo tak ma na imię moja siostra. — Mgła zaczyna się podnosić, a ona opiera się na łokciach na blacie uwydatniając pewne krągłości i poważnie mnie rozpraszając.

Zmuszam się do głębokiego oddechu i też patrzę jej w oczy.

— Twoja siostra też ma na imię Mary?

— Wszystkie siostry, ale tylko do najstarszej tak mówimy.

— Ile masz sióstr?

— Cztery.

— I wszystkie pięć jesteście Mary? To może być bardzo mylące.

— Dlatego właśnie nie wszystkie tak są nazywane.

— A jak mają na imię pozostałe siostry?

— Więc jest Mary Theresa, czyli Mary. Mary Ka-therine, czyli Kate. Potem ja, Mary Francis. Mary Grace, po prostu Grace. I Mary Margaret — Maggie.

Z trudem tłumię śmiech. Ale wypas.

— Porządna katolicka rodzina — mówię, starając się, żeby brzmiało to szczerze.

— Pewnie można tak powiedzieć. — Hmm... Ocet? Poczucie winy? Będę musiał później zbadać to dokładniej.

Dopija kawę, odchylając głowę, wyginając w łuk długą bladą szyję i podciągając wysoko koszulkę na piersi. Zalewa mnie fala pożądania niemal obezwładniająca. Zamykam oczy na ten widok i staram się oczyścić umysł. Skup się! Kiedy je otwieram, ona wpatruje się we mnie intensywnie.

— Chyba powinnam się zbierać do domu... — mówi i sprawia wrażenie nieco rozczarowanej.

— Jak sobie życzysz. — Chciałbym ją zabrać wszędzie, tylko nie do domu.

FRANNIE

Stajemy pod moim domem i Luc wyłącza silnik. Światło z salonu tworzy żółtą połać na trawniku. Tata czeka, jak zwykle.

„Addicted” Abła łomocze z głośników Luca, opowiadając mi o sprawach rozgrywających się w pościeli, od czego serce wyskakuje mi prawie z piersi, a wyobraźnia wiruje. Nie jestem święta. Zadawałam się już z chłopakami. No, może nie w t a k i m sensie, ale prawie. Poziom średnio zaawansowany, powiedziałabym. Ale zawsze sprowadzało się to do odnotowania wydarzenia, żaden z nich nigdy nie posiał spustoszenia w mojej wyobraźni tak jak Luc. Zupełnie jakby nie dotykając mnie, wsiadł do mojej głowy, by wyszukać tam moje najbrudniejsze myśli i fantazje. A kiedy je znajdzie, wprowadzi je w życie. Mówię o pełnobarwnej sensywizji 3D. Ale najbardziej nie podoba mi się, że tak mi się to podoba. Nigdy żaden chłopak nie sprawił, że czułam się tak całkowicie niekontrolowana. To mnie straszliwie przeraża — w taki przyprawiają-

cy o zawrót głowy i mrowienie, dziki i nie całkiem zły sposób.

Odwracam się, on się we mnie wpatruje, i nagle w samochodzie zaczyna brakować tlenu. Biorę urywany oddech.

— No to... dzięki za kawę — mówię. Chcę wyskoczyć z tego samochodu, ale zarazem chcę w nim zostać całą noc.

— Czy to było dla ciebie wystarczająco gorące — gorąca kawa? Bo następnym razem możemy spróbować czegoś gorętszego, jeśli chcesz. — Mhmm... Ten szelmowski uśmieszek... ale wydaje się za bardzo ubawiony. Czy on się ze mnie natrzęsa?

— Była... — i nie wiem, jak dokończyć, bo to co się dzieje w środku, jest o całe piekło gorętsze niż kawa. Powstrzymuję straszliwą chęć, by wyciągnąć dłoń i go dotknąć. — Więc do zobaczenia w poniedziałek.

Sięgam do klamki drżącą ręką, gdy nagle pojawia się jego dłoń i zakrywa moją. Nachyla się ku mnie i drugą ręką odgarnia mi włosy z ucha. Czuję, jak jego wargi muskają moją skórę, kiedy szepcze:

— Będę czekał.

Od jego gorącego oddechu w moim uchu przeszywa mnie dreszcz. Czuję się zażenowana, gdy dociera do mnie, że ten cichy jęk, który właśnie usłyszałam, był mój. Zakłopotana ciągnę klamkę, ale jego gorąca dłoń wciąż tam jest i nie pozwala mi otworzyć drzwi.

— Jak to, nie będzie pocałunku na dobranoc?

— pyta, a kiedy odwracam się do niego, nasze nosy się spotykają.

Nie ulegam panice, która emanuje z moich trzewi

— ani też nie słucham tego wewnętrznego głosu, który wciąż namawia mnie do całowania. Patrzę mu w oczy i ciężko pracuję, żeby mój głos był spokojny, kiedy kładę dłoń na jego klatce piersiowej i odpycham go.

— Nie na pierwszej randce.

Na jego twarzy na chwilę pojawia się wyraz rozbawienia, ale nagle łagodnieje.

— Jak sobie życzysz — mówi. Jego palec wypala ślad na linii mojej szczęki, po czym Luc opada na swój fotel. — Miłych snów.

Wpatruję się w niego chwilę, potem otwieram drzwi i chwiejnie wysiadam z auta. On uruchamia silnik, gdy tylko zatraskuję drzwi, ale nie odjeżdża. Czuję brzemie jego spojrzenia, kiedy niepewnym krokiem podążam do domu. I jeszcze na progu oglądam się i widzę czerwony blask jego oczu w światełkach tablicy rozdzielczej!

Szybko wbiegam po schodach, a kiedy docieram do swojego pokoju, spieszę do okna i patrzę jak tylne światła samochodu Luca znikają w głębi ulicy. Długo spoglądam w miejsce, w którym mnie wysadził. Czuję jak serce mi wali, i to mrowienie w brzuchu, kiedy sobie wyobrażam, że pozwalam mu się pocałować. W duchu jęczę cicho i podchodzę do toaletki, skąd biorę zdjęcie mojego brata.

— Gonię w piętę, Matt — szepczę do niego. Biorę zdjęcie, wyciągam dziennik Matta spod materaca i kładę go na biurku. Padam na krzesło i czytam pierwsze linijki ostatniego wpisu, ze środy, tego dnia, kiedy poznałam Luca.

Więc Braciszku, uśmiałyś się do rozpuku, gdybyś mnie dzisiaj zobaczył. Śtiniłam się do faceta. Ale cos w nim jest. Wiem. Idiotka jestem. I to do mnie niepodobne Proszę, ześlij na mnie grom, jeśli zamienię się w jakąś żalosną, słabą nastolatkę. Tak strasznie nie wierzę we wszystkie te gówna pt. „Miłość od pierwszego wejrzenia”. W ogóle nie wierzę w miłość, naprawdę. Ale pożądanie... pożądanie jest prawdziwe jak najbardziej. . . „, Oddycham głęboko, biorę długopis i przewracam kartkę.

Nie wiem, co jeszcze napisać, bo moja plątanina emocji jest trochę dezorientująca i w zasadzie nie sposób ją ubrać w słowa. Ale jeśli komukolwiek mogę powiedzieć, co czuję, to Mattowi właśnie. Był więcej niż moim bratem. Był moim najlepszym przyjacielem, jedyną osobą na świecie, która naprawdę mnie rozumiała. Wiem, że Matt nie zdradzi moich tajemnic. Więc mówię mu wszystko, choćby nie wiadomo jak było krępujące. Jestem mu to winna. Niewielka częśćka mnie to jedyna namiastka życia, jaką mogę mu dać.

Zaczynam raz jeszcze.

A więc, Braciszku. Pamiętasz tego chłopaka, o którym Ci mówiłam? Luc.

Przerywam, wciąż walcząc, żeby ogarnąć swoje myśli w coś na tyle składowego, by dały się przelać na papier.

Nie wiem, co mi dolega. Chyba że on. On jest niewłaściwy. Wszystko w nim jest niewłaściwe. Kiedy jest w pobliżu, nie mogę myśleć, nie mogę nawet oddychać. Ale chcę, żeby był w pobliżu. Wiem, wariuję. Ale coś w nim jest. Ta dziwna, mroczna, magnetyczna energia i chociaż trochę mnie on przeraża — no dobra, może bardzo — wygląda na to, że nie mogę się trzymać od niego z daleka. Naprawdę wcześniej mówiłam poważnie to o miłości. Kiedy Reefer to powiedział, wszystko zniszczył. Bo miłość nie istnieje, tak naprawdę nie istnieje. Dziadek i babcia to jedyne znane mi osoby, które łączy taka bliskość. To niebezpieczne wierzyć w coś, co może cię tylko zranić. Więc ja nie wierzę. Ale Luc...

Wzdrygam się, patrzę na drżące pismo. Dopisuję jeszcze jeden wers i zamykam dziennik. *Teraz mnie dobij.*

Wstaję i przygotowuję się do spania. Ale kiedy wchodzę do łóżka i zamykam oczy, widzę platynowe

kosmyki i błyszczące niebieskie oczy. Nagle zaczynam żałować, że nie dowiedziałam się więcej o Gabe. Może Riley i Taylor coś wiedzą. Chwytam telefon i piszę do Riley. „Tay umówiła się z Gabe'em?”

Odpowiedź nadchodzi po niespełna minucie: „Wyszedł zaraz po tobie. Jak poszło z Lukiem?”

„Wcale. Dowiedziałas się, gdzie Gabe chodzi do szkoły?”

„Nie. A co? Jego też chcesz?” Niemal słyszę jej śmiech.

„Spadaj. Ciekawa tylko jestem”.

Zamykam telefon sfrustrowana i wchodzę do łóżka szczęśliwa, że przede mną weekend. Przyda mi się kilka dni bez facetów, bo naprawdę mieszają mi w głowie.

Ale kiedy nadchodzi niedziela, wciąż mi się po tej głowie kołaczą, pomimo wszelkiego dzudo i medytacji, które miały mi głowę oczyścić.

— Podaj mi klucz dynamometryczny, Frannie. Przetrzęsam dziadkową skrzynię z narzędziami i wyciągam grzechotkę. Potem kładę się na cementowej podłodze jego garażu i wsuwam się obok niego pod restaurowanego mustanga convertible z sześćdziesiątego piątego roku. . .

Zapach oleju i spalin kojarzy mi się z niedzielnym popołudniem. Odkąd umiałam trzymać śrubokręt bez wydłubania oka, w każdą niedzielę po kościele siedziałam z dziadkiem pod samochodem. Moje siostry uważają mnie za dziwaczkę, ale ja nie wyobrażam sobie nic lepszego niż poczucie satysfakcji, kiedy coś rozkładasz na części, a potem składasz z powrotem w całość i nic ci nie zostaje - i działa. Jedne z moich najcieplejszych wspomnień to leżenie na zimnej cementowej podłodze w tym garażu.

— Posuwa się do przodu — mówię, patrząc na miejsce, gdzie zaciska ostatnią klamrę na silniku, który rekonstruowaliśmy całą zimę.

— Za tydzień, dwa będzie gotowy. Możesz chwycić francuza i przytrzymać tę śrubę, a ja zacisnę klamrę? — mówi, a jego niski, chropawy głos rezonuje mi w kościach.

— Jasne. Dasz mi się przejechać?

— Będziesz pierwsza. Zaraz po mnie, oczywiście. W nagrodę za całą twoją ciężką pracę. — Odwraca się z szerokim uśmiechem. Jego radosne niebieskie oczy są ciepłe i łagodne nawet w surowym blasku garażowej żarówki zwisającej z flaków mustanga.

— Bosko! — już sobie wyobrażam, jak krążę po ulicy, w tę i z powrotem, dudniąc muzyką.

Przesuwa pokrytą smarem dłoń po łysiejącej głowie, zostawiając wielką czarną plamę otoczoną krótkimi szarymi włoskami.

— Chyba możemy wlać olej. W rogu jest pudło. Przyniesiesz ze cztery litry?

— Jasne — mówię, wysuwając się spod samochodu.

— I gdzieś tam też jest lejek. Powiem ci, jak będę gotowy.

Chwytam olej, przynoszę go i odkręcam wlew na bloku silnika.

— Dziadku?

— Taa?

— Jak poznałeś babcię?

Śmieje się — szczerym śmiechem, który wypełnia garaż i moje serce.

— Na ulicznym wyścigu, jak chodziliśmy do liceum. Była porządną dziewczyną. Ledwie się dała pocałować. — Chichocze. — Ale jakoś dałem radę.

— Kiedy wiedziałeś, że ją kochasz?

— W chwili gdy ją zobaczyłem.

— Skąd wiedziałeś, że ona ciebie kocha? Słyszę uśmiech w jego głosie.
— Powiedziała mi... a potem mi pokazała, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.
Próbuję ich sobie wyobrazić w młodości, jak na jednym ze zdjęć, które widziałam: dziadek przechadza się dumny w dżinsach z paczką papierosów zatknietą za zrolowany rękaw tiszertu, i babcia, porządna dziewczyna z figlarnym błyskiem w oku. I nagle widzę babcię — jak uwielbiałam zwijać się z nią na kanapie, kiedy mi czytała klasykę — i serce mnie boli.
— Tęsknisz za nią?
— Codziennie.
— Wierzysz w niebo?
— Tak.
— Myślisz, że babcia tam jest?
— Jeśli ktokolwiek tam jest, to ona na pewno. Nie sądzę, żeby Bóg miał jej za złe miłość do mnie.
— Myślisz, że Matt też tam jest? — pytam przez ciasną gulę w gardle.
— Pewnie. Siedzi babci na kolanach.
Chociaż wiem, że to wszystko kłamstwo, ciągle lubię słuchać, jak to mówi. Pocieszająca stara bajka.
— Dzięki, dziadku.
— Jestem gotów na ten olej. Powołał i spokojnie.
— Tak jest!

ROZDZIAŁ 4

Bóg raczy wiedzieć

LUC

Poniedziałek rano, korytarz jest wypełniony gorącymi, lepкими ciałami. Mhm... zupełnie jak w domu. I nagle to czuję. To swędzenie szóstego zmysłu. Gabriel.

Zatrząskuję swoją szafkę, odwracam się i proszę, opiera się o ścianę przy sali 616, rozmawia z Frannie. A ona się uśmiecha do niego i śmieje się, i flirtuje, i rumieni.

Te łajdackie sztuczki!

Nagle zalewa mnie jakaś nierozpoznawalna emocja zmieszana z gniewem i pragnę tylko zakrwawionej głowy Gabriela w moich rękach. Tyle że anioły nie krwawią, nawet jak się im oderwie głowę.

Trzema długimi krokami pokonuję korytarz. Zdaję sobie sprawę, że się krzywię, więc ukrywam to pod uśmiechem najlepszej jakości.

— Gabriel.

Kiedy Frannie się do mnie odwraca, wygląda na lekko zamroczoną.

— Och... cześć, Luc.

— Lucyfer — wita się Gabriel z uśmiechem.

— Miło cię widzieć. Co cię sprowadza w skromne korytarze Liceum Hades?

— To samo co ciebie, kolego. Markowe wykształcenie — uśmiezek.

Oczy Frannie odzyskują trochę przytomności. Nieufnie patrzy to na mnie, to na niego.

— Spokój, chłopcy. — Odwraca się z powrotem do Gabriela i dotyka jego ramienia. — Jeśli potrzebujesz pomocy przy spisaniu ćwiczeń z fizyki...

Mój gniew kipi niebezpiecznie blisko powierzchni. Czuję gwałtowny wzrost mocy.

— Chodźcie razem na fizykę? — pytam, posyłając Gabrielowi laserowy promień.

Frannie uśmiecha się do niego promiennie w zupełnie inny sposób.

— Gabe jest moim nowym partnerem na ćwiczeniach.

— Naprawdę... — warczę przez zaciśnięte zęby. Odrywa się od ściany i przysuwa do Frannie.

— Mam chyba po prostu szczęście.

Szczęście to akurat nie ma z tym nic wspólnego. Raczej boska interwencja.

Przenoszę na Frannie taksujący wzrok. Nie zostały wyrządzone żadne poważne szkody. W każdym razie żadne, których nie mógłbym naprawić.

— Co tam? Historia? — pytam.

— O, tak. Wezmę tylko książkę.

Kiedy idzie na drugą stronę korytarza, marszczy czoło. Kręci głową, otrząsając się z otumanienia.

Otwiera szafkę, a ja szybko odwracam się do Gabriela.

— No to dlaczego cię wysłali? Wydaje mi się to przesadne. Byle anioł mógłby ponieść tę klęskę, która ciebie czeka.

— Zobaczymy — odpowiada. Nie podoba mi się ten jego pewniacki uśmiezek. Wie coś, czego ja nie wiem.

Przybieram kamienny wyraz twarzy i sonduję:

— Obaj wiemy, że gdybyś mógł, już byś ją oznaczył. Co cię powstrzymuje? Za dużo w niej diabła? Ciągłe jest zadowolony z siebie, ale zdradza go frustracja w ściszym głosie. Trafiłem w czuły punkt.

— Nic się nie zmieniłeś. Ciągłe jesteś takim durnym matolem. Przede wszystkim ta duma i arogancja, które cię tu sprowadziły. Można by pomyśleć, że po tylu tysiącletniach... nie masz pojęcia, dlaczego tu jesteś, co? O co z nią chodzi?

Teraz on trafił w czuły punkt. Z trudem się opanowuję. Nie musi wiedzieć, że ma rację.

— Liczy się tylko to, że dusza Frannie zostanie oznaczona dla Piekieł. Już niedługo.

— Jasne, powodzenia — rzuca. I gdybym mógł go zabić, zrobiłbym to, ale już próbowałem i okazało się, że to nie takie łatwe. Anioł jest twardszy, niż na to wygląda.

Wraca Frannie. Muska mój łokieć, a mnie przechodzi mrowienie.

— Gotów? — pyta.

— Jasne, chodźmy. — Kładę opuszki palców na jej plecach i prowadzę ją po korytarzu. On może musi oszukiwać, ale ja nie. Żadnej mocy, tylko urok.

FRANNIE

Oddycham głęboko i staram się prosto trzymać głowę. Gabe jest chyba trochę oszalał. Zerkam na niego przez tłum. Opiera się o szafki i obserwuje mnie. Boże, jak można tak dobrze wyglądać...

Oddycham głęboko, by opanować drżenie serca, i odwracam się do Luca, który też wygląda cholernie dobrze.

— I jak tam matma? — pytam, ignorując swobodny przepływ feromonów od wszystkich dziewczyn wgapiających się w Luca, kiedy kluczymy przez tłum

na korytarzu. Muszę mocno się starać, żeby się nie odwrócić i nie gapić się znowu na Gabe'a. Koncentruję się tylko na palcach Luca, wpalających się w moje plecy i wywołujących gorączkę w miejscach zapewne niewłaściwych.

Podnosi brew.

— Chyba jestem ulubieńcem pani Felch. Lubi mnie.

— Naprawdę? Wiedziałam, że coś jest z tobą nie tak. I to mocno. — Próbuję spojrzeć spode łba, ale uśmiech, który pojawia się na mojej twarzy, obraca moje wysiłki wniwecz. I nagle Taylor niemal powala mnie na ziemię, wpadając mi na plecy.

— Widziałas? Gabe tu jest! Dobry Boże! — piszczy.

Zerkam na Luca na tyle szybko, by dostrzec, jak rozbłyskują jego gniewne oczy.

— Tak. Jest moim partnerem na ćwiczeniach z fizyki. — Zaskakuje mnie zaborczy ton w moim głosie. Niestety, żadnemu z nich to nie umyka. Luc zaciska szczęki, a Taylor patrzy gniewnie.

— Jest twoim partnerem na ćwiczeniach?! — Zerka na Luca i jej głos nabiera goryczy. — Świat jest strasznie niesprawiedliwy.

Wzruszam tylko ramionami.

— Pogadam z tobą na lunchu — mówi, odwracając się do odejścia.

— Dobra, no to... no dobra.

Po twarzy Luca przemyka mściwy uśmiech.

— Chyba powinnaś ich spiknąć.

— Nieważne. — Wchodzę na historię, gdzie San-ghetti podnosi wzrok i jak zwykle wbija sztylet w Luca.

Luc zerka na mnie z lekko drwiącym uśmiechem, zajmujemy swoje miejsca. Z tylnej kieszeni spodni wyciąga zmięty zwitek papieru i rzuca go na ławkę. Patrzę na niego z niedowierzaniem.

— To twoje sprawozdanie?

Posyła mi łobuzerski uśmiech i odchyła się w krześle, splatając dłonie za głową.

— Owszem.

Z poczuciem wyższości wsadzam rękę do torby, by wyjąć swoje sprawozdanie w lśniącej plastikowej okładce. Ale krew odpływa mi z twarzy, kiedy zdaję sobie sprawę, że go tam nie ma. W porannym oszołomieniu spowodowanym przez Luca i Gabe'a zostawiłam je na biurku w pokoju. Cholera!

Sanghetti nigdy nie negocjuje terminów.

„Błagam, daj nam jeszcze jeden dzień... błagam, błagam...”

— Wiem, że sprawozdania miały być na dzisiaj — zaczyna Sanghetti, patrząc prosto na mnie — ale mam po szkole nagłe obowiązki i nie chcę ich ze sobą nosić. Zatrzymajcie je do jutra.

Prawie spadam z krzesła.

Przez resztę historii staram się nie śmiać, kiedy Luc i Sanghetti kontynuują swoje spory.

— Na środowy test przestudiujcie rozdział osiemnasty — mówi Sanghetti w chwili, gdy rozbrzmiewa dzwonek, z zadowolonym uśmiechkiem piorunując wzrokiem Luca.

Pochyliłam się do niego.

— Myślę, że pan Sanghetti szuka odwetu. Powodzenia na teście — szepczę.

— Nie ma szansy zadać mi pytania, na które nie znałbym odpowiedzi. Gotowa na lunch? — Wstaje i swoim zwitkiem papieru rzuca niczym piłką do kosza na środek biurka Sanghettiego.

— Wiesz, że dostaniesz jedynkę? Luc podnosi brew.

— Za oddanie przed terminem? Niech tylko spróbuje.

— Tak, jasne... Swoją drogą skąd wiesz tyle o historii?

— Z History Channel — odpowiada lekceważąco.

— Musisz dużo oglądać, bo jak się ciebie posłucha, można odnieść wrażenie, że byłeś naocznym świadkiem wydarzeń.

Znowu ten szeroki uśmiech.

— Naprawdę? Może w poprzednim życiu.

A ja zaczynam się zastanawiać. Bo jest coś w Lucu...

LUC

Idziemy z Frannie na stołówkę, a mój żołądek wywraca się jak zwykle, ale tym razem nie ma to nic wspólnego z jedzeniem. Gabriel siedzi naprzeciwko Taylor i Riley, na moim miejscu! Zamykam oczy, w nadziei że kiedy je otworzę, okaże się, że on zniknął — że to wytwór mojej wyobraźni. Ale niestety, ciągle jest, cały entuzjastyczny i ekspresywny. Zastanawiam się, czy nie użyć wobec niego mocy — może wykopać spod niego krzesło i posadzić go na dupie — ale żadna drobna złośliwość nie dotknie Gabriela. Czuję elektryczne trzaski nad moją zwiniętą pięścią, która zaczyna lśnić czerwienią, i powściągam swoją magię, zanim ktokolwiek to zauważy.

Oczy Frannie się rozświetlają, potem patrzy na mnie, wzrusza ramionami i podchodzi do naszego stolika, rzucając torbę na podłogę i padając na krzesło obok Gabriela. Przysuwa się do niego — za blisko.

On posyła mi triumfalne spojrzenie i kładzie jej dłoń na plecach. Dopadam go w okamgnieniu i odtrącam jego rękę. Siadam na krześle po jej drugiej stronie, bliżej, niż siadłbym normalnie. Ryzykuję, że poczuje mój żar. W przeciwnym wypadku ten szubrawiec Gabriel oznakuje ją przed końcem lunchu. Taylor i Riley nie mogą usiedzieć spokojnie. Przynajmniej rozpraszają uwagę. To się przyda.

— Idę po lunch. Ktoś jest głodny? — mówi Frannie, a ja widzę, jak kopie Taylor w kolano pod stołem.

— Ach, no tak, jasne — odpowiada Taylor i chwyta Riley za ramię. Wszystkie trzy suną do kolejki, Taylor całą drogę odwraca się przez ramię.

Patrzę spode łba na Gabriela.

— Musisz się wycofać. Wyrządzisz poważne szkody.

— To wojna, Lucyferze. Wszelkie chwytaki dozwolone.

— A więc twoja strona będzie teraz łamać zasady? Bo to zupełnie do was nie pasuje.

— Będziesz mi prawil moraly? — Śmieje się jednym głośnym, szyderczym warknięciem. — To dopiero wypas. Poza tym ja nie łamię zasad.

— Może technicznie nie... Nie chcę po prostu, żeby Frannie stała się krzywda. — Tak, właśnie. Z tego właśnie powodu chcę ją zaciągnąć do Otchłani na wieczysty ból i tortury.

On najwyraźniej też zdaje sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało, bo wpatruje się tylko we mnie długą chwilę.

— Wiesz... — odzywa się wreszcie — wierzę ci. Rany... — Dalej mi się przygląda, a ja odpowiadam mu gniewnym spojrzeniem.

Frannie upuszcza na stół swoją tacę z trzaskiem i grzechotem sztućców i siada na swoim krześle pomiędzy mną a Gabrielem, uniemożliwiając nam dalszą walkę na siłę spojrzenia.

— Jak tam, chłopaki? Nadrobiliście zaległości? — pyta miło, jakby nie było oczywiste, że poderżnęlibyśmy sobie z Gabrielem gardła w jednej sekundzie, gdyby tylko nadarzyła się okazja. —

Zapomniałam już, ile się nie widzieliście?

Czterysta lat.

— Jakiś czas — mówię, znowu patrząc na Gabriela gniewnie.

Riley i Taylor dołączają do nas, obficie trzaskając tacami, trzepocząc rzęsami i zarzucając włosami.

— A więc Gabe — mówi Riley, przepychając Taylor ramieniem, żeby się bardziej naprzeciwko niego — skąd jesteś?

Gabriel patrzy na nią i uśmiecha się.

— Z nieba — odpowiada. To obrzydliwe, jaki potrafi być promieniejący na zawołanie. Każdy, kto by się baczniej przyjrzał, zauważyłby, że ten blask to nie tylko błyskotliwa osobowość.

Taylor trąca łokciem Riley i mruczy „bez kitu”, po czym uśmiecha się promiennie do Gabriela.

— Z Nieba? — pyta. — A gdzie to? W Montanie czy coś?

Gabriel kiwa głową, wciąż pogodny.

— Mniej więcej.

Taylor i Riley wyglądają na nieco ogłuszone — najwyraźniej Gabriel stawia na skołowanie, bo anioły nie potrafią kłamać.

— Więc przyjechałeś z nieba prosto do piekła — śmieje się Taylor.

Gabriel zerka na mnie.

— Do piekła? — powtarza, mrużąc oczy. Taylor pochyla się nad stołem.

— Tak, Liceum Hades... kumasz?

Wierci się na krześle i kładzie ramię na oparciu krzesła Frannie, spoglądając na mnie z szyderczym uśmiechem.

— Tyle jeśli chodzi o przewagę własnego boiska. Frannie przysuwa się jeszcze bliżej do niego, a ja czuję przypływ mocy. Oddycham głęboko, by ją opanować, i pochylam się do niej.

— Umawiamy się na niedzielę? Możemy popracować nad planem z angielskiego — mówię jej cicho do ucha, używając swojego najbardziej przekonującego tonu.

- Przykro mi, w niedziele chodzę do kościoła, a potem do dziadka. Może w sobotę?
Powinienem był wiedzieć, ale i tak mnie to kłuje. Gabriel rozmawia z Riley i Taylor, ale widzę, że jego uśmiech jaśnieje, co wzmacnia cios. Arogancki łajdak.
Dodaję uroku, ale mocy jeszcze nie.
- Nie możesz sobie darować jednej niedzieli? Uśmiecha się przeprasza­jąco.
- Nie poznałeś moich rodziców, ale jestem pewna, że widziałeś ich w telewizji: Papież i Matka Przełożona.
- Aż tak źle?
- W zasadzie nie. Naprawdę nie są tacy źli. Uśmiech Gabriela jest jeszcze bardziej promienny.

FRANNIE

- Jak wyjaśnić, o co chodzi z moją rodziną? Nie w tym rzecz, że wprawiają mnie w zakłopotanie czy coś. Znam mnóstwo siedemnastolatków, którzy tylko wyklinają na swoje rodziny. Moja na ogół jest okej. Po prostu jest naprawdę religijna. Ale ja jestem jakby czarną owcą.
- Powiedzmy, że nie zawsze spełniam ich wysokie standardy moralne.
Na twarzy Luca pojawia się szeroki uśmiech. Zerka przez ramię na Gabe'a.
- Piękne słowa. Teraz twarz mi płonie.
- To tylko brzmi interesująco. Moje siostry po prostu lepiej się podporządkowują niż ja.
Ściąga brwi.
- Mary, Mary, Mary i Mary? Co za dupek.
- Owszem.

— Są młodsze czy starsze?

— Dwie starsze, dwie młodsze.

— Nie widziałem na korytarzach nikogo, kto byłby do ciebie podobny...

— Moje siostry tu nie chodzą.

— Naprawdę?

No i tu właśnie pojawia się pewien kłopot. Taylor szczyrzy się do mnie zza stołu i czuję, jak mnie kopie pod spodem. Zdzira. Dźgam pomidorka widelcem, wyciskając strumień pomidorowego soku i pestek, który tworzy śliską kałużę na blacie w barwie rzygów.

— Wyrzucono mnie poniekąd ze szkoły katolickiej.

Wybuchą głośnym śmiechem.

— Och, no to już są na maksa piękne słowa. — Od jego uśmiechu moje serce trochę się gubi. Zerka na Gabe'a.

— Nie, to naprawdę tylko brzmi tak fatalnie — próbuję się bronić. — Drobne przewinienia, ale oni tam mają te zasady, że zero tolerancji i tak dalej...

Taylor nie może się powstrzymać.

— Ona jest obdźektorem. Luc spogląda na mnie.

— W sensie że jesteś przeciwko wojnie?

— Przeciwko religii katolickiej. Zadawała za dużo pytań na lekcjach religii — wyjaśnia Taylor.

Podnosi brew.

— Na przykład?

— Nieważne. — Patrzę na Taylor gniewnie.

— Ciężko mi uwierzyć, że wyrzucają uczniów ze szkoły za nieważne pytania.

— Miałam kilka pytań o Boga.

Pochyla się do mnie z przejęciem, łokieć opiera na kolanie, oczy mu pałają.

— Łykasz to? Tego całego Boga?

Wyobrażam sobie Matta w trumnie. Nie tak, jak naprawdę wyglądał, na pewno, bo nigdy go nie widziałam. Byłam zbyt chora, żeby iść w kondukcje czy na pogrzeb. Obraz, który mnie nęka, to ten, który widziałam w głowie tuż przed tym, zanim spadł. Odpycham ten obraz wraz z bezdennym bólem, który próbuje wydostać się z głęboko umieszczonego schowka, gdzie go zamknęłam, i usiłuję wyobrazić sobie taką siedmioletnią twarz teraz, w wieku lat siedemnastu.

— Jeszcze pracuję nad kilkoma zagadnieniami. — Słowa przeciskają się przez moje zaciśnięte gardło i wychodzą trochę zduszone. Prawdę mówiąc, jedyne nad czym pracuję, to żeby powiedzieć na głos prawdę. Nie ma Boga. Nie może być. Bo gdyby był, musiałabym Go nienawidzić. Łatwiej po prostu nie wierzyć.

— Wierzysz — wtrąca się Gabe, jakby czytał w moich myślach.

Spoglądam na niego gniewnie.

— Nie masz pojęcia, w co wierzę.

Bierze moją rękę i przesuwa opuszką palca po mojej linii życia. Ciarki przebiegają mi po plecach.

— Jakieś tam pojęcie mam — mówi, a jego niebieskie oczy zagładają w głąb mnie.

I nagle jestem pewna, że on patrzy przeze mnie na wskroś — widząc wszystko. Gwałtownie wciągam powietrze i odwracam wzrok, na Luca. Troska na chwilę zachmurza mu oblicze.

— A jak tam z drugą stroną? — pyta nagle z błyskiem w oczach i wyczekiwaniem na twarzy. — Wierzysz w diabła? Piekło?

Patrzę na niego pustym wzrokiem.

— Tak.

Gabe puszcza moją rękę.

— Cóż, to chyba nie w porządku. — Słyszę uśmiech w jego głosie, ale nie odwracam spojrzenia, ponieważ ani myślę ponownie ryzykować.

Czarne oczy Luca płoną czerwienią, a jego uśmiech się poszerza, kiedy rozpiera się na krześle, kładąc ramię na moim oparciu.

— Świetnie. Więc jesteśmy umówieni na sobotę? U mnie?

Och... ten uśmiech mnie zabija. Ale lepiej dmuchać na zimne.

— A może u mnie?

— Z Papieżem, Matką Przełożoną, Mary, Mary, Mary i Mary? Zapowiada się ubaw.

— Jasne, ubaw po pachy — wznoszę oczy do nieba.

ROZDZIAŁ 5

Diabelnie zdecydowany

LUC

Siedzę na podłodze w swoim ciemnym mieszkaniu, uderzając potylicą o ścianę i patrząc na nietoperze przelatujące w zmroku za moim oknem. „Wish You Were Here” Pink Floydów przeszywa mnie do szpiku kości.

Nigdy wcześniej nie miałem obsesji na punkcie znaku, ale cały tydzień obserwowałem ją w szkole z Gabrielem i czułem rzeczy, których nie umiem nawet nazwać. Wiem tylko, że chcę jego śmierci.

Przez niego jestem roztrzęsiony, zwątpiłem w siebie i muszę bardzo ze sobą walczyć, żeby nie wsiąść do mustanga i nie pognać do domu Frannie.

Co bym zrobił, gdybym już dotarł na miejsce? Wiem, co chciałbym zrobić — o czym myślę nieustannie od chwili, gdy ją poznałem.

A jeśli Gabriel tam jest? Miga mi przed oczami taki obraz, że robi Frannie to, co ja chcę jej robić, i czuję ukłucie... zazdrości? Naprawdę?

Ale wiem, że nigdy by tego nie zrobił, ponieważ to by podziałało tylko na moją korzyść. Nie przybył tu ze względu na ciało Frannie. Tylko ze względu na jej duszę — tak samo jak ja. Co ma go powstrzymać od oznakowania jej duszy w tej właśnie chwili? Mógłbym tam pojechać... tylko żeby się upewnić, że go tam nie ma...

Walę głową w ścianę.

A jeśli tam jest? Co wtedy?

Wyobrażam sobie, jak spadam tam niczym Batman, w jednej chwili wyrywam jej półnagie ciało z ramion Gabriela.

Więc to właśnie chcę zrobić? Uratować ją przed niegrzecznym aniołem?

W ciszy pomiędzy piosenkami ze zdumieniem słyszę swój sardoniczny śmiech. O co chodzi z tą dziewczyną? To tylko dziewczyna. Nic specjalnego. Cel. Nic więcej. I obiekt moich fantazji.

Mocniej uderzam głową.

Zamykam oczy i przepędzam jej twarz z moich myśli. Zastępuję ją moim szefem, Berithem, Wielkim Diukiem Piekieł i szefem Działu Akwizycji. Skupiam się na myśli o tym, co on mi robi, jeśli mi się nie powiedzie, w nadziei że strach zagłuszy moją obsesyjną żądzę.

I prawie się udaje. Czuję, jak zimne, czarne przerażenie przekrada się przez moje wnętrze, kiedy sobie wyobrażam, jak klęczę przed Berithem i królem Lucyferem, czekając na osąd. Ale przerażenie ustępuje rozpacz, że jeśli moje istnienie skończy się w tej chwili, nigdy się nie dowiem, jak to jest dotknąć Fran-nie, pocałować ją, być z nią. Walę głową w ścianę.

Nagle czuję, że muszę wiedzieć, dlaczego Frannie jest taka ważna — jakie mają wobec niej plany. Ale nie wiem i nie będę wiedział. Berith ma paranoję i trzyma wszystko przy sobie.

Jeszcze raz walę głową o ścianę, żeby mi się w niej rozjaśniło. Skup się! Wszystko będzie dobrze. Inni z Akwizycji nie zdołali jej znaleźć. Ja znalazłem. Reszta mojego zadania powinna być łatwa, Gabriel czy nie Gabriel. Gabriel to tylko drobna niewygodna. Wygląda na to, że mocno ją naciska swoją mocą, ale nic więcej nie może zrobić, jeśli nie chce działać na moją korzyść.

Ale jak go sobie wyobrażę... z nią... tak... ten obraz zakrada się do mojej głowy, czuję, jak trzewia mi się skręcają. Zmieniam jego wizerunek na swój... widzę siebie z nią... tak... i czuję, jak coś innego porusza się w moim wnętrzu.

Jutro. Jutro będzie moja.

Podnoszę z podłogi swoje żalosne jestestwo i idę do łazienki, gdzie staję i wpatruję się w prysznic. Jak to działa, swoją drogą? Odkręcam kurek. Z początku woda odbijająca się od ściany jest chłodna, ale potem robi się cieplejsza. Zły kierunek. Zakręcam ten kurek, a na fuli odkręcam drugi. Magiczną sztuczką zrzucam ubrania i wchodzę pod lodowaty strumień.

Skup się, Luc.

FRANNIE

— Dlaczego w twojej rodzinie nikt nigdy nie rozmawia o twoim bracie? — Taylor rękawem ściera kurz z szybki zdjęcia i dopiero wtedy odstawia je na toaletkę. Na tym zdjęciu jestem ja w warsztacie dziadka, z twarzą pokrytą smarem, robię zajęczka nad piaskowymi lokami Matta. On udaje, że wali mnie w głowę kluczem francuskim. Mieliśmy siedem lat. To było tydzień przed jego śmiercią.

Wciskam się mocno w krzesło przy biurku i przetykam gułą tworzącą się w gardle, która zdaje się odcinać mi dopływ powietrza.

— Nie ma za bardzo o czym mówić. To było dawno temu.

— No ale jednak — znowu spogląda na zdjęcie — to musiało być ciężkie.

— To do dupy, jasne? Możemy porozmawiać o czymś innym?

Taylor unosi brwi i ręce.

— Przepraszam.

Oddycham głęboko i opuszczam głowę.

— To ja przepraszam, Tay. Ale to do dupy i naprawdę nie ma za bardzo o czym gadać. To był wypadek... — Kiedy to mówię, moje gardło całkiem się zaciska. Zaczynam łapczywie chwytąć powietrze, ale gwiazdy przed moimi oczyma robią się jaśniejsze, aż jestem pewna, że zemdleję.

— Jezu, Fee. — Taylor podbiega do mnie. Chwytam ją za ramię, kiedy klęczy obok.

— Nic... mi... nie jest — dyszę. Zrywa się na nogi.

— Idę po twoją mamę.

— Nie! — Obejmuję rękoma kolana i staram się wciągnąć powietrze do płuc. Potrząsam głową, aż gwiazdki znikają. — Nic mi nie jest, naprawdę.

— Co to było? Jakaś astma? Jak to możliwe, że ja nie wiem, że masz astmę?

Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

Zerkam na zdjęcie Matta i staram się dalej oddychać miarowo, potem podnoszę wzrok na Taylor i wzruszam ramionami.

— Przepraszam. — Odkładam na biurko podręcznik matematyki.

Taylor przygląda mi się chwilę dłużej.

— Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

— Tak.

Rozwala się na podłodze, pochylona nad książką do matmy, przeżuwając gumkę ołówka.

— No więc jak to się stało, że na angielskim i fizyce pracujesz z dwoma największymi ciachami świata?

Podnoszę wzrok.

— Nie wiem. To pewnie przeznaczenie.

— I teraz się kłóć o ciebie. W ogóle tego nie kumam. Zupełnie jakbyś się, kurde, zamieniła w Paris Hilton.

— Nikt się o mnie nie kłóci — kpię, ale ona ma rację. Tak to wygląda, jakby się o mnie kłócili. I reszta też jakby się zgadza.

Rozmazuję klej na wycinku z magazynu, który właśnie wycięłam, starając się nie chełpić, i podnoszę ręce, żeby przykleić go na pomarańczowym miejscu na ścianie nad toaletką. Taylor wstaje i wyciąga z torby garść mazaków. Podchodzi do ściany przyjrzeć się Mona Lisie, którą właśnie tam przykleiłam. Posyłając mi szelmowski uśmiech przez ramię, granatowym pisakiem pisze „Mona Lisa”, a pod spodem dopisuje: „musi komuś dać”.

— Twój pokój chyba trzeba odmalować — mowi, rozglądając się po kilkuletnich owocach mojej sztuki, siadając z powrotem na dywanie.

Niemal każdy cal ściany jest pokryty jakimś przypadkowym obrazem, od twarzy poprzez kwiaty po meble z czego większość jest ozdobiona jakimś komentarzem pióra Taylor albo Riley. Co kilka lat udajemy się do działu farb w True Value i prosimy o coś, co wyrzucają, a potem przynosimy to do domu i jedziemy wałkiem po ścianach. W ostatniej partii udział wziął pomarańczowy, burgund, słodki róż i brązowoszary, grynszpan i turkus, które teraz pokrywają plamami niemal cały mój pokój. Na moich ścianach musi już być z sześć warstw papieru i farby.

Siadam przy biurku pod oknem i pochylam się nad matką.

— Chyba tak zostawię. Jesienią wyjeżdżam do Los Angeles i nie chcę przyjeżdżać z college'u do przygnębiających pustych ścian.

— Jasne... Więc zwolnisz któregoś z tych chłopaków czy jak?

Nie podnoszę głowy znad książki, tylko odpowiadam sucho:

— A którego byś chciała, Tay?

— Luca.

— Co?

— Spytałaś, którego chcę. Luca.

Oddycham głęboko, by stłumić wybuch zazdrości. Wiedziałam, że tak będzie.

— A co z Martym?

— Jest miły i w ogóle, ale pomiędzy nim a Lukiem... nie ma porównania.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Nie wiem. Luc to zagadka. I te kolczyki — mówi, trącąc kolczyk w kąciku ust. — I wydaje się trochę niebezpieczny, co mi się podoba. Zupełnie jakby z nim mogło się zdarzyć wszystko.

— Kumam.

— Ale z jakichś nieznanych powodów myślę, że on interesuje się tobą. — Kręci głową z uśmiechem, potem zanurza rękę w torbie i wyciąga kwadratową foliową paczuszkę. — Ty w ogóle wiesz, co z nim robić? — Wykonuje szybki ruch dłonią i posyła mi prezerwatywę, która uderza mnie w ramię i spada u moich stóp.

Doskonale wiem, co z nim robić. Ćwiczyłam to w marzeniach.

— Nieważne — mówię, wznosząc oczy do nieba. Wypuszcza powietrze.

— Myślę, że łatwiej by ci poszło z Gabe'em. Drzwi się otwierają i w progu staje mama z dwiema szklankami mleka, jakbyśmy ciągle miały po osiem lat.

— Kim jest Gabe?

Taylor uśmiecha się szeroko, kiedy ukrywam w dłoni prezerwatywę i wsadzam ją do torby.

— To tylko chłopak ze szkoły — mówię, prostując się na krześle.

Mama się uśmiecha.

— Powinnaś go przyprowadzić. Bardzo chętnie bym go poznała.

Czuję, jak palą mnie policzki, i mam nadzieję, że nie jestem tak czerwona, jak mi się wydaje.

— To naprawdę tylko kolega, mamó.

— Uwielbiam poznawać twoich kolegów — mówi, podając nam mleko i wygładzając spódnice.

— Jutro przyjdzie mój inny przyjaciel uczyć się ze mną.

— Tak? A jak ma na imię?

— Luc. — Ignoruję uśmiech Taylor.

— No cóż, nie mogę się go doczekać. — Uśmiecha się do Taylor. — Mam w piekarniku ciasteczka z czekoladowymi drobinkami. Zostawcie sobie trochę mleka, za parę minut przyniosę wam kilka.

— Dzięki — mówię, kiedy mama odwraca się do wyjścia, zamyka drzwi za sobą, zostawiając w pokoju lekką woń jaśminu.

— Może powinnaś przyprowadzić też do domu Gabe'a — proponuje Taylor z uśmiechem. — Niech mama pomoże ci podjąć decyzję. Na pewno wybierze Gabe'a. Sprawia wrażenie zdrowszego.

— I zostawić Luca tobie. Ale wygodnie.

Prawdę mówiąc, Gabe rzeczywiście sprawia wrażenie zdrowszego, ale to nie powoduje, że moje marzenia

o nim kończą się w tym samym miejscu co marzenia o Lucu. Czuję, jak policzki mi płoną od samych takich myśli.

Po dreszczu, który mnie przechodzi, następuje oszałamiające déjà vu. Już kiedyś tak rozmawialiśmy i zawsze mogłam liczyć na Taylor, że zgarnie aktualnego chłopaka. Jak piorun uderza mnie pytanie, dlaczego zawsze jesteśmy tak blisko. To moja siatka asekuracyjna. Zawsze brała chłopaka, bo ja jej pozwalałam — bo ja chciałam, żeby go wzięła. Tylko jeden chłopak przedostał się przez oka tej sieci i okazał się trochę niebezpieczny... dla mojego serca. Ryan.

Nie wiem, co tym razem się zmieniło, ale nie chcę, żeby zgarnęła chłopaka. Żadnego.

Opada z powrotem na dywan i wypuszcza powietrze.

— Więc zamierzasz zatrzymać obu — mówi, jakby czytała w moich myślach.

— Może. — Na to odkrycie przeszywa mnie kolejny dreszcz. Chcę ich i tym razem nie ustąpię przyjaciółce. Nie mogę stłumić uśmiechu, ale udaję, że ziewam.

Taylor podnosi głowę i patrzy na mnie gniewnie.

— No dobra, nieważne. Trzymaj tylko gumkę pod ręką.

Od napływającego spod drzwi zapachu śliny się dobrą minutę, zanim pojawia się w progu mama z talerzem pełnym gorących, klejących ciasteczek. Wsuwamy je i duszkiem wypijamy mleko. Kiedy kończymy z matką, ruszamy na dół.

— Mamo! Odprowadzę Taylor do domu — krzyczę w drodze do drzwi.

Wystawia głowę z kuchni.

— Dobra, wracaj zaraz.

Wychodzimy na zimną noc i Taylor kładzie mi rękę na szyi.

— Wiesz, słyszałam, że Reefer powiedział Trevorowi, że wracasz do Roadkill.

Przewracam oczami.

— Nie wierz we wszystko, co słyszysz. Ściąga usta w szelmowskim uśmiechu.

— Reefer to twój rozsądny wybór, wiesz, taki dziwak z Guitar Hero. Chce, żebyś wróciła, bo wie, że na nic lepszego go nie stać.

— Dzięki, Tay.

— Powiedziałam to w pozytywnym sensie — śmieje się. — Ale poważnie, on nigdy cię nie wystawi.

Powinnaś o tym pomyśleć.

Patrzę na nią gniewnie.

— Nie ma takiej możliwości. Tak czy owak, we wrześniu wyjeżdżam do college'u, więc w ogóle nie ma co gadać o powrocie. Do zespołu, oczywiście.

— Więc jesteś pewna co do UCLA? Bo ciągle możesz pójść z Riley i ze mną do stanowego. Jeszcze nie za późno na zmianę zdania, wiesz.

Patrzę w stronę domu Taylor. Na tym odcinku Ami-stad Road nie ma latarni, więc droga jest oświetlona jedynie przez lampy przed domami i srebrny blask półksiężyca.

— UCLA ma najlepszy w kraju program stosunków międzynarodowych. Miałam wielkie szczęście, że się dostałam. I jeszcze pełne stypendium — raczej trudno odrzucić taką okazję.

— Nie mam pojęcia, dlaczego sądzisz, że ratowanie świata to twoje zadanie.

— Jeśli sami siebie nie uratujemy, to kto to zrobi? Poza tym wiesz, że nie mogę tu zostać.

Wygląda na urażoną.

— Dlaczego? Co ci się aż tak nie podoba w naszej miejscowości?

Obejmuję ją w talii, kiedy przechodzimy na drugą stronę ulicy. Dokoła panuje cisza, zakłócana tylko przez cocker-spaniela Cooperów, Crasha, który wytyka nos przez dziurę po sęku w ogrodzeniu i ma napad furii, kiedy mijamy ich dom.

— Nic, tylko że jak pójdę do stanowego, rodzice będą oczekiwać, że będę mieszkać w domu. Poza tym są tam Mary i Kate. Znasz mnie. Po prostu naprawdę potrzebuję robić coś innego.

Mijamy kolejne domy, wszystkie z zewnątrz takie same i wszystkie ciche nocą.

— Nie pasujesz do Los Angeles, Fee. Oni cię zeżrą żywcem. Prawdę mówiąc, ja pasuję do Los Angeles — tu przesuwam dłoń po swoich różowych stroszkach.

— Powinnaś ze mną jechać. Ale by było fajnie! Fee i Tay podbijają LA.

— Jasne — mówi ponuro, a wtedy czuję się paskudnie, bo Tay nie ma wyboru, może iść tylko do college'u stanowego. Jej tata od ponad roku nie ma roboty. — Nie jestem pewna nawet stanowego. Jeśli nie załatwię jeszcze paru stypendiów, nici z tego.

— No ale może przyjedziesz z wizytą, na przykład na ferie wiosenne.

— Jasne, może. — Wzdycha głęboko i z jękiem zarzuca torbę na ramię. Jej ciało się napina. — Zajmują nam dom.

— Co?!

— Musimy się wyprowadzić.

— O czym ty mówisz?

— Szukamy mieszkania. — Szybko ociera łzę wypływającą z kącika oka, kiedy skręcamy w jej ulicę.

— O Boże. — Żołądek podjeżdża mi do gardła. Ściskam przyjaciółkę. — Tay... nie wiem, co powiedzieć.

— Nic. Nic nie można powiedzieć. Tylko zdecyduj, którego z nich wybierasz — uśmiecha się blado.

— Jezu, Tay. Masz chyba większe problemy, nie sądzisz?

— Może, ale chcę się przejmować właśnie tym. Więc którego?

— Zamknij się.

— Jak mi podasz imię. Luc czy Gabe — mówi, skręcając na swój podjazd i ciągnąc mnie za szyję.

— Jesteś śmieszna.

— Imię. — Ściska mi szyję.

— Przestań!

— Imię. — Teraz mną potrząsa.

— Dobra! Luc. — Nie jestem do końca pewna, czy powiedziałam to, co naprawdę myślę, czy też powiedziałam tak, bo Taylor powiedziała, że go chce.

— Cholera, ale ty jesteś okrutna! Nawet na litość cię nie wzięłam — mówi, ale o dziwo mnie przytula. Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu, kiedy otwiera drzwi do swojego domu. — Napisz do mnie, jak Luc jutro wyjdzie. — Podnosi brew. — Ze szczegółami — dodaje z lubieżną miną. Wchodzi do środka, a nim zamknie drzwi, słyszę z głębi krzyk jej ojca.

Długą chwilę stoję na progu domu przyjaciółki w świetle księżyca, wpatrując się w konstelacje wirujące nad głową. Crash ciągle szczeka, ale poza tym mamy dzisiaj dziwnie cichą noc.

Na pewno mogę coś zrobić dla Taylor. Słabo mi się robi, jak pomyślę, że jej rodzinę wyrzucą z domu.

Mieszka tu całe życie. Może kościół coś zaradzi. Muszą się na coś przydać. Pogadam z tatą.

Odwracam się, żeby zejść z ganku, i w tym momencie drzwi się otwierają i wypada z nich Trevor, uderzając mnie. Młóćąc rękoma w powietrzu, spadam ze schodków.

— Jezu, Frannie — mówi zdumiony, chwytając moje ramię, żeby mnie uchronić przed upadkiem.

Odtrącam go.

— Gdzie się pali?

— Przepraszam — mówi i rusza podjazdem. A ja za nim.

— Nic ci nie jest?

Zerka nieufnie na dom i obraca się, idąc szybko ulicą.

— Nic. Musiałem tylko wynieść się stamtąd. Pomyśleć o przeniesieniu się do Riley — mówi, a tęskny uśmiech majaczy mu na ustach.

— A kiedy powiecie wreszcie Tay?

Jego tęskny wyraz twarzy przeradza się w niespokojny, oczy rzucają mi szybkie spojrzenie.

— Nawet o tym nie myśl.

— Ja nic nie powiem. Ale ty powinienes. I lepiej nie zwódź Riley.

Przystaje.

— Nie zwodzę — mówi, a jego spojrzenie łagodnieje. Wreszcie uśmiecha się i rusza dalej. — Ale skoro mówimy o zwodzeniu, co tam u ciebie i Jacksona? On całymi dniami się nad tobą rozplywa. To żałosne na maksa.

— Ja go nie zwodzę. Przy każdej okazji mówię mu, żeby spadał.

— Niejasny komunikat.

— A która część „spadaj” jest dla niego niejasna?

— Ta z macaniem w szafie — uśmiecha się i trąca mnie w ramię.

Zżymam się.

— Wszyscy popełniają błędy. Pomożesz mi się z tego wywinąć?

— Pomyślę. — Zerka na mnie ukradkowo. — Reeper w ogóle ma szansę się z tobą zejść?

— Niestety, nie. — Uśmiecham się mimowolnie.

— Tak myślałem. Ciągłe jest w tobie zabujany, wiesz.

I w tym problem. On myśli, że mnie kocha. Wzruszam ramionami.

— Pewnego dnia się obudzi i zrozumie, że był chwilowo otumaniony.

— Gdziekolwiek się obrócisz, łamiesz serca — mówi z uśmiechem i macha mi ręką na pożegnanie, bo rusza na drugą stronę ulicy, do domu Riley.

Wbijam ręce w kieszenie, żeby się ochronić przed chłodem, który zakrada się w nocne powietrze, i patrzę, jak moje stopy wloką się chodnikiem do rogu. Uśmiecham się do siebie. Może Riley wreszcie znalazła tego jedyne. Szkoda, że nie zdąży się nim nacieszyć, bo Taylor zabije ich oboje.

Kiedy wlokę się słabo oświetloną ulicą, myślę o tym, dlaczego pod naciskiem rzuciłam właśnie imię Luca. Gabe jest na pewno wspaniały i od samego my-

ślenia o nim przechodzą mnie dreszcze w miejscach, o których wolałabym nie wspominać. To ucieleśnienie marzeń każdej dziewczyny... Bóg jeden wie, jak bardzo jest ucieleśnieniem moich marzeń. Jest też zdecydowanie bezpieczniejszym wyborem, bo Luc raczej wygląda na ucieleśnienie koszmarów każdej dziewczyny. Pomijając to ciało — o którym marzenia żenują nawet mnie — i tę twarz, chodzi o jego mroczną energię. Przeraza mnie diabelnie, ale też przemawia do mnie jak jakiś syreni śpiew, który mnie chwytą i nie puszcza. Można się przy nim zapomnieć. Ale ja się nie zapomnę. Nigdy.

Więc prawdopodobnie dlatego podskakuję, kiedy za rogiem dostrzegam czarną shelby cobrę zaparkowaną po drugiej stronie ulicy, kilka domów od mojego. Sunę ulicą i przecinam ją, by iść dalej — i dotrzeć do tego mustanga, i zajrzeć do środka.

Mówię sobie, że to nie może być on. Co by tu robił? Mam obsesję. To niedobrze. I pewnie dlatego kiedy jestem rozsądna, umawiam się z takimi kolesiami jak Tony Riggins i jego kalkulator naukowy. Trudno mieć obsesję na punkcie kalkulatora naukowego.

Ale łatwo mieć obsesję na punkcie szalenie cudownego faceta z zagadkowymi oczami. I dlatego stoję na środku swojego podwórka i gapię się na samochód. Potrząsam głową, oddycham głęboko i ruszam przez wilgotny trawnik do wejścia. Ale tam się waham.

Niechętnie otwieram drzwi i przemykam do środka, zanim zrobię coś naprawdę głupiego.

LUC

Taylor. Taylor tu jest, nie Gabriel. Strzeż, Szatanie, mojej duszy, wpadam w paranoję. Skup się!

Potrząsam głową, żeby odzyskać jasność myśli, i sięgam do kluczyka. Ale nagle, już kiedy mam go przekreślić, jakaś siła w zawrotnym tempie przeciąga mnie w przestrzeni. Przełykam żółć, która w przerażeniu podjechała mi do gardła, i zamykam oczy, żeby opanować zawroty głowy. Dwóch jest tylko w piekielnym królestwie, którzy mogą mnie tak wzywać.

Oby to był Berith.

Ale kiedy czuję, że moja stopa ląduje na gładkim kamieniu, i otwieram oczy, panika gwałtownie się wzmacnia. To nie mój szef, żegnaj, nadziejo. Znajduję się w zamku Pandemonium. Przed czarnym, obsydia-nowym, kunsztownie rzeźbionym tronem króla Lucyfera, posadowionym wysoko na podium pośrodku przepastnej sklepionej komnaty.

Jest pusty.

Rozglądam się, szukając jakiegoś Jego śladu, ale w świetle licznych pływających świec, odbijającym się od gładkich, czarnych, obsydianowych ścian, nie widać nikogo. Jestem sam. Stoję absolutnie nieruchomo, silny zapach siarki mnie uspokaja. I tak jednak podskakuję, kiedy słyszę Jego cichy syk w moim uchu.

— Znalazłeś ją. — To nie jest pytanie.

Odruchowo się odwracam. Za mną go nie ma. Ale wtedy Go czuję — Jego spojrzenie. Odwracam się do Niego, kiedy unosi się wysoko nade mną, niemal pod sklepieniem. Uważam, żeby nie patrzeć bezpośrednio na Niego, ale widzę Jego ogromne czarne skrzydła nietoperza uderzające w powolnym rytmie, kiedy opuszcza się na ziemię. Padam na kolana ze schyloną głową.

W wypolerowanej obsydianowej podłodze odbija się tył Jego postaci: ogromnej, z parującą, czarną szorstką skórą, która wydaje się pochłaniać całe światło, by promieniować nim z rozpalonych, zielonych kocich oczu osadzonych w ostrej, kanciastej twarzy.

Skręcone krwistoczerwone rogi otacza spiczasta złota korona. Kiedy zakończone szponami stopy dotykają ziemi, król składa skrzydła i kroczy ku mnie powoli, w milczeniu, jak pantera zbliżająca się do swojej ofiary.

— Tak, mój panie — odpowiadam.

— I jesteś pewien, że to ta, której szukamy? — Od jego syku mrozi mi się kręgosłup, choć temperatura w Piekło sięga tysiąca stopni.

Dopiero w tym momencie, stojąc wobec pytania, zdaję sobie sprawę, że nie mam żadnego dowodu, iż Frannie to ta Jedyna. Zawsze silnie polegałem na instynkcie, a on nigdy mnie nie zwiódł. Teraz nie jest dobry moment, żeby go kwestionować.

— Tak, mój panie. — Tłumię nagłą potrzebę, żeby spytać Go, dlaczego tak bardzo jej pragnie.

Kiedy mija mnie w odległości kilkudziesięciu centymetrów, czuję, jak trzaski wyładowań elektrycznych — Jego moc — przeskakują między nami niczym tysiące maleńkich błyskawic. Moja własna energia gwałtownie rośnie.

— Powstań — rozkazuje, a ja muszę się podporządkować.

Patrzę, jak wspina się po licznych stopniach do wysokiego tronu i pada na niego, przekształcając swoją naturalną postać w ludzką powłokę — bardzo podobną do Zeusa: długie siwe włosy i broda, silna, kanciasta twarz i długie, płynne czerwone szaty skrywające potężną sylwetkę. Ale płonące zielone oczy się nie zmieniają. Czuję, jak przyglądają mi się badawczo.

— Jak długo? — szczeka głęboko z wysoka, jego głos zmienił się wraz z postacią.

— Niedługo, mój panie. — Nie muszę mówić, że Gabriel się wtrąca i pewnie nieco wydłuży czas realizacji zadania.

— Cudownie. — Przez chwilę milczy, a ja mam nadzieję na odprawienie, ale czuję rosnący niepokój,

kiedy Jego oczy przewiercają się przez czubek mojej pochylonej głowy. — Lucyferze... — mówi w zadumie — myślę, że byłeś niedoceniony. Berith niechętnie uznaje zasługi tam, gdzie zdecydowanie należy to zrobić, ale ja uważam, że jesteś wartościowym atutem Działu Akwizycji.

Znowu przerywa, a ja czuję się jeszcze bardziej nieswojo, bo nie mam pojęcia, dokąd On zmierza. Wreszcie wstaje teatralnie i schodzi po stopniach, powiewając czerwoną szatą — wszystko na pokaz, bo gdyby zechciał, mógłby się znaleźć na dole w ułamku sekundy — aż staje przede mną. Zło emanuje od Niego falami, nasycając mój umysł mrocznymi myślami i zaburzając zdolność samodzielnego myślenia.

— Spójrz na mnie, Lucyferze.

Nawet gdybym chciał, nie mógłbym się nie podporządkować. Podnoszę głowę i patrzę w Jego głębokie zielone oczy, przygotowując się na nagłą falę mocy, kiedy On przygląda mi się badawczo. Ohydny uśmiech rozciąga się na Jego twarzy, kiedy przepływa przeze mnie Jego energia.

— Tak. Tak właśnie myślałem. — Odwraca się tyłem. Nogi mi miękną i czuję, że się kołyszę, aż niemal się przewracam, i wtedy mnie oswobadza.

— Mam zapotrzebowanie na świeżą krew do swojej rady, Lucyferze. Czy to cię pociąga... stanowisko w mojej radzie? Może szefostwo Akwizycji?

Trudno zachować spokojną twarz, twarz bez wyrazu, kiedy to przetwarzam. Stołek mojego szefa. Tego właśnie chciałem — tego chce każde stworzenie zrodzone z Pychy. Dlaczego więc czuję przerażenie na myśl o zasiadaniu w radzie — pod Jego ciągłym badawczym spojrzeniem? Nie!

— Tak, mój panie.

— To będzie więc twoja nagroda, kiedy mi ją przyprowadzisz. — Zatacza szerokie kręgi i przystaje za

mną. Nagle wydaje się znużony. — Masz pojęcie, jakie to irytujące zawsze być drugim? Nie ma na to odpowiedzi, On zresztą żadnej nie oczekuje. Stoję bez ruchu jak kamień i czekam, aż przejdzie do rzeczy.

— Od Początku Stwórca miał całą władzę. — Wszystkie włosy mi stają, kiedy Jego moc wzbiera, a crescendo Jego głosu wzmaga się do huku. Nadal zatacza kręgi, aż staje przede mną. Gniew wytrawia głębokie rysy między jego gęstymi siwymi brwiami. — Moja kolej. To moja szansa. Przewyższę Go — wreszcie. Nie będziemy już nigdy musieli się stosować do Jego zasad. Zajmę w końcu swoje właściwe miejsce!

Posadzka drży od grzmotu Jego głosu, spada jeden z wielu białych marmurowych gargulców otaczających podium.

Byłoby bezużyteczne — i niebezpieczne — wskazywać Mu, że z ważnego powodu zgodził się na Początku na zasady Wszechmocnego. Kiedy obaj jeszcze byli rozsądni, On i Wszechmocny uznali, że na świecie musi być równowaga. Bez powabu Niebios i groźby Piekła ludzkość spadłaby na dno zdemoralizowania, gdzie dokonałaby samozagłady, odbierając sens istnienia zarówno Niebu, jak i Piekłu. Niestety, rozsądek króla Lucyfera budzi wątpliwości, odkąd istnieje.

Jego zielone oczy ciemnieją, aż stają się czarne, i w tym gniewie Jego prawdziwa postać tańczy niebezpiecznie blisko powierzchni, migocząc i wyglądając przez ludzką powłokę jak miraż. Zatacza kolejny krąg.

— Oznakuj ją jak najszybciej. Oni — przeżuwa to słowo jak kawałek brudu — też po nią przyjdą. Potrzebuję jej, Lucyferze. Nie zawieź mnie.

Oni już przysli, w osobie Gabriela. Obraca się w trzepocie szat, pęd na miarę roller-coastera uderza mnie po raz kolejny i jestem odprawiony.

Siedzę znowu w swoim samochodzie i czekam, aż ustaną zawroty głowy. Kiedy już pamiętam, gdzie jestem, odwracam się i patrzę, jak mryga światło w prawym oknie na piętrze domu Frannie. Nadal patrzę, kiedy rozsuwa zasłony i wygląda w noc, w moją stronę. Opuszcza zasłonę i wraca do pokoju. Wreszcie odzyskuję przytomność umysłu, więc obracam kluczyk i opuszczam dzielnicę Frannie, mając pewność, że ona będzie należeć do Piekieł, i to wkrótce. Nie zawiodę. Zastanawiam się leniwie, czym mój szef tak gruntownie wkurzył króla, że jest zastępowany, ale kręcę głową — w tej chwili to nie moje zmartwienie. Nie wszystko naraz. Teraz Frannie to mój problem.

Jutro.

ROZDZIAŁ 6

Piekielnie mało szans

LUC

Po spotkaniu, że się tak wyrażę, z moim królem ostatniej nocy, z trudem doczekałem do drugiej na swoją randkę lekcyjną z Frannie. Cale moje ciało buzuje z niecierpliwości. Bo dzisiaj to się stanie: dzisiaj ją oznaczę.

Kiedy parkuję na jej podjeździe, mam spocone dłonie. W swojej naturalnej postaci paruję, ale nie pamiętam, żebym kiedyś się pocił. Nie do końca to pojmuję. Mimo wszystko wycieram je o dżinsy, wchodzę na werandę i dzwonię dzwonkiem. I czuję... czuję się chyba spragniony, bo poza buzowaniem przechodzi mnie jeszcze dreszcz polowania. Wydaje mi się, że trochę za nią tęskniłem, i nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

Drzwi się wreszcie otwierają i uśmiecham się, spodziewając się Frannie, ale na progu stoi mężczyzna. Jest niższy ode mnie, ma orzechowe włosy zaczesane starannie do tyłu, niebieską koszulę zapinaną na guziki i zielony krawat. Kiedy się uśmiecha, widzę w jego twarzy odbicie Frannie. Wyciągam rękę i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że to zrobiłem. On też wyciąga i mówi „cześć”, ale nagle wzdryga się pod moim dotykiem i na tym koniec miłych powitań, bo jego orzechowe oczy się mrużą, a twarz tężeje.

— Hm, cześć — dukam wreszcie, przeklinając się za nieostrożność. To przez Frannie, ona maści mi umysł. Muszę się ocknąć i zacząć myśleć.

— Ty pewnie jesteś Luc — mówi nieufnie.

— Tak, proszę pana — odpowiadam. Naciskam na niego lekko, tyle żeby wygładzić sytuację, ale jego twarz pozostaje ostrożna. Żadnej reakcji.

Naciskam trochę mocniej. Nic.

Śmiertelnik odporny na moją magię? To nie zdarza się zbyt często. Niedobrze. Sięgam po swoją esencję, żeby trochę go rozgryźć, i... nic. Nie umiem nawet powiedzieć, czy jest oznaczony dla Nieba.

— Powiem Frannie, że przyszedłeś. — Odwraca się i odchodzi, zostawiając mnie na werandzie.

Cofam się i poważnie zastanawiam, czy nie lepiej, żebym wsiadł do auta i odjechał, ale wtedy w drzwiach pojawia się Frannie.

— Cześć — wita mnie, podnosząc brew. — Po prostu nie wierzę, że tata cię tu zostawił.

Ja jakoś wierzę. Wpadłem jak bomba.

— No tak... — mówię ściszym głosem. — Chyba pierwsze wrażenie zrobiłem dość kiepskie.

O dziwo się uśmiecha.

— Naprawdę?

I znowu mnie zaskakuje, bo chwyta mnie za rękę i wciąga do środka. Odruchowo próbuję tę rękę wyrwać, ale ona nie puszcza. I znowu się dziwię, tym razem nie pojmuję swojej reakcji na jej dotyk.

Ciągnie mnie do niewielkiego salonu, gdzie na kanapie leży dziewczyna. Obraca się i siada, jej orzechowe oczy przesuwają się po moim tiszercie i džinsach. Inna dziewczyna, młodsza, o długich ciemnych włosach, leży na beżowym włochatym dywanie, plecami do nas, buszując na planszy scrabble'a na niskim drewnianym stoliku.

Rozglądam się po wygodnym, ale nijakim pokoju. Pomiedzy kominkiem a telewizorem stoją bez ładu trzy wyścielane brązowe fotele, wszystkie puste. Wielka reprodukcja „Ostatniej wieczerzy” da Vinci, oprawiona w złotą ramę, zajmuje większość ściany nad kanapą. Reszta ścian jest pokryta dziesiątkami szkolnych zdjęć: wszędzie uśmiechnięte dziewczynki. Karmelowe zasłony we frontowym oknie są rozsunięte, za oknem widać wielki dąb przy podjeździe i mój samochód, przód i środek.

Z nieoglądanego telewizora w rogu History Channel dudni o Cezarze. Frannie podnosi pilota z któregoś krzesła i wyłącza go. Dziewczyna na kanapie wznosi oczy do sufitu i wzdycha:

— Chwała Bogu.

— Wiesz co, Kate? Jakbyś się zamknęła i pooglądała, to może byś się czegoś nauczyła — mówi Frannie. Jej oczy przesuwają się na mnie, rumieni się. — Powiedz mamie, że idę na górę się uczyć, dobra? Dziewczyna na podłodze odwraca się i patrzy na nas, a w jej szafirowych oczach coś migocze.

— Więc nie zasługujemy nawet na prezentację, nic? Frannie wznosi oczy do nieba.

— Dobra... Luc, to jest Maggie, a to Kate — mówi, wskazując na podłogę, a potem na kanapę.

— Cześć — włączam urok. Podchodzę do stolika kawowego i pochylam się nad scrabble'em. —

Takiego słowa to chyba nie ma — mówię do Maggie. — Ale jak zrobisz tak... — przekładam literki, dodaję dwie z jej stojaczka — to masz dwadzieścia osiem punktów.

Maggie uśmiecha się do mnie promiennie tymi szafirowymi oczami.

— Dzięki — mówi trochę bez tchu.

Katie wzdycha i uśmiecha się, odgarniając długie blond włosy i zwijając je w węzeł na karku, tak samo jak robi to Frannie.

— Cześć.

— Kate — odzywa się Frannie—będziemy na górze. Jesteśmy za rogiem, w połowie schodów na górę,

kiedy słyszę „o Matko Boska” i wybuch chichotu w salonie. Nim docieramy do pokoju Frannie, z dołu woła niecierpliwie kobiecy głos.

— Frannie?

— Tak, mammo? — odpowiada.

Patrzę na stojącą na dole drobną kobietę, nienagannie ubraną w białą bluzkę i granatową spódniczkę do kolan, o krótkich, starannie uczesanych piaskowych włosach i skupionych szafirowych oczach. Nerwowo wykręca dłonią biały fartuch. Ojciec Frannie stoi obok niej i patrzy na mnie groźnie. Znowu próbuję go rozgryźć, ale zupełnie jakby chroniła go Osłona. Dlaczego Niebo miałoby chronić ojca Frannie?

Mama Frannie rusza do przodu i kładzie dłoń na poręczy.

— Może pouczycie się przy stole w kuchni? Ja już tam skończyłam i będziecie mieli miejsce, żeby się rozłożyć.

Frannie patrzy na mnie, jej oczy się mrużą.

— Hm... jasne. Dobra. — Wzrusza do mnie ramionami i wracamy na dół.

FRANNIE

Wyobraźcie sobie stare programy telewizyjne z lat pięćdziesiątych, które zawsze lecą nocą na Nickelodeonie. Wiecie... te, w których mama cały czas jest w domu i sprząta w praktycznych wysokich obcasach i makijażu. Takie jak „Wiercipięta”. To właśnie moje życie. Cleaverowie byliby z nas dumni.

W ciągu dziesięciu lat od śmierci mojego brata nigdy nie widziałam mamy zdenerwowanej — niczym.

Zupełnie jakby była całkowicie otepiała, jakby sunęła przez życie w szumie odkurzacza. Czasami chciałabym przez to zrobić coś totalnie skandalicznego, tylko żeby zobaczyć, czy zdołam ją sprowokować. Obudzić ją. Ale może ona nie chce się obudzić. Może to za trudne.

Takie najbliższe zdenerwowaniu jej zachowanie widziałam dwa lata temu: w dniu, kiedy zadzwoniono ze Szkoły Parafialnej św. Agnes z wiadomością, że zostałam relegowana ze względów dyscyplinarnych. Wręcz wierzę, że jej szczęki się trochę zacisnęły, a niebieskie oczy może nawet odrobinę zwilgotniały, kiedy słuchała, jak siostra Maria wyjaśnia, że powodowałam zakłócenia na lekcji religii. Ale kiedy odłożyła słuchawkę, wygładziła włosy — jakby to chwilowe zaciśnięcie szczęk mogło przemieścić któryś włos — potem spódnicę, uśmiechnęła się i powiedziała: „Musimy cię w tym tygodniu zapisać do Liceum Haden”.

Więc to całe uczenie się przy stole w kuchni jest nieco dziwne. W moim pokoju bywali już chłopcy, z którymi odrabiałam lekcje, i nigdy nie stanowiło to problemu. Nawet jeśli to był Reefer. Luc chyba nie żartował, kiedy powiedział, że robi! nie najlepsze pierwsze wrażenie.

Rozkładamy stół kuchenny i tata sunie do drzwi, zerkając na nas. To jest jakieś strasznie krępujące. Dlaczego właśnie dzisiaj postanowił zniszczyć mi życie? Idź sobie!

Wertuję zeszyt do wypracowań i otwieram na czystej stronie.

— Na czym przede wszystkim powinniśmy się skupić? Może na mamie i Tomie? — Zerkam na Luca, kiedy tata znowu przechodzi, i zżymam się, widząc, jak nerwowo spogląda na Luca.

Idź sobie, tato.

Ale kiedy wpatruję się w Luca, zmarszczki wokół jego oczu się wygładzają, a w kąciku ust migocze uśmiech.

— Dla mnie bomba — podnosi nieco głos: — A co pan myśli, panie Cavanaugh?

Tata czai się z różowymi policzkami i podejrzliwym spojrzeniem. Jakby mierzył się z nim wzrokiem, czego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Kiwa mi głową i wychodzi.

— Co się stało? — szepczę. Luc wzrusza tylko ramionami. Kręcę głową i zaczynam pisać.

Przez drzwi powoli wchodzi Grace i kieruje się do lodówki, skąd wyciąga colę i wpatruje się w nas spod blond grzywki. Szczerze mówiąc, jak Grace się wpatruje prosto w ciebie tymi bladoniebieskimi oczami, można się poczuć naprawdę upiornie. Zawsze taka była.

— Potrzebujesz czegoś, Grace? — pytam znacząco, kiedy jej wgapienie robi się dziwne.

— Nie. — Ale nie wychodzi. Pije tylko colę i się gapi.

Próbuję ją ignorować, ale to niemożliwe.

— Wiesz, próbujemy się tu uczyć...

Opiera się o lodówkę, jakby się sadowiła na jakiś czas.

— Śmiało.

Patrzę na nią spode łba.

— Łatwiej by było, gdybyś wyszła.

— No dobra. — Odrywa się od lodówki i wychodzi powoli do salonu, cały czas patrząc na Luca.

— Przepraszam cię bardzo. Ona jest trochę...

— Zasadnicza? — Luc patrzy za nią z podniesioną brwią.

Uśmiecham się.

— Nie tego słowa bym użyła, ale niech będzie.

Kiedy kończymy, już chcę go zaprosić na górę, żebyśmy posłuchali nowej płyty Frayów, ale przychodzi mi do głowy, że igram z ogniem.

A z drugiej strony — igranie z ogniem akurat świetnie mi wychodzi.

Idziemy powoli do drzwi, ale kiedy tam docieramy, zerkam przez ramię i chwytam Luca za rękę.

— Chodź — mówię i ciągnę go na górę. Wygląda na nieco zaskoczonego, kiedy wpycham go do pokoju i zamykam drzwi.

— Więc nie masz pojęcia, co się stało? — pytam, wchodząc na łóżko. — Bo ja jeszcze nie widziałam, żeby moi rodzice tak się zachowywali.

— Nie mam.

Wsuwam nogi pod siebie i opieram się na wyciągniętych ramionach.

— To było naprawdę dziwne. Wszyscy się zamienili w kosmitów.

Rozgląda się po moim pokoju ubawiony.

— Jak „Inwazja pożeraczy ciał”... To niewykluczone. — Obchodzi pokój. — Interesująca tapeta — mówi, zwalniając, żeby przeczytać niektóre z napisów Riley i Taylor. Dociera do Mona Lisy i parska ponurym śmiechem. — Dawała, i to sporo — mruczy pod nosem.

— Słucham? Przygląda mi się chwilę.

— Nic.

I wtedy sobie przypominam, co Taylor napisała na zdjęciu: „Mona Lisa musi komuś dać”.

Jego wzrok pada na moją toaletkę i podnosi zdjęcie w ramce. Długo wpatruje się w fotografię.

Przesuwa palcami po szkle.

— Kto to jest? — pyta.

— Ja i mój brat. — Wyglądam przez okno na burzowe chmury kłębiące się na horyzoncie.

Sprawia wrażenie zaskoczonego.

— Twój brat?

— Nie żyje — mówię bezbarwnym głosem.

— Od kiedy?

Spoglądam na niego, a w jego wzroku jest tyle współczucia, na które nie zasługuję. W żołądku mi się przewraca, żółć pali mi gardło. Naprawdę nie chcę tej rozmowy.

— Od dziesięciu lat. — Wyciągam z torby książkę do WOS-u.

— Przykro mi.

Wertuję na ślepo książkę, udając, że szukam konkretnej strony, i oddycham głęboko, żeby powstrzymać łzy.

Siada przy moim biurku.

— Chcesz o tym pogadać? Boże, nie!

— Chyba nie. — Zeskakuję z łóżka. — Ściągnęłam bardzo fajne kawałki — mówię w nadziei, że on nie zauważy, jak dziwnie brzmi mój głos. Chwytam ipoda z toaletki i podłączam do głośników. —

Chcesz posłuchać?

— Zależy, co masz.

Oddycham głęboko i czuję, jak ucisk w klatce piersiowej zaczyna ustępować.

— Frayów przede wszystkim — mówię i uśmiecham się do niego — ale też Saving Abel i Three Days Grace.

— Puść losowo. Lubię niespodzianki. — Swawolny uśmiech przemyka mu przez twarz, serce mi podskakuje.

Wciskam play, ale nie mogę się skupić na muzyce, bo Luc wstaje z krzesła i podchodzi do mnie nieśpiesznie. Nie jestem pewna, co widzę w jego oczach — coś uwodzicielskiego i tak niebezpiecznego.

Kiedy ten szelmowski uśmiech wydyma mu usta, mrowienie w dole mojego brzucha wybucha i roznosi się po całym

ciele. Z trudem łapię oddech. Ale w chwili gdy Luc już jest przy mnie, drzwi się otwierają.

I stoi w nich mama, piorunując nas wzrokiem.

Cholera. Zasłaniam sobie twarz włosami, mając nadzieję, że ukryję przed mamą kolor policzków, i odwracam się do niej.

— Cześć, mammo.

— Muszę z tobą zamienić słówko, Frannie — mówi, w zasadzie nie poruszając szczęką. — W korytarzu — dodaje, bo ja ani drgnę.

Odwracam się do Luca i otwieram szeroko oczy, udając przerażenie. On tłumi śmiech, a to, co mu się nie udaje, przerabia na udawany kaszel. Wychodzę do korytarza i zamykam drzwi.

— Słucham.

— Myślałam, że się zrozumialiśmy.

— Co do czego?

— Nie chcę, żeby on był w twoim pokoju — mówi pod nosem.

— A jeśli zostawię drzwi otwarte? — Błagam, pozwól mu zostać.

Patrzy na mnie przez parę długich sekund.

— Jeśli zostawisz drzwi otwarte — zerka na drzwi

— to chwilę może.

Usiłuję powstrzymać się od promiennego uśmiechu. Na dzisiaj chyba naigrałam się z ogniem na maksa. — Dzięki — mówię, otwierając drzwi.

Patrzy na mnie dłuższą chwilę, potem zerka na Luca i dopiero rusza na schody.

Wchodzę do pokoju, Luc trzyma w ręku mojego ipoda.

— Masz tu parę interesujących rzeczy — mówi.

— Jimi Hendrix, Mozart, Nickelback.

Skubię paznokcie i potwierdzam mruknięciem, zakłopotana.

Wciska go z powrotem do głośników.

— Więc skoro nie zostałem stąd wyciągnięty za ucho, uznaję, że zdołałaś wynegocjować rozejm?
W żołądku mi się wszystko przewraca, kiedy powoli rusza w moją stronę.

— Chyba tak. Ustąpiłam z zamkniętych drzwi — mówię z drzeniem w głosie, gestem wskazując korytarz.

— Hmm. — Przystaje przede mną, za blisko, i wygląda na korytarz, gdzie przemykają moje chichoczące siostry. — Co chyba przyniosło pożądaną efekt ograniczenia naszego kontaktu fizycznego. — Podnosi rękę i przesuwając palcem po linii mojej szczęki.

Nagle moje serce zaczyna szaleć. Czuję jakieś tętnienie i otepienie.

— Tak... cóż... — Chwytam z łóżka podręcznik do WOS-u. I staram się ignorować siostry, które na zmianę zaglądnę do nas, kiedy odrabiamy pracę domową.

Kiedy kończymy, odprowadzam go do auta.

— No to chyba zobaczymy się w poniedziałek.

— Poniedziałek — powtarza, wsiadając do auta i zamykając drzwi.

Wsuwam głowę przez otwarte okno i zaskakuje mnie muzyka.

— Czego słuchasz?

— Vivaldiego.

— Naprawdę?

Uśmiecha się szeroko i przysuwa do mnie.

— Jestem pełen niespodzianek.

Serce łomocze mi w klatce piersiowej i odpowiadam nieco chwiejnym uśmiechem.

— Nie wątpię. Podnosi brwi.

— Baw się dobrze jutro w kościele.

— Jasne.

Uruchamia silnik, ale ja wciąż pochylam się do jego okna. A on wpatruje się we mnie. Pochylam się bar-

dziej, na tyle blisko, by poczuć jego gorąco. On pochyla się ku mnie i moje serce zachowuje się jak jakieś dzikie stworzonko pochwycone w moją klatkę piersiową, walczące o wolność.

Nagle drzwi mojego domu stają otworem i na ganku pojawiają się rodzice. Oddycham głęboko, zmuszam swoje funkcje życiowe do odzyskania zwyczajnych parametrów i wstaję, wzdychając ciężko.

Luc uśmiecha się wesoło, od czego moje serce znowu zaczyna łomotać.

— Do zobaczenia — mówi i macha.

Patrzę, jak wyjeżdża z podjazdu i oddala się powoli, aż jego tylne światła znikają za rogami. Kiedy odwracam się w stronę domu, rodzice ciągle tam stoją.

— Do diabła! Co to miało być? — pytam rozdrażniona, ruszając gniewnie.

— Wyrażaj się, Frannie — łaja mnie mama. Wywracam oczami.

— Nieważne. No więc o co chodzi?

Tata patrzy na mnie stroskanym wzrokiem.

— Nie jesteś... — zaczyna, ale rumieni się i milknie.

— Co?

Mama bierze mnie za rękę i prowadzi do pustego salonu. Słyszę, jak moje siostry przepychają się na górze, walcząc o lepszą pozycję do podsłuchiwania.

— Nie jesteś zaangażowana uczuciowo z tym chłopcem, prawda?

— Eee, chodzi ci o to, czy ze sobą chodzimy?

— Tak.

— Nie chodzimy. Piszemy razem wypracowania. — Jak również jest obecny w moich fantazjach.

— Uważamy, że nie powinnaś spędzać z nim więcej czasu niż to konieczne.

— Dlaczego?

— On nas martwi, Frannie. I tyle. Jest w nim coś nie tak.

— Rany, dobra. Chodzi o kolczyki?

— Nie, o jego jakby... aureę.

— Nie podoba wam się jego aura?! Słyszę, jak Kate i Maggie chichoczą.

— Zaufaj nam, Frannie, prosimy. Moim zdaniem on nie należy do osób, z którymi powinnaś spędzać czas.

— Kim jesteście i co zrobiliście z moimi rodzicami?

Uśmiecha się mimowolnie, a potem mnie przytula.

— Martwimy się o was, dziewczynki, i tyle.

No to chyba tak można zdenerwować moją mamę. Ale prawdę mówiąc, nie powinnam być zdziwiona, bo Luc zdecydowanie ma aureę. I umówmy się, że taką aureę, która zapewne nie spodobałaby się wielu rodzicom nastoletnich dziewcząt.

ROZDZIAŁ 7

Demony osobiste

FRANNIE

Od wyjścia Luca wczoraj po południu myślę tylko o nim, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Może najodpowiedniejszym na to określeniem byłaby obsesja. Chyba tak. To jego spojrzenie... jeszcze nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. Na samą myśl o tym czuję bolesne mrowienie w dole brzucha i zerkam na mamę, stojącą przed naszym vanem. Gdyby wtedy nie weszła, nie jestem pewna, co by się stało.

Siadam z tyłu vana i pogląsniam ipoda, wyglądając przez okno całą drogę do kościoła, w nadziei że dojrzę gdzieś shelby cobrę rocznik 68. Ale kiedy zajeżdżamy na miejsce, widzę tylko dziadkowego granatowego mustanga rocznik 65, jak połyskuje w słońcu, cały gotów do jazdy.

— No nie! — piszczę. Mama się uśmiecha.

— Dzisiaj chyba wracasz z dziadkiem luksusowo.

— Nie kumam, o co tyle szumu. To tylko gówniany stary gruchot. Kto by takiego chciał, jak może mieć nowe auto? — mówi Grace z właściwym sobie pragmatyzmem.

— Dziadek by chciał i ja bym chciała — odpowiadam.

Wznosi oczy do nieba i wzrusza ramionami.

Przez całą mszę dziadek niemal wyskakuje z ławki. Żeby nie wyskakiwać razem z nim, patrzę na Grace klęczącą z różańcem. Kiedy umarł Matt, wydawało się, że rusza w drugą stronę, zwracała się ku Bogu, jakby On miał coś naprawić... albo zmienić. Zawsze była zbyt ufna. Naiwna wręcz.

Modlitwa nie działa. Próbowałam.

Zerkam na tatę, przypominając sobie, kiedy ostatni raz uklęknęłam i modliłam się. Trzy lata temu, po tym jak obudziłam się w sobotę przed południem, bo jakaś błyskawica przeszła mój mózg. A pod powiekami, kiedy zacisnęłam je mocno z bólu, zobaczyłam babcię leżącą twarzą do dołu w ogrodzie w kałuży krwi. Zadzwoiłam, ale nikt nie odebrał. Powiedziałam mamie, że musimy do niej pojechać i sprawdzić, czy nic się nie stało, ale zbyła mnie. Nie mogłam jej wyjaśnić, dlaczego musimy jechać — to było szaleństwo — więc poszłam do swojego pokoju i modliłam się.

Kiedy dziadek tamtego dnia wrócił z ryb, znalazł ją w ogrodzie, tam gdzie spadła z drabiny, z sekatorem wbitym w brzuch.

Wtedy właśnie zrozumiałam, że Boga na pewno nie ma.

Na koniec mszy, z pozoru bezkresnej, dziadek wyskakuje z ławki.

— Gotowa na przejażdżkę?

— Cały rok jestem gotowa!

— No to w drogę!

Idzie przez kościół, a ja za nim. Kiedy docieramy do auta, otwiera drzwi od strony kierowcy i podaje mi kluczyki.

— Ja prowadzę? Nie ma mowy! Uśmiecha się.

— Zasłużyłaś sobie.

Wskakuję na fotel kierowcy, obracam kluczyk i silnik ożywa z warkotem. Z radia huczy „Sympathy for the Devil” Rolling Stonesów. Robię jeszcze głośniej.

— To niesamowite. — Uśmiecham się tak bardzo, że policzki mnie bołą, i ciasno chwytam kierownicę.

Niebieskie oczy dziadka promienieją z radości.

— Ruszaj.

Poprawiam lusterka i fotel, potem wrzucam jedynkę i powoli sunę przez parking. Kiedy już wydostajemy się z tłumu na drogę, dziadek mówi:

— Dodaj trochę gazu. Zobaczymy, co koberka potrafi.

Wciskam gaz i przerzucam biegi, czując wiatr we włosach i chłodne poranne słońce na skórze.

— Sunie jak ta lala! — przekrzykuję silnik, radio i wiatr.

Zerkam na niego i nie umyka mi duma na jego twarzy.

— Wykonałaś dobrą robotę.

— Dziadku?

— Tak?

— Jak sądzisz, gdyby diabeł miał wóz, to jakiej marki?

Figlarność w jego głosie jest niedwuznaczna.

— Czarną shelby cobrę GT 500. Żołądek trochę mi podskakuje.

— Który rocznik?

— Sześćdziesiąty siódmy. Blisko.

Wjeżdżamy na jego podjazd.

— Nie wstawiaj jej — mówi. — Weźmiemy ją później na przejażdżkę.

— A teraz jaki projekt? Kolejny mustang?

— Pewnie tak. Tak myślałem o shelby z sześćdziesiątego siódmego. Chodź. Chcę ci coś pokazać — mówi, otwierając frontowe drzwi.

Delektuję się słodkim zapachem fajki, kiedy przedzieramy się pomiędzy zniszczoną kanapą a orzechowym stolikiem w niewielkim salonie do sypialni na tyłach domu. Dziadek chwyta obrazek w drewnianej ramce i podaje mi go.

— Czy babcia kiedykolwiek ci to pokazywała?

— Nie — mówię, biorąc fotografię z jego ręki. Patrzę na zdjęcie. To młoda para. On ma ciemne włosy i niebieskie jak niebo oczy, nosi ciemne dzinsy i czarny tiszert. Obejmuje dziewczynę w obciętych szortach i czerwonym topie bez pleców, jej piaskowe włosy rozsypują się na wietrze. I siedzi na dachu czarnej shelby cobry GT 500 rocznik 67.

— Tego dnia poprosiłem twoją babcie o rękę. Lato po liceum.

— Rany. Byliście młodzi.

— Cóż, wtedy wszystko było inaczej, ale nadal uważam, że jak ma być dobrze, to człowiek po prostu o tym wie.

Znowu wpatruję się w zdjęcie: dziadek obejmuje babcie, trzyma ją, jakby jego życie od tego zależało. W jej szafirowych oczach jest błysk, psotny uśmiech igra w kąciку ust, kiedy odchyła się, by się o niego oprzeć.

— Wygląda na szczęśliwą. Uśmiech rozkwita na jego twarzy.

— Bo byliśmy szczęśliwi. Miałem wtedy diabła za skórą. Twój pradziadek myślał, że wręcz jestem diabłem. Próbował przepędzić mnie ze strzelbą. — Śmieje się. — Jakby strzelba miała pomóc, gdybym naprawdę był diabłem.

— Co zrobiłeś, że zmienił zdanie?

— Nie jestem pewien, czy zmienił je kiedykolwiek. Ale szybko zrozumiał, że ją kocham. I zawsze starałem się być dla niej dobry, więc po pewnym czasie chyba uznał, że mogła trafić gorzej.

Patrzę długo na zdjęcie i odkładam je na toaletkę, stukając w shelby palcem wskazującym.

— Mam... przyjaciela, który jeździ shelby z sześćdziesiątego ósmego.

Twarz mu poważnieje, ściąga brwi w trosce.

— A ten przyjaciel jest bardzo bliski?

Bardzo się staram, ale nie mogę powściągnąć wesołego uśmiechu.

— Jeszcze nie jestem pewna. Musiał wyczytać coś z mojej twarzy.

— Frannie... ty wiesz, że chłopcy w tym wieku myślą tylko o jednym, tak?

— Dziadku!

— Tak po prostu jest. Nie pozwól, żeby jakiś chłopak wpędził cię... no wiesz...

— Potrafię o siebie zadbać.

Jego twarz wciąż jest poważna, ale wzrok łagodnieje, aż w końcu w oczach pojawia się uśmiech.

— Nie wątpię. Rodzice go poznali?

— Tak — mówię z wahaniem. — Nieźle ich nastraszył.

Oczy wygrywają i już całą twarz zajmuje uśmiech.

— Cóż, chyba od tego właśnie są rodzice. — Ściąga brwi. — Ale jakoś sobie nie wyobrażam, żeby ktoś, kto jeździ shelby z sześćdziesiątego ósmego, mógł być całkiem zły.

— Dzięki, dziadku — obejmuję go w uścisku. — Kocham cię.

— Ja też cię kocham, Frannie.

Kiedy dziadek podrzuca mnie do domu, wskakuję do środka i zamykam drzwi. Podnoszę wzrok i widzę Grace, która stoi ze skrzyżowanymi ramionami, ustami zaciśniętymi w kreskę i gniewnie patrzy na mnie intensywnie niebieskimi oczyma.

— Chodź do mnie porozmawiać — mówi, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Co znowu?

Chwyta mnie za ramię i ciągnie.

— Chodź na górę i już.

Pozwalam jej zaciągnąć się po schodach i dalej do mojego pokoju. Zamyka za nami drzwi.

— Wiem, że nie odrabiasz czytania z Biblii — zaczyna swoim rzeczowym tonem — ale w pierwszym liście świętego Piotra Apostoła przeczytałabyś: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć”.* Szatan wpływa na słabych, Frannie.

Puszczam zasłonę i odwracam się do niej.

— O czym ty mówisz, do diabła? Unieruchamia mnie ciężkim spojrzeniem.

— Nie o czym, tylko o kim. I doskonale znasz odpowiedź.

Ruszam i żołądek podjeżdża mi do gardła.

— W nim... w nim jest coś mrocznego — dodaje. Teraz ja piorunuję ją wzrokiem.

— Przesadziłaś, Grace. Wynoś się z mojego pokoju. Rusza do drzwi i odwraca się, by na mnie spojrzeć. Ma srogi wyraz twarzy.

— Będę się za ciebie modlić — mówi.

— Wynoś się! — krzyczę.

Zamyka drzwi, a kiedy padam na łóżko, moja głowa uderza w coś twardego. Siadam i znajduję Biblię otwartą na Pierwszym Liście świętego Piotra. Rzucam nią z rozmachem w drzwi, a ona spada na podłogę bezładnie, potem siadam i chowam twarz w dłoniach.

Grace oszalała. Prawda? Czy to ja oszalałam? Nie jestem pewna. Dużo czasu minęło, odkąd czułam emo-

*** Pierwszy List Św. Piotra Apostoła, 5, 8, ti. ks. Feliks Gryglewicz, Biblia Tysiąclecia, wyd. III poprawione, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych, opr. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980.**

cje tak silne i niekontrolowane, i nie podoba mi się to. Nie wiem, skąd się biorą te wszystkie obłąkane emocje, ale muszę znaleźć sposób, żeby je powstrzymać.

Zwlekam się z łóżka i znajduję pocieszenie w dżudo. Trenuję dżudo, odkąd skończyłam dziewięć lat. Nie wiedziałam, dlaczego mnie do niego ciągnęło. Wiedziałam tylko, że to coś, co muszę robić. Teraz natomiast, z perspektywy czasu, wiem, że naprawdę tego potrzebowałam, bo po śmierci Matta popadłam w autodestrukcję, w ciszy i tajemnicy. Dżudo dało mi dziecięce panowanie nad złością — było jedyną rzeczą, która dotykała mojego gniewu. To zabawna mieszanka wypuszczania wszystkiego i trzymania wszystkiego w środku. Szczyt kontroli nad umysłem i ciałem. Nauczyło mnie, jak zostać w obrębie siebie i trzymać wszystko inne na zewnątrz — powierzchownie. Jeśli nie wpuścisz nic do środka, to nic cię nie zrani. Nigdy więcej nie będę tak zraniona jak wtedy, kiedy Matt mnie opuścił. Nie przeżyłabym tego.

Wykończona siadam na łóżku, wyciągam dziennik Matta i zaczynam pisać. Mówię wszystko, do czego mam śmiałość sama się przyznać, poczynając od faktu, że Luc pokonuje moje linie obronne.

ROZDZIAŁ 8

Istne piekło

LUC

Podchodzę spokojnie korytarzem do swojej szafki, opuszkami palców dotykając pleców Angeliąue. Szczebiocze nieskładnie o swoim weekendzie, srogo nadwierzając moją zdolność udawania zainteresowania. Nagle jednak podnoszę wzrok i widzę Frannie, jak stoi przy swojej szafce, wpatrując się w nas, i niepowstrzymany uśmiech rozlewa się na mojej twarzy. Odwracam się i patrzę tępo na Angeliąue, kiwaniem głową kwitując jej nieudolne komunały.

Kiedy dochodzimy do mojej szafki, Frannie już nie ma, ale czuję, że schowała się przy drzwiach do sali 616 i patrzy. A jej czarny pieprz i lukrecja są doprawione sporą dozą czosnku — silną i gorzką. Wciągam ją, kiedy przeważa nad imbirem Angeliąue, i rozkoszuję się trzaskiem przeszywającej mnie energii.

— A co ty robiłeś w weekend? — pyta Angeliąue, wyciągając mnie z marzeń i sunąc palcem po kołnierzyku wydekoltowanej bluzki do pokaznego rowka między piersiami.

Opieram się o swoją szafkę.

— Niewiele. A ty?

— Już prawie plażowa pogoda, więc otworzyliśmy domek na plaży. Powinieneś czasami przyjechać...

— Brzmi kusząco — mówię miękkim głosem z towarzyszeniem swojego najbardziej grzesznego uśmiechu.

Nagła przemożna fala zazdrości, gniewu i nienawiści emanująca z sali 616 jest tak wyrazista, że niemal czuję jej smak na języku, pobudza wszystkie moje zmysły. Pobudza mnie! Nurzam się w niej i drzę.

Angeliqae podchodzi trochę bliżej, nadyma pełne czerwone usta i muska mnie palcami po ramieniu, wahając się przy dolnej krawędzi rękawa koszulki, nad ogonem czarnego węża wytatuowanego wokół mojego ramienia.

— To niedaleko. Może byśmy tam pojechali którejs nocy... na przykład w piątek?

Uśmiecham się, niemal nie jestem w stanie opanować dreszczy. Dreszczy, które nie mają nic wspólnego z Angeliqae. To doskonałe. To właśnie uwielbiam.

Tak, to o wiele lepsza strategia — podejście okrężne. Bo kiedy wyszedłem od Frannie w sobotę, siadłem w ciemności, oddając się obsesjom i waląc głową o ścianę — całą noc — uznałem, że podejście bezpośrednie mnie wykańcza.

Problem w tym, że aby oznaczyć Frannie, muszę mieć bezsporne prawo do jej duszy. Bezsporne prawo oznacza więcej niż jeden grzech, chyba że ten jeden grzech jest większy niż wielki — że to Grzech Śmiertelny. Nawet siedem grzechów głównych w pojedynczym egzemplarzu może nie wystarczyć. Muszę mieć co najmniej predyspozycję, jeśli nie tendencję. Wzorzec. Podkopywanie po trochu nie zdaje egzaminu.

Dwa tygodnie. Jak to możliwe, że tyle to trwa?

Prawie ją miałem w jej pokoju... Byłem tak blisko. Imbir się z niej wylewał. Nawet nie musiałbym naciskać. Ale w ten sposób Gabriel na pewno wygra ze mną wyścig o oznakowanie.

Bo z drugiej strony to wygląda tak, że Gabriel też musi mieć tendencję, i o ile się zorientowałem, to ma.

Jeśli oni jej chcą — a jestem prawie pewien, że chcą — nie wiem, dlaczego on jeszcze nie nabył do niej praw.

No ale nie nabył, więc musi być jakiś powód. Co oznacza, że mam jeszcze czas.

Nie panikuj.

Ta strategia — podejście okrężne — zadziała. Musi.

Wolnym krokiem wchodzę do klasy, gotów nurzać się w dzikich emocjach Frannie, i siadam na swoim miejscu.

— Jak ci minęła niedziela? Odwraca się do mnie z uśmiechem.

— Świetnie.

I pojmuję, że nie mam się w czym nurzać. Anyż, pieprz, wszystko zniknęło. Próbuje wyłapać coś, co ona wydziela. Ale nie ma nic do wyłapania.

— Coś pozytywnego? — pytam pomimo zmieszania.

— Nie.

— Nic ci nie jest?

— Nic — uśmiecha się szerzej.

Pan Snyder podchodzi i rzuca na jej ławkę stos papierów.

— To twoja najświeższa partia listów, Frannie. Tłumaczenia są przypięte z przodu, jak zwykle. Potrzebujesz pomocy przy kosztach wysyłki?

Uśmiecha się do niego — najszcześliwsza w świecie.

— Nie, dziękuję, panie Snyder. W tym miesiącu były dobre składki. Wystarczy.

— Mógłbym zerknąć? — Pochyliam się tak blisko, że musi mnie poczuć, mój żar.

Dreszcz? Może. A może to tylko pobożne życzenia?

— Przepraszam, ale to osobiste listy — mówi, nawet na mnie nie patrząc.

— Nie ma problemu. Czytałem recenzję w „Globe”. Całkiem zmyślny system, kumplowanie się z nauczycielem.

— To działa. A pan Snyder robi tłumaczenie, skanując listy i przepuszczając je przez translator. Tłumaczenie nie jest doskonałe, ale wystarczy. To samo robi z listami, które przychodzą z Pakistanu. Ciągle nic. Jestem pewien, że sobie tego nie wymyśliłem... była wściekła.

— No dobra — mówi Snyder, przechadzając się między ławkami. — Wyciągnijcie „Grona gniewu” i otwórzcie na rozdziale dwudziestym ósmym. Kto mi poda przykład konfliktu z tego rozdziału? Wyłączam się w trakcie dyskusji klasowej, skupiając się na Frannie. A kiedy Snyder każe Frannie czytać, pochylam się najbliżej, jak mogę bez dotykania, a ona trzyma książkę daleko ode mnie, po prawej, i czyta na głos klasie. Zamykam oczy i zatracam się w jedwabiu jej głosu. Kiedy kończy, Snyder przechodzi pod tablicę.

— Macie kilka minut do dzwonka. Pracujcie nad planem rozdziału dwudziestego ósmego, skupiając się na konflikcie. Odwraca się do mnie i na sekundę przytrzymuję jej wzrok.

— Więc — wyduszam w końcu.

— Więc?

— Powiesz mi, co się stało? — Może zostanę dopuszczony.

— Ależ nic — uśmiecha się słodko. — Mamy pracować nad planem.

— Hmm... — Wielkimi drukowanymi literami piszę w swoim zeszycie „Luc i Frannie”, po czym większymi dopisuję pod spodem „Konflikt”.

Ona tylko wpatruje się we mnie naprawdę długi czas i ja wpatruję się w nią, nie mrugając oczami. Kiedy dzwonek dzwoni, nadal patrzymy. Ona się odwraca i wsuwa książki do torby.

— Co się stało, Frannie? — ciągle mam nadzieję.

— Nic — mówi i idzie do drzwi.

Niemal bezwiednie chwytam ją za ramię, kiedy mnie mija. Z wyrazu jej twarzy i z zapachu grejpfruta w powietrzu wiem, że mój dotyk ją parzy, ale nie puszczam. Patrzy mi w oczy, a ja zaglądam w jej, nagle czuję się zagubiony.

— Czego chcesz ode mnie? — pyta, uwalniając się z mojego uchwytu.

Twojej duszy. I więcej.

— Chcę tylko wiedzieć, co się stało. Zrobiłem coś?

— Nie, wszystko dobrze.

I rzeczywiście. Jeśli nie powstrzymam tego obłędu, zniszczę wszelkie szanse na jakiegokolwiek podejście — bezpośrednie czy określone. Więc puszczam ją. Przez jej twarz szybko przelatuje troska, potem znika, a Frannie idzie na drugą stronę korytarza do szafki.

Ja zostaję jeszcze w klasie, próbuję się zebrać do kupy i rozgryźć, co się stało. Ale nagle wyglądam na korytarz, gdzie Frannie z trzaskiem zamyka szafkę, i widzę Gabriela. Ten gładki gnojek, już ja mu pokażę. Podchodzi do niej pewnym krokiem i opiera się o moją szafkę, zerkając na mnie. Nie słyszę, co mówi, ale jej śmiech owszem, słyszę. Mój żołądek wykonuje salto, prąd trzaska mi pod skórą.

Przechodzę przez próg na korytarz, muszę coś zrobić, ale nie jestem do końca pewien, co to ma być — może wyrwać Gabrielowi skrzydła i wetknąć mu je...

— A kuku! — Czyjeś ręce zakrywają mi oczy i zapach jakichś obrzydliwych perfum gwałci mi nozdrza.

Angeliq̄ue. Świetnie.

Zdejmuję z twarzy jej dłoń.

— Odprowadzisz mnie do klasy? — wydyma wargi. Oczy Gabriela znowu się na mnie kierują, a jego uśmiech staje się szerszy, kiedy kładzie rękę na plecach

Frannie i kieruje ją korytarzem w stronę sali od fizyki. Ona pochyla się ku niemu i obejmuje go w pasie, a ja mogę tylko dołożyć starań, by nie posłać mu w plecy kuli ognia piekielnego. Naciskam odrobiną mocy na obserwującego mnie ślicznego rudzielca kilka szafek dalej. Podchodzi i odpycha Angeliąue od mojego ramienia. Patrzę ze skruchą na Angeliąue.
— Przepraszam, obiecałem przechadzkę...
— ...Cassidy — podpowiada rudzielec. Obracam się i podążam za Gabrielem i Frannie korytarzem z Cassidy potykającą się u mojego boku.

FRANNIE

Popełniłam błąd, że pozwoliłam Lucowi pokonać moje linie obronne. Ale już z powrotem wyparłam go poza nie, tam gdzie jego miejsce, gdzie miejsce wszystkich prócz dziadka, i wszystkie te szalone emocje wpycham do ciemnego schowka, gdzie zamykam je na klucz. Umysłowe dżudo. Siedzę w pracowni fizyki z Gabrielem i skupiam się na pracy, wyrzucając z głowy całą resztę. Kiedy przebywam w pobliżu niego, czuję osobliwy spokój. Mam też poczucie, jakbyśmy byli w sali sami. Może nawet sami na świecie. Mój umysł odpływa w ten świat — tylko ja i Gabe, zostaliśmy sami na wyludnionej planecie. Jak Adam i Ewa. Puls mi przyspiesza, kiedy myślę, co dokładnie się z tym wiąże.
— Zabiłbym, żeby się dowiedzieć, o czym w tej chwili myślisz.
Jestem tak zagubiona w fantazjach, że jego głos, cichy w moim uchu, przeraża mnie jak diabli. Rozwiązuję włosy, żeby schować cegłę na twarzy, i skupiam się na płytce obwodu drukowanego, bo nie ma takiej

cholernej możliwości, żebym mu powiedziała, o czym myślałam.

— A tak... ech.

— Cokolwiek to było, wyglądało na mocne przeżycia. _ Jego chichot mnie solidnie wkurza.

— Dobra, myślałam o tym, żeby zostać zakonnicej. — O to właśnie chodzi: wyrzec się wszystkich facetów w ogóle. To dopiero umysłowa dyscyplina.

Na jego twarzy maluje się sarkastyczny uśmiech.

— Jasne.

Małeńki kosmyk gniewu wymyka się z ciemnego schowka w moim wnętrzu i rozwija się.

— Co to znaczy, do diabła? Twoim zdaniem nie nadaję się na zakonnicej? — Chwytam go i zamykam szczelnie pokrywę ciemnego schowka.

Uśmiecha się.

— Cokolwiek to znaczy, byłabyś świetną zakonnicej, ale jestem prawie pewien, że to nie twoja przyszłość.

Zaczynam kipieć... Ale na szczęście dociera do mnie, że w jego głosie nie było sarkazmu. Podnoszę wzrok. Uśmiecha się, a jego oczy mnie zabijają. Staram się zachować miarowy oddech, kiedy on podnosi rękę, i nagle pochylam się ku niemu, wyczekując jego dotyku na mojej skórze. Ale jego ręka ledwie muska moją w drodze do płytki, skąd wyciąga luźny włącznik, który właśnie podobno zadrutowałam, i naprawia go. O Boże. Co się ze mną dzieje, do diabła? Wstaję z ławki na dzwonek i staram się ignorować łomot serca, kiedy Gabe obejmuje mnie za ramiona i prowadzi z powrotem do mojej szafki. Wymieniam książki i patrzę, czy Luc nadchodzi. Gabe parska śmiechem. — Co? Opiera się o szafkę Luca i palcem odsuwa mi z oczu kosmyk włosów.

— Co facet musi zrobić, żeby przyciągnąć twoją uwagę?

Ty właśnie przyciągasz.

Silne mrowienie zaczyna mi się w brzuchu, kiedy zalewa mnie zapach odętki wirginijskiej. Zamykam oczy i skupiam się na biciu serca, oddychając głęboko i starając się je uspokoić. Boję się na niego spojrzeć, bo Gabe chyba wie, że to co myślę i co sobie wyobrażam w tej chwili, jest o wiele zbyt krępujące.

Gładzi dłonią mój policzek i przez chwilę myślę, że fantazje się spełnią i że zaraz mnie pocałuje. Ale kiedy otwieram oczy, tracę oddech. Jego oczy utkwione we mnie jakby szukały mojej duszy, i to wydaje się o wiele bardziej poufne niż pocałunek. O wiele bardziej intymne. Nogi mi miękną, odrywam od niego wzrok i kątem oka widzę, że podchodzi Luc. Nagle się czuję, jakbym połknęła kulę do kręgli.

Odwracam się i bez pożegnania ruszam do sali pana Sanghettiego. Zanim jednak tam dotrę, zauważa mnie Reefer. Podchodzi i opiera się o ścianę z ręką tuż nad moim ramieniem, starając się, żeby wszystko wyglądało swobodnie. Ale nie zabiera jej. Szczęki ma mocno zaciśnięte, a oczy o wiele za poważne.

— Cześć. — Brzmi to bardziej jak oskarżenie niż powitanie.

— Cześć. — Też się opieram o ścianę i obserwuję kłęb ludzi w korytarzu za jego plecami.

Jego oczy mnie przewiercają badawczo, a wymuszony słaby uśmiech znika.

— Więc kim jest ten koleś?

— Który? — rzucam ot, tak sobie.

Jego wielkie brązowe oczy otwierają się szeroko, a twarz markotnieje. A moje serce zaciska się w twardy węzeł.

Jestem idiotką. Tak trudno balansować na tej linii — zwłaszcza kiedy nie mam pojęcia, co czuję.

Wnętrz-

ności mnie bołą, częściowo od kuli Luca, częściowo od kuli Gabe'a... cokolwiek to było, ale głównie od spojrzenia oczu Ryana. To naprawdę dobry chłopak. Nie chcę go zranić. Ile czasu potrwa, zanim zrozumie, że mnie nie kocha?

— Żartowałam, Reef. Nie ma żadnego faceta, w każdym razie nie takiego, o którym myślisz.

Jego oczy znowu patrzą w moje, brwi się podnoszą.

— Jesteś pewna? Bo słyszałem, że się spotykasz z jakimś nowym.

Wypuszczam powietrze.

— Z nikim się nie spotykam.

Waha się chwilę, patrzy w podłogę, wreszcie znowu w moje oczy. Teraz w jego spojrzeniu pojawia się nadzieja.

— Więc... chcesz przyjść na próbę zespołu...

— Nie wracam. — Od razu żałuję, że powiedziałam to tak ostro.

Podnosi rękę.

— Daj mi dokończyć — mówi. — Dzwoniła taka dziewczyna, Delanie. Śpiewa dzisiaj z nami.

Pomyślałem, że może byś chciała jej posłuchać, nic więcej.

Ale kłamie. Wiem, że owszem, coś więcej, bo widywałam już to coś w jego spojrzeniu. Ty mnie nie kochasz. Przyciskam się bardziej do ściany, żeby powiększyć odległość między nami.

— Może.

Pochyliła się nade mną, a jego dredy muskają mój policzek.

— Może sobie z tym poradzę — szepcze.

Zamykam oczy i wdycham jego zapach, przypominając sobie, jak prosto było między nami... dopóki tego nie zniszczył. Gwałtownie otwieram oczy i zapiera mi oddech, bo stwierdzam, że jego twarz znajduje się o cal od mojej. Odwracam głowę i patrzę nad jego ramieniem — i widzę, że Luc przygląda się nam od

drzwi sali pana Sanghettiego z zaciśniętymi szczękami i gniewnym wzrokiem. Odwraca się i czmycha do środka.

Kładę dłoń na piersi Reefera i odpycham go delikatnie.

— Pewnie lepiej, żebym nie przychodziła — mówię, zdając sobie sprawę, że muszę zgrywać ostatnią sukę, bo każde inne zachowanie tylko go zachęca. Nie kochasz mnie.

Patrzy na mnie smutnym wzrokiem, kiedy zbliża się Trevor i puka go w potylicę podręcznikiem. Krzywi się, ale jeszcze sekundę wytrzymuje moje spojrzenie, zanim ruszy w ślad za Trevorem korytarzem.

Wchodzę na historię i padam na krzesło obok Luca. Nie czuję zupełnie nic i ignoruję wszelkie jego znaczące spojrzenia, kiedy on walczy z Sanghettim. Równy z dzwonkiem wypadam z klasy kilka kroków przed Lukiem, ale dogania mnie na korytarzu.

— Kto to był? — pyta, idąc za mną.

— Kto?

— Ten facet. — Zrównuje ze mną krok i sięga po mój łokieć, ale ja się wyrywam.

— Reefer — odpowiadam obojętnie. Przystaje, bez powodzenia próbując powstrzymać uśmiech wypływający mu na usta.

— Reefer — powtarza.

Korzystam z okazji i wpadam do stołówki, zostawiając Luca na korytarzu. Rzucam torbę przy naszym stoliku i staję w wolno przesuwającej się kolejce. Kiedy wracam do stolika, znajduję wysoką, cudowną, rudą Cassidy O'Connor odpychającą Angelique, żeby usiąść obok Luca. Padam na swoje krzesło między Lukiem a Gabe'em i zaciskam klapę do mojego ciemnego schowka, w chwili gdy zauważam wymykające się z niego pasmo zazdrości.

Gabe uśmiecha się, kiedy dziobię w swojej sałatce.

— Zakonnica, tak?

— Tak. — Kątem oka zauważam, że Luc podrywa głowę.

— Interesujący wybór zawodu. — Przesuwa się, tak że dotykamy się ramionami, i ponad moją głową szczyrzy się do Luca. — Co robisz dzisiaj wieczorem? Dokończymy pracę na fizykę?

Staram się udawać, że jego ramię, dotykające mojego, nie wywołuje dreszczy w całkowicie niepowiązanych ze sobą częściach mojego ciała.

— A, jasne. Po szkole mam dzudo, ale mógłbyś przyjść na obiad i potem byśmy się pouczyli w moim pokoju — mówię.

Uderza mnie ramię Luca, więc odwracam się i stwierdzam, że wciąż się we mnie wpatruje. Ignoruję dudnienie w głowie, które czuję, kiedy nasze oczy się spotykają, i odwracam się znowu do Gabe'a.

— Więc koło szóstej?

— Dobra.

Słyszę, że krzesło Cassidy drapie podłogę, zerkam w jej stronę i widzę, że idzie do kolejki. Odwracam się i uśmiecham do Luca, a moja ręka zaciska się na nożu na tacy, kiedy w głowie przywiercam szczerze pokrywę do schowka na moje emocje.

LUC

Moja nowa strategia zasadniczo angażuje błahostki: żądzę, zazdrość i gniew. Co oznacza, że nadal muszę zmusić Frannie, żeby mnie chciała. I żeby była zazdrosna o te, które mnie chcą. I nienawidziła ich, i mnie też. To niełatwa sztuczka. Zwłaszcza kiedy Frannie nie współpracuje. Patrę na Cassidy w kolejce po lunch. Uznaję za nieco niepokojące, że oprócz imbiru Cassidy nie chwytam nic. Frannie trzyma swoje

emocje w nadzwyczajnym sekrecie. Żadnego pieprzu, anyżu, czosnku. Nic.

Oczywiście, to ja chyba mam problemy z zazdrością. Teraz niemal rzucam Gabrielem na szafki. I po jej małym przedstawieniu z tym Reeferem na korytarzu przychodzi mi do głowy, że może przeszacowałem swój wpływ na nią. Bo kiedy ją z nim zobaczyłem, jak blisko pozwoliła mu... Wtedy coś wydzielala — leciusieńką woń róży. Smutek.

Odwracam się do stolika, w nadziei że jej twarz ją zdradzi, ale twarz ma spokojną i bez wyrazu.

Co facet musi zrobić, żeby zdenerwować taką dziewczynę?

Nagle przypominam sobie reakcję na Taylor tamtego pierwszego dnia. Jej zazdrość. Zniżam głos konspiracyjnie — najlepszy sposób, żeby przyciągnąć uwagę wszystkich dokoła.

— Taylor, a jak tam twój weekend? Podnosi brwi wymownie.

— Mógłby być lepszy. — Podtekst jest niewątpliwy.

— Tak sobie myślałem... jeśli masz czas, to może byś chciała dzisiaj pójść do kina.

Przenosi zwycięskie spojrzenie na Frannie.

— Bez dwóch zdań.

Kątem oka widzę, jak Frannie sztywnieje, kiedy udaje pochłoniętą rozmową z Gabrielem. Przez ułamek sekundy drażni mnie leciusieńki ślad lukrecji.

Riley spogląda znacząco na Frannie.

— Wszyscy powinniśmy pójść — mówi z lekką paniką. — Jak sądzisz, Fee?

Frannie odwraca się do stolika.

— Przepraszam, nie słuchałam.

— Do kina. Dzisiaj. Idziesz?

— Och, nie, dziękuję. — Sięga do ręki Gabriela na stoliku i spleta jego palce ze swoimi. Gotuję się, kiedy

czuję ślad imbiru. — Nas uziemia praca z fizyki, prawda, Gabe?

Gabriel uśmiecha się do mnie złośliwie.

— Uziemia.

Usta Riley otwierają się szeroko, w jej spojrzeniu skierowanym na Frannie czytam wyraźne: „Co ty wyprawiasz, do diabła?”

Frannie ją ignoruje i znowu zaczyna z Gabrielem.

Chciałem Taylor samą... ale tak też może być.

— Hm, fatalnie — mówię, ruchem głowy wskazując Taylor i Riley — chyba zostajemy sami.

Taylor odwraca się do Riley, by zabić ją spojrzeniem.

Jeśli to nie zdenerwuje Frannie, to już nic. Im większa siła gniewu, tym lepiej, a jaki gniew może być silniejszy niż ten na przyjaciółkę czy dwie, które ci szkodzą? Podejście okrężne chyba okazuje się skuteczne. Zmęcę ją. Jeśli dobrze to rozegram, jako prezent na odchodne może też natnę dusze Riley i Taylor. Taka premia.

Ale nagle czuję mdłości, bo dociera do mnie powaga rozgrywki. Gabriel i Frannie będą razem dzisiaj wieczorem. Sami. Podejmuję ogromne ryzyko, zakładając, że on nie zdoła jej oznaczyć. A stawką w tym zakładzie jest moje istnienie.

Imbir Cassidy niemal mnie dławi, kiedy stawia tacę i siada na krześle obok mnie.

— Chcesz kawałek mojego brownie, Luc?

— Nie, dziękuję — mówię, z wysiłkiem panując nad paniką. To może być to. Wszystko jest zagrożone. Bo jeśli Gabriel oznakuje duszę Frannie dla Nieba, to już po mnie. Odwrócenie oznaczenia jest w zasadzie niemożliwe.

To musi zadziałać.

ROZDZIAŁ 9

Diabeł tkwi w szczegółach

FRANNIE

Domyślałam się, że mamie i tacie Gabe się spodoba — przybycie z kwiatami dla mamy było miłym akcentem — ale to jest krępujące. Pewnie, po Lucu pokochają każdego, kogo przyprowadzę do domu. Mama tylko rzuciła okiem na Gabe'a i podjęła decyzję, że obiad zjemy w jadalni na świątecznym serwisie.

— Może chcesz dokładkę, Gabe? Klopsów, ziemniaczków? — mizdrzy się.

— Nie, dziękuję, pani Cavanaugh. Wszystko jest przesmaczne.

— Ach, dziękuję. Uwielbiamy, jak przychodzą koledzy Frannie.

No, w każdym razie niektórzy.

Patrzę na Kate i jestem pewna, że ona ma jakiś atak. A jeśli Maggie nie zaślini sobie przodu koszuli, to tylko cudem. Mary, chwała Bogu, rozmawia z Ga-be'em jak istota wyposażona w więcej niż jedną komórkę mózgową. Przynajmniej jedną siostrę mam normalną. Ale to Grace mnie stresuje. Wpatruje się w Gabe'a w sposób zupełnie dla niej niezwykajny — całkowicie oniemiała z wrażenia. I myślę, że zamiast jeść, modli się czy coś. Powiedziałabym, że go pożąda, ale w jakiś naprawdę przerażający, obłąkany, religijny sposób.

Patrzę na tatę, wzrokiem błagam go o coś. Ciągle ma na sobie koszulę i krawat. Uważa, że obiad to rodzinna uroczystość, jak ślub czy pogrzeb, na który wszyscy powinni się wyrzuchiwać.

— Grace, kochanie, będziesz coś jeść? — pyta, trącąc ją łokciem.

Wyrywa się ze swojego psychotransu.

— Tak, tato. — Ale nie je. Tylko dalej wpatruje się w Gabe'a.

Jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że moja rodzina jest obłąkana.

Pod koniec rodzinnego obiadu czuję się solidnie zażenowana.

— Chodź, Gabe. Musimy dokończyć pracę domową. — Chwytam go za ramię i wyciągam z jadalni.

Uśmiecha się do mojej mamy.

— Dziękuję za obiad, pani Cavanaugh. Byt wyśmienity.

Wyśmienity? Kto tak mówi?

Przez resztę wieczoru, kiedy się uczymy z Gabe'em w moim pokoju, słyszę, jak Kate i Maggie szurają pod drzwiami, chichocząc.

Wrrr!

— Sekundkę — mówię do Gabe'a i wysuwam się przez drzwi, po czym zamykam je za sobą.

— O dziwo masz ciągle na sobie ciuchy — odzywa się Kate. — Chociaż słyszałyśmy, jak łóżko podskakuje.

Maggie posyła jej lubieżny uśmiech, bo wszystkie wiemy, że jedyną z nas, która podskakuje łóżkiem, jest Kate. Sypia z Chase'em od ukończenia liceum, czyli od zeszłego roku.

— Dziewczyny, błagam. Robicie z siebie totalne krety. Przestańcie.

— Świetnie. Będziemy podsłuchiwać z pokoju Maggie i Grace — mówi Kate i robi w tył zwrot.

Stoję tam chwilę, zdając sobie sprawę, że nie tylko moje emocje oszalały, odkąd pojawili się Luc i Gabe. Cały świat jest naćpany. Mało że wszystkie moje siostry zwariowały, to nigdy się nie zdarzyło, żeby Kate zrobiła to, o co się ją prosi.

Po chwili wahania wracam do pokoju, bo na myśl o Lucu w moim żołądku utworzył się mały węzeł. Wychodzi z Taylor. Właśnie teraz. I o ile znam Taylor — a znam świetnie — to nie tylko gadają. Nie chcesz jej.

Czuję wyrzuty sumienia z powodu takich myśli i nie jestem do końca pewna, skąd ta myśl pochodzi, ale kiedy tylko się formuje, wiem, że jest prawdziwa. Nie chcę, żeby on ją chciał.

Nie całuj jej. Błagam, nie całuj jej.

Wsuwam się z powrotem do pokoju i po drodze wciskam ipoda w głośniki. Zrzucam buty, rozkładam się obok niego na podłodze i słucham, jak „You Found Me” Frayów wścieka się na Boga za to, że nie było Go, kiedy wszystko się rozpadało.

Gabe podnosi wzrok znad książki i po raz pierwszy widzę go z niezadowoloną miną.

— Ta piosenka jest do dupy. Patrzę mu w oczy.

— To jedna z moich ulubionych.

— Dlaczego?

— Bo stawia kilka słusznych pytań.

— Na przykład?

— Dlaczego Bóg siedzi i nic nie robi, kiedy dobrym ludziom dzieją się złe rzeczy.

Sztywnieje.

— Nie tylko siedzi.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Codziennie dzieją się cuda.

— Właśnie. Niebo, Bóg... to wszystko to wielkie gówno tak czy owak. Rachunek dóbr, które zostały wy-

myślone przez różne religie, żeby się utrzymać w biznesie.

Jego grymas niezadowolenia się pogłębia.

— Możesz mieć rację co do instytucji religijnych, ale co do Boga się mylisz.

— Myślałam, że jesteś mądrzejszy. Nie możesz wierzyć w istnienie Boga. Skoro wszędzie dokoła dzieją się takie paskudztwa.

Patrzy na mnie twardo.

— Bóg istnieje, Frannie.

— Bóg, który przychodzi i wykrada rodzinom dzieci — rzucam bez zastanowienia.

Patrzy na mnie, a ja nie mogę wytrzymać jego spojrzenia. Opuszczam wzrok i widzę, jak jego dłoń przesuwa się po książce od fizyki. Nasze palce się splatają.

— Ludzie umierają. Tak po prostu jest.

Podnoszę wzrok na zdjęcie mojego brata na toaletce i nagle czuję wyczerpanie. Jestem zbyt zmęczona, by walczyć. Powietrze ze mnie wylatuje i łzy płyną po policzkach.

— Myślisz, że o tym nie wiem?

Chcę krzyknąć. Chcę go odepchnąć. Ale nie mam siły, mam tylko siłę, by oprzeć się czołem o jego ramię i zamknąć oczy.

LUC

To doskonałe. Imbir Taylor niemal mnie dusi. Trudno by mi było wskazać jakąś część mojego ciała, o którą się nie otarła lub jej nie dotknęła. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Ona i Riley jedzą pizzę, a ja szukam informacji. Do tej pory dowiedziałem się, że Frannie chodzi na randki, ale z nikim nie sypia. Ze pije na imprezach, ale

nie pali. Że pomimo tej całej religijności jej rodzice są całkiem wyluzowani. I że nie jestem w jej typie. To ostatnie zdaniem Taylor.

Prawdę mówiąc, nie jestem dobrym słuchaczem, bo jestem trochę zdekoncentrowany. O ile Gabriel nie zrobił na rodzicach Frannie takiego wrażenia jak ja

— co jest mało prawdopodobne w wypadku tego lizu-sowatego anioła — to przebywa w jej pokoju. I chociaż ewentualne oznakowanie jej duszy stanowi dla mnie o wiele większe zagrożenie, ja widzę tylko, jak on robi z Frannie to, co ja chcę z nią robić. Ironia polega na tym, że gdyby zrobi! to, co ja sobie wyobrażam, i wziął jej ciało, ja bym tylko skorzystał. Żądza to żądza, nieważne, kto ją czuje. Ale to by mnie też zabiło.

Wirują we mnie miliardy emocji, niektóre rozpoznaję, innych nie. Ale jedna, która wygrywa, bijąc pozostałe, to zazdrość.

Zmuszam się do uśmiechu.

— Jak długo się znacie? — pytam. Taylor szczerzy się radośnie.

— Frannie wprowadziła się na sąsiednią ulicę latem przed czwartą klasą. Kiedy wjechała rowerem w samochód mojego taty, wiedziałam po słowie, które wydostało się z jej ust — w tłuszczyku po pizzy na marmurowym blacie kreśliło słowo „kurde” — że będziemy najlepszymi przyjaciółkami. Mimo że do dziewiątej klasy chodziła do szkoły katolickiej. Potem, w pierwszej klasie gimnazjum, wprowadziła się Riley — tu kopie Riley pod stołem.

— Tak, i miałam już wcześniej prawdziwe przyjaciółki, które mnie nie wciągały nieustannie w kłopoty

— drwi.

— Ej, żadna ci nigdy nie wykręciła ręki — mówi Taylor z uśmiechem. — Sama odpowiadasz za swoje czyny.

— Tak, jasne. — Spogląda na mnie. — Dlaczego właśnie teraz przychodzi mi do głowy, że potrzebuję lepszych przyjaciółek?

Wzruszam ramionami.

— Powiedziałbym, że mogłabyś zadawać się ze mną, ale nie mogę zagwarantować ci mniejszej liczby kłopotów.

Taylor patrzy na mnie, a potem gniewnie na Riley.

— Wybory, Ry. Wszyscy dokonujemy wyborów — mówi, najwyraźniej ostrzegając przyjaciółkę.

Wysuwam stopę i bokiem przyciskam ją do stopy Taylor.

— Owszem, dokonujemy — przytakuję tonem pełnym insynuacji.

Lubieżny uśmiech ledwie migoce na jej ustach, a mnie przytłacza imbir.

Riley zabija Taylor wzrokiem.

— No to chyba wszyscy już powinniśmy pójść do domu.

Riley cały wieczór gwałtownie broni Frannie, przywołując ją często w rozmowie, jakby chciała przypomnieć mi o moich wyborach. Wiem doskonale, jak moje wybory wyglądają, i teraz dokonałem wyboru, żeby wykorzystać Taylor w doprowadzaniu Frannie do ostateczności. Najpierw jednak muszę się pozbyć przy-zwoitki.

— Nie ma problemu. Odwiozę was. — Ale mówiąc to, mocniej przyciskam stopę Taylor.

Odbiera moją wiadomość i podejmuje grę. Wstając, wsuwa torebkę na ramię i udaje, że ziewa.

— Chodźmy, jestem skonana. — Ale lubieżny uśmiech ani na chwilę nie znika z jej ust.

Kiedy Riley zatrzaskuje za sobą drzwi, Taylor zdejmuję rękę z oparcia pomiędzy nami i kładzie na moim udzie, po czym cofa ją gwałtownie.

— Rany! Wiedziałałam, że jesteś gorący, ale Jezu! — mówi, a ja się zastanawiam, dlaczego jej zdaniem On ma coś z tym wspólnego. Opada na oparcie. — Jest takie miejsce w pobliżu starego kamieniołomu... tam jest dość spokojnie. Możemy tam podjechać, jeśli chcesz. — Znowu kładzie mi rękę na nodze.

Zdejmuję rękę z kierownicy i kładę ramię na oparciu jej fotela. Tego właśnie chcę, w zasadzie potrzebuję. Najpewniejszy sposób, jaki mogę wymyślić, żeby rozwścieczyć Frannie, to zabawiać się z Taylor. Pochylam się ku niej, podkarmiam jej imbir — daję mu sobą zawładnąć. Ona poprawia się na fotelu, przysuwa do mnie, a ja ją do siebie przyciągam. Wtula twarz w moją szyję i czuję jej gorący oddech, kiedy przygryza moje ucho. Jej ręka wędruje po mojej klatce piersiowej i kieruje się niżej. Nagle robi mi się niedobrze.

Nie mogę się do tego zmusić. Moje siarkowe serce zdaje się ważyć tonę i ciągnie mnie w dół. Ależ jestem żalostną namiastką demona. Taylor podaje mi się na srebrnej tacy, a ja nie mogę dokończyć. Nie mogę sobie jednak zrobić wroga z tej dziewczyny, więc odsuwam się i mruczę z dodatkiem odrobiny mocy:

— Choć to jest bardzo kuszące, muszę się dzisiaj zająć kilkoma sprawami. — Takimi jak zarozmiały anioł wkraczający na moje terytorium. — Może innym razem?

Oczy ma trochę zamglone.

— Dobra, tak, jasne...

Po drodze mijamy dom Frannie i widzę, że lśniący biały dodge charger tego gnojka ciągle stoi na podjeździe. Zerkam na zegar. Jedenasta. Ile może zająć praca domowa z fizyki?

Wjeżdżam na podjazd Taylor.

— Dzięki, Taylor, fajnie było.

Odzyskuje przytomność, chociaż ciągle wydaje się trochę niepewna.

— Mogło być o wiele bardziej zabawnie. Nie wiesz, co tracisz — mówi, sugestywnie wydymając czerwone wargi.

— Hmm... do jutra. — Opieram się o swoje drzwi, poza zasięgiem pokusy, i uśmiecham się, a ona otwiera drzwi i wysiada.

Patrzę, jak wchodzi do domu, potem podjeżdżam pod dom Frannie i tam staję.

Wiem, że to zły pomysł, ale nie mogę się powstrzymać. Wsiadam z auta i przemieszczam się na dąb obok podjazdu, tuż przy jej oknie. Bezszelestnie siadam na gałęzi przy domu i słucham. Z jej pokoju słychać tylko muzykę. Niedobrze.

Chęć, żeby przemieścić się do środka — po prostu wskoczyć do jej pokoju i przerwać to coś, cokolwiek to jest — jest przemożna. I po pewnym czasie, chyba całej wieczności, nie mogę już z nią walczyć. Zamykam oczy i skupiam się. Gabriel będzie wiedział, że tam jestem, ale ona nie, jeśli będę uważał.

Więc robię to. Przemieszczam się do jej pokoju.

Ale kiedy przesuwam się przez deski, czuję, jakby mi dech zaparło, jak ptak uderzający w okno, i nagle stwierdzam, że jestem z powrotem na gałęzi. Nieco osłupiały, próbuję raz jeszcze. To samo. Co, do diabła?

Przypominam sobie ojca Frannie — że był odporny na moją magię. Wygląda na to, że pan Cavanaugh ma na górze lepsze dojścia niż sam papież. Do pałacu papieskiego mogę wchodzić, kiedy zapragnę, bez problemu. Dom Frannie z kolei najwyraźniej jest zakazany.

FRANNIE

Gabe jest tak blisko. Pachnie jak śnieg i lato i łaskocze mnie w nos. Jego dotyk na mojej ręce jest chłodny i delikatny. Wyobrażam sobie, że taka w dotyku jest chmura. Zamykam oczy, kiedy pochyla się bliżej i wtula twarz w moją szyję. Jego chłodny oddech w moim uchu sprawia, że drzę.

— Wszystko się dzieje z jakiegoś powodu — mówi. Odsuwam od niego głowę i patrzę mu w oczy, nienawidząc siebie za to, że płaczę.

— Nie wierzę ci.

Opuszkami palców ściera łzy z moich policzków, patrząc mi głęboko w oczy. Ręką obejmuje mój kark, podtrzymuje mi głowę i przytula mnie do ramienia, chowając twarz w moich włosach.

Pozwalam mu tak trzymać mnie długo, karmiąc się jego energią. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułam, ale robi mi się od tego ciepło. Gdyby teraz ktoś mnie zapytał, powiedziałabym, że wierzę w miłość, bo tak to właśnie odczuwam: czysta miłość.

Czyżbym go kochała? To możliwe?

Wreszcie odrywam się od jego koszuli, rękawem ścieram z twarzy łzy i smarki. Kiedy podnoszę na niego wzrok, widzę niepewność. Pochyla się ku mnie, ja do niego, ale nagle jego oczy otwierają się szeroko i odsuwa się gwałtownie.

— Chyba powinienem już iść — mówi z drzeniem w głosie.

Serce mi łomocze, potrząsam lekko głową i staram się skupić, ale nie mogę powstrzymać bólu głęboko w środku. Zupełnie w tej chwili nie kontroluję swoich emocji, bo chcę tylko zapomnieć o całym świecie i zatracić się w nim. Dałabym mu wszystko.

Odprowadzam go do drzwi, a moi rodzice się nad nim rozplývają. Mama promienieje, niewątpliwie słyszy już weselne dzwony.

— Cudownie, że przyszedłeś, Gabe. Mam nadzieję, że poznamy się bliżej.

— Ależ oczywiście, pani Cavanaugh — przytakuje. Jego oczy spoglądają w moje, głęboko i czule.

— No cóż, świetnie — mówi tata. — Więc wkrótce się zobaczymy?

Gabe uśmiecha się, oślepiając mnie blaskiem.

— Zdecydowanie — zapewnia, wycofując się przez drzwi na ganek.

Wolnym krokiem idziemy do jego samochodu.

— No to chyba zobaczymy się jutro. Dzięki... za wszystko.

Uśmiecha się delikatnie.

— Kiedy tylko zechcesz. — Łączy swoje palce z moimi, a ja czuję, jak moje serce podskakuje lekko pod jego dotykiem.

Docieramy do jego wozu, a on zerka na dom, na moje okno i uśmiecha się ubawiony. Moje serce znowu trochę fika, bo on mnie obejmuje i całuje w czubek głowy. Czuję jego twarde ciało, stykające się z moim, i aż trudno mi znieść ten kontakt. Całe moje ciało buzuje, oddycham płytko, kiedy przesuwam dłońmi po jego klatce piersiowej, a potem po talii i przyciągam go do siebie. Czuję, jak jego ciało się napina, ale on się nie odsuwa. Nagle żałuję, że nie możemy wrócić do mojego pokoju.

Wtulam w niego twarz, a on trzyma mnie naprawdę długo, po czym znowu mnie całuje w czubek głowy.

— Zamknij się na klucz — mówi w moje włosy. — Jutro się zobaczymy.

Puszcza mnie, a ja pod wpływem niespodziewanej fali rozpaczę chcę znowu go dotknąć. Ale nie robię tego.

— Jasne, jasne.

Wsiada do auta i uruchamia silnik.

— Nie żartuję, Frannie. Zamknij się na klucz.

— Dobra.

Podchodzę do schodków i macham mu przez ramię. Ale z każdym krokiem idzie mi się trudniej, jakby Gabe był słońcem, a ja próbowałam uciec z jego orbity. Dławię potrzebę, by ruszyć za nim w pogoń, kiedy cofa z podjazdu. Idę dalej, nie odwracając się, i właśnie gdy otwieram drzwi, słyszę szelest na drzewie przy podjeździe. Podnoszę wzrok. Nic. Może to tylko kot.

Odwracam się i przez ułamek sekundy jestem pewna, że widzę na podjeździe chłopca w moim wieku, o niebieskich oczach i piaskowych lokach.

Matt?

Gwałtownie chwytam powietrze i reaguję z opóźnieniem, ale zniknął... Szybko wskakuję do domu, serce wali mi jak miot i zamykam za sobą drzwi na klucz. Biegnę do swojego pokoju i tamte drzwi też zamykam na klucz. Oddech mi się uspokaja, a wtedy podchodzę do okna, podnoszę żaluzje i ostrożnie wyglądam na podjazd. Nikogo tam nie ma. Cofam się do łóżka

i sięgam pod materac. Kiedy wyciągam dziennik Matta, zauważam, że drży mi ręka.

Spokojnie.

Piszę, tak samo jak zawsze czując, jak gardło mi się

No cóż, Braciszku. Jestem pewna, że gonię w piętę, bo przed chwilą wydawało mi się, że Cię widzę przed domem. To musiała być moja wyobraźnia, wiem, jeszcze tak bardzo nie zwariowałam. Ale wyglądałeś dokładnie tak, jak sobie Ciebie wyobrażam... jak moim zdaniem byś wyglądał.

Szkoda, że nie mogę z Tobą naprawdę porozmawiać. Tyle mam pytań, na które muszę odpowiedzieć. Gabe twierdzi, że Bóg istnieje. Po części chciałabym w Niego

wierzyć. Gdybyś tylko mógł mi powiedzieć, gdzie jesteś... W Niebie? U Pana Boga? Mam taki mętlik w głowie.

Dwie łzy, wielkie i okrągłe, uderzają w papier jak krople deszczu. Rzucam długopis i chowam twarz w dłoniach. Rozplątuję się od środka, po trochu tracę rozum. Widzę rzeczy nieistniejące. A poczucie winy siedzi jak kamień w moim brzuchu.

Bo to powinnam była być ja.

Wsadzam dziennik Matta pod materac i zwijam się w kłębek, wpatrując się w ścianę i próbując znaleźć sens we wszystkim — w czymkolwiek. Ale jedyne, co w mojej głowie nabiera ostrości, to ból, więc włączam jakąś muzykę i nie myślę o niczym.

ROZDZIAŁ 10

Moje osobiste piekło

FRANNIE

Na widok Gabe'a z rękoma w kieszeniach opartego o ścianę budynku moje serce przestaje bić. Boże, on jest powalający.

Tata sunie powoli w kolejce samochodów i wysadza mnie na chodniku przed szkołą. Gabe odrywa się od ściany i podchodzi wolno, podczas gdy ja wysiadam.

Tata zauważa go i uśmiecha się promiennie.

— Witaj.

Gabe pochyla się i zagląda do samochodu, ciągle trzymając ręce w kieszeniach.

— Witam pana. Jeszcze raz dziękuję za wczorajszy obiad.

— Cała przyjemność po naszej stronie. — Tata macha na pożegnanie i odjeżdża, wciąż się uśmiechając, a Gabe mnie obejmuje.

— Jak się czujesz?

— W porządku. — Tyle że nie mogę oddychać, jeść ani myśleć.

Splata palce z moimi i w milczeniu idziemy do budynku, gdzie on staje i patrzy, jak grzebię w szafce. Kiedy podnoszę na niego wzrok, uśmiecha się, aż brakuje mi tchu. Jest taki piękny. Podoba mi się mój osobisty anioł.

A sama czuję się jak kupa.

— Już? — pyta, wskazując książkę w mojej ręce. Nie.

— Tak.

Kładzie mi rękę na plecach, żeby mnie poprowadzić korytarzem, ale ja odwracam się i chowam twarz w jego klatce piersiowej, wciskając go z powrotem w szafki. Tego właśnie chcę. Zgadza się? Do diabła z Lukiem. Ale kiedy spoglądam w oczy Gabe'a, widzę coś, co mnie przeraża. On jest otwarty i ufny, a ja nie zasługuję na niczyje zaufanie.

Ignoruję uśmiezek Angeliq̄ue, gdy Gabe prowadzi mnie przez korytarz na angielski. Po jego odejściu opuszczam głowę na swoją ławkę. Kontakt z zimną, twardą powierzchnią sprowadza mnie na ziemię. Gabe i Luc. Nie mogliby bardziej się różnić. Jakim więc cudem pragnę ich obu? Pragnę, ale w zupełnie różny sposób. A po ostatnim wieczorze Gabe przeraża mnie bardziej niż Luc. Nie wierzę w miłość, to właśnie jednak czuję. Czuję ją od niego i czuję ją w sobie.

Podnoszę głowę, patrzę na drżące ręce — i podskakuję, bo Luc tu jest, siedzi w ławce obok mnie. O ile Gabe to spokój i miłość, Luc jest wszystkim innym: żądzą, namiętnością, z tą uwodzicielską energią, która sprawia, że pragnę go na wszystkie złe sposoby. I najwyraźniej nie tylko na mnie wywiera takie wrażenie. Podnoszę wzrok i widzę Angeliq̄ue stojącą w drzwiach, jak bez powodzenia stara się wyglądać swobodnie, jakby tylko zaglądała.

Szelmowski uśmiech przemyka przez jego twarz, kiedy pochyla się nade mną, wsparty na łokciu.

Przez sekundę pali mnie gniew, chciałabym pięścią zmasać mu ten uśmiech. Patrzy mi prosto w oczy.

— Przepraszam. Nie chciałem cię przerazić.

Ale przeraziłeś. Cały czas mnie przerażasz, obaj mnie przerażacie. Przerażacie mnie jak diabli.

— Jestem zmęczona — mówię, i to prawda. Ostatniej nocy nie mogłam spać, bo ilekroć zamykałam oczy, widziałam albo Gabe'a, albo Luca. A nie chciałam zobaczyć, dokąd te sny zmierzają. Przecieram oczy, żeby już w nie nie patrzył.

Przez resztę angielskiego usiłuję ignorować rosnące napięcie między nami, kiedy pracujemy nad swoim wypracowaniem. Ale mam ogromne problemy z koncentracją. Do dzwonka nie udaje nam się skończyć. A wypracowanie jest na jutro.

Luc opada na oparcie i splata ręce za głową.

— Chcesz, żebyśmy się spotkali po szkole?

— A jak ty sądzisz? — pytam tonem zdradzającym frustrację. Sztywno podnoszę się z krzesła i ruszam do drzwi.

— Dobra, u ciebie czy u mnie? — Idzie za mną. No więc problem w tym, że mama z tatą uwielbiają Gabe'a. Dzisiaj rano nie mogli przestać gadać. Ich zdaniem Gabe bez mała chodzi po wodzie. Luc natomiast ani trochę.

— U ciebie chyba.

— Świetnie — mówi, kiedy wychodzimy na korytarz. Sprawia wrażenie zadowolonego z siebie. A ja nagle się wściekam.

Wieko odskakuje gwałtownie z mojej emocjonalnego schowka, czuję, że moje usta zaczynają się poruszać nie do końca pod kontrolą mózgu. Z trudem nadążam, kiedy słowa się wylewają.

— Czy w tej szkole jest ktokolwiek, z kim me chodzisz na randki? Oprócz mnie, oczywiście? — Zżymam się, kiedy dociera do mnie, co powiedziałam. I najwyraźniej powiedziałam to na głos, bo wszyscy w promieniu trzech metrów odwracają się w naszą stronę.

— Rany... no hm... naprawdę nie miałem świadomości, że z kimkolwiek w tej chwili chodzę na randki.

Kłamca. Ciśnienie krwi podskakuje mi gwałtownie o pięćdziesiąt punktów i skoro już nie mam przykrywki na schowku, nie mam szans powstrzymać emocji.

— Naprawdę? Może powinieneś to powiedzieć Angelique? Albo Cassidy? Albo Taylor? Albo Riley? Opiera się o framugę, cały odprężony, dzięki czemu ja czuję się jeszcze bardziej obłąkana.

— O ile wiem, z żadną z nich nie byłem na randce. Poszedłem do kina oraz na pizzę z Riley i Taylor. O ile sobie przypominam, byłaś zaproszona. Szkoda, że do nas nie dołączyłaś. I nigdy nigdzie nie byłem z Cassidy ani z Angelique. Prawdę mówiąc, jedyna osoba, z którą byłem na randce, to ty.

— Nie byliśmy na randce — wypalam. Wtedy jednak się skrecam w duchu, przypominając sobie kawę po imprezie u Gallagherów. To ja nazwałam to „gorącą randką”.

Podczas gdy ja próbuję się pozbierać, Luc odpowiada:

— Ach, więc się pomyliłem. Myślałem, że nasza kawa podchodzi pod kategorię randek.

Patrzę na odpryskujący czarny lakier na paznokciu wielkiego palca u stopy i podważam luźny kawałek szarego linoleum swoją japonką. Czuję, jak mój gniew ustępuje równie szybko, jak się pojawił, a w jego miejsce pojawia się upokorzenie.

— Więc żadnych domków na plaży?

Ścisza głos niemal do szeptu, ale wciąż słyszę go wyraźnie przez gwar zatłoczonego korytarza.

— Żadnych domków na plaży.

Patrzę mu w oczy i nagle czuję się lekko oszołomiona. Myśli mi się mącą i mam potrzebę po prostu zanurzyć się w tych głębokich czarnych kałużach. Chcę wiedzieć, co on myśli. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Dostrzegam, że nie oddycham, więc odwracam wzrok, rozpaczliwie wciągając powietrze.

— Więc już dobrze? — pyta głosem miękkim, niemal czułym.

Kiwam tylko głową, nie do końca pewna, co się stało, ale nie ufając sobie na tyle, by znowu otworzyć usta.

Przez resztę przedpołudnia czuję się jak kompletny głupek i nawet nie mogę spojrzeć na Luca. Ale kiedy wchodzimy na lunch i widzę wyraz twarzy Taylor — gdzieś pomiędzy zakłopotaniem a podnieceniem moje serce zamiera. Powinnam była wiedzieć, że coś się wydarzyło pomiędzy nią a Lukiem zeszłego wieczoru, bo cały ranek mnie unikała. Kiedy zajmujemy swoje zwykłe miejsca, spoglądam na Riley, która wzrusza ramionami. Luc i Gabe obrzucają się gniewnym spojrzeniem. Nic nowego. Więc tylko z Taylor coś się dzieje.

— Chodźmy po lunch — kopię ją pod stołem. Spogląda to na mnie, to na Luca.

— Dobra — mówi. Ale nie wygląda, jakby miała straszną ochotę na jedzenie. Jej skóra jest blada, wręcz zielonkawa, kolorystycznie gryząc się z różowymi włosami.

Ciągnę ją za ramię do kolejki, po drugiej jej stronie idzie Riley. Zauważam jej ukradkowe spojrzenie na Trevora, siedzącego z kumplami przy stoliku obok automatów. Jackson Burchell strzyże do mnie brwią i krzyżuje ramiona na klatce piersiowej, napinając bicepsy w jakimś neandertalskim geście godowym. Przewracam oczami. Taylor jest zbyt rozkojarzona, żeby zwrócić na to uwagę.

— Tay, co się dzieje, do cholery?

— Nie wiem, wszystko jest takie mętne.

— Co jest mętne? — pytam głośniejszym głosem, oglądając się na paradę estrogenu sunącą przed Lukiem i Gabe'em przy naszym stoliku.

— Chyba poszłam na całość z Lukiem, ale nie jestem pewna.

— Jak to możliwe, że nie jesteś pewna, czy poszłaś na całość z Lukiem?

— No... bo pamiętam, że poszłam... tylko że chyba wymazałam to z pamięci. — W geście zupełnie do niej niepasującym pochyła głowę, przykładając palec wskazujący i kciuk do czoła i chowa twarz za dłonią. — To było zbyt krępujące.

— A on co?

Zerka spomiędzy palców.

— No mówiłam, że to jest takie mętne, ale jestem pewna, że polegåm.

— Och — wzdycham, siląc się na współczucie. Oglądam się na Luca i czuję trzepot w klatce piersiowej, kiedy stwierdzam, że wpatruje się we mnie. Szybko odwracam wzrok. — A nie mówiłam, że on tylko się nami bawi? Masz szczęście, że cię utracił. Anioł nad tobą czuwał.

Opuszcza rękę i patrzy na mnie z gniewną miną.

— W dupie mam anioły. I zresztą co cię to obchodzi? Wczoraj miałaś Gabe'a na wyłączność.

Powinnam cię przemaglować.

— Nic z Gabe'em nie było. I nic z Gabe'em nie będzie — mówię, poważnie wkurzona, że pozwalam im najeżdżać na mnie. Ale to kłamstwo. Coś się stało, przynajmniej ze mną, i muszę wymyślić, jak z tym skończyć.

Idziemy z powrotem do stolika, gdzie rzucam tacę z ogłuszającym trzaskiem zdecydowania i ostateczności.

— Zdecydowałyśmy, że chcemy odzyskać swój stolik. Tylko dla dziewczyn. Wy dwaj musicie sobie znaleźć inny.

Luc sprawia wrażenie ubawionego, Gabe jest trochę zdumiony.

A Taylor jest wściekła. Piorunuje mnie wzrokiem.

— Kto cię mianował dominą naszego stolika?

Odwzajemniam się piorunującym wzrokiem.

— Czy tylko ja odbywałam tę rozmowę sprzed minuty?

— Jeśli nie chcesz z nimi siedzieć, czemu sama się nie przeniesiesz?

— Świetnie — rzuca.

— Świetnie.

Porzucam tacę z lunchem i odchodzę od stolika, który zajmowałam ze swoimi dwiema najlepszymi przyjaciółkami codziennie od dwóch i pół roku. An-gelique Preston dwa stoliki dalej uśmiecha się do mnie z wyższością, kiedy stoję chwilę niezdecydowana, by wreszcie dojść do wniosku, że nie mam sensownego wyboru i mogę tylko w ogóle opuścić stołówkę. Zerkam przez iluminator w drzwiach i widzę, że Riley rusza za mną. Ale Taylor zajmuje moje miejsce pomiędzy Lukiem a Gabe'em i chwyta Riley za ramię. Ta waha się i w końcu siada.

A ja jestem pewna, że zabiję Taylor.

Nie mogę uwierzyć, że pozwoliła jakimś chłopakom, chłopakom!, choćby i zabójczo przystojnym, żeby to nam zrobili. Niedobrze mi, kiedy ścieram łzy wściekłości z twarzy i wychodzę na podwórko. Siadam na trawie w chłodnym wiosennym słońcu, opierając się o ścianę, i zamykam oczy.

Oddychaj.

— Cześć.

Podskakuję na głos Reefera. Unoszę powieki i widzę go, jak siada obok, wpatrując się we mnie tymi swoimi brudnobrązowymi oczami. Reszta zespołu stoi przy wejściu do sali gimnastycznej.

— Nic ci nie jest? — pyta.

— Nic.

Nie wierzy mi, ale chociaż widzę pytanie w łagodnych oczach, on nie naciska. Wiem, że to samolubne, teraz potrzebuję czegoś prostego i znajomego. Pochy-

lam się ku niemu, a on obejmuje mnie ramieniem. Siedzimy tak sobie przez chwilę, on opowiada o swoim bracie, psie i że się nauczył nowego riffu na gitarze.

I przychodzi mi do głowy, że nie powiedział ani słowa o nas. A jego ręka nie rusza się z mojego ramienia. I to ja przytulam się do niego, a nie odwrotnie.

Odsuwam się i spoglądam mu w twarz. Coś się zmieniło.

— A co słyhać w kapeli? — pytam. Wzdycha głęboko.

— Dobrze. Naprawdę dobrze. Delanie jest świetna. Dzięki, że nas spiknęłaś.

Ton w jego głosie mnie zaskakuje i teraz nadchodzi moja kolej patrzeć na niego pytająco.

Uśmiecha się i spuszcza wzrok na swoje dłonie. A więc Ryan i Delanie grają własną muzykę.

— To świetnie, Reef. Naprawdę się cieszę, że coś się dzieje. — I to nie jest kłamstwo. Rzeczywiście cieszę się, że Ryan poszedł dalej. Ale i tak czuję bolesne ukłucie. Jeśli mam być szczerą, to nawet odrobinę żalu.

Ściska mi ramię i wstaje.

— Na pewno nic ci nie jest?

— Na pewno, dzięki — odpowiadam z uśmiechem. Chwilę patrzy mi w oczy, a potem odwraca się i odchodzi.

Przez kilka minut słucham gry Ryana i kapeli, potem wyciągam z torby ostatnią paczkę listów z Pakistanu i wertuję je. Kiedy podnoszę wzrok, widzę stojącego przede mną Luca.

— Mogę się dołączyć? Opuszczam wzrok na listy.

— Jestem zajęta.

Mam nadzieję, że odejdzie, ale on siada pod ceglana ścianą obok mnie.

— Co to?

— Listy — odpowiadam, znajdując ten od mojego korespondencyjnego przyjaciela Ghaliba, i umieszczam go na wierzchu.

Ale kiedy zaczynam go przeglądać, nie mogę się doczekać przeczytania przetłumaczonej wersji, piorun przeszywa mój mózg i robi mi się słabo.

O Boże!

Znam to uczucie. Zawsze znaczy coś złego. Teraz już się cieszę, że nie jadłam lunchu, bo żołądek podjeżdża mi do gardła. Padam na klęczki, dławiąc się torsjami.

— Frannie! — Luc pochyla się nade mną. — Dobrze się czujesz?

Odsuwam obraz Ghaliba leżącego w kałuży krwi na brudnej ulicy i znowu biorę list do ręki. Ghalib nie żyje. A ja czuję się, jakbym się dusiła.

— Nie — odpowiadam słabo.

— Co się stało? Co to jest? Jesteś chora?

Jak mam mu wyjaśnić tak, żeby nie wyjść na obłąkaną? Ale kiedy patrzę na niego, coś w mojej podświadomości podszeptuje, że on zrozumie. On jedyny nie pomyśli, że mi odbiło.

— Myślę, że Ghalib... — Ale nie mogę tego powiedzieć. — Nic... Nic mi nie będzie. — Ból w klatce piersiowej za chwilę doprowadzi mnie do płaczu.

Bierze list i czyta go. Marszczy brew.

— Nic mu nie jest, Frannie. Wybiera się do Afganistanu odwiedzić rodzinę i poszukać pracy. To nic złego.

Nie mam siły pytać go, jak to przeczytał bez tłumaczenia.

— On nie żyje.

— Skąd wiesz?

— Widziałam go.

Przez chwilę wygląda na wstrząśniętego, a do mnie dociera, że myliłam się co do jego zrozumienia.

Myśli, że zwariowałam. Obejmuje mnie w pasie.

— Zaprowadzę cię do pielęgniarki.

— Nie! — odsuwam się. — Daj mi chwilę.

Kładę się na trawie, ciągle czując mdłości. Obraz Ghaliba — i innych osób — mnie nie odstępuje. Pierwszy był Matt, ale od tego czasu też wielu innych. Zawsze ja pierwsza wiem, jeśli umiera jakiś przyjaciel rodziny albo dawny nauczyciel, ktokolwiek, kogo znałam. To twarze, które pojawiają się po błyskawicy w mojej głowie. Twarze martwych.

Luc idzie ze mną do sali pana Snydera, gdzie piszę list do Ghaliba. Gdybym wiedziała, jak się do niego dodzwonić, zrobiłabym to, ale już wiem, że to bezużyteczne. Po dacie wnioskuję, że napisał list przed tygodniem. Snyder najwyraźniej nie pojmuje, ale obiecuje przetłumaczyć mój list i wysłać jeszcze dzisiaj.

Przez resztę dnia Luc mnie nie odstępuje. Normalnie bym miała problem z taką opiekuńczością, ale jego obecność wydaje mi się pomocna, a kiedy po szkole wsiadamy do jego auta, czuję się już trochę lepiej.

ROZDZIAŁ 11

Za podszeptem diabła

LUC

Czuję napięcie. Niebywale. Chciałem wiedzieć, dlaczego Piekła tak bardzo zależy na Frannie, i teraz wiem. Widzenie.

Wsiada do mojego samochodu, opiera się o drzwi i zamyka oczy. Zostawiam ją w spokoju przez większość drogi, ale w końcu już nie mogę. Muszę wiedzieć.

— Frannie?

— Tak?

— To, co się stało tam, na podwórku... co widziałaś... dużo ci się zdarza takich rzeczy?

Na jej twarzy pojawia się wrogość.

— Nie jestem wariatką — warczy.

— Nic takiego nie powiedziałem. Martwię się po prostu. — I jestem ciekaw.

Patrzy przez okno.

— Dużo nie, ale czasami mi się zdarza.

— Przez całe życie?

— Dopiero od... Odkąd... odkąd skończyłam siedem lat.

— Co widzisz? To, co ma się wydarzyć? Odwraca się do mnie i z jej nieufnego oka wypływa łza.

— Martwych ludzi. Widzę ich tuż przed śmiercią. — Opuszcza wzrok na swoje dłonie. — Ale nigdy nie udało mi się zapobiec tej śmierci.

Rozumiem, w jaki sposób Podziemie mogłoby to wykorzystać. Gdybyśmy wiedzieli, że ludzie są w drodze... gdybyśmy mogli ich oznakować, zanim trafią do Limbo... to mogłoby poprawić nam wyniki. Staram się nie okazać ekscytacji ani wyrazem twarzy, ani głosem.

— To ciężkie. Dojdiesz do siebie?

— Tak, chyba tak — mówi w chwili, gdy docieramy do mojego budynku.

Zajeżdżamy na parking, Frannie nieufnie się rozgląda. Nie tego się spodziewała niewątpliwie.

— Tutaj mieszkasz? — pyta.

— Tak, a jest jakiś problem? — Ledwie się powstrzymuję od chichotu.

— Nie — rzuca.

Wjeżdżam na swoje miejsce parkingowe obok drzwi do mojego budynku, pomiędzy przerdzewiałą niebieską impalą a obitym czarnym fordem pikapem, i kątem oka patrzę, jak Frannie się rozgląda. Szary dzień podkreśla szarą atmosferę spowijającą tę część miasta. Cztery piętrowe betonowe budynki kiedyś były białe, ale teraz są usmolone barwą dziesiątków lat brudu, smogu i rdzy z rynien. Większość okien jest nietknięta, ale gdzieś tam karton i taśma izolacyjna zastąpiły brudne szkło. Plastikowe torby z supermarketu latają po pustym terenie w lekkim wiosennym wiateryku i zaczepiają się o gałęzie wątlých krzaków przy drzwiach do mojego budynku.

Frannie spogląda na mnie i robi dobrą minę do złej gry, kiedy otwiera drzwi i wysiada, mówiąc:

— Chodźmy.

— Rozkaz, proszę pani — odpowiadam i ruszam do budynku. Przytrzymuję jej otwarte drzwi, a ona

niepewnie przekracza próg. W ślad za mną pokonuje zarośnięte brudem schody na piętro i czeka w mrocznym korytarzu, aż znajdzie klucz i wsunę go do zamka.

— Twoi rodzice są w pracy? — pyta, kiedy ja wchodzę do środka i włączam światło.

— Pewnie tak. Wchodzi za mną.

— Kiedy wrócą do domu? — Czyżbym słyszał drzenie w jej głosie?

— Nie mam pojęcia.

— No a kiedy zwykle wracają do domu?

— Nie mam pojęcia — powtarzam. Ona tylko wpatruje się we mnie. — Nigdy nie poznałem moich rodziców. — Nie kłamię. Demony nie są najmocniejsze w temacie pielęgnacji potomstwa itepe.

— Och, przykro mi. — Przenosi spojrzenie na szarą podłogę, gdzie wesołe stokrotki na linoleum starają się co sił wyrzeć spod wieloletniego brudu. — Więc z kim mieszkasz?

— Z nikim.

Zerka na mnie szybko.

— Mieszkasz tu sam? — Zapach grejpfruta przenika powietrze: strach Frannie.

— Tak.

Zerka na drzwi, pewnie planując ucieczkę.

— Jeśli wolisz, żebyśmy pojechali do ciebie, nie ma problemu — mówię swoim najbardziej uspokajającym głosem.

— Hm... — Wyraźnie nie jest gotowa stąpać po tych węglach. — Tu jest spoko.

Podchodzę do lodówki i otwieram ją.

— No to super. Chcesz piwa? — Zamykam drzwi pustej lodówki, kiedy w mojej dłoni pojawiają się dwa zimne piwa.

— Może najpierw powinniśmy trochę popracować. Otwieram oba i podaję jej jedno.

— Ja pracuję lepiej, kiedy mogę się odprężyć — mówię, pociągając solidny łyk.

Spogląda na piwo w swojej ręce i popija nieśmiało, a potem się rozgląda.

Jestem demonem, nie świnią, więc utrzymuję tu względny porządek. Kuchnia jest czysta — żadnych brudnych naczyń ani psującego się jedzenia — głównie dlatego, że nie muszę jeść. Z tego samego powodu nie ma stołu. Ani krzesel. Krótki rząd szafek jest pomalowany na czarno, a ściany, niegdyś białe, teraz są raczej szare, z łuszczącą się farbą i wyglądającym spod niej tynkiem.

Kawalerka jest nieduża i oprócz kuchni w głębi po lewej i łazienki obok niej — też jest czysta, bo tego również nie muszę robić — znajduje się tu wielkie łóżko z czarną pościelą, czarną narzutą i mnóstwem czarnych poduszek, zajmujące większość pokoju. Pod spodem leży spory, gruby czarny dywan.

— To ogromne łóżko — mówi, wpatrując się w wielką czarną masę na środku pokoju. Nagle nasze oczy się spotykają i Frannie oblewa się rumieńcem.

— Uhm — przyznaję — i wygodne.

Spuszcza wzrok, a potem go podnosi i ogląda resztę pokoju, starannie unikając łóżka. Robi obchód, przystając, by obejrzeć trzy grafiki Dorego przy kuchni, przedstawiające trzy różne sceny z „Piekła” Dantego, i grafikę Williama Blake'a „Kuszenie i upadek Ewy” — szczytowy moment kariery króla Lucyfera.

Mija łazienkę i zauważam, jak zerka na mnie ukradkowo w sięgającym podłogi lustrze po drugiej stronie drzwi. Idzie dalej do regału na książki zajmującego całą wysokość ściany, po drugiej stronie łóżka, zatrzymuje się, by podnieść bardzo starą i zniszczoną książkę, którą zostawiłem otwartą na podłodze: „Czyściec” Dantego. Po części to o mnie, byłem muzą Dantego. Wertuje ją i marszczy brwi.

— To po hiszpańsku.

— Po włosku — poprawiam.

— Znasz włoski — mówi nieprzekonana.

— Si.

— Powiedz coś.

— *Essere U mio schiavo d'amore* — mruczę. Na twarzy ma wyraz pełen rezerwy.

— Co powiedziałaś?

_Nie powiem — uśmiecham się. I tak nie sądzę, żeby zgodziła się być moją miłosną niewolnicą.

Chwilę wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami, potem odkłada Dantego na podłogę.

Wyciąga z półki kolejny tom — Prousta — i otwiera go.

— Francuski? — mówi z płomiennym niedowierzaniem.

— *Oui*.

Robi nachmurzoną minę.

— Żartujesz sobie... Ile znasz języków? Wszystkie.

— Kilka.

Odwraca się ode mnie, odstawia Prousta na półkę, mija okno, które wychodzi na parking, i wygląda przez nie po drodze. Kiedy odwraca się z powrotem na pokój i zauważa, jak blisko znajduje się łóżka, zatrzymuje się gwałtownie. Opiera się o ścianę pomiędzy szafką z wieżą i długim, sięgającym od podłogi po sufit stojakiem z absolutnie każdą płytą CD kiedykolwiek nagranych, ale jej oczy przyglądają się ścianie za moim kutym wezłowiem. Jest pokryta ogromnym murałem przedstawiającym mój dom — najrzadziej zamieszkały rejon Otchłani położony najdalej od Bram, gdzie Jezioro Ognia styka się z wysokim kamiennym Murem Piekieł.

Wreszcie magnes muralu bierze górę nad lękiem przed łóżkiem, Frannie podchodzi i podnosi pędzel ze stosu narzędzi malarskich w rogu.

— Kto maluje twoją ścianę?

— Ani chybi ja. Odwraca się do mnie.

— Nie wierzę.

Mimowolnie się uśmiecham, kiedy odwraca się z powrotem do muralu i przesuwa palcem po konturze niebieskiego ognia buchającego z czerwonej roztopionej powierzchni jeziora.

— To jest naprawdę mroczne... przerażające, ale fajne. Co to jest?

— Piekło.

Odwraca się od ściany i staje tam twarzą do mnie na kilka uderzeń serca.

— Więc... gdzie chcesz pracować? — pyta wreszcie, rozglądając się.

Spoglądam na łóżko i uśmiecham się.

Drży, chociaż tu zdecydowanie nie jest zimno i upija spory łyk piwa. Otwiera torbę szkolną, wyciąga ćwiczenia i siada na dywanie przy łóżku, po czym bierze kolejny łyk.

Podchodzę do wieży, wsuwam Linkin Park i włączam głośno na tyle, żeby poczuć basy w kościach.

— Gdzie masz telewizor? — pyta. Siadam obok niej.

— Nie mam.

— No to jak oglądasz tyle History Channel? Naprawdę muszę bardziej uważać.

— Miałem, ale się zepsuł.

- Ach - mówi i wyciąga z torby „Grona gniewu”

— Więc jak myślisz, co Tom powinien zrobić?

— Iść prosto do więzienia — a potem do piekła

— nie szukać wymówek, nie zbierać dwustu dolarów Nerwowo sączy piwo. Wstaję z podłogi i sięgam do lodówki po następne piwa. Kiedy otwieram jedno i podaję „przypadkowo” muskam palcami wewnętrzną stronę jej nadgarstka. Jej oczy na moment otwie-

rają się szeroko, oddech się zatrzymuje. Reakcja na żar mojego dotyku? Albo może coś więcej?

Imbir... hmm...

Tak, to o wiele lepsze — podejście bezpośrednie. Bo moja ostatnia strategia — podejście okrężne — zawiodła. Musiałem to naprawić, więc po angielskim trochę nacisnąłem ją mocą. I proszę bardzo, jest teraz ze mną.

Sama.

A kiedy wyobrażam sobie wynikające z tego możliwości, pod skórą przebiega mi prąd.

Patrzy na mnie i przełyka kolejny haust piwa.

— Dlaczego jesteś dla Toma taki surowy? Co on ci zrobił?

Śmieję się. Gdyby nie był postacią fikcyjną, pewnie byśmy się skumplowali.

— No cóż, pomyślmy... Mnie nic. Ale jeśli chodzi o innych, to ich okradał i mordował. Ech, nic wielkiego.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Czy ty w ogóle czytałeś książkę? Przecież on miał powody, żeby to wszystko zrobić. — Ach, jak ja uwielbiam ten żar.

— Och, więc do morderstwa można mieć powody? Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro.

— Czasami. Nawet nasz system sądowy uwalnia ludzi, jeśli występują okoliczności łagodzące.

— Ach tak, nasz nieomylny system sądowy.

— I kościół też. Wybaczają ludziom, którzy zabili, bo nie mieli wyboru.

— Dobra, nie wyjeżdżaj mi z kościołem.

— Jesteś najbardziej cynicznym człowiekiem, jakiego znam.

— Jestem tylko realistą.

— Może o to chodziło z moimi rodzicami. Wyjechałeś do nich z takim gównem?

Jej słowa już się trochę rozmazują, w miarę jak coraz bardziej się ożywia, a ja usiłuję powstrzymać uśmiech, który ciśnie mi się na usta.

— Ledwie się z nimi przywitałem.

— Bo moi rodzice lubią wszystkich, nawet Taylor. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby się tak zachowywali.

Bo jeszcze nigdy nie przyprowadziłaś do domu demona.

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Czasami ludzie po prostu tak na mnie reagują.

Patrzę, jak się rumieni. Ona reaguje na mnie zupełnie inaczej, tym lepiej dla mnie. A piwo chyba ją trochę odprężyło.

Siedzimy długi czas, ona wpatruje się we mnie, a ja w nią.

— Twoi rodzice lubią Taylor, tak? — odzywam się w końcu.

Powieki jej chyba ciążyą.

— Wychwała ich pod niebiosa. A im podobają się jej różowe włosy.

Teraz już się uśmiecham.

— Więc może to właśnie mój problem. Muszę mieć różowe włosy.

Śmieje się — głębokim śmiechem z samych trzewi

— aż porusza coś we mnie, sprawia, że czuję się... żywy. Opiera się o łóżko, jej śmiech przechodzi w chichot, i zamyka oczy. Pijana po dwóch piwach — cieniara.

— Aaaa... jasne... Tyle że nie pasowałyby ci do czerwonych oczu — mówi, odpływając.

Czerwonych oczu? Spozstrzegawcza jest. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Zasypia, jej oddech staje się wolniejszy i głębszy, a ja ciągle patrzę. Czuję to znowu

— żądzę, która staje się starym dobrym przyjacielem. Ale jest coś więcej, coś głębszego, na samej krawędzi pożądania, coś, czego jeszcze nie rozpoznaję.

Gdybym zechciał, mógłbym ją teraz wziąć. I jakaś część mnie głośno się tego domaga — żeby wziąć jej ciało. Ale inna część, połączona z tym obcym uczuciem, też się domaga. Domaga się jej duszy. Ją też mógłbym teraz wziąć. A gdybym ją wziął, byłibyśmy razem — pod każdym względem — przez całą wieczność.

Ale ona jeszcze nie jest nawet oznaczona. Musi sobie zasłużyć na miejsce w Piekło. I poza tym nie mam powodu przyprowadzać jej teraz ze sobą — oprócz tego, że jej pragnę. Wiem, że On też pragnie ją dostać, w ostatecznym rozrachunku, ale do tego czasu ma wobec niej plany.

Nie zaszkodziłoby jednak, żebym sobie spróbował, prawda? Ona tego nie zapamięta i nigdy nawet się nie dowie. Siedzę przez kilka minut, wpatrując się w nią i spierając ze sobą. Ale w końcu niezdrowa ciekawość bierze górę i kapituluję. Opieram się o łóżko obok niej i zamykam oczy, koncentrując się. Zbieram swoją esencję, czuję, jak opuszcza moje ciało, a wchodzi w ciało Frannie przez jej lekko rozchylone usta.

Najpierw zaskakuje mnie, że to takie zadowalające. Zwykle opętanie odbieram jako ciasne i klaustrofobiczne, ale to... to jest miłe. Nie, nie miłe... dobre. Przedostaję się do jej umysłu — nie żeby go kontrolować, tylko żeby zerknąć. Chcę znać nadzieje, strachy, najgłębiej skrywane pragnienia Frannie. Ale cofam się w ostatniej chwili, bo wydaje mi się to niewłaściwe. Odbieram to jako inwazję w jej prywatność.

Śmieję się w duchu. A cóż innego robię. Czy opętanie nie jest najwyższą formą inwazji w prywatność?

Szukam jednak jej esencji — jej duszy. A kiedy ją znajduję, zapiera mi dech. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem niczego tak pięknego: połyskująca, opalizująca biel przetykana srebrem, soczystą zielenią i błękitem, jak macica perłowa. Tak niepodobna do podejrzanych,

mrocznych dusz, które Dział Inkasa zaciąga w Otchłań. I jest korzennie słodka, goździkowa i porzeczkowa, czuję ją na języku i w nosie. Ale jest coś jeszcze... poczucie ogromnej nadziei... i coś jeszcze. Moja śliska, czarna, obsydianowa esencja miesza się i splata z jej esencją, aż mnie wprawia w zakłopotanie, że moja jest taka gęsta i oleista w porównaniu z jej jedwabistą. Ale kiedy tańczymy, moje siarkowe serce rośnie.

Jestem sobie w niej i mam wrażenie, że jestem tam mile widziany... jakby mnie chciała. Zatracam się w niej, badam ją, kiedy tańczymy. Kiedy ona wciąga drżący oddech i wydaje jęk — z przyjemności? — zdaję sobie sprawę, że może to jedyne miejsce, gdzie możemy być naprawdę razem. Dodaję esencji i mieszam z jej. I w tej samej sekundzie, kiedy jej migocząca biel miesza się z moją lśniącą czernią, czuję... czuję wszystko. Czuję oszałamiający pęd nienazwanych odczuć, w każdym razie nienazwanych w królestwie demonów. Rzeczy, których nie umiem określić ani opisać. Nie umiałbym nawet w zarysie przedstawić tego wrażenia, tyle że to coś, czego nigdy jeszcze nie czułem, i że to coś prawdziwego.

Znowu jęczy i szepcze:

— Luc...

Brzmi to jak muzyka, ale też jak pobudka. Muszę się stąd zabierać, zanim napytam sobie biedy. Ale zmuszam się do wyjścia z najwyższym trudem. Niemal wbrew swojej woli odwołuję esencję, a ta wysącza się przez jej usta, rozkosznie je pieszcząc po drodze. Kiedy wchodzę na powrót w swoją ludzką postać, nagle czuję się pusty i zimny, mimo że odzyskałem demoniczny żar.

Oddycham głęboko, żeby powietrze mnie wypełniło, usuwam rosnący chaos i zwalczam przemożną chęć, by wskoczyć z powrotem w jej ciało.

Strzeż, Szatanie, mojej duszy... co to było?

Wstaję, niechętnie odrywam od niej wzrok i podchodzę do okna, gdzie w górnym rogu mały czarny pająk jak szalony buduje pajęczynę. Przyglądam się chwilę jak porusza się szybko i gładko po okręgu swego gniazda, sprawnie i skrupulatnie tworząc doskonałą pułapkę. Bezbłędny.

Zastanawiam się, jakim cudem moja pułapka tak się rozrosła, że wymknęła się spod kontroli.

Nie mam pojęcia, co robię. Zero strategii. Podejście okrężne nie zdaje egzaminu, skoro przynosi w efekcie jedynie obsesję na punkcie bycia z nią, dotykania jej. Ale najwyraźniej brak mi dyscypliny, żeby zrealizować strategię podejścia bezpośredniego. Skończyły mi się podejścia.

Siadam na podłodze obok Frannie i po prostu wpatruję się w nią kilka minut. Potem nagle pochylam się nad nią. I tylko lekko muskam wargami jej usta.

FRANNIE

Śni mi się, że tańczę z Lukiem pod gwiazdami. Jesteśmy tak blisko, że czuję go wszędzie, niemal jakby był we mnie. A potem już nie tylko tańczymy, i jego dotyk jest boski. Słyszę, jak jęczę i rzucam się na niego.

Coś bardzo miękkiego, ale bardzo gorącego muska moje usta, a kiedy otwieram oczy, widzę, jak się cofa. W jakiejś odruchowej reakcji — a może to tylko kwestia piwa — podrywam ręce, wplątam je w jedwabiste czarne włosy i przyciągam jego twarz do mojej. On się odsuwa odrobinę i prawie go puszczam, ale nagle jego usta są znowu na moich, miękkie i o matko, jakie gorące.

Musi mieć jakieś pięćset stopni, mam wrażenie, że pali moje dłonie i usta. Ale jednocześnie to mi

się podoba. Zatracam się w jego dotyku i mogłabym przysiąc, że zaraz eksploduje mi głowa i serce. Jeszcze nigdy żaden pocałunek nie wzbudził we mnie takich emocji. Jest pełen napięcia, wprawia w wibracje każde zakończenie nerwowe. Jego usta się odrywają, wdycham jego cynamon i mam wrażenie, że mnie wypełnia, jakby jego część wsączała się w moje ciało, czyniąc mnie całością. Ale nie zamykam oczu, on też nie. Kiedy patrzę, jego oczy łagodnieją i czerwony blask ognia, który zawsze się czai za czarnymi tęczęwkami, rozbłyska na sekundę.

Wreszcie go puszczam, a on odsuwa się i wygląda na nieźle oszołomionego i zmieszanego. Ja zresztą też tak mniej więcej się czuję. Wpatruje się we mnie długo i zaczynam myśleć, że naprawdę skrewiłam. Ale nagle na jego twarzy pojawia się troska.

— Nic ci nie jest, Frannie? — pyta.

Jakby jego pocałunek mógł mnie w jakiś sposób skrzywdzić.

Nic mi nie jest? No nie wiem. Bo kręci mi się w głowie i czuję coś, czego nawet nie umiem nazwać, jak przetacza się we mnie falami, i robi mi się od tego trochę niedobrze. Jestem wycieńczona, ale jednocześnie naładowana. Serce zamieniło mi się w piersi w żabę i zaczynam się martwić, że już nigdy nie powróci do poprzedniego stanu. Wpatruję się w niego, walcząc o oddech. Ale w tych czarnych kałużach nie widzę nic, co by mi pomogło oddychać.

— Nic. A tobie?

Troska nie znika z jego oczu.

— Świetnie — mówi, ale jakoś nieprzekonująco. Przypominam sobie Taylor i robi mi się gorzej.

— A... a co się wydarzyło wczoraj między tobą a Taylor?

Wygląda na nieco zdumionego.

— Nic. Myślałem, że ci to powiedziała.

— Niezbyt pamiętała szczegóły. Zastanawia się nad tym dłuższą chwilę.

— Czyżby? Interesujące — mówi. Potem przygląda mi się dłuższą chwilę i zaciska zęby. Spogląda na swoje ręce i pyta: — A między tobą i Gabrielem?

_ Nic. — Kręci mi się w głowie na myśl, że Luc przejmuje się bardziej, niż to okazuje, ale bardziej dokucza mi ból w piersi, bo wiem, że skłamałam. Zamykam oczy i znowu opieram głowę o łóżko.

LUC

Trafia mnie to jak piorun z Nieba — jakieś przyprawiające o zawroty głowy, dzikie poczucie, oszalamiające w swojej potędze, sprawia, że chcę uciec. Uciec od Frannie. Albo do niej. Sam nie wiem.

I to co poczułem, kiedy mnie pocałowała... nie mam pojęcia, co to było. Jakaś zmiana w moim rdzeniu. Więc co ja teraz robię, do diaska?

Mam zadanie. Muszę ją oznaczyć. Czyli powinienem dalej podążać drogą żądz, ułatwiając ten cały gniew i zazdrość, tak?

— Chyba powinniśmy wracać do pracy. — Albo ja przynajmniej powinienem. Pewnie nie udałoby mi się zaciągnąć jej do łóżka... może jeszcze jedno piwo... lekki nacisk... jakaś sugestia.

I nagle pochwytyuję zapach ciepłej czekolady. Jaki sygnał wysyła teraz psychika Frannie? Taki, którego nie rozpoznaję.

_ Tak — mówi, uśmiechając się. Podnosi swój zeszyt do wypracowań z dywanu i kładzie go sobie na kolanach.

Wpatruję się w jej oczy, próbując w nich czytać. Nie jestem pewien, czy to część mojej strategii, czy nie. Naprawdę trudno mi patrzeć gdziekolwiek indziej. I ona

też na mnie patrzy. Już sięgam do niej i ona wygląda, jakby tego chciała, ale nagle cofam rękę, jakby ktoś wymierzył mi cios. Bo chcę jej na więcej sposobów, niż umiem opisać — pod każdym względem. Ale coś mnie powstrzymuje, nie mogę tak po prostu jej wziąć.

W mojej klatce piersiowej jest jakiś głęboki pulsujący węzeł — serce? No bez jaj. Siarka nie pulsuje. Zerkam na nią znowu, uśmiecha się do mnie. Nie uśmiechałaby się, gdyby wiedziała, czym jestem. Powinienem jej powiedzieć. Tak by należało.

Och, na wszystkie bezbożności! Czy to sumienie? Co się ze mną dzieje, u diabła? Czy mój szef tak sobie wyobraża żart? Nie. Chociaż Berith jest sadystą, tego akurat nie uznałby za żart.

Gabriel.

To musi być jego wina, choć nie wiem, jak to zrobił. Znajdę go, wyskubię mu wszystkie anielskie piórka i napcham nimi poduszkę.

Oddycham głęboko i staram się pozbierać myśli. Patrzę znowu na Frannie, akurat kiedy lekki szelmowski uśmiech pojawia się w kącikach jej całujących ust. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czegokolwiek pragnął tak bardzo. Można by pomyśleć, że zrodziłem się z Zazdrości, a nie z Pychy. — A więc rozdział dwudziesty ósmy... — mówię, odwracając wzrok i otwierając zeszyt.

ROZDZIAŁ 12

Zupełnie jak w raju

FRANNIE

Taylor patrzy na mnie zza stolika.

— Pocałował cię?!

Na moich ustach pojawia się uśmiech. Minał już cały dzień, ale moje wargi wciąż buzują.

Podchodzi kelnerka z naszą wieprzowiną mu shu, kurczakiem cytrynowym i ryżem z krewetkami i z trzaskiem stawia talerze na blacie. Na środek rzuca garść pałeczek, mówi coś ostro po kantońsku i odchodzi wściekła.

Riley odprowadza ją żalonym wzrokiem.

— Dlaczego ona nas nie lubi?

Wzruszam ramionami, potem znowu zwracam się do Taylor.

— Jesteś taka zazdrosna — triumfuję, nakładając sobie ryżu na talerz. Próbowałam się wykręcić z dziewczynskiego wieczoru w tym tygodniu, ponieważ teraz szczerze nienawidzę Taylor, ale Riley wyjechała z jakimś strasznym poczuciem winy, no i jestem. Więc na maksa korzystam, że mogę jej to rzucić w twarz.

— I naprawdę to zrobił? — mówi Riley.

Mój wzrok błądzi za okno, za blask zielonego neonu nad wejściem, na pusty chodnik i ciemne okna opuszczonych wystaw sklepowych po drugiej stronie ulicy. Przez chwilę jestem pewna, że widzę czarną shelby co-

brę, jak jedzie w blasku neonów. To pewnie pobożne życzenia. Uśmiecham się słodko do Taylor.

— Tak sobie myślę, że to może ja jednak całowałam. To jest takie niejasne.

— Widzisz! To właśnie miałam na myśli. Przy nim wszystko się robi takie zamazane. Ale powiedział, że między nami nic nie było...?

— Nic.

— I ty mu wierzysz? — Taylor dziko wymachuje widelcem, rozrzucając po stoliku sos cytrynowy.

— No, nie widziałam w tym nic dziwnego. Powiedział, że dziwi się, że mi tego nie powiedziałaś.

— A więc ja mam szczęście, że mnie spławił — mówi, a na jej twarzy widzę pogardę, którą też słyszać w jej głosie — ale tobie jest okej, że się z nim całowałaś?

Nie mogę powstrzymać głupiego uśmiechu, który rozlewa mi się po twarzy.

— Może nie mam racji — mówię w nadziei, że mam rację. Nawet jeśli nie i jeśli jutro mnie spławi, widok twarzy Taylor jest tego wart.

Kręci głową.

— Pocałowałaś go.

— Tak.

— Takie macankowe całowanie czy jeden pocałunek?

Jeden. — Jeden absolutnie niesamowity pocałunek.

Oczy Riley są szeroko otwarte, a jej uśmiech triumfujący.

— Czy wy teraz chodzicie ze sobą?

— No nie jestem pewna... może.

— Jak możesz nie wiedzieć, czy ze sobą chodzicie? — kpi Taylor przez usta pełne wieprzowiny i kapusty.

— Tak samo, jak ty nie wiedziałaś, czy z nim spałaś.

— Wiedziałam, że z nim nie spałam!

— Nieważne. Nie mieliśmy prawdziwej randki. Więc technicznie rzecz biorąc, powinnam powiedzieć, że nie.

— Nienawidzę cię.

— Wiem — mówię, wciąż się napawając. Nic nie mogę na to poradzić. Zupełnie jakbym dla odmiany chciała ubiec Taylor.

Jej usta wykrzywia nieco kpiący uśmiech, potem odwraca wzrok i jej brwi podnoszą się w zdumieniu.

— No to już chyba przesada — mówi, patrząc gdzieś za mną. — Powiedziałaś mu, że tu będziemy?

— Komu? — Odwracam się i widzę Luca stojącego przy drzwiach pod szyldem „Bambusowy przybytek Minga — bardzo dobre jedzenie”. Podchodzi do nas niespiesznie.

— Nie chcę w niczym przeszkadzać.

Jego ciepły miodowy głos rozpuszcza mnie całą. Bardzo bym chciała się na niego rzucić, ale nie chcę być gównianą przyjaciółką — w każdym razie nie dla Riley. Odrywam od niego wzrok i kieruję na dziewczyny.

— Siadaj — mówi Taylor, wykopując krzesło obok mnie.

Luc podnosi brew.

— Riley...?

— Mamy cholernie za dużo żarcia. I ich zdaniem jest bardzo dobre. Jedz — odpowiada, uśmiechając się. Może nie jest zbyt wkurzona.

Luc siada na krześle obok mnie i zsuwa się trochę, tak że ledwie dotyka mnie ramieniem.

— Dzięki, ale nie jestem głodny.

— Więc co robisz w chińskiej knajpie? — kpi Taylor.

— Przechodziłem i zobaczyłem, że tu siedzicie.

— Jasne. — Taylor posyła mi mściwe spojrzenie. — Właśnie o tobie rozmawialiśmy. — I teraz już poj-

muje, dlaczego zgodziła się, żeby przerwał nasz dziewczynski wieczór. — Dlaczego się z nami pieprzysz?

— Taylor! — Kopię ją pod stołem. Riley podskakuje.

— Ona chciała powiedzieć, że chyba nie pieprzysz się z Frannie, prawda?

— Riley! — Teraz kopię drugą pod stołem. Luc stara się nie śmiać.

— Nie, w porządku. Powiedz mi, co myślisz, Riley.

— No, myślę, że coś do niej masz...

— I nie przeszkadza ci to?

— O ile jest to poważne, to nie. Bo jeśli coś jej zrobisz, to my ci z Taylor skopiemy tyłek.

Policzki mi płoną.

— Riley, nie potrzebuję żadnego wsparcia w kopaniu tyłka.

Na twarzy Taylor pojawia się wredny uśmiezek.

— Właśnie, Luc. Wiedziałeś? Frannie ma szósty dan czarnego pasa w dzudo.

Luc posyła mi szeroki uśmiech.

— Tak, skumałem to, jak u Gallagherów przerzuciła tego gościa nad głowę.

Kładę łokcie na stole i chowam twarz w dłoniach. Wszystkie rzeczy, którymi Taylor mogła mnie sabotować — dziewięć lat amunicji — przechodzą mi przez głowę. W myślach błagam ją, by się zamknęła. Proszę, proszę, Taylor, nie psuj mi tego.

Ale kiedy czuję, że ręka Luca spoczywa na mojej talii, moje myśli milkną, a serce szaleje.

— A odpowiadając na pytanie Riley: tak, jestem poważny — mówi. Moje szalejące serce przystaje.

— Pewnie odwieziesz ją do domu — podsuwa Riley.

— Jeśli nie macie nic przeciwko. Odsłaniam twarz.

— Co, do diabła? Ja nie mam nic do powiedzenia?

Luc podnosi brew, na jego ustach igra uśmiech. Na wspomnienie dotyku jego warg przechodzi mnie dreszcz.

— Tak?

Oddycham głęboko, by powstrzymać dygot w klatce piersiowej, nienawidzę tego, że on wie, jak bardzo go pragnę. Otwieram usta, by odmówić.

— Dobra, niech będzie.

Riley odsuwa krzesło i przewiesza torebkę przez ramię, po czym chwyta Taylor, której wyraz twarzy już złagodniał.

— Idziemy.

Taylor wstaje z uśmiechem — szczerym uśmiechem, którego chyba wcześniej nie widziałam na jej twarzy. Ale po sekundzie uśmiech zmienia się w charakterystyczny dla niej, lubieżny. Zaciera ręce, po czym podnosi je w geście kapitulacji.

— Spadam. — RzUCA mi półuśmiech i kieruje się do drzwi. — Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła. Co, u licha? Taylor daje za wygraną? Chyba śnię.

— Innymi słowy — mówi Riley, szturchając mnie w ramię — możesz robić wszystko. — Zostawia na stoliku szczodry napiwek w drodze do drzwi, podejmując kolejną próbę znalezienia dobrej strony naszej kelnerki. Znowu chowam twarz w dłoniach, zbyt zakłopotana, żeby spojrzeć na Luca, skoro zostaliśmy sami. Pochyla się ku mnie.

— Hej.

Nie odsłaniam twarzy.

— Przepraszam za to — mamrocę przez palce.

— Myślę, że to urocze, że Riley się o ciebie martwi. Podrywam głowę, policzki mi płoną.

— Urocze? Chyba żenujące.

Uśmiecha się tym swoim szelmowskim uśmiechem, a moje serce niemal przestaje bić. A kiedy pochyla się,

by mnie pocałować, jestem niemal pewna, że jednak całkiem przestało. Moja ręka sama szuka jego twarzy. Czuję, jak drży. Patrzymy sobie w oczy.

— Wyjdźmy stąd — mówi w moje usta. Bolesne mrowienie rozchodzi się po moim ciele, uśmiecham się drżąc.

— Znam doskonałe miejsce.

LUC

Nigdy nie doświadczyłem niczego podobnego. A to już coś znaczy. Oczywiście pewnie najbardziej chodzi o Frannie. Ona chyba wywiera na mnie takie wrażenie — że wszystko wydaje się nowe.

— Musisz zamknąć oczy — mówi. — Żebyś czuł tylko pęd. Gotowy?

— Tak.

W ciężkim nocnym powietrzu, tak pełnym zapachów lasu, jedyne dźwięki to harmonia skrzeczących żab i cykanie świerszczy — i śmiech Frannie, który sam w sobie jest jak muzyka.

— Dobra — mówi cicho, pochylając się do pocałunku. Nasze wargi ledwie się muskają, kiedy w jej oku migocze psotny błysk i puszcza linę.

Zamykam oczy, kiedy przelatuję nad wodą, czując zimny wiatr na twarzy i we włosach. Mam wrażenie, że płynę przez ciemność, i Frannie ma rację, to czysty pęd. Niemal ten sam, którego zaznaję, kiedy wzywa mnie król Lucyfer — śmigam przez czas i przestrzeń. Tyle że tym razem nie ma zapachu siarki, nie ma przerażenia w brzuchu. Mrowienie rozchodzi się po całym moim ciele. Płynę przez powietrze z powrotem i zeskakuję z liny na skalisty skraj kamieniołomu obok Frannie. Znowu się śmieje. Jej twarz lśni w bladym srebrnym świetle księżyca i znowu czuję to mrowienie.

Uśmiecha się do mnie.

— I jak? Fajowskie, co? — Przytula się do mnie i zaczyna całować, dotykiem warg rozpalając we mnie ogień. Ach... goździki i rodzynki na języku. Mam jej duszę jak na dłoni.

Sierp księżycy wisi nisko na niebie, przesączony przez gałęzie drzew tworzy migotliwe cienie, rzuca słaby połysk na wodę i ciemny kamieniołom. Ale ten połysk nie wystarcza, by ukryć tysiące fasetowanych klejnotów odbijających się od nieruchomej powierzchni wody. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej czystej nocy z tyloma gwiazdami. Prawdziwy pokaz jednak to wszechświat lśniący w oczach Frannie.

— Dobra, moja kolej — mówi, odpychając mnie na bok i chwytając linę. Trzymam ją nieruchomo, kiedy ona staje na drewnianym krążku przywiązany na dole.

— Gotowa? — pytam.

— Tak — śmieje się, a ja puszczam linę.

Patrzę, jak odpływa ode mnie, widzę jej zarys na tle migoczącej wody. Koniec liny sunie tuż nad powierzchnią, tworząc zmarszczki i wprawiając w ruch odbijające się gwiazdy. Słuchając jej okrzyku i śmiechu, czuję, jak mój własny śmiech wzbiera pod powierzchnią, wydobyty z jakiejś głębi, i wybucha. Dla mnie brzmi to obco. Jestem szczęśliwy.

Nagle Frannie krzyczy.

— O kurwa! — Słysząc plusk i pojawiają się większe zmarszczki.

Mój śmiech się urywa.

— Frannie! — wrzeszczę, nurkując w ślad za nią. Kiedy przecinam powierzchnię i nasłuchuję jej, przysiągłbym, że znad skraju kamieniołomu dobiega mnie ostry i zmysłowy chichot, który rozmywa się w szeleście liści na wietrze.

— Frannie! — krzyczę znowu.

Żadnej odpowiedzi.

Powstrzymując panikę, podpływam do miejsca, w którym lina osiągnęła punkt szczytowy, i nurkuje pod spodem. Mobilizuję moc, moja dłoń rozświetla czerwonym blaskiem mroczną wodę dookoła, kiedy płynę powoli z powrotem do skał. Już mam sięgnąć brzegu, gdy jakaś ręka macha do mnie od ciemnych głębin. Sięgam po nią i wyciągam na powierzchnię. Frannie wynurza się, kaszłąc i łapczywie chwytając powietrze.

— Coś... coś mnie chwyciło — dyszy, a jej zęby stukoczą tak mocno, że ledwie mogę ją zrozumieć. Ulga mnie zalewa, obejmuję ją ramieniem i ciągnę z powrotem na brzeg. Przesuwam ją przed siebie, kiedy szamoczemy się po śliskich skałach, wychodząc z lodowatej wody.

— Nic ci nie jest?

— N-nie. Tylko mi... zimno — dzwoni zębami, ciągle chwytając powietrze.

Już widzę parę unoszącą się z moich wilgotnych ubrań, kiedy stoimy w zimnym nocnym powietrzu, więc tulę ją do siebie i odgarniam jej włosy, wyzymając je za jej plecami. Trzymam tak ją, aż moje ciało przejmuje jej silny dygot, i po kilku chwilach widzę, że z niej też zaczyna unosić się para.

— Mhmm — jęczy. — Boże, jesteś taki gorący. Uśmiecham się. Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

— Coś chwyciło mnie za nogę — mówi w końcu, kiedy jej dygot zaczyna ustępować.

— Pewnie chwyciły cię korzenie drzewa.

— Może... ale to było jakieś inne.

Jej dygot ustaje i zaczynamy się kołysać w rytm cykających świerszczy. Kiedy księżyc tworzy łuk wysoko nad kamieniołomem, nad nami, jestem w niej całkowicie zatracony. Nigdy nic nie czułem w sposób tak właściwy — a jednocześnie tak niewłaściwy. Tańczymy i jest tylko muzyka, ona i ja.

Żadnej strategii.

FRANNIE

Chociaż moje ciuchy i włosy są prawie suche, przez całą drogę do domu próbuję wymyślić, jak wyjaśnię rodzicom, że pojawiam się z Lukiem, w takim stanie. Kiedy już widzę dom, wciąż nie mam pojęcia, co im powiedzieć.

Próbuję też ogarnąć umysłem Luca — a dokładnie, jakie uczucie we mnie budzi. Zupełnie inne niż to, co czuję z Gabe'em, ale nie mniej przerażające. Tyle że przerażające w odmienny sposób. Z Gabe'em poczucie jest silne i głębokie. Z Lukiem jest dzikie i niekontrolowane. Nie ufam Lucowi. Jak mogłabym ufać? Ale też nie chcę, żeby to uczucie ustało.

Wjeżdża na nasz podjazd i gasi silnik. Siedzę, żałując, że nie mogę tu zostać na zawsze.

— Więc... — mówi.

— Więc... — mówię też. A wtedy on sięga do mnie, odgarnia mi włosy i pochyla się, by mnie pocałować. Czuję, jak zamieniam się w galarete, kiedy jego usta przesuwają się po moich. Muszę sobie przypominać, żeby oddychać. Po bardzo długim czasie, a i tak za krótkim, odsuwa się.

— Chyba powinienem odprowadzić cię do drzwi. Sięgam do rozwichrzonych włosów i zwiijam je w węzeł.

— Och, to chyba nie jest najlepszy pomysł. Uśmiecha się.

— Jakby teraz nie wyglądali przez okno. Wiedzą, że jesteś ze mną.

Zerkam na dom i widzę, że zasłony kołyszają się, jakby ktoś je przed chwilą puścił. Drzwi wejściowe otwierają się gwałtownie i staje w nich mama w niebieskiej sukience a la June Cleaver i na obcasach, ręce ma skrzyżowane na klatce piersiowej, a oczy szeroko otwarte.

— I wie też, że właśnie mnie pocałowałaś — mówi, a jego uśmiech staje się szelmowski.

Kurwa.

— Kurwa.

Luc chichocze, po czym wysiada z samochodu i obchodzi go, żeby otworzyć moje drzwi. Miły gest. Bierze moją rękę i pomaga mi wysiąść. Nie puszcza, kiedy idziemy chodniczką. Uwielbiam, jak jego ręka pali moją. Z trudem się powstrzymuję, by nie zaciągnąć go z powrotem do samochodu i nie powiedzieć, żeby zawiózł mnie gdzieś, gdzie będziemy sami.

— Dobry wieczór, pani Cavanaugh.

— Witaj — mówi oschle. Jak na moją matkę to zupełnie jakby go skłęła. Nagle jej wzrok przenosi się na mnie i nawet w słabym świetle lampy nad gankiem jestem pewna, że wyglądam strasznie. — Co się stało?

Opanowuję histeryczny śmiech, który mi grozi, kiedy chcę powiedzieć: „Luc mi tak zrobił na tylnym siedzeniu”. Teraz zdaję sobie sprawę, że to mi się właśnie przyśniło ostatniej nocy. Przetykam jednak dumę i mówię prawdę:

— Wpadłam do kamieniołomu. Luc mnie uratował. — Co prawda strasznie niechętnie przyznaję się do tej całej dziewicy w potrzebie, ale może dzięki temu on zapunktuje.

— Coś ty tam robiła? Ten kamieniołom jest niebezpieczny — mówi, teraz już otwarcie patrząc na Luca gniewnie. — Musisz wziąć gorący prysznic. — Wciąga mnie do domu i zatrząskuje Lucowi drzwi przed nosem.

— To była moja wina, mamó. Luc skoczy! mi na pomoc, naprawdę.

Ciągnie mnie po schodach.

— Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Mówiłam, żebyś się z nim nie zadawała, Frannie. Myśleliśmy, że dzisiejszy wieczór spędzasz z Taylor i Riley.

— Mamo, nie wiem, co się stało, że jesteś dla niego taka, ale to nie jest zły człowiek, naprawdę.
— Później porozmawiamy o konsekwencjach — mówi, wpychając mnie do łazienki na piętrze. —
Teraz się doprowadź do porządku.

— Konsekwencjach?! Masz na myśli karę? Patrzy na mnie z namysłem, jakby właśnie zdała
sobie sprawę, że już dawno powinna ze mną porozmawiać o pszczołkach i motylkach.

— Porozmawiamy później — powtarza i zamyka drzwi.

No świetnie.

Czekam, aż usłyszę skrzypnięcie ostatniego schodka na dole, otwieram drzwi i biegnę korytarzem do
mojego pokoju. Pędzę do okna i otwieram je szarpnięciem.

Samochód Luca jest na podjeździe, drzwi są otwarte, ale Luca nigdzie nie ma.

— Luc! — mówię chrapliwym szeptem.

— Hej. — Jego głos dobiega spod mojego okna. Przyciskam twarz do moskitiery i patrzę w dół,
właśnie kiedy on odchodzi spod mojego okna na podjazd.

— Hej, przepraszam cię. Mama się trochę denerwuje.

— Nie ma problemu — mówi, podnosząc wzrok na mnie, ale także na gałęzie drzewa przy moim
oknie.

Uśmiecham się.

— Chcesz wejść na drzewo?

Jeszcze przez sekundę wpatruje się w dąb, po czym uśmiecha się do mnie.

— A jeśli wejde, to mnie wpuścisz? Czuję, jak policzki mi płoną.

— Dzisiaj nie. Myślę, że mama już więcej nie zniesie.

— Jesteś pewna?

— Tak. — Wcale nie jestem.

Tylko trochę jest rozczarowany.

— Dobra, to wyświadczyć mi przysługę — mówi. — Czy twoje okno ma zasuwkę?

— Tak.

— Zamknij je na zasuwkę, dobra? Uśmiecham się.

— Dlaczego? Nie można ci zaufać?

— Nie, nie można. Ale to nie o siebie się martwię w tym momencie. Zrób to po prostu. Od razu, dobra? — Pośpiech w jego głosie trochę mnie przeraża.

— Co się dzieje?

— Nic. Po prostu to zrób. Proszę — niemal szczerka.

— Jeśli mi powiesz, o co chodzi.

— Och, na grzech Szatana — zaczyna zirytowany, potem patrzy na mnie gniewnie. — Proszę, Frannie.

Też patrzę gniewnie.

— Nieważne — mówię i zatrzasnę okno.

Stoi tam chwilę, patrząc na mnie, aż zdaję sobie sprawę, że czeka, aż zasunę zasuwkę. Robię to niechętnie, a on wskakuje do mustanga. Cofa z podjazdu na drogę, ja zaś odprowadzam go wzrokiem, aż tylne światła jego auta znikają za drzewami. Proszę bardzo, zniszczył mój doskonały wieczór, zamieniając się w dupka.

Ale przed opuszczeniem zasłony wyglądam w ciemność, na drzewa za moim oknem.

Gwałtownie wciągam powietrze, puszczam zasłonę i cofam się chwiejnym krokiem.

I mówię sobie, że czerwone oczy nad gałęziami to tylko kot.

Chwilę później otwierają się drzwi i pojawia się w nich głowa Kate.

— Wszystko w porządku?

— Tak. — Ale drżenie w głosie zdradza mój niepokój.

— Co się stało?

— Kiedy?

— Teraz. Krzyknęłaś.

_Tak? — Myślę o tych bezcielesnych oczach i przebiega mnie dreszcz.

Wchodzi do środka i zamyka drzwi za sobą.

— Tak, krzyczałaś. Więc jak? Wszystko w porządku?

— Tak, przepraszam. Coś mnie przestraszyło.

— W porządku. — Odwraca się do drzwi.

— Czekaj! — krzyczę, zerkając na okno. Jestem trochę przerażona i nie chcę, żeby wychodziła.

— Co? — Odwraca się. I nagle czuję się ciut niezręcznie.

— Yyy... co tam? Patrzy na mnie uważnie.

— Na pewno nic ci nie jest? Bo wyglądasz, jakby coś ci odbiło.

— Nic. Tak tylko pomyślałam, że mogłybyśmy pogadać... teraz akurat... chyba.

Wznosi oczy do sufitu, znowu odwraca się do drzwi i nagle przychodzi mi do głowy, że o coś naprawdę chcę ją zapytać.

— Kate...

Ledwie się ogląda, sięgając do klamki.

— Co?

— Jak ty i Chase... no wiesz... za pierwszym razem...

Odwraca się na pięcie.

— Co, Frannie?

— No jak się kochaliście... za pierwszym razem. Skąd wiedziałaś, że jesteś na to gotowa?

Wyraz jej twarzy łagodnieje i uśmiecha się tęsknie.

— Po prostu się wie. — Ale nagle na jej twarzy pojawia się wyraz troski. — Nie pozwól, żeby ktoś cię przymuszał, Frannie. Jeśli nie masz stuprocentowej

pewności, jeśli brakuje ci choćby jednego procenta, to nie.

Ale jeśli mam pewność stuprocentową? Myślę o Lucu i chociaż jestem na niego wściekła, w brzuchu czuję mrowienie.

— Dzięki, Kate.

Wciąż patrzy na mnie z troską, kiedy znowu odwraca się do drzwi. Zamyka je za sobą, a ja stoję, wpatrując się długo w okno. Wreszcie wyciągam dziennik Matta. Wchodzę na łóżko, próbuję uporządkować myśli i zaczynam pisać.

Więc... Braciszku... Dzieją mi się w środku rzeczy, których nie umiem nawet nazwać... tak mi przykro. Ale takie poczucie jest trochę przerażające. Poza kontrolą.

Wpatruję się tępo w ścianę, w środku mi się wszystko kłębi.

Luc... Zupełnie jakby był jakimś narkotykiem. Nie mogę się nim nasycić. I jeśli narkotyki robią z ludźmi takie właśnie rzeczy, to już rozumiem, jak można się uzależnić.

Czuję, jak pasmo strachu owija się wokół mojego serca, podnoszę wzrok znad dziennika i przecieram oczy, żeby wypchnąć obraz Luca z głowy.

Nie chcę nikogo tak potrzebować. Nie pozwolę sobie na uzależnienie od Luca.

Zamykam dziennik Matta i siadam, wpatrując się w ścianę, kiedy wszystko się robi kryształowo klarowne w mojej głowie. Mogę pragnąć go fizycznie, a jednocześnie go nie potrzebować. To się nazywa żądza. Nie trzeba żadnej więzi emocjonalnej. I o to właśnie chodzi — uczucie czysto fizyczne.

Jestem pewna.

Gabe natomiast...

Kiedy moje myśli przenoszą się na niego, mrowienie w brzuchu zamienia się w ból w piersi. Bo zaczynam myśleć, że cokolwiek do niego czuję, jest to głębsze niż żądza i o wiele bardziej niebezpieczne.

Wcześniej się myliłam. Luc to zdecydowanie bezpieczniejsze wyjście. Wiem, w co się pakuję, i to się nigdy nie przerodzi w coś, co mnie przerośnie.

LUC

Belial. Niedobrze. Dlaczego Berith miałyby wysyłać Beliala? Dlaczego w ogóle miałyby kogoś wysyłać? Nie sprawdzano mnie od czterech tysięcy lat. Ale to na pewno on był pod oknem Frannie. Jadę powoli i sprawdzam, czy on podąża za mną. A kiedy stwierdzam, że nie, pojmuję, że to jeszcze gorzej. On nie sprawdza mnie. On przybył po Frannie. Walcząc z paniką, zawracam, mijam kilka domów i siedzę chwilę, oceniając sytuację.

Belial pracuje w Inkasie. Dlaczego Berith miałyby wysłać inkasenta? Frannie ma być tylko oznaczona. Chyba że coś się zmieniło. A jeśli Belial ją oznaczy, jej dusza będzie związana z nim. Będzie należała do niego. Rozpala się we mnie coś prymitywnego — coś głębokiego, jakiś instynkt terytorialny. Nie może jej mieć. Ona jest moja. Nagle się cieszę, że pan Cavanaugh jest blisko z Wszchemogącym. Skoro ja, demon pierwszego stopnia, nie mogę wejść do jej domu, to Belial też nie wejdzie.

Wysiadam z samochodu i przechodzę przez ulicę. Jak to zrobić? Nie pójdzie ze mną tylko dlatego, że go poproszę. Zakradam się pod drzewo, chowam za pniem i wołam go w myśli. „Belial!” Wiem, że mnie słyszy, tak samo jak ja słyszę jego. Nikczemna więź psychiczna łączy nas, czy tego chcemy czy nie.

Delikatny szelest, niewiele głośniejszy niż wywołany przez wiewiórkę, przemieszcza się przez gałęzie i Belial staje przy mnie. Jego kudłate czarne włosy

częściowo skrywają płonące czerwone oczy, które i tak emanują półmetrową poświatę, ostre kości policzkowe rzucają cienie na jego twarz. Szcherzy się do mnie.

— Lucyfer... Za dużo czasu minęło.

— O czym ty mówisz? Widziałem cię kilka tygodni temu.

— Tak, i szef mówi, że za długo to trwa. To są dokładnie jego słowa.

— Minęły dopiero dwa tygodnie. Nie wiedziałem, że są jakieś ograniczenia czasowe — kłamię.

— No są. Na wypadek gdybyś nie zauważył, Gabriel jest tutaj. Jeśli za długo poczekasz, będzie za późno.

— Możesz wracać i przekazać Berithowi, że wszystko mam pod kontrolą, dzięki.

— Tak... jasne, tak to właśnie wyglądało przy kamieniolomie. Słodkiutkie, Lucyferze. Chociaż jak mogłeś być tak blisko i nie wziąć jej... jej ciała, mam na myśli... tego nigdy nie pojmem.

Dlaczego go tam nie wyczułem? Robię się zbyt nieuważny. A kiedy waga jego słów do mnie dociera, czuję, jak czysty gniew rozcina mnie jak nóż.

To był Belial.

Zaciskam pięści i patrzę na niego z zabójczym gniewem.

— Nie miałeś nic wspólnego z małym wypadkiem Frannie, co? Bo utopienie jej nie wydaje się najroztropniejszą strategią, skoro jest nieoznaczona. Dusza Frannie w Limbo nie wróżyłaby nam dobrze.

Złowrogi uśmiech rozlewa się po jego obliczu, oczy mu płoną.

— Ale tu właśnie mamy problem, Lucyferze. Ona już zdecydowanie nie powinna być nieoznaczona. Miałeś doskonałą sposobność, żeby wziąć jej ciało, pierwszy krok, żeby nabrać praw do duszy. Sama się podkładała. Nawet tobie nie mógł umknąć jej imbir. Ale ty wolałeś zgrywać galantnego zalotnika, zamiast wyko-

nać swoją robotę. Straciłeś czucie. Ten fakt nie umknął Berithowi.

Dopada mnie połączenie strachu i paniki. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to przyciągnięcie uwagi szefa.

— Nie mogę jej po prostu wziąć, Belialu. Na wypadek gdybyś zapomniał, są pewne zasady. — Ale już kiedy to mówię, czuję fałsz: to wymówki.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, błyskając czerwienią oczu.

— Zasady się zmieniają.

— Naprawdę? Nie dostałem tego okólnika. Krzywi się.

— Ona jest ważna, Lucyferze. Nie ma miejsca na pomyłki. Nie schrzań tego.

Głos mojego pana huczy mi w głowie. „Nie zawieźdź mnie”.

— Dlatego właśnie się nie spieszę. Żadnych pomyłek. A teraz idź. Jestem pewien, że Avairze jest zimno.

Uśmiecha się pogardliwie.

— Mógłbym skończyć tę robotę i zdążyć do Piekła, zanim Avaira zmarznie. — Wytwory Żądry są naprawdę obrzydliwe. Dlatego właśnie nie pozwolę temu ośli-złemu inkubowi zbliżyć się do Frannie.

— Możemy się zamienić — wskazuję okno Frannie. — Ty się zajmiesz nią, a ja pójdę zagrzać Avairę dla ciebie. — Blefuję, ale on patrzy na mnie spode łba.

— Szef się niecierpliwi. Nie zwlekaj zbyt długo. — Po czym zamienia się w obłok siarki, puf i znika. Czeka długą chwilę, wciąż ukryty za pnem, decydując, co robić. Wreszcie przemykam w cieniu do swojego auta i tam zostaję na resztę nocy. Czuwam.

ROZDZIAŁ 13

Święty nigdy

FRANNIE

Serce mi łomocze, kiedy czekam przy swojej szafce, bo po ostatnim wieczorze z Lukiem nie wiem, czego się spodziewać. Wpatruję się ślepo w swoje książki i przestępuję z nogi na nogę, z hukiem ponosząc klęskę w próbach swobodnego wyglądu. Nagle czuję ledwie uchwytny zapach cynamonu i uśmiecham się, kiedy jego gorące ręce dotykają mojej talii i przyciągają mnie do jego płonącego ciała. — Cześć, piękna.

Od jego głosu przechodzi mnie dreszcz, pomimo jego żaru. Otwieram usta, żeby oprotestować tę „piękną”, ale jestem tak zajęta rozplływaniem się w kałużę na podłodze, że nie mogę nic powiedzieć. Odwracam się w jego ramionach, a on mnie całuje. I tylko korytarz pełen spoconych licealistów nie pozwala mi rzucić się na niego. Ale nie mogę nic zrobić z głupim uśmiechem, który pojawia się na moich ustach, kiedy on bierze mnie za rękę i prowadzi do sali 616.

Dotyka mnie ramieniem, kiedy czyta na głos koniec „Gron gniewu”, a pan Snyder zauważa to i kwituje uśmiechem.

— Ładnie, panie Cain — mówi z mrugnięciem oka. — w tej klasie nie będzie żadnych egzaminów końcowych, ale wasze podsumowujące wypracowania

z „Gron gniewu” złożą się na dwadzieścia pięć procent waszej oceny końcowej. Przygotowałem kilka pytań, żeby wam pomóc sformułować ostateczne przemyślenia na temat tej książki. — Rzuca stos papierów na koniec każdego rzędu, a stamtąd arkusze są przekazywane dalej. — Sporządźcie starannie plan, sformułujcie swoje przemyślenia, zanim zaczniecie pisać wypracowanie.

Wykorzystajcie wszystkie plany rozdziałów, żeby to złożyć w całość. Jest czwartek. Daję wam czas do poniedziałku, żebyście napisali plan na podstawie tych pytań. Opracowania macie oddać do następnego poniedziałku, ostatniego dnia zajęć. Do dzwonka przeczytajcie uważnie pytania.

Luc przegląda kartkę, potem spogląda na mnie z krzywym uśmiechem.

— Chyba będziemy musieli spędzić cały weekend zamknięci w moim mieszkaniu, żeby to zrobić. Pochylam się do niego.

— Będę twoim więźniem czy mogę swobodnie wychodzić i wracać?

— Nie będziesz mogła nigdzie chodzić. — Teraz już się uśmiecha szelmowsko.

Dźwięk dzwonka przywołuje mnie do rzeczywistości.

Kiedy wychodzimy na korytarz, przeżywam wstrząs. Moje serce rzezi i niemal staje. Bo oto Gabe opiera się o moją szafkę, uśmiechając się do mnie jak jakiś anioł.

Boże, jaki on piękny.

Potykam się, a Luc obejmuje mnie w pasie i pomaga zachować równowagę. Oddycham głęboko i ruszam przed siebie.

Kiedy Luc dostrzega Gabe'a, jego ręka sztywnieje.

— Gabriel.

Nie mogę spojrzeć Gabe'owi w oczy, ale w jego głosie słyszę rozczarowanie, które mnie niemal rozrywa na pół.

— Idziesz ze mną na fizykę?

Zerkam na Luca i odsuwam się delikatnie.

— Jasne.

Suniemy milcząco między ludźmi na korytarzu, czuję na plecach żar spojrzenia Luca. Po drodze ani na chwilę nie odrywam wzroku od szarych płytek na podłodze.

Wreszcie, niemal u celu, Gabe przystaje.

— Więc tego właśnie chcesz? — pyta. — Jego? Moje serce jest bliskie eksplozji, bo nie wiem, czego chcę.

— Mo... może.

— Może — powtarza.

Czuję ciężar jego spojrzenia, więc odwracam do niego twarz. Już otwieram usta, ale brak mi słów, więc je zamykam.

Kładzie mi rękę na karku i pochyla się do mnie. Z początku myślę, że mnie pocałuje, i bolesne mrowienie rodzi się w dole mojego brzucha, kiedy zdaję sobie sprawę, jak bardzo tego pragnę. Ale on muska policzkiem mój policzek i szepcze:

— Powiedz mi, co mam zrobić, żebyś zmieniła zdanie.

To.

Czuję się kompletnie oszołomiona, nie pamiętam nawet, jak składać słowa. Smutny uśmiech pojawia się na jego ustach, kiedy kładzie mi dłoń na plecach i już w milczeniu prowadzi na fizykę.

Siadamy na swoich stołkach, a pani Billings podchodzi i rzuca przede mną naręczce przyrządów laboratoryjnych. Skupiam się na zajęciach i próbuję zapomnieć o wszystkim innym. Ale nie sposób zignorować tego bólu wewnątrz, i że tak trudno mi oddychać, i że tak bardzo chcę dotknąć Gabe'a za każdym razem, kiedy na mnie patrzy.

Do końca lekcji jestem kłębkim nerwów. Nie pamiętam nawet, czego dotyczyły zajęcia. Ale kiedy pę-

dzę korytarzem do mojej szafki, widzę Riley i Trevora całujących się gorąco we wnęce przy schowku dozorczy, co poprawia mi nastrój. Mimowolnie wybucham głośnym śmiechem. Taylor się zesra. Docieram do swojej szafki. Luc się o nią opiera, a wygląda goręcej niż piekło. Przyciska mnie do szafek i całuje, a potem otwiera moją szafkę i wymienia mi książki. Czyja mu podałam szyfr? Nie pamiętam.

— Gotowa na imprezę u Sanghettiego?

— Gotowa.

Czuję się trochę głupio, bo teraz kiedy jestem z nim, nie mogę się pozbyć z twarzy tego durnego uśmiechu. Pewnie więc wyglądam jak wariatka, kiedy idziemy do budynku numer dwa, ale do mnie dociera tylko obecność jego gorącej ręki na moich plecach.

Po lekcji ruszamy na lunch, ale chwytam go za ramię.

— Może nie idźmy dzisiaj na stołówkę — mówię, nie do końca gotowa na obecność Gabe'a i Luca w jednym pomieszczeniu.

Uśmiecha się szeroko.

— Masz jakieś inne plany?

— Mam w szafce kilka przekąsek. Jest taki ładny dzień. Możemy pójść na trawnik.

Obejmuje mnie tak, że niemal wydaję głośny pomruk.

— Kusząca propozycja.

Bierzemy łup z szafki, składający się głównie z żel-ków i ciasteczek oreo, w automacie zaopatrujemy się w napój i wychodzimy na podwórko.

Wtedy sobie przypominam, że Reefer z chłopakami grywają tam w czasie lunchu. Patrzą na nas, jak wychodzimy na zewnątrz.

Luc zauważa to i zdejmuję ramię z mojej talii.

— Możemy pójść gdzie indziej, jeśli chcesz. Zerkam na Reefera i macham mu.

— Nie, tu jest okej.

Wybieram miejsce po drugiej stronie klombu na środku podwórka i siadam, opierając się o niego plecami. Kiedy Luc biegnie do auta po koc, ja odchylam głowę i wystawiam twarz do ciepłego słońca, słuchając, jak chłopaki grają. Śpiewam cicho i próbuję nie myśleć o niczym ważnym. Kiedy już mija wieczność, a uświadamiam sobie, że Luc jeszcze nie wrócił, otwieram oczy i widzę, że siedzi przede mną na trawie uśmiechnięty.

— Nie powiedziałaś mi, że umiesz śpiewać. Spuszczam wzrok i czuję rumieniec na policzkach.

— Już nie za bardzo.

Wstaje, by rozłożyć koc na trawie. Sadowimy się na nim, ja kładę się na plecach i wbijam wzrok w niebo. Kiedy podnoszę głowę i spoglądam na Luca, on wciąż się we mnie wpatruje z ledwie widocznym uśmiechem. Nagle chcę go pocałować.

— Mam wrażenie, że skrywasz wiele tajemnic, Mary Francis Cavanaugh.

Odwracam wzrok i wzdycham.

— Niekoniecznie. A swoją drogą dlaczego z takim uporem czepiasz się Sanghettiego? — mówię, żeby zmienić temat, wspominając, jak sprzeczali się całą lekcję. Znowu.

— Spełniam tylko swój obowiązek.

— Naprawdę? — Otwieram ciasteczka. — A na czym on dokładnie polega?

— Doprowadzić go do kłamstwa, oszustwa czy czegokolwiek trzeba.

— Trzeba do czego?

— Żeby posłać go do piekła. — Wpatruje się w moje oczy, czekając na reakcję.

Uśmiecham się tylko, bo już dawno skumałam, że on taki jest.

— Dlaczego on? Dlaczego nie pan Snyder albo pani Felch?

— Bo oni mnie nie drażnią.
— A ja cię drażnię? Uśmiecha się szeroko.
— Ty mi tak działasz na nerwy... to irytujące drobne swędzenie, które nie ustaje.
— Cóż, ja i tak już mam zapewnione piekło, więc się spóźniłeś.
— Tak sądzisz? —jeszcze szerzej się uśmiecha. Rozpuszczam włosy i przesuwam się, żeby położyć głowę na jego udzie jak na poduszce.
— Tak. — Rozłączam swoje ciasteczko i zębami zeszkrobuję biały krem. — I ty też tam będziesz. Wiem to — mamrocę z ustami pełnymi tłustego kremu.
— Ponad wszelką wątpliwość — mówi, palcem odgarniając mi włosy z twarzy. Kiedy kończą nam się ciasteczka, wstajemy z koca i ruszamy do budynku. Taylor atakuje mnie zaraz za drzwiami.
— Tęskniliśmy za wami. Randka na osobności? — pyta z podniesioną brwią.
— Półprywatna. Reefer i kapela nam przygrywali.
— To romantyczne — śmieje się.
Zza niej wyłania się Gabe i patrzy na mnie, ignorując Luca.
— Możemy pogadać?
Uśmiech Taylor staje się jeszcze jaśniejszy, kiedy wychodzę z Gabe'em na podwórko. Opiera się plecami o ścianę, zupełnie swobodnie, ale twarz ma napiętą.
— Frannie... — Wzdycha i na chwilę podnosi wzrok na czyste niebieskie niebo, a ja słyszę w uszach dudnienie serca. Wreszcie z powrotem opuszcza wzrok na mnie. — Chyba chcę tylko, żebyś wiedziała, że cokolwiek się z nim stanie... z czymkolwiek... to ja tu jestem. — Ujmuje dłonią moją twarz, kciukiem przesuwa po

wargach, rozpalając w nich ogień. — Ale proszę, pomyśl o tym. Lucyfer... jest niebezpieczny.

Odsuwam się od niego.

— Ty też!

Rozdziawiam usta. Czyja to powiedziałam na głos? Ze smutnego uśmiechu Gabe'a widzę, że owszem.

O Boże. Co jest ze mną nie tak?

— Chciałam powiedzieć... — Ale milknę, bo nie mam pojęcia, co chciałam powiedzieć.

Odwracam się i odchodzę do budynku, z twarzą płonąca ogniem, i zastaję Luca i Taylor czekających tuż za drzwiami. Luc patrzy gniewnie na Gabe'a, a Taylor pytająco podnosi brwi.

Pędzę do swojej szafki, zostawiając ich daleko za sobą, i unikam ich jak zarazy przez resztę dnia. Ale na ostatniej godzinie, w sali do WOS-u, Luc siada obok mnie.

— Masz po szkole wolny czas?

Wiem, że powinnam powiedzieć, że nie, ale nie mówię, więc po lekcji idzie ze mną do szafek, skąd biorę swoje książki. Potem ruszamy na parking, a ja absolutnie doskonale wiem, że Luc mnie obejmuje, ale nie jestem pewna, czy tego chcę czy nie. Wreszcie dochodzę do wniosku, że chcę ale nim dotrzemy do drzwi, zauważam Angelią Preston, która zabija mnie wzrokiem. Ręce krzyżuje na klatce piersiowej, niemal wypychając sobie cycki z bluzki.

Uśmiecham się do niej znacząco, najlepiej jak

umiem. . Kiedy przechodzimy, patrzy na Luca, jakby mieli wspólną tajemnicę.

I nagle gwałtownie wracam na ziemię.

Patrzę na Luca. Wiem, że nie mogę mu ufać. Dlaczego więc mu ufam? Nawet jeśli pragnę tylko jego ciała, nie raduje mnie perspektywa dzielenia się nim z Angelią. Kiedy wsiadamy do jego auta, zaczynam

się zastanawiać, czy nauka u niego to taki świetny pomysł. Niemal sugeruję, żebyśmy jednak pojechali do mnie, ale naprawdę nie chce mi się użerać z kosmitami, którzy zastąpili moich rodziców. Wpatruję się w niego, gdy opuszczamy parking, i widzę na ustach uśmiech zadowolenia.

— Więc co jest między nami? Uśmiecha się jeszcze szerzej.

— A co byś chciała?

Nie mam nastroju do gier.

— Skończ z pieprzeniem i odpowiedz na moje pytanie.

LUC

— O rany. No dobra...

Kiedy się zastanawiam nad pytaniem Frannie, nie jestem do końca pewien, co odpowiedzieć. Nie jestem pewien, co by ją przeraziło bardziej: „Chcę iść z tobą do łóżka” czy „Chcę oznaczyć twoją duszę dla Piekła”. Prawdziwe jest jedno i drugie. Ale poza tym wszystkim jest coś jeszcze — coś głębszego, co odzywa się w trzewiach i nie pozwala mi myśleć, ilekroć jestem z nią. Coś, czego nawet jeszcze nie zacząłem określać ani formułować.

Co ona chce ode mnie usłyszeć? Zaczynam ostrożnie i obserwuję jej twarz.

— No, nie jestem pewien... Bardzo cię lubię. — Nedomówienie stulecia. — Więc może po prostu zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. — Na przykład do Piekła.

Gwałtownie wciąga powietrze.

— Tak, to chyba dobre wyjście. — Spogląda jakoś niepewnie i dodaje: — Ale jestem ciekawa.

Dlaczego ja?

— Dlaczego co?

— Angeliq̄ue, Cassidy, Taylor... połowa dziewczyn w szkole rzuca się na ciebie. Dlaczego chcesz chodzić ze mną?

— Powiedzmy, że z niejednego pieca już chleb jadłem, ale nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Frannie. Jesteś jedyna w swoim rodzaju. — Sama prawda. I jesteś też moim celem.

Idziemy po schodach do mojego mieszkania, a kiedy otwieram drzwi, uświadamiam sobie poniewczasie, że powinienem był być bardziej ostrożny. Na moim łóżku w ciekawej pozycji leży długa, smukła kruczowłosa piękność o lśniących czarnych oczach i kuszącym spojrzeniu, odziana w... powiedzmy, że skąpo odziana.

— Avaira — mówię zdumiony.

Oczy Frannie miotają wściekłe błyskawice i wyrzuca w górę ramiona.

— Wiedziałam! — prycha, robiąc w tył zwrot. — Ale z ciebie dupek — dodaje, nie odwracając się. I wyczuwam pieprz jej gniewu. Mhm...

To jasne, że mój radar szwankuje. Najpierw Belial nad kamieniołomem, teraz Avaira w moim łóżku. Powinienem wiedzieć o jej obecności, zanim w ogóle otworzyłem drzwi. I nie chodzi tylko o to, że Frannie mnie rozprasza. Moja psychiczna więź z nikczemnym systemem poważnie się osłabia.

Belial i Avaira — dynamiczny duet. Nagle w tym mieszkaniu zaroilo się od demonów. Co oznacza, że Frannie nie jest bezpieczna.

Śmieję się, kiedy dociera do mnie, co pomyślałem. Frannie nie jest bezpieczna od mojego przybycia. Zatrząskuję drzwi i pędzę za nią korytarzem.

— Frannie, zaczekaj! — Ale ona nawet nie zwalnia. — To nie jest tak, jak myślisz. To moja... kuzynka! — krzyczę, biegnąc za nią.

Niemal u szczytu schodów obraca się do mnie, a kiedy ją doganiam, rzuca:

— Kawał zasrańca z ciebie!

Uśmiecham się, próbując trochę to rozładować.

— Czy ja cię kiedykolwiek okłamałem? Patrzy na mnie groźnie.

— Tak.

Może to nie najlepsza taktyka.

— No... — i już chcę opowiadać, jak to teraz nie kłamię, ale kłamię, więc byłoby to kłamstwo.

— Wiesz co? Możesz wziąć swoją „kuzynkę” i iść z nią do diabła — mówi, po czym odwraca się na pięcie i puszcza pędem po schodach.

— Dokąd idziesz?

Nie mówi nic — bardzo, bardzo głośno.

— Przynajmniej odwiozę cię do domu. Ciagle nic.

Idę za nią na dół i na parking, starając się nie uśmiechać. Nie ma pojęcia, jaka jest ponętna, gdy tak się wścieka.

— Dobra, no to cię odprowadzę. Nie patrzy na mnie.

— Zostaw mnie w spokoju, do diaska.

Tyle że diasek nie chce jej zostawić w spokoju. Tyle wiadomo na pewno.

Cofam się i puszczam ją. Jakby. Ale nie zamierzam tracić jej z oczu. Bo jeśli tutaj jest Avaira, to i Belial jest niedaleko. Natężam szósty zmysł, żeby go usłyszeć. Bez skutku. Ale on tu jest, wiem to. Bo jest także oczywiste, że Avaira miała posłużyć do odwrócenia mojej uwagi albo przynajmniej do rozproszenia, podczas gdy on ruszy za Frannie. Stwory Żądy myślą, że wszyscy mają tylko jeden cel, tak jak one.

Oddaliśmy się niespełna pół kilometra od mojego mieszkania, ja czaję się w tyle, kiedy pochwytyuję ślad myśli Beliala. Gniew. Nie umiem powiedzieć, czy to

na mnie jest wściekły, że przeszkadzam, czy na Ava-irę, że nie odwróciła mojej uwagi. Tak czy owak, idę dalej i zmniejszam odległość do Frannie, jestem czujny.

Ale już mam ją zawołać, kiedy przy krawężniku obok niej zatrzymuje się biały charger. Najwyraźniej nie tylko ja pilnuję Frannie. I po raz pierwszy cieszę się, że ma anioła za skrzydłowego.

FRANNIE

— Cześć — mówi Gabe, kiedy wsiamam do jego samochodu.

— Cześć, dzięki — odpowiadam z ulgą.

— Wyglądasz kiepsko.

— Dzięki — patrzę na niego spode łba.

— Nic ci nie jest?

— Powiedz to.

— Co? — podnosi brew pytająco.

— A nie mówiłem. Widzę, że nie możesz się doczekać, żeby to powiedzieć. Zrób to, i nie będę tu musiała siedzieć i czekać na te słowa jak kretyńka.

— Dobra. A nie mówiłem.

— Chyba się zaparłam przy głupocie — mówię, zerkając przez tylną szybę na Luca, który znika w od-dali.

Uśmiecha się promiennie.

— Nieprawda. Przecież doznałaś olśnienia, co? Też się uśmiecham.

— Tak, chyba tak.

— Jesteś po prostu w tej niezwykłej sytuacji, że musisz bardzo uważać, czego pragniesz.

Że co?

— Że co? Patrzy przed siebie.

— Zauważyłaś może, że jeśli naprawdę czegoś chcesz, zwykle to dostajesz?

— Nie.

Przychodzi mi do głowy mnóstwo rzeczy, których chciałam, a ich nie mam, poczynając od odzyskania brata. Ale przez krótką chwilę zastanawiam się, bo chciałam Luca — idiotka — i poniekąd go dostałam. I Taylor. Jeszcze nigdy nie zrezygnowała z chłopaka. Ale wczoraj wieczorem... Kręcę głową.

— Nie — powtarzam już z większym przekonaniem.

Wzrusza ramionami i zostawia temat, sięga natomiast ręką do mojej dłoni i splatamy palce. Znowu czuję ten zapach, jak śnieg latem.

— Chcesz do mnie zajść na chwilę?

— Tak. Możemy popracować nad fizyką.

— Jasne — uśmiecha się.

Dom Gabe'a stoi niedaleko od mojego i wygląda jak wszystkie inne domy w naszej okolicy: dwa piętra z białym sidingiem, czarne okiennice i długa weranda od frontu. W rogu werandy stoi w donicy wielgachny zygotaktus, przy drzwiach zaś huštawka. Do wejścia prowadzi szara ścieżka wycięta w zielonym trawniku, otoczona niskimi ostrzyżonymi krzakami. Idę za nim i wchodzę do domu.

Za progiem trafiamy do salonu. Zajmuje całą szerokość domu, ma okna po obu stronach drzwi, wychodzące na ganek. Po prawej stronie są schody na górę, po lewej łukowate wejście do kuchni.

Ściany i dywan są białe, podobnie jak kanapa pod ścianą naprzeciwko wejścia i dwa krzesła o wysokich oparciach pod oknami. Nie ma telewizora, ale na półeczkach w rogach stoją białe głośniki.

— Jeszcze się wprowadzasz? — pytam, rozglądając się po pustych ścianach.

Z uśmiechem wzrusza ramionami.

— Tak jest ładnie. Nie mamy wielkich potrzeb.

— Tak, ale... — milknę, bo nie wiem, co powiedzieć. Wydaje się dziwne, że nie ma zdjęć rodzinnych ani bibelotów. Moja mama wszędzie ma zdjęcia i inne duperele. Ale kiedy siadam na kanapie, stwierdzam, że pomimo pozorów skromności tutaj jest ciepło i miło.

— Mam lekarstwo na wszelkie zło — mówi Gabe i znika w kuchni.

Wygrzebuję z torby podręcznik do fizyki. Po chwili Gabe wraca z wielką miską lodów kawowych i dwiema łyżeczkami i siada koło mnie. Wcisną guzik białego ipoda na białym stoliku. Rozbrzmiewa muzyka, jakby ze wszystkich stron.

— Nie masz nic przeciwko, żebyśmy jedli z jednej miski? — pyta.

— Ani trochę. — Chwytam łyżeczkę i nabieram dużą porcję. — To moje ulubione.

Znowu uśmiecha się promiennie i przeczesuje dłonią włosy.

— Chyba działa.

Też się uśmiecham, bo ma rację. Nie wiem, czy to on, czy lody, ale nawet jeśli teraz Luc rżnie tę swoją pannę, i tak mnie to nie obchodzi.

Dobra, kiedy o tym myślę, wiem, że to kłamstwo, ale tylko trochę chcę go zabić w tej chwili — i w bardziej humanitarny sposób, na przykład nożem albo z broni palnej, a niekoniecznie gołymi rękami. Kończymy lody i rozsiadam się wygodnie na kanapie. Zastanawiam się, czy otworzyć podręcznik do fizyki, i próbuję sobie wmówić, że to dobry pomysł, ale nie osiągam sukcesu perswazyjnego.

Gabe też się rozsiada wygodnie i obejmuje moje ramiona.

— Jak się czujesz?

— Dobrze — mówię, opierając czoło o jego ramię i zastanawiając się, jak to możliwe, że nadal tak bardzo pragnę Luca.

Jakby czytał w moich myślach, kładzie mi na policzku chłodną dłoń i odwraca ku sobie moją twarz.

— Zapomnij o nim. To dupek.

Patrzy mi w oczy tak samo jak Luc — jakby widział moją duszę. Nagle czuję jakąś silną falę emocji i chce mi się płakać. Zaciskam powieki, skupiam się na muzyce i przetykam łzy. Ale przed oczami mam twarz Luca.

— Dupek — powtarzam wciąż z zaciśniętymi powiekami, wmawiając sobie, że to prawda.

Czuję usta Gabe'a, jak skrzydła motyla, delikatne na moim czole. I zanim zdam sobie sprawę z tego, co robię, kładę dłonie na jego twarzy i przyciskam usta do jego warg. Słyszę, że wstrzymuje oddech i waha się, ale nagle mnie obejmuje, ściska mocno i jego usta poruszają się na moich. I czuję chłodne zimowe słońce.

W pocałunku Gabe'a jest spokój, którego nigdy nie poznałam. Spokój tak ogromny, że w ogóle nie pamiętam nienawiści, gniewu ani bólu. I miłość, bezkresna i bezwarunkowa. Jego pocałunek przybiera na sile, a ja chcę tak zostać na zawsze.

Ale nagle jego dłoń na moim policzku, ta, która mnie przyciągała, delikatnie mnie odpycha, a Gabe się odsuwa. Wpatruję się w jego niezgłębione niebieskie oczy, zatracam się tam, a jego kciuk śledzi linie moich warg. Kiedy znowu sobie uświadamiam, gdzie jestem, nie wiem, jak długo się całowaliśmy. Zupełnie jakby wieczność minęła w mgnieniu oka. I dopiero kiedy umieszcza mnie z powrotem na kanapie, pojmuję, że spragniona bliskości jego ciała, siadłam na nim.

Wreszcie otwiera oczy, puszcza mnie i opiera się czołem o moje czoło.

— Muszę cię zawieźć do domu — mówi ledwie szeptem. Kiedy otwiera oczy, widzę żal. Nie patrząc na mnie, wstaje i podchodzi do drzwi.

Spokój zniknął, jakby go nigdy nie było, a mnie ogarnia frustracja i gniew. Dźwigam się z kanapy i zarzucam torbę na ramię.

— Naprawdę jestem taka odpychająca?

— Ja jestem. — Odwraca się i wychodzi.

ROZDZIAŁ 14

Jeden diabeł

LUC

Po tym co się stało wczoraj z Avairą, uznaję, że to najbardziej zagmatwany dzień całej mojej żalostnej egzystencji. Siedzenie obok Frannie na angielskim — kiedy chciałem powiedzieć coś, dotknąć jej — było udręką porównywalną z ogniami piekielnymi. Przez resztę dnia mnie unikała, i zupełnie słusznie. Ale po ostatnim dzwonku, kiedy spojrzała na mnie... to spojrzenie niemal mnie zabiło.

Ostatniej nocy byłem żywym piekłem. Myślałem o niej. Musiałem ją zobaczyć. Pojechałem za Gabrielem, kiedy ją wysadził pod jej domem, i spędziłem tam całą noc, w samochodzie, jak zwykle. Musiałem się hamować, żeby nie wspiąć się na drzewo i nie przejść przez okno. Okrągły dzień się miotalem na wszystkie strony, bo wciąż nie miałem pojęcia, co robić. Jedyne, czego byłem pewien, to że muszę ją chronić przez Be-lialem — z mnóstwa powodów.

Kto by to pomyślał? Ja jako opiekun, obrońca? No śmiech na sali.

Ale nie mogę dopuścić, żeby Belial ją zgarnął. Frannie to moje zadanie i poza tym, że zdecydowanie nie chcę spłonąć w Czułości Ognia, duma nie pozwoli mi pogodzić się z klęską. Jeśli ona jest taka cenna, chcę chwały za jej duszę. Ale przede wszystkim wiem, jak

Belial pracuje, i nie zniosę myśli, że będzie ją dotykał, że jej dusza będzie z nim związana — z plugawym inkubem. Nękają mnie dreszcze, kiedy oczyma wyobraźni widzę to, czego nie chcę widzieć — ona z nim, w taki sposób. Nie!

Tak nie będzie. Już wolę, żeby wygrał Gabriel. Bo ją kocham.

To musi być to właśnie uczucie — zawrotny pęd, który czuję, kiedy na nią patrzę, to, że wszystkie moje wnętrzości wyją, kiedy myślę, jak Belial ją bierze, ta nienasycona potrzeba przebywania z nią. Jak to możliwe? W bejsbolu nie ma płaczu, w piekle nie ma miłości. Takie są zasady. Można by powiedzieć mniej więcej, że religia nam tego zabrania. To stoi w jawnej sprzeczności ze wszystkim, czym jesteśmy.

Ale ona jest, i jest prawdziwa, i nic nie mogę na to poradzić. Co oznacza, że muszę chronić ją również przede mną. Jeśli wezmę ją tak, jak chcę, będzie należała do Piekła, ale nie do mnie. Ma dar widzenia. Król Lucyfer wykorzysta ją, aż z jej duszy zostanie tylko pusta łuska, potem strąci ją do pozostałych Cieni. Widziałem to wielokrotnie. Umrze na wiele sposobów: ciałem i duszą.

Nigdy wcześniej nie kwestionowałem zadania. Nie mam do tego prawa. Większość śmiertelników zasługuje na to, co dostają. Ale Frannie jest inna. Nie kłamałem, kiedy powiedziałem jej, że jeszcze nigdy nikogo takiego nie spotkałem. Ona nie zasługuje na ten los.

Patrzę, jak płoszy się na ostatniej lekcji WOS-u, i bardzo chcę ją gonić, objąć i naprawić wszystko.

Ale prawda jest taka, że nie mam szans tego zrobić, bo to ja jestem źródłem jej cierpienia — ja i moi bracia. Nie ruszam się więc z miejsca i patrzę, jak idzie do wyjścia.

Dziesięć minut później dalej siedzę w swojej ławce i wpatruję się w drzwi, kiedy podchodzi do mnie trener Runyon. Pociera dłonią popołudniowy zarost.

— Luc, coś ci jest? Bo musisz iść na koszykówkę.

— Nie — mówię, wstając. — Przepraszam, zamyśliłem się.

— Tak, to nawet widzę. — Jego brązowe oczy błyskają, kiedy okrągła twarz rozciąga się w znaczącym uśmiechu, odsłaniając krzywe zęby. Kiwa głową jak mędrzec, jakby kumał te wszystkie szaleństwa z dziewczynami. Chciałbym, żeby to było moje główne zmartwienie, ale to całe Piekło bardziej mnie martwi w tej chwili.

— Grałeś w jakąś piłkę? — pyta mnie, kiedy idziemy do drzwi. — Masz idealną sylwetkę. Mamy zapotrzebowanie na takie mięśnie przy platterze.

— Od lat nie grałem — odpowiadam. Ale kiedy przechodzimy przez drzwi, serce mi wpada do żołądka, kiedy mój szósty zmysł iskrzy. Belial! O czym ja myślę?! On czeka na sposobność, a ja właśnie mu ją dałem. Powinienem podążyć za nią na parking, żeby się upewnić, że bezpiecznie dotrze do domu. O piekło i szatani! Jak mogłem być tak nieostrożny?

— Pomyśl o tym! — krzyczy za mną, kiedy robię w tył zwrot i ruszam pędem do szafki Frannie. Nie ma jej nigdzie. Starając się opanować panikę, zsuwam się na podłogę i siadam z rękoma na głowie, plecami do mojej szafki, walczę, żeby zebrać myśli. Nic jej nie jest. Nie może jej nic być. Muszę znaleźć Taylor i Riley.

Zrywam się z podłogi, biegnę korytarzami i dopadam je w drodze na parking.

— Cześć, dziewczyny, widziałyście Frannie? — pytam, bez powodzenia usiłując ukryć panikę.

— Masz wielkie szczęście, że nie dostaniesz kopa w dupę — warczy Taylor, patrząc spode łba.

— Dobra, jasne... kumam. Możecie później mi nakopać, ale naprawdę muszę wiedzieć, gdzie jest Frannie.

Riley w końcu dostrzega moje zdenerwowanie.

— Co się stało?

— Nic wielkiego w zasadzie. Po prostu muszę z nią pogadać.

— Dlaczego? — patrzy nieufnie.

— Muszę po prostu wiedzieć, że nic jej nie jest. Oczy Riley łagodnieją i zaczyna otwierać usta, żeby coś powiedzieć, ale Taylor ją ubiega.

— Powinieneś o tym pomyśleć, zanim nachrzani-łeś z tą swoją niby-kuzynką! — wyrzuca.

— Więc naprawdę nie wiecie, gdzie ona jest?

— Nie mamy pojęcia. Może na randce z Gabe'em — uśmiecha się szyderczo Taylor.

Patrzę na Riley, najwyraźniej załamana. Kręci głową. Chowam twarz w dłoniach, uspokajając burzę, która szaleje mi pod czaszką.

— Dobra, dzięki.

Biegnę do samochodu, mój szósty zmysł wyje. A jeśli Belial ją dopadł? Jeśli ją ma, to przy dziesięciu minutach przewagi, które mu dałem, jest już za późno. Z mojego gardła wydobywa się jęk, kiedy wyobrażam sobie, co on jej teraz robi, i czuję znowu w piersi tę gorącą pulsującą bryłę. Niech to wszyscy diabli! Jeśli na taki los ją skazałem, to chętnie spłonę w Czeluści Ognia.

Belial jej nie dopadł. Nie mogę tak myśleć. Wskakując do samochodu, wysyłam ten przekaz w świat, rozważając wszystkie ewentualności. Jeśli nie jest z Taylor i Riley ani nie jest ze mną, pozostaje garstka ludzi, z którymi może być. Nigdy nie sądziłem, że wyrażę nadzieję, że Frannie jest z Gabrielem. Ale teraz mam nie tylko taką nadzieję. Modłę się o to.

Zastanawiam się, czy przenieść się do jego domu, ale jeśli mam dopaść Frannie, muszę mieć samochód.

Pędzę przez miasto, ignorując znaki stopu i ograniczenia prędkości, i staję pod domem Gabriela, koncentrując się. Przez tę całą cholerną niebiańską osłonę zarzuconą na budynek, nie umiem zgadnąć, czy Frannie jest w środku. Okrążam kwartał, potem staję kilka domów dalej na ulicy i przenoszę się w krzaki za domem Gabriela. Czekam w nadziei, że zerknę do środka przez okna.

A jeśli marnuję czas i jej tu nie ma? Jeśli dorwał ją Belial —jeśli jest już oznakowana albo gorzej? Zalewa mnie panika i sram na całą ostrożność. Pokonuję schody co drugi stopień i pukam.

FRANNIE

Gabe w zasadzie na mnie nie patrzy, i dobrze, bo ja nie mogę się zmusić, żeby patrzeć na niego. Ale nie mogę przestać myśleć o tym, jak się czułam, kiedy pocałował mnie wczoraj, i że chcę tak poczuć się znowu.

Siedzę przy jego białym kuchennym stole w krępującej ciszy, z furą lodów kawowych przed nosem. Jedyne powód, dla którego się tu znajduję, jest taki, że wypadłam ze szkoły o dzwonku, nie idąc nawet do szafki, a on znalazł mnie wciśniętą za słup, ukrywającą się przed Lukiem.

— Chcesz pracować nad tym zadaniem z fizyki? — pyta wreszcie.

— Tak, dobrze by było, bo zapomniałam podręcznika. — To może nie do końca prawda. Nie tyle zapomniałam, co porzuciłam go wraz z resztą zawartości mojej szafki.

Wyciąga z torby swój podręcznik i rzuca go na stół, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Marszczy brwi i wstaje z krzesła.

— Zaraz wracam — mówi, kładąc dłoń na moim ramieniu, a potem znika w salonie.

Otwieram jego książkę od fizyki i próbuję znaleźć właściwą stronę, ale mam problem z jasnością myślenia. Właśnie biorę do ręki ołówek, kiedy dobiegają mnie stłumione głosy z ganku. Bardzo się staram je zignorować... dopóki nie rozpoznaję podniesionego głosu Luca.

— Jest tu czy nie?

Wstaję i ruszam przez salon do okna, wściekła na siebie, że się tym przejmuję. Próbuję się zmusić, żeby sięść z powrotem i zignorować go. Ale oczywiście to niemożliwe, bo mam obsesję, a poza tym jestem głupia i pewnie nawet obłąkana — więc przez okno wyglądam na werandę. Luc tam jest, wygląda strasznie, oczy mu płoną, twarz ma wykrzywioną, zęby odsłonięte.

— Uspokój się. Jest tu. — Gabe mówi cicho i muszę bardzo wyteńczyć słuch, żeby go zrozumieć.

Patrzę, jak potężne westchnienie unosi klatkę piersiową Luca. Panika znika z jego twarzy. Zwiesza głowę i mówi:

— Jest bezpieczna... To dobrze. Gabe uśmiecha się szeroko.

— Facet, wiesz, że tym razem naprawdę zawałiłeś. Moje serce zamiera, kiedy Luc odpowiada:

— Dobrze. — Kiwa głową w zamyśleniu, a potem podnosi wzrok na Gabe'a z ulgą: — Przypilnujesz, żeby bezpiecznie wróciła do domu?

Gabe przygląda się badawczo jego twarzy.

— Powiedz mi, co jest grane. Luc cofa się do schodów.

— Przypilnuj tylko, żeby weszła bezpiecznie do domu i zamknęła drzwi — mówi, odwracając się do samochodu i odchodząc.

A kiedy idzie do samochodu, strasznie chcę pobiec za nim. Bo chcę go zabić. Ale też chcę go pocałować.

Myśl, że już z nim nie będę, że już go nie dotknę, jest jak postrzępiona mała tabletką, po której przełknięciu moje wnętrze zamieniają się w krwawiącą masę. Chociaż trudno mi to przyznać samej przed sobą, to, co czuję do Luca, jest bardziej niż fizyczne. Nie jest to miłość, ale coś jest.

Jak to możliwe, że pragnę ich obu?

Przekradam się z powrotem do kuchni, kiedy drzwi frontowe otwierają się szeroko.

— Kto to był? — pytam absolutnie niewinnie, ale zdradza mnie drżenie w głosie.

Najwyraźniej Gabe jest w mało wylewnym nastroju.

— Nikt — odpowiada, ale jego niebieskie oczy są o ton ciemniejsze niż zwykle, a czoło się marszczy, kiedy opiera się o blat.

— Co się dzieje?

Uśmiecha się tym absolutnie nieprawdziwym uśmiechem, jakby to miało mnie przekonać.

— Nic, czym powinnaś się martwić. Wszystko w porządku.

Nie mogę tego znieść. Muszę wiedzieć.

— Wiem, że to był Luc. Czego chciał? — wyrzucam. Podnosi na mnie nieufny wzrok.

— Ciebie najwyraźniej.

Patrzę na swoją dłoń rozłożoną na stronach książki Gabe'a. Moje nogi trzęsą się pod stołem, tak strasznie chciałabym się zerwać i pobiec za Lukiem. Bardzo się staram mówić spokojnie.

— Dlaczego?

— Musisz zapytać jego — odpowiada z lekka zdenerwowany. Wzdycha i siada na krześle obok mnie, przyciągając moją uwagę. Patrzy mi w oczy. — Jeśli chodzi o wczoraj... — mówi bardzo łagodnie, waląc z grubej rury.

Z jęknięciem opuszczam wzrok na swoje dłonie. Nie mam pojęcia, co powiedzieć — co czuję.

Milczy przez niezręczną chwilę.

— Przepraszam... — odzywa się w końcu — bardzo przepraszam wiesz za co.

Oczywiście. Dlaczego miałbyś chcieć być ze mną? A czy ja chcę być z nim?

Czuję się oszołomiona, jak zając w świetle reflektorów. Nic nie mogę powiedzieć, żeby poprawić sytuację. Podnoszę głowę i spoglądam na niego. On tylko wpatruje się we mnie przez kolejną minutę, a potem opuszcza wzrok na podłogę.

— Więc kiedy mnie pocałowałaś... — Podnosi wzrok i przyciąga mój. Odsuwam krzesło, bo potrzebuję miejsca, i wchodzę do salonu, gdzie padam na kanapę.

Gabe staje na progu.

— No to chyba wszystko wyjaśnione — mówi z wymuszonym uśmiechem.

— Nic nie wyjaśnione. — Chowam twarz w dłoniach. — Mam taki mętlik w głowie. Nie mogę przestać myśleć o Lucu. Ale nie mogę mu ufać. A ty... — Nawet nie wiem, jak dokończyć tę myśl.

— Masz rację. Nie możesz mu ufać. — Siada koło mnie i obejmuje mnie ramieniem. I sądząc po reakcji mojego ciała, z tego jak wywracają mi się wnętrzności, jemu najwyraźniej też nie mogę ufać. Kiedy podnoszę na niego wzrok, zapiera mi dech. W tych głębokich niebieskich oczach widzę wszystko, co chcę.

Ale dostrzegam, że on też ze sobą walczy. Podnoszę rękę i dotykam jego policzka, a on wciąga mnie sobie na kolana. Kiedy mnie całuje, jest to mniej rozpaczliwe niż ostatnim razem. Delikatne i łagodne i tak czułe, że nie odczuwam już żadnego bólu. Przyciskam się do niego mocniej, chcąc być jak najbliżej niego, i otulam się jego spokojem i miłością.

O Boże, czy ja go kocham?

Przyciągam go do siebie, kiedy łzy płyną z moich oczu, a on tym razem mnie nie odpycha. Wręcz przeciwnie. Mimo że cała pulsuję z gorąca, czuję dreszcze.

Mija wieczność, nim odsuwam się, by na niego spojrzeć. Zastanawiam się, jak mogłam kiedykolwiek pragnąć czegokolwiek innego. I prawie wierzę w miłość. Bo ona oto jest przede mną, na jego twarzy. Kciukiem ściera łzy z moich policzków.

— Przepraszam — mówię nie do końca pewna, za co tym razem. Pewnie za wszystko.

Kładzie mi palec na ustach.

— Nie, nie przepraszaj. — Przyciąga mnie do siebie i wtula twarz w moje włosy. Zauważam, że on też drży.

Odsuwam twarz od jego ramienia i patrzę na niego.

— Już okej?

Kiwa głową i uśmiecha się, ale jego uśmiech jest wymuszony, a oczy pełne wątpliwości. Wyczuwam, jak moje wnętrzości ściągają się w twardą kulę, bo ani trochę nie czuję się okej. Jestem takim gównem. Opuszczam głowę na pierś.

— Jestem taka popieprzona.

— Nic nie możesz poradzić na swoje uczucia, Fran-nie.

— Owszem, mogę. — W każdym razie zawsze mogłam.

— Nie, nie możesz, ale musisz uważać, czego pragniesz.

Pomimo letniego śniegu moja kipiąca frustracja przelewa się. Słyszeć to w moim głosie.

— Ciągłe to powtarzasz. Co to znaczy?

— To znaczy, że masz nad swoim światem o wiele więcej kontroli, niż sądzisz. — Patrzy na mnie przenikliwie i trochę mnie przeraża.

Odsuwam się od niego i wstaję z kanapy.

— Chyba się mylisz, Gabe. Nie mam kontroli absolutnie nad niczym.

— Jeszcze się przekonasz.

— O czym?

— O wszystkim.

Czuję zimny dreszcz. Gabe wstaje i otula mnie ramionami.

— Wszystko będzie dobrze, Frannie.

Ale jakoś nie słyszę pewności w jego głosie. Zupełnie nie.

LUC

Wrrr!

Najbardziej pogmatwany dzień mojego życia to teraz oficjalnie najbardziej piekielny dzień mojego życia. A to już coś mówi.

Krażę po okolicy, próbując się uspokoić i przejaśnić sobie w głowie. Mam jeden priorytet: moje zadanie. Praca, którą wykonuję od pięciu tysięcy lat. To nie jest technologia kosmiczna ani chirurgia mózgu

— z których każdą łatwiej byłoby mi pojąć niż Frannie. To tylko oznaczanie jednej duszy dla Piekła.

Bułka z masłem. Dlaczego więc nie mogę tego zrobić?

Pytanie retoryczne. Nieważne, czemu nie mogę tego zrobić. Ważne wyłącznie, że nie mogę — co jest boleśnie oczywiste.

Frannie jest z Gabrielem. Jest bezpieczna, nie grozi jej nic ze strony Beliala ani z mojej.

Pogląsniam sprzęt i znowu mijam dom Gabriela, raz, dwa razy, trzy. Za każdym razem zwalniam, w desperackiej nadziei że dojrzę Frannie przez okno. Objeżdżam okolicę, mijam dom Frannie, Taylor, raz za razem, próbując rozgryźć, co się ze mną dzieje

— przeżywając na nowo ostatnie trzy tygodnie swojej egzystencji.

Płonę żywcem, ale jednocześnie tonę w udręce emocji, których demony nie odczuwają. Jak mam ich powstrzymać?

Nie mogę oddychać. Nagle przypominam sobie, że nie muszę. Ale dziura w mojej piersi wciąż boli.

Skup się! Co teraz?

Przy dziesiątym okrążeniu wiem, co musi się wydarzyć. Chociaż rozrywa mnie na samą myśl o tym, muszę odejść i zostawić sprawę Belialowi. Ja pozwoliłem sobie podejść zbyt blisko.

Jeszcze raz mijam dom Gabriela i czuję ból głęboko w piersi, kiedy skręcam na zachód, do siebie.

Kiedy tam dotrę, przemieszczę się do Piekła i zniknę z życia Frannie.

Zamierzam przemieścić się za wysoki Mur Piekielny, obchodząc Bramy (przywilej należny demonom pierwszego stopnia), bo naprawdę nie mam nastroju użerać się ze Stróżem. Ale kiedy moje stopy dotykają ziemi, niezaprzeczalnie znajduję się poza kamiennymi murami i poza Bramami. To nie jest dobry znak. Cofnięto mi przywileje. Kiedy zbliżam się do Bram, Stróż Minos przygląda mi się uważnie jednym zezującym krwistym okiem pośrodku długiego, wąskiego, węzowego oblicza.

Pochyla wysoką, lśniącą, pokrytą łuskami postać, żeby przyjrzeć mi się z bliska.

— Wypadliśmy z łask, nieprawdaż? — mówi z błyskiem zębów jadowych i pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem. Jego wysoki głos przeszywa moje bębunki, wzmagając rosnący ból głowy.

Zbyt przybity, by się spierać, opieram się o żelazną Bramę.

— To się okaże.

Może odmówi mi wstępu. I dobrze. Ale na jego twarzy mroczne przeczucie miesza się z oczekiwaniem, kiedy odsuwa się, by mnie przepuścić.

— Czekaliśmy na ciebie. Będę później przy Czeluści, chcę zobaczyć, jak wylatujesz.

— Zrobimy imprezkę. Ty przynieś baloniki — rzucam przez ramię i przechodzę przez Bramę, nie oglądając się za siebie.

W środku przede wszystkim zauważam, że Piekło jest gorętsze, niż pamiętam. Co nie ma sensu, bo opuściłem je ledwie na trzy tygodnie. A poza tym jakiegokolwiek wahania o kilkaset stopni w którąkolwiek stronę tysiącstopniowego żaru Piekła i tak znaczą mniej więcej to samo: gorąco. Może to jednak ma coś wspólnego z tą aferą o globalne ocieplenie, nawet tu, w rdzeniu.

Druga rzecz, którą zauważam, to że chyba zachowałem ludzką postać... która teraz się poci.

Nieważne. To ciało można poćwiartować i wrzucić do Czeluści Ognia równie łatwo jak każde inne.

Trzecia rzecz, jaką zauważam, to prawdziwa ochrona. Minos jest tylko na pokaz. Jeśli nie liczyć z rzadka występujących intruzów, niedopuszczanie ludzi do Piekła to drobiazg. I naprawdę, co może być zabawniejsze niż intruz? Prawdziwa ochrona to Rhenorian i jego załoga, którzy trzymają faworytów w środku. Opiera swoje krępe dwumetrowe ciało o Mur, przyglądając mi się intensywnie, odkąd wszedłem do środka. Czerwone oczy płoną w złocistobrazowej twarzy, płaskiej i skórzastej. Kiedy patrzę w jego stronę, groźny uśmiech pojawia się na jego obliczu, jakby zachęcał mnie do ucieczki. Przesuwa rozwidlony język przez imponujący komplet kłów i obraca w rękach runkę. To piekielna wersja karabinu maszynowego. W jednym ciosie może zawrzeć niewyobrażalną ilość ognia piekielnego — raz za razem. Nie może zabić stworzenia piekielnego, bo niemal nic nie może, ale może sprawić, że trafiony pożałuje przewinienia.

Powoli idę przez teren ciągnący się za Bramami. Krzyki agonii i błagania o litość wydobywają się z le-

dwie rozpoznawalnych kształtów wijących się w wiecznych płomieniach: dusze potępionych. Doglądające demony jazgoczą, dżgając wystające niekiedy członki albo głowę z rozpalonych do białości płomieni. Od samego patrzenia robi mi się gorąco i mętnie. Uśmiecham się pod nosem, kiedy czuję cierpki zapach spalonego ciała zmieszany ze zgnilizną, ziemią i siarką, i napawam się widokiem, dźwiękami i zapachami domu. Przez chwilę mogę sobie wyobrazić, że nigdy go nie opuszczałem. Ze ostatnich trzech tygodni w ogóle nie było. Przez chwilę.

Ale kiedy dalej idę na południe, obchodząc szerokim łukiem Czeluść Ognia, mój nastrój się zmienia. Piski i skrzeki odbijające się od tych wysokich murów są innego rodzaju. Demony, które przekroczyły granicę albo przegrają w oczach kierownictwa, krzyczą ze swoich głębin. I kiedy mijam Czeluść w drodze nad Jezioro Ognia, zauważam, że każdy demon, zwłaszcza stróż Czeluści, patrzy na mnie pożądliwie. Nic tak nie cieszy diabła jak nadchodząca śmierć i zniszczenie.

Nagle widzę, jak Marchocjasz rusza do mnie ukradkiem znad Czeluści, plamista karmazynowa skóra połyskuje migoczącym światłem cynobrowo-indygowym. Jego czerwone oczy płoną, kiedy głaszcze swój ogon, a satyrowe kopyta chrzęszczą o skały magmowe.

Instynkt nakazuje mi ucieczkę — nie wiem do końca dlaczego — ale stoję w miejscu. Marchocjasz to strażnik Czeluści, ale nie może mnie zabrać, dopóki nie zostanę wezwany przed sąd i nie usłyszę wyroku. Poza tym jeśli demony mają przyjaciół, co jest kwestią sporną, to Marchocjasz jest moim przyjacielem. Najwyraźniej odbywa teraz psi patrol, bo holuje potężnego czarnego psa piekielnego. — Myślałeś, że się przemkniesz bez zatrzymania? — mówi z drwiącym uśmieszkiem na płaskiej, napiętej twarzy.

Mimowolnie cofam się o krok. Niewielu prócz samego króla Lucyfera emanuje ziem tak potężnie jak Marchocjasz.

— Miałem nadzieję.

Pies piekielny siada u boku Marchocjasza, niemal mojego wzrostu, woń gnijącego mięsa jest silniejsza niż siarki.

— Jak długo jesteś?

— Niedługo.

— Jak trafiłeś na moją listę?

— Nie mam pojęcia.

— Hmm... — Zerka w stronę dalekich czarnych kształtów Pandemonium, na wysokie mury zamku i ostre iglice górujące nad Piekłem. — Jedyne powód, dla którego trwałes tak długo, to że Berith jest zajęty ratowaniem własnej skóry.

Czuję, jak drzę, ale okazanie słabości byłoby błędem.

— Co jest?

— Unikaj po prostu Pandemonium. Król Lucyfer spotyka się z radą i jest tam krwawa łaźnia. — Oczy Marchocjasza lśnią złościwością, w złowieszczym uśmiechu odsłaniają się białe kły. — Plotki mówią, że twój szef jest przeznaczony do likwidacji. Coś wielkiego wisi w powietrzu i Berith nie ma załatwionej sprawy. — Patrzy pożądliwie. — Może ty coś o tym wiesz?

— Nie — kłamię, bo demony tak właśnie robią, ale też dlatego, że czuję nagłą i przytłaczającą rozpacz, że tak wygląda moja egzystencja. To wszystko to mój świat. Nasze jedyne źródło radości, jeśli demony są w ogóle do niej zdolne, to ból, cierpienie, śmierć i niszczenie innych. — Powiedz mi, co wiesz.

— Król chce śmiertelnika, a ekipa Beritha — tu patrzy na mnie chytrze — zawaliła robotę.

— Co tak ważnego jest w śmiertelniku?

— Podobno ta osoba ma wyjątkowy dar.

Czy Frannie ma wyjątkowy dar? Na pewno chodzi o kogoś innego.

— Jaki dar?

Czyste zło jego uśmiechu daje mi nadzieję, że rozmawiamy o kimś innym niż Frannie.

— Wpływ — dyszy.

Moc tego jednego słowa jest jak kula burząca, niemal padam bez czucia. To nie może być Frannie.

Frannie ma moc widzenia. Nie chcę nawet myśleć o tym, co by się stało tutaj, w Podziemiu, ze śmiertelnikiem, który by miał moc wpływu na myśli i emocje innych. Było takich tylko dwóch i dla tego, który należał do Piekieł, sprawy nie zakończyły się dobrze. Oszołomiony ruszam dalej, ale Marchocjasz chwyta mnie za ramię, a jego szpony niemal przebijają moje ludzkie ciało.

— No to zobaczymy się później. — Jego oczy płoną czerwienią i ponury uśmiech wykrzywia mu usta, kiedy błyska kłami.

— Na pewno. Postaraj się nie bawić za dobrze — mówię na odchodnym.

Wreszcie przejaśnia mi się powoli w głowie i docieram do swojej kryjówki: kawałeczka Piekła z mojego muralu. Idę skalistym brzegiem Jeziora Ognia, aż docieram na koniec położony najdalej na południe, gdzie jezioro sięga Murów Piekieł. Tutaj dalekie wrzaski potępionych i ponury śmiech diabelski jak niezgodny chór mieszają się z echem odbitym od wysokich murów. To moja katedra. Siedząc na pobrużdżonej skale magmowej nad Jeziorem Ognia, słucham, jak po raz ostatni wita mnie piekielna muzyka. Podziwiam pomarańczowo-czerwo-ne złączenia ciekłego jeziora i towarzyszący im pokaz świateł: połyskujący szkarłat i indygo z erupcjami nie-biesko-białego ognia, jak piekielne fajerwerki. A kiedy spowijają mnie kłęby siarkowego gazu z tych erupcji, wdycham je, rozkoszując się zapachem siarki drażnią-

cym mój ludzki nos. Łatwo zapomnieć, jak pięknie jest w domu, w każdym razie nam, demonom, łatwo.

Ale nagle sobie przypominam duszę Frannie — jak zaparło mi dech. Prawdziwe piękno. Niepodobne do żadnej innej duszy, którą widziałem do tej pory w Piekło. Czy będzie wyglądać tak samo, kiedy przejdzie przez nią Belial?

Z bólem serca próbuję odegnąć tę myśl. Zamykam oczy i kładę się na ostrej skale. Ale wszystko co widzę, czuję, każdy smak i zapach, żywy, jakby była obok mnie, to ona — esencja dziewczyny, która kazała mi zakwestionować wszystko, czym jestem. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłbym, że czuję strumyczek wilgoci ulatujący obłoczkiem pary w kąciek mojego oka. Pewien jestem natomiast, że rzeczywiście czuję, że moje siarkowe serce pęka, kiedy leżę na plecach i czekam na wezwanie. Bo w Piekło nikt nie dostaje drugiej szansy.

FRANNIE

Patrzę przed siebie, kiedy Gabe odwozi mnie do domu, pogrążona w rozmyślaniach. Opieram głowę o okno, kiedy mijamy dom Taylor, i nagle mój mózg przeszywa błyskawica.

Nie, tylko nie to.

I jak można się było spodziewać, kiedy jęczę i zamykam oczy z bólu, widzę tatę Taylor, jak leży na łóżku...

i nie oddycha. W głowie mi wiruje, będę wymiotować.

— Zatrzymaj się! — wrzeszczę i otwieram oczy, żeby zobaczyć, że Gabe już stanął. Uchylam drzwi i wymiotuję na chodnik.

Kiedy odwracam się z powrotem do Gabe'a, nie jest przerażony ani zakłopotany. Jest absolutnie spokojny. Wypadam z samochodu i biegnę do domu Taylor, ło-

moczę pięściami, jedną w drzwi, drugą w dzwonek, aż drzwi się otwierają.

Twarz Taylor wykrzywia się w grymasie niezadowolenia.

— Fee... co jest?

— Gdzie twój tata? — dyszę.

— Śpi... a co? Co się dzieje?

— Musisz do niego iść. Natychmiast!

— Oj, to nie jest dobry pomysł, uwierz mi. Co jest grane?

Mijam ją i biegnę po schodach do pokoju jej rodziców. W połowie drogi Taylor chwytą mnie za koszulę i niemal ściąga z powrotem, ale trzymam się mocno poręczy i dalej idę, ciągnąc ją za sobą.

— Nie możesz tam iść, Fee. Przestań się zachowywać jak wariatka!

Ciągnę ją przez resztę schodów i otwieram drzwi sypialni. I jest, dokładnie tak, jak go zobaczyłam — tyle że wyraźnie widzę, że jego klatka piersiowa unosi się i opada. Po prostu śpi.

— O Boże — odwracam się do Taylor, która już wyciąga mnie za drzwi. — Przepraszam... myślałam...

Ale kiedy znowu się na niego oglądam, dostrzegam na dywanie pustą fiolkę po lekarstwie.

Wyszarpuję się Taylor i wchodzę do pokoju. Na nocnym stoliku są jeszcze trzy fiołki — wszystkie puste.

— Taylor — mówię, wrywając się jej — dzwoń po pogotowie. — Biegnę do łóżka. — Panie Stevens, niech się pan obudzi! — Potrząsam nim. — Słyszysz mnie pan?!

Nic.

Taylor stoi nieruchomo. Mijam ją w drodze do telefonu na drugim nocnym stoliku i wybieram 911. Kiedy wyjaśniam wszystko dyspozytorowi, do pokoju wchodzi Gabe i obejmuje Taylor. Ledwie go chyba zauważa,

stoi jak wrośnięta w podłogę i szeroko otwartymi oczami patrzy na swojego tatę.

Karetka dojeżdża pięć minut później, a kiedy pakują jej tatę do środka, Taylor odwraca się do mnie. Nie mówi nic, ale pytanie w jej oczach jest wyraźne. To pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć.

Wzruszam tylko ramionami. Taylor wsiada z ojcem, a kiedy odjeżdżają z wyjąca syreną, uwalniam potok niespodziewanych łez. Gabe przytula mnie do siebie i prowadzi do swojego auta.

— Zrobiłaś coś dobrego, Frannie. — Nie pyta, skąd wiedziałam. Nie pyta o nic. Tylko mnie tuli.

— To moja wina — wyduszam przez szloch. Unosi mój podbródek palcem i patrzy mi w oczy.

Potem jego wargi suną po moim czole, po skroni, policzku i muskają moje usta.

— Nie możesz obwinać siebie za wszelkie zło, które się wydarza — mówi cicho.

Odpycham go.

— Miałam porozmawiać z tatą. Żeby kościół im pomógł. — Ale byłam tak pochłonięta własnymi sprawami, że zapomniałam. Fala winy ścina mnie z nóg. Chcę się czuć beznadziejnie. Na tyle zasługuję.

Wjeżdżamy na nasz podjazd i Gabe rozgląda się czujnie, przypominając mi, że Luc robił to samo wczoraj. Kiedy Gabe prowadzi mnie do wejścia, opuszczam na nos okulary przeciwsłoneczne, żeby mama nie widziała moich czerwonych oczu.

— Nic ci nie będzie? — Głos Gabe'a jest łagodny i współczujący. Niemal doprowadza mnie do kolejnego wybuchu płaczu. Przetykam gulę w gardle.

— Nie.

— Dobra... to już nigdzie dzisiaj nie wychodzisz?

— W każdym razie nic o tym nie wiem.

— Dobrze. Zamknij za sobą drzwi na klucz. — Chowa mnie w uścisku, wciąż zerkając dokoła.

— Dlaczego wszyscy chcą, żebym się zamykała na klucz? Co się dzieje?

Odsuwając się ode mnie, odwraca wzrok, wpatrując się w krzaki obok werandy.

— Nic, naprawdę. Ale w dzisiejszych czasach lepiej być zapobiegliwym, niż potem żałować.

— Nie jesteś dobrym kłamcą — mówię, odpychając go bardziej.

On przyciąga mnie z powrotem, a kiedy mnie całuje, przytulam się do niego mocno. Przesuwam dłońmi po jego klatce piersiowej i po bokach.

— Wejdz ze mną — mówię, bo nagle czuję, że nie chcę być sama.

Wzdycha i uśmiecha się krzywo.

— Bardzo bym chciał, ale muszę porozmawiać z Lucyferem. Obiecuj mi, że zamkniesz się na klucz i nie wyjdiesz już z domu.

— Niech będzie — mówię, czując rozczarowanie i zmęczenie, i zastanawiam się, czy wystarczy mi sił, żeby wejść po schodach. — Wrócisz?

— Jak tylko będę mógł. — Odsuwa się i patrzy mi w oczy. — Na pewno nic ci nie będzie?

— Na pewno.

— Odpocznij. — Pochyliła się i całuje mnie, potem otwiera drzwi i delikatnie wpycha mnie za próg. — Wrócę — mówi. Uśmiecha się, ale jego oczy pozostają ciemne i czujne.

Zamykam drzwi i witam wołaniem, które rozchodzi się po niecodziennie cichym domu. Żadnej odpowiedzi. Rany. Ponieważ nikogo nie ma w domu, robię to, o co prosił Gabe — zamykam drzwi na klucz.

Pokonuję trzy stopnie, kiedy nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Odwracam się i siadam, przyciągając kolana do piersi. Jak mogłam zapomnieć, że mam porozmawiać z tatą? Jedyne, jaką miałam zrobić, żeby pomóc Taylor, i spieprzyłam to. Ogarnia mnie

przygnębienie i pochylałam się na bok, kładąc się na drewnianym stopniu, i myślę o tym, jaka jestem do dupy.

Ale przerwałam to.

To już coś, jak sędzę. To pierwszy raz, że miałam wizję i zdołałam ją zmienić. Czuję się odrobinę pocieszona.

Mija strasznie dużo czasu, nim wstaję i pokonuję resztę schodów. W swoim pokoju włączam wieżę i padam na łóżko, wpatrując się w sufit. Kiedy zamykam oczy, widzę Luca. I to nie jest sam obraz: czuję jego mroczną energię, jego cynamonowy zapach. Wściekła na siebie, połykam łzy. Nie będę płakać — nie za nim.

Podnoszę się, podchodzę do okna i podciągam żaluzje. Gabe'a już dawno nie ma, ale mogłabym przysiąc, że widzę, jak za drzewami słońce odbija się od szyby shelby cobry GT rocznik 68.

Luc?

Wyobrażam sobie, że wybiegam i rzucam się na niego. Ale nagle przypominam sobie tę jego pannę rozłożoną na łóżku i myślę, żeby może jednak zadzwonić na policję. Zgłosić nękanie.

Znowu wyglądam. Mustang ciągle tam jest, zaparkowany dwa domy dalej po drugiej stronie ulicy. Przed domem Brewsterów. W tym samym miejscu, gdzie Luc zaparkował tamtego wieczoru, kiedy wróciłam od Taylor. Czego on ode mnie chce, do diabła?

Z nagłym przyplływem energii zrodzonej z gniewu otwieram drzwi, zbiegam po schodach i w okamgnieniu jestem na ganku. Pod gołymi stopami czuję chłodną trawę, gdy pędzę przez trawnik. Kiedy przechodzę na drugą stronę ulicy do samochodu Luca, słyszę dudnienie głośnej muzyki, od której drży chodnik pod moimi stopami. Słońce odbija się od szyby, więc trudno zajrzeć do środka, ale jest tam, siedzi w cieniu. Muzyka cichnie i szyba się opuszcza. Opieram się na rękach o drzwi

auta i już mam się nachylić do środka, kiedy serce mi staje i cofam się.

To nie Luc. Ale słowo daję, że mógłby to być jego brat.

— Och, przepraszam — mówię, zorientowawszy się w błędzie. — Pomyliłam pana z kimś.

Nieznajomy uśmiecha się do mnie, oczy mu płoną.

— Będę kimkolwiek, kim tylko zapragniesz — mruży. Głos ma aksamitny i urzekający. Cały jest urzekający. Jego uważne czarne oczy nie odrywają się ode mnie.

Wpatruję się w nie, kiedy natrętny rytm „Love Hurts” Incubusa leci z jego sprzętu, pytając mnie, czy to jakieś zaklęcie nie pozwala mi widzieć rzeczywistości.

— Jest pan taki podobny... do mojego przyjaciela - mówię, ale mój głos wydaje się dobiegać gdzieś z bardzo daleka.

Uśmiecha się szelmowskim uśmiechem Luca.

— Mam nadzieję, że to bliski przyjaciel.

Czuję, jak moje myśli rozpływają się w czarnej mgle.

— Hm... tak... bliski.

Przestaję myśleć całkowicie, obchodzę samochód i otwieram drzwi pasażera.

ROZDZIAŁ 15

Piekło i szatani

LUC

Chwytam Frannie w chwili, kiedy wsiada do samochodu Beliala. On szybko łapie ją za drugą rękę, rusza samochodem, ciągnąc Frannie ze sobą, i nagle staje.

Jestem oczywiście świadom, że jeśli będziemy z Belialem tak się bawić w przeciąganie Frannie, to ją rozerwiemy — dosłownie. Ale jestem też świadom, że jeśli ją puszcze, to on ją posiadzie i nigdy jej nie odzyskam. Uruchamiam swoją moc, rozważając ryzyko. Jeśli zaatakuję nią Beliala, kiedy trzyma Frannie, to ona zginie. A nawet jeśli nie zginie, to zginie od jego odwetu. Moja jedyna nadzieja w tym, że Belial przestraszy się ewentualnej straty, którą poniosłoby Piekło. Bo w tej chwili Frannie jest nieoznaczona. Jeśli tu umrze, w naszych rękach, nie ma wątpliwości, że jej dusza pójdzie w innym kierunku — co będzie oznaczało, że obaj zostaniemy rozczłonkowani i strąceni w Czeluść Ognia. Zerkam na kulę mocy oświetlającą moją prawą pięść, potem podnoszę wzrok na Beliala. Na mojej twarzy widnieje jednoznaczna groźba.

— Belialu, bądź rozsądny. Stoimy po tej samej stronie, a ona jest moim zadaniem. Pozwól, że się tym zajmę.

Jego oczy płoną czerwienią, zapach siarki przenika ciepłe wiosenne powietrze.

— Miałeś już swoją szansę. Król Lucyfer jest bardzo zawiedziony. Tak mi sam powiedział, kiedy mi zaproponował posadę Beritha.

— Tak? No to ustaw się w kolejce — mówię, rozważając możliwości. Nie mogę się stąd ulotnić z Frannie to nie wchodzi w grę. Jej śmiertelne ciało nie przeżyłoby przeniesienia. Mam więc tylko jedną możliwość.

Wszystko we mnie krzyczy, kiedy z oporem zwalniam chwyt i puszczam jej ramię.

Twarz Beliala rozjaśnia się w uśmiechu, od którego by zwilgotniała każda śmiertelniczka.

— Mądry wybór — mówi, puszczając nadgarstek Frannie i sięgając po drzwi.

W tej samej sekundzie mobilizuję swoją piekielną moc — nawet nie sądziłem, że jestem w stanie tyle jej podzwignąć — i strzelam w Beliala. Czerwona błyskawica ognia piekielnego wyskakuje z mojej pięści, rozświetla samochód i uderza go w twarz. Rzuca go w tył na drzwi. Zaciskając zęby z bólu, wywołanego taką ilością energii przesywającej moje ciało, pochylam się i biorę Frannie na rękę.

Opada mi w ramiona, kręci głową, podnosi na mnie wzrok oszołomiona, ale żywa.

Zrywam się do ucieczki z Frannie w ramionach, ale Behal przemieszcza się i ląduje przede mną, z twarzą ciemną i palającą — dosłownie.

— Niezła sztuczka — cedzi przez zaciśnięte zęby

— ale o czymś zapomniałeś. — Podnosi prawą pięść płonąca czerwienią i gorącą, i wymierza ją we mnie.

— Też tak umiem.

Zerkam na Frannie skuloną w moich ramionach.

— Nie bądź głupi, Belialu. Zabijesz ją, a za to trafisz do Czułości Ognia. Żadnej chwały, żadnych awansów. Nie ukryjesz przed nimi, co się stało. Król Lucyfer się dowie, zanim złożysz meldunek.

Jego uśmiech słabnie odrobinę, opuszcza pięść. Ale nagle dostrzegam, że zerka poza moim ramieniem,

i mobilizuję swoją moc, zarzucając osłonę na Frannie, w chwili gdy Avaira uderza mnie od tyłu. O kurwa, ależ to boli!

Zataczam się, ale jakoś utrzymuję się na nogach. Otrząsając się z bólu, patrzę na twarz Frannie. Powieki jej trzepoczą, oddech ma płytki. Czarne przerażenie ściska mi serce. Jak mogłem do tego dopuścić?

Rozgrzewam trochę Frannie od spodu. Na tyle, by jej skóra się zaczerwieniła i by zaczęła się pocić. Nie odrywając wzroku od Beliala, mówię swobodnie:

— Świetna robota. Jesteście naprawdę durni. Zawsze podejrzewałem, że dlatego właśnie nigdy nie pokonałeś pierwszego poziomu, Belialu. Brakuje ci na to rozumu. Zobacz, co zrobiła twoja dziewczyna. — Delikatnie przetaczam Frannie w swoich ramionach, tak żeby zobaczył jej oczy i pot spływający po czole, jak również parę, którą zapewniłem w charakterze rekwizytu. — Żabiliście ją. Spiekła się. — A prawdę mówiąc, mam szczerą nadzieję, że blefuję, ale nie jestem tego do końca pewien, bo zapach goździków i rodzynek jest nieomylny: jej dusza jest na powierzchni i czeka, aż przyjdzie po nią anioł.

Na twarzy Beliala pojawia się gniew, ale nie jest skierowany na mnie. Patrzy ponad moim ramieniem na Avairę.

— Do diabła, Avairo. Nie taki był plan!

— Przepraszam — słyszę złośliwość w jej ponętym głosie. — To po prostu było za łatwe. Nie sądziłam, że uderzę go tak mocno.

— Ty głupia suko. Teraz wszyscy trafimy do Czułości. Coś ty sobie myślała?! — W tym gniewie jego prawdziwa postać migoce niebezpiecznie blisko powierzchni, wzierając spod ludzkiej powłoki.

Z głosu Avairy znika humor, w jego miejsce pojawia się niepokój.

— To był wypadek. Nie pójdziemy do Czułości.

Belial wydaje warkot i znika w obłoku siarki. Po sekundzie znika jego shelby cobra, wciąż czekająca na wolnym biegu przy krawężniku. Odwracam się, ale Avaira też zniknęła.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w swoim życiu był tak przerażony. Spoglądam na Frannie i wyłączam podgrzewanie. Podnosi na mnie wzrok, teraz, kiedy Beliala już nie ma, jej głowa się oczyszcza. Nie pojawił się jeszcze po nią żaden anioł, więc może nic jej nie będzie. Przyciskam ją do piersi, nie wiem, które z nas trzęsie się tak mocno. Zanurzam twarz w jej włosach i wdycham ich zapach.

— Nie mogłem mu pozwolić, żeby cię zabrał — szepczę bezmyślnie.

Patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek.

— Czego nie mogłeś? Co się dzieje? — Jej głos jest słaby i zachrypnięty, słowa się zamazują.

Jak odpowiedzieć? Prawdą? Ach, prawie dopuściłem do tego, by Belial, taki jeden inkub, uwiódł cię i zabrał ci duszę.

Nie.

Zmuszam się do uśmiechu i staram się mówić spokojnym głosem.

— Wsiadałaś do samochodu jakiegoś nieznajomego, Frannie. Mama ci nigdy nie mówiła, że masz tak nie robić?

Marszczy brwi, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć, ale nie odpowiada.

Głośnie odejście Beliala przyciągnęło uwagę kilku sąsiadów. Na szczęście jest jasny dzień, bo czerwony błysk Avairy rozświetliłyby okolicę. Niemniej jednak widzę podnoszące się żaluzje u sąsiadów Frannie z naprzeciwka, tak że śpiesznie idę do środka. Niosę ją do jej domu i na górę do pokoju, gdzie kładę ją na łóżku i szybko badam. Ciągle ciepła, ale oddech i tę-

no ma już lepsze. Zwieszam głowę, kiedy zalewa mnie wielka fala ulgi.

Nic jej nie jest. / Już ruszam do okna sprawdzić, czy nie ma gdzieś Beliala, ale jej ręka chwyta mnie nagle.

_ Hej — mówię. — Musisz trochę odpocząć.

— Zostań. — Jej głos jest słaby, ale zdecydowany. Ciągnie mocniej moją rękę, więc siadam na skraju łóżka, palcami odgarniając pasma piaskowych włosów przyklejonych do spoconego czoła.

— Naprawdę uważam, że powinienem iść, Frannie. Jeśli twoi rodzice wrócą i zastaną mnie w twoim pokoju, będzie kiepsko. Będę na zewnątrz, obiecuję.

Głos ma już silniejszy, a oczy mnie błagają.

— Zostań.

Oddycham głęboko, powstrzymując chęć pocałowania jej. Kompletnie nie jestem w stanie jej odmówić.

— No dobrze.

Siedzę na łóżku już długo i patrzę, jak oddycha coraz głębiej i równiej, kiedy odpływa w sen. Co ja wyczyniam, u diabła? Zdołałem opuścić Otchłań, bo wszedłem tam sam — nie wezwano mnie — ale to tylko kwestia czasu. A kiedy nadejdzie wezwanie, będzie po wszystkim. Zostały mi dni? Godziny? Nieważne, na pewno za mało. I jakikolwiek będzie wynik, czy ją oznaczę czy nie, nie zdołam z nią zostać. W klatce piersiowej mi dudni na myśl, że znowu opuszczę Frannie.

Pochyłam się i całuję ją w czoło, a potem puszczam jej rękę. A w każdym razie próbuję puścić. Ale jej oczy otwierają się gwałtownie i zaciska palce.

— Jak ci się zdaje, dokąd idziesz? — Półspi, ale cień paniki jest niezaprzeczalny.

Nie ma co walczyć. Skoro ona mnie potrzebuje, nie mam jak zmusić się do odejścia. Uśmiecham się do niej.

— Donikąd, jeśli nie chcesz.

Z początku się uśmiecha, ale nagle wyraz jej twarzy się zmienia. W szafirowych oczach pojawia się zamęt i znaczy całą jej przepiękną twarz, kiedy sobie przypomina, że mnie nienawidzi.

— Nie mogę ci ufać. Jesteś jak doktor Jekyll i pan Hyde — mówi, wciąż mocno trzymając moją rękę. Potrząsam tylko głową, kiedy moje siarkowe serce pęka. Gra skończona i najwyraźniej przegrałem — pod każdym względem. Bo ją kocham. Ale nie mogę jej mieć.

Wstaję, muszę odejść od niej, zanim zrobię coś, co zrani ją jeszcze bardziej. Tym razem mnie puszcza.

— Masz słuszność. Nie możesz mi ufać.

FRANNIE

Dźwigam się, by usiąść na skraju łóżka, czuję się niepewnie. Patrząc, jak Luc wychodzi, i wiem, że powinnam mu na to pozwolić. Ale ostatnie resztki rozsądku ustępują przed pierwotną potrzebą, że muszę z nim być.

— Czeka! Nie odchodź! Odwraca się w drzwiach.

— Frannie, popełniasz wielki błąd. Musisz pozwolić mi odejść.

Ciągle się trzęsę, kiedy drażnią mnie strzępki wspomnień. Pamiętam już, że wysłałam zawołać Luca... ale to nie był on. Potem nie pamiętam już nic. Opuszczam wzrok na jasiek i skubię poszewkę.

— Kim był ten człowiek?

Opiera się o framugę, patrząc mi prosto w oczy.

— Nazywa się Belial. Jest niebezpieczny.

— Co on tu robił? Czego chciał? Kręci głową.

— Był tak bardzo do ciebie podobny — mówię w końcu, kiedy staje się jasne, że Luc mi nie odpowie.

— Tak. To pewnie kwestia tego, skąd pochodzimy. Rzeczywiście zwykle wyglądamy podobnie.

Podnoszę na niego spojrzenie.

— To znaczy skąd? Kiedy o to pytam, zawsze zmieniasz temat.

Patrzy mi w oczy bardzo długo, zastanawiając się nad odpowiedzią. W końcu wywracam oczami.

— Jeśli musisz się nad tym zastanowić, to już wiem, że wyjdzie z tego jakieś kłamstwo. Daj sobie spokój.

Znowu rusza do wyjścia.

— Przepraszam. Ale gdybym ci powiedział, i tak byś mi nie uwierzyła — rzuca przez ramię już z korytarza.

— Chciałabym, żebyś dał mi szansę.

Odwraca się i powoli podchodzi do drzwi, z tym samym wyrazem twarzy, który już widziałam.

Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale je zamyka. Potrząsa głową. Wpatruję się w niego, wiem, że niewiele dzieli mnie odpowiedzi i że się jej doczekam, jeśli będę patrzeć wystarczająco srogo. Znowu otwiera usta, ale potem spuszcza wzrok, a ramiona mu opadają.

— Naprawdę muszę iść — mówi.

Serce mi łomocze. Wiem, że powinnam sobie odpuścić, ale muszę wiedzieć coś jeszcze.

— A co z tą dziewczyną? Na twoim łóżku? To twoja... dziewczyna stamtąd, skąd pochodzisz?

Podnosi wzrok i chwilę patrzy na mnie z rezerwą.

— Nie — odpowiada. — To dziewczyna Beliala, Avaira.

Nie mogę opanować zazdrości.

— Hm. Miło z jego strony, że się dzieli.

— To nie tak, Frannie — wybucha. — Oni są... — przerywa, wwierca się we mnie wzrokiem. — Ona jest niczym.

Opuszcza głowę i znowu nią potrząsa, a ja boję się, że wyjdzie.

Powstrzymuję się od następnej uwagi, która przychodzi mi do głowy, a traktuje głównie o rozmiarze stanika tajemniczej panny, większym od jej IQ.

— Skoro to nie jest tak, to jak? Ona była w twoim mieszkaniu, w twoim łóżku. Ma klucze?

Patrzy na mnie chyba całą wieczność, fantastycznymi oczami, a potem wchodzi do środka i pada na krzesło przy biurku, i spuszcza wzrok.

— Nie. Nie ma kluczy. Jej nie powstrzymałby żaden zamek.

— Co to znaczy? Ona cię nęka czy coś?

— Można tak to ująć. — Podnosi wzrok i mogłabym powiedzieć, że widzę w jego oczach niepokój. — To są rzeczy, których o mnie nie wiesz.

Przysuwam się do niego.

— Nie wątpię. Więc mi je powiedz.

Znowu się we mnie wpatruje w nieskończoność, potem opiera łokcie na kolanach i wsuwa palce w czarną czuprynę. Wzrok opuszcza na podłogę.

— Jestem czymś innym, niż sądzisz.

— Nie sądzę, że jesteś czymkolwiek. Podnosi głowę i niemal się uśmiecha. Kulę się.

— Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że mam w nosie, kim jesteś. Czy coś w tym rodzaju. Czego więc nie wiem?

Wstaje, bierze moją rękę, podnosi mnie z łóżka i przytula. Chcę się odsunąć, ale nie mogę.

Wzdycha w moich włosach i wydaje pomruk. Podnoszę twarz, by spojrzeć na niego.

— Możesz mi powiedzieć.

On jednak tylko patrzy na mnie, a w oczach ma wszystkie obietnice świata. Chociaż wiem, jakie to głupie, i wiem ponad wszelką wątpliwość, że znowu mnie zrani, pochylam się do pocałunku.

Kiedy ponownie spoglądam w jego oczy, ciągle miotają gromy.

— Nie byłem z tobą całkowicie szczery — zaczyna. Potem cofa się i patrzy w okno. — Na Szatana, w ogóle nie byłem z tobą szczery.

— Powiedz mi — powtarzam, podchodząc do niego-

Znowu wzdycha i przysiada na moim biurku, jakby zachowanie pozycji stojącej nagle okazało się dla niego za trudne. Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy nieruchomo, i wygląda posepnie, ale zdecydowanie.

— Belial, Avaira i ja... — mówi powoli, jakby każde słowo sprawiało mu ból — ...jesteśmy z...

— Frannie? — z dołu dobiega głos mamy. Ogarnia mnie przerażenie. Jak to się stało, że nie usłyszałam jej wejścia? Zrywam się i odskakuję od Luca.

— Tak, mammo?

— Czy to auto... Luca przed domem? — Można odnieść wrażenie, że nawet wypowiedzenie jego imienia stanowi dla niej problem.

Na twarzy Luca pojawia się nerwowy grymas.

— Tak, mammo.

Jej głos podskakuje o oktawę i słyszę, że spieszy po schodach.

— On jest na górze?

— Tak — odpowiadam, chwytając go za rękę i ciągnąc w stronę drzwi.

Mama jest na górze, oczy ma szeroko otwarte, kiedy wychodzimy na korytarz.

— Cześć, właśnie odrabialiśmy matkę — kłamię, puszczając jego rękę i marząc, żeby zniknęły mi rumieńce.

— Och — mówi tylko, ale patrzy na Luca gniewnie. — A przy stole w kuchni nie byłoby wam wygodniej?

Właśnie wtedy otwierają się gwałtownie drzwi i po domu niesie się chropawy głos dziadka:

— Hej tam! Czyja to cobra stoi przed domem? Serce mi podskakuje.

— Dziadku! — piszczę, kiedy pojawia się przy schodach. Uśmiecha się do nas niebieskimi oczami.

— Pewnie moja — mówi Luc.

— Rekonstrukcja czy oryginalna?

— Oryginalna w każdym calu.

Mama odsuwa się i przepuszcza Luca. On, przechodząc, kiwa głową z uśmiechem — delikatnym, pokrzepiającym uśmiechem.

— Kto ci robi serwis? — pyta dziadek, kiedy Luc idzie na dół.

— Sam.

— Jest piękna. — Poklepuje Luca po plecach. — Mógłbym zajrzeć pod maskę?

— Oczywiście. — Luc rzuca skonsternowane spojrzenie za siebie i wychodzi z dziadkiem.

— Co on tu robi? — syczy mama. — Chyba postawiłam sprawę jasno. Nie masz się z nim spotykać, a zwłaszcza sam na sam.

— Mamo, proszę. Nigdy nie mówiłaś, że nie mam się z nim spotykać. Nie wiem, o co ci z nim chodzi, ale wolałabym, żebyś trochę wyluzowała.

— Frannie, już o tym rozmawialiśmy. Powiem bez ogródek: nie wolno ci chodzić z tym chłopcem. To niewiarygodne.

— Trochę to śmieszne. Jak również spóźnione.

Podchodzę do okna i patrzę, jak Luc podnosi maskę cobry, po czym znika pod nią z dziadkiem. O co mu chodziło? Belial, Avaira i ja jesteśmy z...? Skąd? Skąd mogą pochodzić, że tak strasznie o tym mówić. Z więzienia? Z psychiatryka?

Co?

Z kosmosu? Z przyszłości?

Opieram łokcie na parapecie i przyglądam się jemu i dziadkowi. Czy on jest w stanie powiedzieć coś, co by zmieniło moje uczucia do niego? Nie sądzę. A poza tym nie tylko on ma tajemnice. Bóg jeden wie, że ja też.

Jak Gabe. Którego pocałowałam. I którego znowu pocałuję.

Z jękiem opuszczam czoło na dłoń. Co ja wyprawiam, do diabła?

Podnoszę czoło, a na dłoni opieram podbródek. Luc patrzy na mnie z ulicy, a we mnie się gotuje.

Belial, Avaira i ja jesteśmy z...

Nie wiem o nim nic, o Gabie też nie. Obaj pojawili się znikąd i wywrócili mi wszystko do góry nogami. Dlaczego nie mogę przestać o nich myśleć?

Belial, Avaira i ja jesteśmy z...

Dzisiaj w nocy się nie wyśpię. Już to wiem.

LUC

— No niech mnie... To klasyk. Ile ma przebiegu?

— Jakies pięć tysięcy kilometrów — odpowiadam. Pochyla się, by lepiej się przyjrzeć.

— Słodki Jezu. To maleństwo jest warte kawa! grosza. Wszystko oryginalne... I wygląda na prawie nową. Jak długo ją masz?

— Kupiłem nową.

Odrywa wzrok od silnika i wybucha śmiechem.

— Ona powstała przed tobą, synu. A, no tak.

— Miałem na myśli mojego dziadka. Kupi! ją w sześćdziesiątym ósmym.

Ruchem głowy wskazuje kabriolet z sześćdziesiątego piątego na podjeździe.

— Frannie mogłaby ci pomóc z serwisem. Jest najlepszym mechanikiem od starych mustangów, jakiego znam.

Podnoszę wzrok na jej okno i uśmiecham się do niej. Łokcie oparła na parapecie, brodę na dłoni i przygląda się nam. Chciałbym być tą ręką — dotykać tej twarzy

— tak bardzo, że aż zapiera mi dech. Ratuj mnie, Szatanie, nie mogę znieść, że jestem tak daleko od niej. Z trudem odrywam od niej oczy i wracam do dziadka.

— Naprawdę? Tym kąskiem się ze mną nie podzieliła.

Jego twarz poważnieje.

— Mam nadzieję, że nie tylko tym.

Wciągam gwałtownie powietrze i patrzę mu w oczy.

— Frannie jest wyjątkowa. Na pewno jej nie wykorzystam. — Tyle że prawie pozwoliłem Belialowi wyssać jej duszę i zaciągnąć ją do Otchłani. Ale poza tym...

— To prawda, jest wyjątkowa. Za dobra dla któregokolwiek z was — mówi, łokciem wskazując ogólnikowo w moim kierunku. I nie ma pojęcia, ile ma racji.

— Traktuj ją należycie. — Zerka na jej okno.

— Ma pan rację, jest dla mnie o wiele za dobra. Próbowałem jej to powiedzieć.

Uśmiecha się.

— Ale ona nie posłucha. Uparciuch. Zupełnie jak jej babcia.

— Nie pozwolę, żeby jej się coś stało — dodaję. Patrzy mi w oczy z powagą.

— Trzymam cię za słowo. A gdyby jej się coś stało, pamiętaj, że cię znajdę.

— Tak, proszę pana.

Nagle mnie bierze z zaskoczenia.

— Kochasz ją?

Długą chwilę tylko patrzę na niego. Coś ostrego obraca się w moich trzewiach, podnoszę wzrok na Fran-

nie siedzącą w oknie. Chociaż strasznie próbuję temu zaprzeczyć albo przekonać siebie, że to nie ma znaczenia, jestem tego tak pewien jak faktu, że trafię za to do Czułości Ognia.

— Tak, proszę pana.

— Mówiłeś jej to?

— Nie.

— A kiedy się do tego zabierzesz?

— Wkrótce — odpowiadam z uśmiechem. On też się uśmiecha.

— I dobrze.

ROZDZIAŁ 16

Lepszy swój diabeł

FRANNIE

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu żałowała, że jest weekend. Ale ten weekend to piekło. Miałam koszmary z kosmicznymi hienami cementarnymi i więźniami o hakach zamiast dłoni. Miałam sny o Lucu i Gabie, na których wspomnienie się rumienię. I dwa razy byłam pewna, że widziałam, jak czarna shelby cobra rocznik 68 mija nasz dom.

Belial, Avaira i ja jesteśmy...

I cały dzień dzisiaj w szkole czuję się, jakbym siedziała na jakieś opętanej huśtawce, w górę i w dół z Gabe'em i Lukiem. Ale po ostatniej godzinie WOS-u nie marnuję czasu, tylko chwytam Luca za ramię i ciągnę go na parking. Wsiadamy do jego auta i kiedy tylko drzwi się zamykają, jego wargi wpalają się w moje. Coś cudownego, więc naprawdę trudno mi go odepchnąć.

— Powiedz mi — mówię do jego warg.

— Co? — pyta on w moje. Zmuszam się, żeby go jednak odepchnąć.

— To, co chciałeś powiedzieć w piątek, w moim pokoju, zanim pojawiła się moja mama.

Sięga po mnie.

— Nie pamiętam. Odsuwam się bardziej.

— Belial, Avaira i ja jesteśmy z... — mówię, żeby odświeżyć mu pamięć.

Przez chwilę jego twarz krzywi się w grymasie.

— Później.

— Teraz.

Jego oczy poważnieją, stają się zimne jak czarny obsydian.

— To nic.

— W piątek nie wyglądało na nic.

Opada na oparcie, zamyka oczy i głośno wypuszcza powietrze.

— Naprawdę nie chcesz wiedzieć.

— Owszem, naprawdę chcę.

Podnosi głowę z zagłówka i patrzy na mnie udęczonym wzrokiem.

— Zrobiłem kilka naprawdę paskudnych rzeczy. Czuję, jak wnętrzności zaciskają mi się w węzeł.

— A kto nie?

— Ja nie żartuję, Frannie.

Ale ja myślę tylko o tym, że cokolwiek zrobił, daleko mu do mnie. I nagle gardło mi się zaciska, klatka piersiowa też. W samochodzie nie ma powietrza. Otwieram drzwi i niemal wytaczam się na zewnątrz.

Luc momentalnie pojawia się przy mnie. Przyciąga mnie do siebie, żebym się nie przewróciła.

— Frannie, co się stało? Tajemnice.

Długo opieram się o niego, łapczywie wciągając powietrze, potem go odpycham. Nienawidzę, że tu jest, że to widzi. I jeszcze bardziej nienawidzę, że on myśli, że potrzebuję jego pomocy.

— Nic mi nie jest — kłamię.

Widzę, że mi nie wierzy, i nie obchodzi mnie to. Ale kiedy znowu mnie obejmuje, pozwalam mu.

Sadza mnie z powrotem na fotelu, a ja uspokajam oddech.

— Przepraszam — mówię, nie patrząc na niego.

— Co się stało?

— Nic. — Chowam nogi do samochodu i chwytam klamkę. — Jedźmy.

On się odsuwa, a ja zamykam drzwi.

Ma rację. Naprawdę nie chcę znać jego tajemnic. Wystarczy mi tych, które mam.

Nasze ciała poruszają się do dudniącego rytmu Personal Jesus" Depeche Mode. Chociaż z trudem, odpycham płonące ciało Luca i siadam na jego wielkim czarnym łóżku, z wysiłkiem łapiąc oddech.

— Nie sądzę, żeby pan Snyder usprawiedliwił nam brak planu z powodu romansowania.

Luc chwytą mnie za biodra i ciągnie z powrotem do siebie

— Możemy spróbować z „pies mi zjadł" — mówi z nadzieją, oplatając mnie ramionami. Chwilę patrzę na niego groźnie, aż dodaje: — Jak szybko możemy to zrobić?

Podsuwam się i opieram o stos poduszek przy wezglowiu.

— Zostało tylko kilka pytań. Powinno nam pojsc błyskawicznie.

Bierze z podłogi zeszyt i siada obok mnie, tez oparty o wezglowie, ale nie pisze. Wpatruje się we mnie.

— Będiesz musiała włożyć koszulę albo ja me dam rady się skupić — mówi po chwili. — Ten czerwony stanik jest zbyt pikantny. Nie sądziłem, ze papież pozwala na noszenie czerwonych staników porządnym katolickim dziewczętom.

— Nie jestem porządną katolicką dziewczyną, pamiętasz? Wyrzucono mnie z katolickiej szkoły.

— Pamiętam — mówi, a od jego uśmiechu serce mi podskakuje.

Kiedy Depesze namawiają mnie, żebym śmiało dotknęła wiary, sunę palcem po czarnym wężu wytatu-

owanym na jego ramieniu i patrzę pożądliwie na jego klatkę piersiową.

— No dobra... a więc Steinbeck... — mówię, żeby odwrócić swoją uwagę od tego uśmiechu. I tego ciała. Oddycham głęboko i wciągam koszulę przez głowę. Patrząc na konspekt Snydera, czytam: — „Co mówi o charakterze mężczyzny?”

— Ze każdy może usprawiedliwić wszystko, każde zło, choćby nie wiadomo jak wielkie.

Podnoszę brew.

— Naprawdę? Bo ja tak tego nie rozumiałam. Myślę, że w ostatecznym rozrachunku uważa, że okoliczności decydują o pewnych działaniach.

— Na jedno wychodzi.

— Niezupełnie. Pomyśl o tym. Przez całą książkę Tom robi rzeczy... dokonuje wyborów opartych na tym, czego on i jego rodzina potrzebują w danym momencie. Nie w tym rzecz, że pewnego dnia się budzi i mówi: „Jezu, dzisiaj chyba pójde kogoś zabić”.

— Dobra, ale potem kogoś zabija i idzie dalej, podczas gdy nie pomaga rodzinie, bo nie może pracować, a wręcz może ich skrzywdzić, jeśli zostaną przyłapani na pomaganiu mu. Nie możesz więc powiedzieć, że nim powoduje tylko dbałość o dobro rodziny. Ludzie robią różne rzeczy i uzasadniają swoje wybory różnorodnymi szlachetnymi wymówkami, ale koniec końców zawsze dbają o własne interesy.

Odkładam konspekt.

— Rany... a więc ludzie to tylko kłamliwe, spiskujące gnojki dbające wyłącznie o własne interesy?

— Tak, w większości.

— Żadnych w ogóle zalet?

— Mniej więcej.

— To smutne — mówię, kręcąc głową.

— Smutne, ale prawdziwe.

— Dobra, a co z Rosasharn na końcu? Traci dziecko, ale karmi piersią głodującego człowieka. Jaka w tym dbałość o własny interes?

Patrzy na mnie chwilę i się uśmiecha.

— Przepraszam, tą piersią mnie rozproszyłaś — mówi, zerkając na moje piersi.

Szturcham go łokciem.

— Prosiak. Uśmiecha się szeroko.

— Nie jestem prosiakiem. Jestem facetem, co oczywiście wychodzi na to samo. Masz rację.

— Założę się, że masz serce z węgla. Nic dziwnego, że patrzysz na świat przez diabelskie okulary — mówię. Otwieram zeszyt, znajduję stronę opatrzoną nagłówkiem „Steinbeck — plan wypracowania podsumowującego. Frannie i Luc” i dopisuję kilka ostatnich punktów. Następnie podaję zeszyt Lucowi i patrzę, jak jego twarz wykrzywia się w grymasie niezadowolenia.

— A twoje okulary są różowe, bo ta lista jest niewiarygodnie naiwna.

— To, że nie uważam, że wszyscy są źli, nie czyni mnie naiwną.

— Owszem, czyni, ale tym lepiej dla mnie. Więc na czym stoimy? — pyta z szerokim uśmiechem.

Rzuca zeszyt na podłogę i ściąga mi koszulę przez głowę, wpatrując się w mój czerwony stanik.

— Ja ci pokażę naiwność — mówię.

Oczy mu błyskają i przysięgam, że przestaje oddychać, kiedy ja uśmiecham się szelmowsko i sięgam za plecy, by rozpiąć stanik, po czym rzucam go na leżącą na podłodze koszulę. Kładę się obok niego i czuję, jak moja skóra wtapia się w jego skórę. Luc całuje moją szyję i ucho, od jego oddechu dostaję gęsiej skórki.

— Och, jesteś piękna — szepcze mi do ucha. Wstrząsa mną dreszcz, kiedy przetacza się przeze mnie potężny pęd. Nim też.

Całe moje ciało jest przewodem pod napięciem. Jestem jednym wielkim dreszczem, każde zakończenie nerwowe mam przeciążone. Przy wszystkich innych nigdy nie ulegało wątpliwości, że w którymś momencie się zatrzymam. Nigdy nie byłam gotowa. Ale żaden z nich nie przyprawiał mnie o takie odczucia jak Luc. Wszystko w nim jest niewłaściwe, ale nic nigdy nie odczuwałam tak właściwie. To, jak nie mogę się go pozbyć z myśli, a moje serce czuje w pełni tylko, gdy jesteśmy razem, jak sprawia, że wszystko jest nowe i ekscytujące, to, jak mogę siebie widzieć przy nim — mówić mu wszystko.

Całuje mnie mocniej, kiedy łza wypływa z kącika mojego oka. Mam wrażenie, że się duszę, ale nie mogę go odepchnąć. Chcę go bliżej.

LUC

Czuję tylko jej ciało obok mojego i nic więcej. Nic innego nie istnieje. Reszta świata, włącznie z Niebem i Piekłem, rozpadła się w nicość. Na wszystkie nie-świętości, będę ją miał na całą wieczność. Nie ustane, dopóki nie będzie moja... w Otchłani... do której nie należy...

Odpycham tę myśl i skupiam się na Frannie. Oczy ma zamknięte, wtula się we mnie, całuje mnie. Czuję na sobie jej ręce, na całym swoim ciele.

— Nie przestawaj — szepcze mi gorąco do ucha, ale nie ma pojęcia, o co prosi. Bo wbrew temu, co myśli, naprawdę jest naiwna. Ja wiem, co się czai w ludzkim sercu i w moim sercu siarkowym. Muszę ją tylko wziąć. To pierwszy krok na jej drodze ku Otchłani. Ona tego pragnie. Ja tego pragnę... Och, jak mocno pragnę.

Wdycham jej czekoladę i imbir — czuję rodzynki i goździki jej duszy. Czuję na sobie jej dłonie, jak ciągną moje dzinsy. Moje pocałunki stają się głębsze i bardziej natarczywe. Nie mogę już czekać. Potrzebuję jej. Teraz.

Już mam zrzucić resztę naszych ubrań, wyobrażając sobie, jak jej skóra zetknie się z moją, wyobrażając nas sobie razem, kiedy ona odsuwa się, a jej oczy przeszywają mnie na wskroś, aż po mój czarny rdzeń. Podnosi rękę, przesuwa drżącym palcem po moich ustach, a mnie zalewa woń ciepłej czekolady.

Czekolady?

Czy to może być miłość? Czy ona mnie kocha?

Kiedy jej oczy znowu wpatrują się w moje, wszystko staje się jasne. Muszę przestać, bo gdzieś po drodze dorobiłem się ludzkiego sumienia, a to sumienie mówi mi, że bez względu na to, jak bardzo chcę z nią być na wieki, to jest złe. Ona musi wiedzieć, czym jestem, musi mieć wybór. Całuję ją raz jeszcze, jeden ostatni raz, jakby moje życie od tego zależało — i pewnie zależy, bo jeśli obiorę tę drogę, to następnym moim przystankiem będzie dno Czeluści Ognia.

— Nie możemy tego zrobić, Frannie. — Odwraca wzrok, kiedy opieram się nad nią na łokciu. — Spójrz na mnie — mówię bardziej stanowczo — jestem kimś innym, niż sądzisz.

I wtedy to robię.

Czuję, jak wzdragam się przed jej nieuniknioną reakcją, kiedy w wyobraźni zdejmuję ludzką powłokę i pozwalam jej zobaczyć siebie w całej mojej piekielnej glorii: cętkowana, miedziana skóra, kudłate czarne włosy wpadające do skośnych, krwistoczerwonych kocich oczu, prosta czerwona dziura paszczy na płaskiej twarzy i przepisowe czarne rogi, oczywiście. Czuję ogień pod skórą, kiedy zaczynam parować, i odsuwam się, pewien, że w tej postaci ją spalę.

Nie wiem dlaczego, ale myślałem, że zrzucenie ludzkiej powłoki będzie przede wszystkim przeżyciem dla niej. Myliłem się. Okazuje się, że czuję więcej — ze względu na nią i ze względu na siebie, bo moja miłość do niej rozbudziła odrazę i wstręt do samego siebie. I zapach siarki, zwykle tak przyjemny, doprowadza mnie do mdłości. Ja sam siebie doprowadzam do mdłości.

Oczekuję krzyku i może szelestu pościeli, kiedy cofnie się przede mną. Nie słyszę ani jednego, ani drugiego, ale czuję, jak gęstnieje w powietrzu zapach jej strachu, słodka pomarańcza. Boję się na nią spojrzeć, pewien, że zobaczę w jej oczach odbicie mojego obrzydzenia.

Ale kiedy rzeczywiście podnoszę na nią wzrok, widzę, że ona mnie nie widzi. W zasadzie. Bo to, co widzę pod cienką warstwą wstrząsu, to ciekawość. Jej oczy są szerokie, oddycha szybko, kiedy z wysiłkiem składa słowa.

— Więc... czym... no...

— Jestem demonem, Frannie — przerywam jej, gniew w moim głosie jest skierowany do wewnątrz.

— Z Piekła.

Ona tylko się we mnie wpatruje, chłonąc wszystko, a w jej niebieskich oczach widać bezlik myśli.

— Z Piekła — powtarza drżącym głosem.

— Z Piekła — mówię łagodniej, zdając sobie sprawę, że popełniłem straszliwą pomyłkę. Co ja sobie myślałem? Ze i tak będzie mnie kochać? Jestem głupcem.

Sprężyny łóżka skrzypią, kiedy Frannie sięga po poduszkę, przytula ją do siebie i siada. Wątpliwość mąci jej wzrok, łza przepływa przez rzęsy, toczy się krzywą ścieżką po policzku, kiedy Frannie przetwarza to, co widzi.

— Demonem...

W odpowiedzi wydaję jęk i wciskam twarz w poduszkę. Bo wiem, że lada chwila ona ucieknie. Kiedy

dotrze do niej potworność tego wszystkiego — kiedy zrozumie, dlaczego tu jestem — ucieknie z krzykiem z mojego mieszkania, a ja tego nie zniosę.

Ale ciężar jej milczenia mnie dobija. Schodzę z łóżka i przysuwam się do okna, wpatrując się niewi-dzącym wzrokiem w parking. Frannie pociąga nosem, odwracam się do niej. Wpatruje się we mnie wielkimi, przerażonymi oczami, a ja nienawidzę, że to mnie się tak boi. Czuję, że ciągnie mnie do łóżka, żeby ją pocieszyć.

Ale nie mogę wrócić.

Nie mogę wrócić teraz, kiedy ona wie, kim jestem. Straciłem ją.

Nienawiść do samego siebie mnie przytłacza i zaczynam mieć nadzieję, że niewidzialna pięść zaciska-jąca się na moim sercu zdławi jego rytm i zabije mnie. Ale kieruję tylko moją wściekłość tam, gdzie jej miejsce, słyszę swój głos, niski i zduszony, jak ją atakuje.

— Co jest z tobą, u diabła?! Powinnaś być przerażona! Uciekaj!

Przez chwilę wygląda, jakby miała jednak uciec. I naprawdę chcę, żeby uciekła. Chcę, żeby uciekała co sił, jak najszybciej, nie oglądając się za siebie.

Ale Szatan mi świadkiem, jeszcze bardziej chcę, żeby została.

Dobrze, że nie muszę oddychać, bo jestem prawie pewien, że nie byłbym w stanie. Opieram się o ścianę, wpatrując się w sufit, z palcami zaciśniętymi na rogach, i czekam całą wieczność, aż ona coś zrobi. Cokolwiek.

Wreszcie, nie mogąc się już dłużej powstrzymać, z powrotem kieruję na nią wzrok.

Jej twarz jest ponura, czoło się marszczy. Mówi głosem głębokim, refleksyjnym. Mocniej przyciska poduszkę.

— To może być prawda. — Przeciera oczy i znowu na mnie patrzy.

Dałbym wszystko, żeby miała rację. Zwieszam głowę.

— To jest prawda.

Przez chwilę milczy, a ja niemal słyszę jej myśli.

— Zawsze wiedziałam, że jest w tobie coś... coś mrocznego... i jakby niebezpiecznego — mówi wreszcie.

Podsuwam się na ścianie do pozycji stojącej.

— Słyszysz mnie, Frannie? Jestem bardziej niż jakby niebezpieczny!

Wzdryga się, ale nie rusza się z łóżka. Patrzę, oczekując, że lada chwila jej twarz przyoblecze wyraz przerażenia, a widzę tymczasem jedynie wściekłość. Zapach czarnego pieprzu zalewa pokój.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Mówię ci teraz.

— Ale dlaczego nie wcześniej? Pozwoliłeś... — Zrywa się z łóżka i patrzy na mnie gniewnie, ściskając poduszkę tak mocno, że jestem pewien, że zaraz ją rozerwie. — Kocham cię — rzuca oskarżycielsko.

Powiedziała to.

I jest — czuję w nozdrzach ciepłą czekoladę pod oparzeliną czarnego pieprzu. W tym momencie całe moje wnętrze przeradza się w czystą energię i czuję, że moje diabelskie serce zaraz wybuchnie.

Ale to nieważne, bo w tej właśnie chwili ona ucieknie.

Jej oczy otwierają się coraz szerzej, kiedy nagle pojmuje, co powiedziała. Siada z powrotem na łóżku i siedzi tam długą, bolesną chwilę, wpatrując się we mnie, jej szczeka opada, na całej twarzy widać niedowierzanie.

— Nie... nie... — Opuszcza wzrok na łóżko.

Nie mam co powiedzieć. Nie mogę podejść i powiedzieć, że też ją kocham. Zwieszam więc głowę i czekam na trzask drzwi, kiedy ucieknie.

Ale drzwi nie trzaskają.

— Więc o co chodzi? — mówi tylko. — Musisz wracać?

Podnoszę głowę, a szyderczy suchy śmiech wydostaje się z mojego gardła. O tyle rzeczy mogłaby zapytać, a ona...

— Kiedyś.

Chwyta koszulę z podłogi, wciąga ją przez głowę, a potem patrzy na mnie wściekle.

— Wiedziałam, że odejdziesz. Zaciskam usta i trzęsę głową.

— To cię martwi?! Na grzech Szatana, Frannie, jestem diabłem! Powinnaś mieć nadzieję, że odejdę. ^

— Świetnie — mówi, wciskając swój zeszyt do torby. I wtedy właśnie zauważam, że drżą jej ręce.

— Oszczędzę ci kłopotu — kończy warknięciem. Zarzuca torbę na ramię i rozgląda się po podłodze, podczas gdy mnie wszystko burzy się w środku.

— Cholera! — krzyczy z frustracji. — Gdzie są moje pieprzone klapki?

Schylam się, podnoszę je z podłogi i podaję jej. Do-skakuje do mnie i wyrywa mi je z ręki. Ale nagle się waha, wpatrzona w moje rogi. Zaczyna podnosić rękę i spogląda mi w oczy, wróciła ciekawość.

— Mogę... — Nagle jednak opuszcza rękę i kręci głową, jakby próbowała pozbierać myśli.

— Co? — słyszę nadzieję w swoim głosie i za to pogardzam sobą jeszcze bardziej.

— Nic. — Robi w tył zwrot i idzie do drzwi. Zanim jednak do nich dotrze, odwraca się. Patrzy mi twardo w oczy przez długą chwilę, po czym oddycha głęboko.

— A więc teraz, kiedy już wiem, kim jesteś, pójdę do piekła, bo się w tobie zakochałam? — Drżący uśmiech igra w kącikach ust, kiedy wierzchem dłoni ściera łzę z policzka.

I nagle ciepła czekolada bierze górę nad pieprzem. Przez sekundę serce pulsujące w mojej piersi nie jest siarkowe. Nie mogę uwierzyć, że wiedząc, kim jestem, kim naprawdę jestem, i tak mnie kocha. Nagle jednak dociera to do mnie.

— Frannie, nie... to nie jest proste — wyznaję z jękiem. Kolana się pode mną uginają, zsuwam się po ścianie, z głową w dłoniach. Nie powinna wciąż mnie kochać. To może się tylko skończyć źle.

Wraca na środek pokoju, rzuca torbę i przysiada na rogu łóżka.

— Czy ja cię w ogóle obchodzę?

Odrywam dłonie od twarzy i podnoszę na nią wzrok. Wiem, co powinienem powiedzieć, i moje usta już się otwierają, żeby powiedzieć „nie”. Tymczasem słyszę, że z moich ust wymyka się bardzo ciche „tak”. A kiedy słyszę takie swoje słowo, wstrząs wytrąca mnie z otepienia. Skaczę na nogi i cały lód z mojego siarkowego serca kieruję w słowa:

— To znaczy nie. Wykonuję po prostu swoją pracę.

— Nie wierzę ci — mówi z płomiennym niedowierzaniem w słowach i na twarzy.

Powinna krzyżeć. Uciekać. Wszystko, tylko nie to. Odwracam się i wydaję warkot na cały świat — i w lustrze na drzwiach łazienki dostrzegam swoje odbicie.

Co, u diabła?

Podchodzę do lustra i wpatruję się w swoje odbicie, jednocześnie mocniej usiłując pozbyć się ludzkiej postaci. Skoro nic się nie zmienia, odwracam się z powrotem do niej.

— Frannie, spójrz na mnie i powiedz, co dokładnie widzisz. Co się zmieniło?

— No... rogi wyglądają na nowe i oczy ci błyszczą bardziej niż zwykle. I niechętnie to mówię, ale cuchniesz. — Wykrzywia twarz i zatyka nos. — Nie możesz odkręcić tych zgniłych jaj? Wolę cynamon.

- To wszystko?
- A powinno być coś więcej? Ogon... kopyta... pazury.
- No owszem.
- Na przykład?
- Nieważne. — Chwytam tiszert z podłogi i wciągam na siebie. — Co powiesz na przejażdżkę?

ROZDZIAŁ 17

Na miłość boską

FRANNIE

Biegniemy przez deszcz, moja dłoń w dłoni Luca, i wskakujemy do samochodu. Boję się zapytać, ale i tak to robię.

— Dokąd jedziemy?

— Jest tylko jedna osoba, i tego określenia używam nieprecyzyjnie, która może wiedzieć, co się do diabła dzieje — mówi, uruchamiając silnik.

Burza przybiera na sile i kiedy docieramy do domu Gabe'a, mamy już solidny potop, wielkie krople deszczu młóćące przednią szybę i walące w dach jak tysiące małych młoteczków. I przez całą drogę jestem w stanie myśleć tylko o tym, że powiedziałam, że go kocham.

Co ja sobie myślałam?

Jest demonem. Nadal nie mogę ogarnąć, co to w ogóle oznacza. Miał rogi!

A ja powiedziałam, że go kocham. O Boże! Skąd to się w ogóle wzięło? Nie kocham go, prawda? Nie. Miłość nie istnieje. Ale demony też nie.

Zerkam na Luca, kiedy gasi silnik i odwraca się do mnie. Boję się go, ale chociaż wiem, że to strasznie głupie, moje przerażenie nie ma nic wspólnego z tym, że nie jest człowiekiem.

O Boże. Kocham go?

Ciągnie mnie do wejścia, na ganek, gdzie dzwonimy do drzwi. We wszystkich oknach jest ciemno.

— Może nie ma go w domu — mówię z nadzieją. Bo nie jestem gotowa na starcie z nimi dwoma.

— Jest — odpowiada Luc i w tym momencie drzwi się otwierają, a ja na widok Gabe'a tracę oddech.

Nie mogę tu być z nimi dwoma. Jestem na to zbyt skołowana. Bo jeszcze trzy dni temu byłam równie przerażona, kiedy zdałam sobie sprawę, że mogę kochać Gabe'a.

Odwracam się do Luca.

— To dobry pomysł?

— On może wiedzieć, co się dzieje.

— Z kim? — pyta Gabe, sięgając po moją rękę, by wciągnąć mnie do domu.

— Ze mną — odpowiada Luc i też wchodzi do środka.

Gabe włącza światło i przygląda się Lucowi uważnie.

— Tak? — pyta, zamykając drzwi.

— Nie mogę się przemienić — mówi Luc niskim i ciężkim głosem.

Gabe wygląda na wstrząśniętego, jakby wiedział, o czym Luc mówi, i jakby to coś znaczyło.

— Pokaż mi.

Luc odsuwa się ode mnie, zamyka oczy, bierze głęboki oddech i wypuszcza małe czarne rogi.

Wpatruję się zafascynowana i powstrzymuję chęć, by wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

— Spróbuj bardziej.

— To wszystko. Nic więcej nie mam.

— **I** nie jest taki gorący jak wcześniej — dodaję. Luc patrzy na mnie i widzę coś w jego oczach, może nadzieję.

Na twarzy Gabe'a pojawia się zrozumienie.

— Tak się zastanawiałem... Rogi Luca znikają.

— Nad czym?

— Pamiętasz, jak mi powiedziałeś, że nie chcesz zrobić Frannie krzywdy?

Luc zerka na mnie.

— Tak.

— A ja powiedziałem, że ci wierzę. - Tak.

— To się wtedy zaczęło. Twoje myśli wisiały sobie w powietrzu i byle anioł mógł je usłyszeć. A myśli demonów nie słyszę.

Luc mruży oczy.

— Byłeś w mojej głowie? — warczy. Gabe parska.

— Owszem. I muszę ci powiedzieć, że twój plan był do dupy. Kochałeś ją bez względu na to, czy o tym wiedziałeś czy nie, i przez ten fakt resztę twojego żalosego planu diabli wzięli, że się tak wyrażę. Spoglądam na Luca. On też mnie kocha?

Luc patrzy wściekle na Gabe'a, po czym odwraca się i wygląda przez okno.

W głowie mi wiruje, myśli, obrazy, emocje, wszystko lata w chaosie dookoła. Słyszę o rzeczach, które są niemożliwe, myślę o nich, ale też wiem, że są prawdziwe. I mały kawałek mojego mózgu czuje ulgę, jakby wiedział, że to nastąpi.

Luc — Lucyfer — gorący — rogi — diabeł. Teraz, kiedy Gabe tu stoi, wydaje mi się to bardziej rzeczywiste, niż kiedy byłam w mieszkaniu Luca.

Gabe.

Słyszę, jak mój oddech się zatrzymuje gdzieś daleko kiedy elementy układanki porządkują się w mojej głowie. Gabe — Gabriel — jego olśniewający uśmiech — i wszystkie jego przestrogi. I... co to on powiedział... „byle anioł mógł je usłyszeć”.

Nie.

Patrzę na Gabe'a, ogłuszona kompletnie. Anioł? Spogląda na mnie, oczy ma uważne i na głos odpowiada na niewypowiedziane pytanie:

— Tak.

— Nie!

Dlaczego to o wiele trudniej przyjąć niż fakt, że Luc jest diabłem?

Bo nie ma aniołów, nie ma nieba, nie ma Boga.

Pokój wiruje, a ja schylam się, chwytam się za kolana i próbuję wciągnąć powietrze do zapadających się płuc. Ale gardło zaciska mi się jeszcze bardziej, kiedy myślę o Macie, całkowicie odcinając mi powietrze.

Jeśli Bóg istnieje, to dlaczego zabrał mi brata.

Nogi mi się uginają, a przed utratą przytomności widzę jeszcze, jak Gabe mnie chwytą w ramiona.

Otwieram oczy i najpierw widzę zmartwioną twarz Luca. Siedzi na krawędzi mojej kanapy, trzymając mnie za rękę. Gabe przechadza się za nim. Biorę nierówny oddech i próbuję usiąść, ale Luc kładzie mnie delikatnie z powrotem na kanapie, poprawiając mi pod głowę poduszkę.

— Nic z tego nie rozumiem. — Mój głos przypomina ochryply szept.

Luc przygląda mi się, a w jego oczach widzę wszystkie obietnice.

— Pytaj, o co chcesz.

Moje myśli są beznadziejną kotłowaniną i wychodzi z nich bezsens.

— Jesteście tu... wy dwaj... co... dlaczego? — wyduszam w końcu z suchych ust drżącym głosem.

Jego głos jest delikatny, jakby przemawiał do przerażonego dziecka — i pewnie przemawia.

— Bo ty tu jesteś.

— Ja... jesteście tu z mojego powodu? — Czuję, jak krew znowu odpływa mi z głowy, przed oczami wirują gwiazdy.

— Tak.

— Dlaczego? — szepczę.

Szyderczy uśmiech wykrzywia usta Gabe'a, kiedy siada na poręczu kanapy przy moich nogach.

— Ja jestem tu, by chronić cię przed nim. — Ruchem głowy wskazuje Luca.

Całe moje ciało drży i czuję, jak mi się zbiera na wymioty.

— Chronić mnie... przed Lukiem?

Gabe odwraca się do Luca, w jego głosie wyraźnie słychać pogardę.

— Nie powiedziałeś jej? No naprawdę, świetna robota.

Luc wygląda na udręczonego, wstaje i rusza do okna. Chwyta rękoma framugę tak mocno, że aż się dziwię, że drzazgi nie lecą, wzrok kieruje na podłogę.

Gabe siada obok mnie na kanapie. Bierze mnie w ramiona, a ja w nich tonę.

— On tu przybył oznaczyć twoją duszę dla Piekła.

— Oznaczyć moją duszę... — Czuję, jak głowa znowu zaczyna mi odpływać, kiedy gwiazdy jaśnieją mi w oczach. Nagle myślę o przynależności do Piekła i gardło mi się zaciska. — Z powodu tego... co się stało?

Gabe przytula mnie mocniej.

— Nie. To nie ma z tym nic wspólnego.

Luc odwraca się od okna i pytająco patrzy na Gabe^ i na mnie.

— Więc dlaczego ja?

Gabe przeszywa Luca stalowym spojrzeniem, ten zaś sprawia wrażenie niepewnego.

— Nigdy się dokładnie nie dowiedziałem — mówi w końcu. — Wiedziałem tylko, że muszę cię oznaczyć.

— Hm, więc Berith musi mocno w ciebie wierzyć
— głos Gabe'a ocieka sarkazmem. Luc zabija go wzrokiem.
— Zamknij się, do diaska. Nie muszę wiedzieć.
— Nagle jednak patrzy na mnie w ramionach Gabe'a i markotnieje.
— Jesteśmy przewrażliwieni. — Twarz Gabe'a łagodnieje. — Ale dobrze się domyśliłeś.
Luc w milczeniu kiwa głową. Gabe przytula mnie mocniej.
— Jesteś wyjątkowa, Frannie. Masz wyjątkowe... umiejętności. Pewien dar, za którego przejęcie obie strony gotowe są zabić. Dosłownie.
— Obie strony... czyli Niebo i Piekło? Kiwa głową.
— Nie mam żadnych darów.
— Ależ masz. — Zerka na Luca. — Prawda? Luc niepewnie podnosi wzrok na mnie.
— Masz dar widzenia, Frannie.
— Nie wiem, o czym mówisz.
— Masz widzenie... wizje. Ghalib, ojciec Taylor. Wiesz.
Gardło mi się zaciska, kiedy myślę o moich koszmarach — o wydarzeniach, które widzę, zanim się rozegrają. O twarzach, które pojawiają się po błysku w mojej głowie: Matt, babcia, pan Stevens, Ghalib i tylu innych.
Gabe wstaje.
— Ale to nie wszystko — mówi. — Jest coś ważniejszego.
Zerkam na Luca i widzę, że jego twarz blednie. Powoli kręci głową. Gabe patrzy na niego i kiwa.
— Wpływ — szepcze Luc, a jego czoło się marszczy jakby pod wpływem nagłego bólu w skroniach. Opuszcza głowę i ściska grzbiet nosa. — Piekło i szatani...

_ co? — pytam. Po moich plecach przebiega dreszcz i Gabe przytula mnie mocniej.

— Hitler, Mojżesz... co oni mieli wspólnego? Nie mam nastroju do rozwiązywania zagadek.

— Powiedzcie mi po prostu, co jest grane. — Strasznie nie podoba mi się, że mój głos jest taki słaby i cichy.

— Znasz historię Mojżesza. Miał taką zdolność, że ludzie go słuchali: wpływał na ich opinie, ich myśli. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie było. Kiedy Lucyfer zobaczył, co on może, jak Bóg działa poprzez niego, zdał sobie sprawę, że przegra. Kiedy więc pojawił się następny taki ktoś z równie silnym darem wpływu, Lucyfer ani myślał czekać. Walczył. Nieczysto, mogę dodać — tu patrzy gniewnie na Luca — i wygrał. Wszyscy wiemy, co się działo w nazistowskich Niemczech. Potem nie było już nikogo z taką mocą. Dopiero teraz...

_Wymienia z Lukiem porozumiewawcze spojrzenia, po czym kieruje wzrok na mnie. — Teraz jesteś ty.

Luc stoi z szeroko otwartymi oczami, z rozchylonymi ustami, przerażony.

— Posłuchaj, jak to wygląda. Jeśli oni — tu ruchem podbródka wskazuje Luca — cię dopadną, będziesz Hitlerem, ale gorszym. Jeśli zostaniesz z nami, będziesz Mojżeszem. Twoja moc będzie jeszcze silniejsza. _ Zaciska zęby i kręci głową. — A nie jesteś tak naiwna, by wierzyć, że ludzie są z natury dobrzy, Frannie.

Czuję się taka mała. Moje całe ciało się zapada w sobie, kiedy znika wszystko prawdziwe, wszystko, co znałam. Nękają mnie tysiące pytań, ale nie mogę ich sformułować tak, by miały sens. Oprócz jednego.

— Dlaczego teraz? — szepczę.

— Idziesz na swoje. Kiedy byłaś młodsza, mogliśmy cię chronić, trzymać cię poza zasięgiem ich radarów. Ale teraz już nie.

Mój głos ciągle jest ochrypłym szeptem. Nic innego nie mogę z siebie wydusić.

— Czego chcecie ode mnie?

Przesuwa palcem wzdłuż kołnierzyka mojej koszuli, przez klatkę piersiową i stuka tam, w moje serce.

— Żebyś podążyła za głosem serca. Żebyś zrobiła to, co słuszne.

Wybucham ponurym śmiechem, który w ogóle nie przypomina mojego.

— Nie jestem święta.

— Nie mówiłem, że jesteś. Ale czy ci się to podoba czy nie, tym właśnie jesteś. A ja mam być tu dla ciebie — na każde twoje zawołanie.

LUC

A kiedy Gabriel to mówi, wiem, że ma rację. To właśnie czułem w jej duszy. Dlatego Berith wysłał mnie, żebym jej poszukał, i dlatego król Lucyfer chce jej duszy tak strasznie, że gotów jest złamać kilka zasad.

Wygląda na oszołomioną. Oczy ma szerokie jak sarna w świetle reflektorów.

— Macie niewłaściwą siostrę. Pomyliłam wam się z Grace.

Gabriel wtula twarz w jej włosy.

— Ty już zakłóciłaś równowagę. Ty, Frannie. Nie Mary, nie Kate ani Grace czy Maggie. Ty. Jeśli dałaś radę zrobić z gówna mózg tam — tu patrzy na mnie — to wyobraź sobie zmianę, którą możesz wywołać w królestwie śmiertelników. Zmianę, której już pewnie dokonałaś, nawet o tym nie wiedząc. Uderzam plecami o ścianę, jakby coś mnie pchnęło, nogi się pode mną uginają. Zsuwam się po ścianie na podłogę.

Wpływ.

Frannie ma wpływ. I jeśli to, co Gabriel właśnie zasugerował, jest prawdą, jej moc nigdy nie miała sobie równej u śmiertelników. Mówi, że to jej moc mnie zmieniła. Mnie, stwora piekielnego. I nie tylko mój umysł, ale też moją fizyczność. Jak to możliwe? Nawet Mojżesz nie miał wpływu na byty niebiańskie czy piekielne. I jeśli to prawda, ona potrafi wpływać nie tylko na masy. Ma moc większą nawet niż król Lucyfer. Może zmienić kształt Nieba i Piekła.

Słowa mojego króla odbijają mi się echem w głowie. „Moja kolej. To moja szansa. Przewyższę Go — wreszcie”. Król Lucyfer myśli, że może manipulować Niebiosami — a pewnie nawet Wszechmogącym — przez Frannie.

„Musisz bardzo uważać, czego pragniesz”. — Frannie przypomina sobie słowa Gabe'a, równie zagubiona w swoich myślach jak ja w swoich.

Gabe patrzy na nią z udręką w oczach.

— Twoja moc z każdym dniem przybiera na sile. Musisz widzieć, że masz wpływ na ludzkie myśli i emocje, a zatem i na czyny. — Zerka na mnie, a potem na jej rękę, którą obejmuje swoimi palcami. — I nie tylko na ludzi masz taki wpływ. Zawsze dostaniesz, czego chcesz, jeśli to będzie pod twoją kontrolą.

Frannie odsuwa się od niego i nagle pojawia się gniew. Pieprz zalewa pokój.

— Chcę odzyskać brata. Tego chcę! — rzuca. Patrzy na nią smutno.

— Nad tym kontrolę ma tylko Bóg.

Mogę jedynie patrzeć, jak na jej twarzy gniew ustępuje szokowi, a ten z kolei panice.

— To jest złe. Nie jestem święta ani nie jestem aniołem. Nie jestem nawet dobrym człowiekiem. Pójdę do piekła. Już to wiem.

Dlaczego ona tak myśli? Spoglądam na Gabriela. Ma zboląłą minę, pełną współczucia. Przytula ją do

swojego ramienia, a ona nie stawia oporu. Kiedy woń ciepłej czekolady Frannie przesącza się przez jego niebiański odór, czuję, jak coś zimnego i czarnego spowija moje serce i ściska. Zabiłbym go, gdyby nie wiedział, że Frannie go potrzebuje.

— To co się stało, ten powód, dla którego myślisz, że pójdziesz do Piekła, to nie była twoja wina — mówi w jej włosy.

— Pieprzysz — syczy, odsuwając się. — Zabiłam brata.

W moich wnętrznościach powstaje wielka dziura. Chłopiec na zdjęciu — to wyjaśnia ten jej udreńczony wzrok, kiedy o niego zapytałam. Tyle bólu — ten sam ból, który schowała tak głęboko pierwszego dnia naszej znajomości, kiedy spytałam, co chciałaby cofnąć.

Gabriel kręci głową.

— Nie zabiłaś go, Frannie. Przyszedł na niego czas. I tyle.

Zupełnie jakbym oglądał wybuch wulkanu. Słowa wylewają się z jej ust jak rozpalona lawa.

— Jasne. Tak sobie powtarzaj, jeśli dzięki temu pogodzisz się z wykradaniem dzieci z rodzin.

Gabriel przysuwa się trochę bliżej, ale ona się oddala.

— On jest ze swoją rodziną. Bóg wezwał go do siebie.

— No to twój Bóg jest do dupy.

Przechodzę przez pokój i siadam obok niej. Biorę jej rękę, bo chcę — nie, muszę — coś zrobić, żeby złagodzić jej ból.

— Myślę, że to co Gabriel powiedział, to prawda, Frannie. Gdybyś go zabiła, już byłabyś oznaczona dla Piekła, a nie jesteś.

— A powinnam — mówi, wyrywając mi się. Podnoszę palcem jej brodę, zaglądając głęboko w szafirowe oczy.

— Nie, nie powinnaś — mówię i pochylam się, by ją pocałować. Dopiero po raz trzeci używam swojej mocy na Frannie, żeby wyciągnąć cały jej ból i błędnie skierowany gniew. To o wiele za mało, ale nic więcej robić nie umiem.

FRANNIE

Waham się, ale potem patrzę w te czarne oczy, które umieją dojrzeć moją duszę. A kiedy jego usta dotykają moich, czuję, jak wszystko się zmienia, jak cały mój gniew się roztapia. Kiedy jego oczy wreszcie mnie uwalniają, znika gorycz z mojej duszy i ból z serca.

Gabe oddycha głęboko i patrzy na mnie zranionym wzrokiem, a mnie zabija poczucie winy.

Potrzebuję ich obu, w sposób zupełnie dla mnie niepojęty. Gabe siada na krześle pod oknem.

Opuszczam głowę i patrzę na swoje kolana. Luc mnie ściska.

— A więc wracamy do mojego pierwotnego pytania. Co się, do diabła, ze mną dzieje? W co ja się przeradzam? — Patrzy na Gabe'a gniewnie. — Chyba nie w jednego z was. Błagam na wszystkie nieświętości, powiedz, że nie zamieniam się w jakiegoś świętoszka. Nie zniósłbym tego.

— Nie wiem — odpowiada Gabe. — Wszystko jest możliwe. Daj mi znać, jak zaczną ci rosnać skrzydła.

Spoglądam na Gabe'a.

— Czy on może stać się taki jak ja? Może stać się człowiekiem?

Luc patrzy na mnie z tym samym pełnym nadziei wyrazem twarzy, który widziałam u niego wcześniej.

— Możliwe — odpowiada Gabe zrezygnowany. — O ile wiem, to niespotykane. Nie mam pojęcia, co się dzieje, tylko że się najwyraźniej dzieje i że jest to

znaczące. A ty masz klucz. Zmienisz świat, Frannie. To wielkie.

— Wielkie — mówię, próbując sobie wyobrazić, co to znaczy. — Więc mówimy o takich wielkościach jak „przyrowadź go do Jezusa” — macham ręką na Luca — czy „niepokalane poczęcie”?

Luc patrzy gniewnie, a w kącikach ust Gabe'a czai się uśmiech.

— Zależy, do czego jesteś zdolna, ja bym raczej obstawał przy wydarzeniach typu „niepokalane poczęcie”. Chociaż jeśli jego akurat przyrowadzisz do Jezusa, to też będzie nie byle co.

Luc zeskakuje z kanapy i w okamgnieniu dopada drugiej strony pokoju. Oczy mu płoną.

— Nie możesz być poważny?

— Nie bądź takim osłem. Gdyby to nie było coś wielkiego, to czy On wysłałby mnie? W końcu ona ma na imię Maria. Czy ktoś bez daru wpływu mógłby przekonać masę o niepokalanym poczęciu?

Drugie nadejście Chrystusa? — Na twarzy Gabe'a pojawia się uśmiech tak szelmowski, że chyba nie przystoi aniołowi. — Co jest, Lucyferze? Nie chcesz być Józefem?

Luc obraca się i zapiera rękoma o ścianę, wydając ryk, od którego włosy mi stają.

— Och, piekło i szatani! To niemożliwe. — Potem odwraca się i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

Wstaję z kanapy niepewna, co czuję. Myślę o pocałunku Gabe'a. Jeśli to było niebo, to poproszę dokładkę. Pamiętam, jak myślałam, że mogłabym tam żyć, w tym spokoju i miłości. Ale nie to on mówi — nie to oferuje. Podobno posiadam jakąś moc i mam coś z nią robić, żeby ratować ludzi. I kiedy o tym myślę, ogarnia mnie panika i oddycham z trudem.

Gabe przyciąga mnie do siebie i obejmuje. Tym razem mu pozwalam, bo potrzebuję go. Osuwam się

w jego ramiona, gdy jego letni śnieg spowija mnie spokojem i oddech staje się miarowy. Kiedy już mam dość powietrza, podnoszę na niego wzrok.

— Co się stanie ze mną?

Oczy ma bezkresne. Chcę się w nich zanurzyć.

— No po pierwsze to — pochyla się i całuje mnie w policzek, zbyt blisko moich ust, a serce mi przyspiesza pomimo jego spokoju. — Będę na każde twoje zawołanie. Jeśli kiedykolwiek będziesz w potrzebie — zerka groźnie na Luca — wiesz, gdzie przyjść. — W jego oczach pojawia się cierpienie.

— Ale poza tym nie jestem pewien.

Przyciskam się mocniej do Gabe'a, a Luc patrzy na nas od okna.

— Trochę ryzykujesz skrzydła, nie sądzisz? — rzuca do Gabe'a.

W odpowiedzi Gabe przyciska mnie mocniej i patrzy triumfalnie na Luca, ale widzę niepewność w jego oczach. Zapadam się w niego, a letni śnieg sprawia, że nie muszę myśleć.

ROZDZIAŁ 18

Anioły i demony

FRANNIE

Kiedy patrzę na nich dwóch, w zasadzie wydają mi się komiczni. Są tak zajęci walką, że nie widzą między sobą podobieństwa. No... różnią się trochę, bo jeden jest ciemny i niebezpieczny, a drugi oślepia mnie swoją światłością. Ale poza tym...

Zaczynam jakoś zbierać myśli. W ciągu tygodnia od chwili, gdy Luc i Gabe mnie oświecili, obaj się wycofali, by zostawić mi przestrzeń do namysłu. A Gabe wycofał się też pod innymi względami. Niemal nigdy nie jesteśmy sami i ledwie mnie dotyka. Wydaje mi się, że nie jestem z tego powodu szczęśliwa. Nie zapytałam go dlaczego, ale jestem niemal pewna, że wiąże się to z uwagą Luca o utracie skrzydeł.

Cała biel w kuchni Gabe'a tworzy oślepiający blask, a nie jestem pewna, czy Gabe się do tego nie dokłada. On patrzy groźnie na Luca, a Luc na niego wyzywająco.

— Zupełnie nie pojmuję, jak po tym wszystkim, co widzieliście, możecie jeszcze się tak zachowywać. Jedynym powodem, dla którego Wszechmogący nie zesłał kolejnego Potopu, jest to, że pierwszy okazał się bezowocny.

Gabe kręci głową.

— Ludzie codziennie robią różne rzeczy, żeby udowodnić, że się mylisz. Całkowicie bezinteresowne akty dobroci.

— Nie zgadzam się. Nic nie jest bezinteresowne. Na dnie każdego dobrego uczynku znajduje się motyw dbania o własne interesy.

— Facet, musisz się trochę rozchmurzyć. Wznoszę oczy do nieba.

— Opuść sobie, Gabe. On jest beznadziejny. — Otwieram w kuchni książkę do matematyki i odsuwam pustą miseczkę po lodach. — Wiem, że wy jesteście geniuszami i tak dalej, ale jutro zaczynają się testy końcowe, więc ja muszę się pouczyć, albo UCLA zmieni co do mnie zdanie.

Luc patrzy na mnie z uśmiechem,

— O co chodzi z UCLA, tak swoją drogą?

— Co masz na myśli?

— Ciekaw jestem po prostu, dlaczego czujesz się zmuszona jechać trzy tysiące mil do college'u.

— Cóż... po części właśnie z powodu tych trzech tysięcy mil. Ale tak naprawdę mają najlepszy w kraju program stosunków międzynarodowych, a myślę, że mogę zrobić drugi fakultet z nauk politycznych albo ze studiów bliskowschodnich.

Luc podnosi brew.

— I co potem robić? Czuję ciepło na policzkach.

— Uważam, że większość gówna, które dzieje się na świecie, zdarza się dlatego, że ludzie nie wiedzą, jak ze sobą rozmawiać. Wiecie, z powodu różnic kulturowych czy religijnych. Takich rzeczy. Dlatego zaczęłam te wszystkie korespondencyjne przyjaźnie. Bo chciałam zrozumieć. Więc... tak myślę, że chciałabym zrobić coś większego. Nie wiem dokładnie, co ani jak...

Gabe się uśmiecha. Jego światłość znowu mnie oślepia.

— Wzniosłe cele.

— Zamknij się — rzucam zawstydzona. Wiem, jak głupio to brzmi, ale zawsze tego chciałam. Zawsze byłam niezła w gadaniu z ludźmi, pomagałam im znaleźć płaszczyznę porozumienia. Tak jak teraz z Lukiem i Gabe'em — chociaż myślę, że jedyną ich płaszczyzną porozumienia jestem ja, więc to się w zasadzie nie liczy.

— I myślisz, że coś zmienisz. — Wyraz twarzy Luca jest teraz poważny.

— Pewnie nie. Ale nie zaszkodzi spróbować — mówię, patrząc, jak moje palce turlają ołówek po książce do matmy.

— Zmienisz, Frannie. — Gabe nagle również poważnieje.

— Naprawdę? Nie jestem pewna, czy będę miała szansę.

Luc i Gabe wymieniają ostrożne spojrzenia. Wiedzą, że mam rację. Potem Luc patrzy twardo na Gabe'a, a w jego oczach kryją się katusze.

— Oznakuj ją.

— Jesteś jeszcze dumniejszy, niż wyglądasz — mówi Gabe z sardonycznym uśmiechem i kręci głową.

— Co cię powstrzymuje? Twarz Gabe'a ciemnieje.

— Frannie mnie powstrzymuje. Żołądek podjeżdża mi do gardła.

— Chwila moment. Jak mam mieć życie, jeśli będę oznaczona dla Nieba? Czemu to jest lepsze niż oznaczenie dla Piekła?

Luc z wielkim trudem udziela odpowiedzi.

— Wszechmocny — waha się, zerka na Gabe'a po potwierdzenie. Gabe kiwa głową, więc Luc kontynuuje. — Nie wykorzystysta cię tak... żałośnie.

— Ale i tak mnie wykorzystysta. To już nie będzie moje życie. — Czuję, że zaraz górę wezmą moje uraza

i gniew. Upycham je z powrotem w ciemnym schowku. — Nie chcę być ani Mojżeszem, ani Hitlerem. Chcę być Frannie.

— Jeśli zostaniesz oznaczona dla Nieba — odzywa się wreszcie Gabe — będę mógł cię chronić. Odwrócenie oznaczenia byłoby skrajnie trudne i w końcu by sobie odpuścili. Jeśli pozostaniesz nieoznaczona, dalej będą po ciebie przychodzić.

— I wy też. — Upadam na duchu. Nie ma z tego wyjścia. Nagle doznaję uczucia klaustrofobii, tkwię w pułapce, przerażona. Drżącymi rękoma przesuwam przed sobą książkę do matematyki. — A wy to kumacie? — Zdecydowanie muszę zmienić temat.

Pełne troski spojrzenie Luca zatrzymuje się na mnie trochę dłużej, ale pojmuje, o co mi chodzi. Przyciąga do siebie moją książkę.

— Nad którym teraz siedzisz?

Szybko wysuwam książkę spod jego palców, a on gwałtownie podrywa rękę.

— Au.

— Au? — pyta Gabe z uśmiechem. — Żartujesz, prawda?

Luc podnosi rękę i obraca ją, a naszym oczom ukazuje się maleńka szkarłatna kropla na czubku środkowego palca. Zaciął się papierem.

— No to mamy rozwiązanie zagadki — mówi Gabe.

Luc tylko patrzy z szeroko otwartymi ustami na rosnącą kroplę krwi. Potem odwraca się do mnie z niepewnym uśmiechem na twarzy, po czym chwyta mnie za kark, przyciąga do siebie i całuje.

Kiedy wreszcie mnie puszcza, zaglądam w jego uśmiechnięte oczy.

— Co mi umknęło? — pytam trochę bez tchu i kompletnie skołowana.

— Demony nie krwawią — odpowiada z szerokim uśmiechem.

Oczy Gabe'a rzucają błyskawice, kiedy Luc ode mnie odstępuje.

— Anioły też nie — mówi.

LUC

Próbuję ogarnąć, co to znaczy, w drodze do domu, ale bardzo się męczę. Jestem śmiertelnikiem? Zamieniam się w człowieka? Myślę, co by to znaczyło dla Frannie i dla mnie, kiedy siedzi obok mnie w mustangu z głową na moim ramieniu. W uszach słyszę pulsowanie krwi — coś nowego — kiedy rozważam możliwości. Możemy być razem? Naprawdę razem?

Ale z drugiej strony przemiana w człowieka oznacza, że moje powiązanie z nikczemnymi słabnie. Dobrze i źle. Dobrze, bo już doszedłem do wniosku, że to banda gnojków i naprawdę nie chcę już być w ich głowach. Źle, bo nie będę umiał powiedzieć, kiedy się zjawią. Jeśli nie będę umiał powiedzieć, że są w pobliżu, nie będę mógł chronić Frannie przed nimi.

Wyciągam małe pudełko ze schowka między fotelami i obejmując ją ramieniem, podsuwam jej przed twarz.

— Mam coś dla ciebie.

— Co to jest?

— Możesz chyba wziąć pudełko z mojej ręki i otworzyć je, nie sądzisz? — mówię z uśmiechem.

— Dupek — mamrocze, chwytając pudełko i otwierając je. Wyciąga krzyżyk na łańcuszku i chwilę patrzy, jak się kołysze.

— Załóż to. Krzyżyk jest żelazny połączony, a Jezus ze srebra i platyny.

Patrzy na mnie, a cyniczny wyraz twarzy niemal maskuje psotny błysk w oku.

— Widzę. Jeśli próbujesz zaciągnąć mnie do łóżka podarkami, to chyba dokonałeś niewłaściwego wyboru.

— Nie taka była moja intencja, ale zachowam tę sensacyjną wiadomość na przyszłość.

— Więc to żart? — pyta nieufnie.

— Nie, to broń.

— Myślałam, że to wampiry mają problem z krzyżami.

— Mają. Ale druga strona ciągle powtarza „Jezus zbawia” i mam nadzieję, że się nie mylą.

— O czym ty mówisz, do diabła?

— Każdy demon ma swoją słabość, coś zaprogramowanego nam przez króla Lucyfera w chwili naszego stworzenia, żebyśmy nie mogli stać się zbyt potężni. Dzięki temu to kontroluje. — To efekt jego paranoi, niewątpliwie. — Moją jest złoto. Nie wiem, jaką ma Belial ani Avaira, ale ten krzyżyk uderza w najbardziej popularne słabości. Chcę, żebyś go nosiła, a jeśli któreś z nich się do ciebie zbliży, zadrap ich nim. To przynajmniej trochę ich spowolni.

— Naprawdę uważasz, że tego potrzebuję? Patrzę nieruchomo w jej oczy.

— Potrzebujemy wszelkiej pomocy, jaką można pozyskać.

Jej oczy otwierają się szeroko. Zakłada łańcuszek na szyję i palcami dotyka krzyżyka.

— Dlaczego to się dzieje? — pyta głosem z pozoru spokojnym.

Mocniej zaciskam rękę na kierownicy.

— Nie wiem.

Podnosi na mnie wielkie, zranione oczy.

— Cokolwiek Gabe myśli na temat mojej roli... ja jej nie chcę.

— Nie sądzę, żebyś miała wybór. Urodziłaś się z darem wpływania, tak jak z niebieskimi oczami i blond włosami.

— Ale mogę to zmienić, mogę nosić szkła kontaktowe albo zafarbować włosy.
— Tak naprawdę ich nie zmieniasz, to tylko ukrywanie prawdy. Twój wpływ byłby trudny do ukrycia.
Zapada się w fotelu przygnębiona.
— Co mogę zrobić, żeby oni wszyscy odeszli i zostawili mnie w spokoju?
— Nie sądzę, żebyś mogła zrobić cokolwiek. Piekło będzie się o ciebie dopominać, dopóki nie zostaniesz oznaczona, przez jednych lub przez drugich.
Z jękiem chowa twarz w dłoniach.
— Chcę tylko być sobą. Chcę mieć swoje życie. Sięgam po jej dłoń, chowam w swojej i ściskam.
— Oboje znajdziemy wyjście, Frannie. Obiecuję _ po prostu nie mam jeszcze pojęcia, co to jest.
Patrzę przed siebie nieruchomo, bo jedyne wyjście, jakie w tej chwili dostrzegam, to pozwolić Gabrielowi ją oznaczyć. — Frannie?
— Tak? Waham się.
— Powiesz mi o swoim bracie? Podnosi głowę i patrzy na mnie czujnie.
— Dlaczego?
— Bo widzę, jak bardzo cię to boli.
Jej twarz ciemnieje, w oczach pojawia się udręka.
— Co chcesz usłyszeć? Zabiłam go. I już.
— Wiem, że to nieprawda.
Zabiera mi swoją dłoń i splata ręce na piersi.
— Owszem, prawda.
— Powiedz mi, co się stało. Odwraca się do okna.
— Nie.
— Proszę, Frannie.
Znowu sięgam po jej rękę, ale ona mi ją znowu wyrywa. Odwraca się do mnie z dziką, ściągniętą twarzą.

Gorzki zapach czosnku wypływa z niej, wypełniając samochód.

— Zejdź mi z oczu, Luc. Oddycham głęboko.

— Pomogłoby, gdybyśmy o tym porozmawiali. Mój współczujący ton pogarsza tylko sytuację.

— Nic nie pomoże. On nie żyje!

Zjeżdżam na pobocze, a ona sięga do klamki. Chwytam ją, zanim otwiera drzwi. Wywija się z mojego uchwytu. Czosnek i pieprz drażnią mi nos.

— Zostaw mnie w spokoju, łajdaku! — Łzy wściekłości spływają jej po twarzy, kiedy patrzy na mnie wściekle.

— Pomogę ci, pozwól mi. Odpycha mnie z zadziwiającą siłą.

— Nienawidzę cię — mówi. Ale nie słysząc w jej głosie pewności. Słysząc, że jest pokonana, wyczerpana. Znowu chowa twarz w dłoniach, a gniew wypływa wraz ze łzami.

Kiedy szloch ustaje, odgarniam splątane kosmyki z jej mokrej twarzy. Patrzy na mnie w milczeniu, kiedy ostatnia łza spływa po jej policzku.

— Byliśmy na drzewie — głos jej się załamuje przy każdym słowie. — On uwielbiał łązić po drzewach... i... — Dostaje czkawki, kiedy próbuje stłumić kolejny szloch. — Wspinał się tak szybko.

Nie mogłam za nim nadążyć. — Odwraca ode mnie głowę i opiera się o drzwi. Wydaje dźwięk jak zranione zwierzę, coś pomiędzy skowytem a jękiem, a potem długo siedzi nieruchoma.

— Spadł? Wzdycha ciężko.

— Byłam taką idiotką... — Głos znowu więźnie jej w gardle i ciche łzy spływają po policzkach.

Delikatnie obejmuję ją ramieniem i przyciągam do siebie. Wtula się we mnie, a ja trzymam ją i nie mówiąc

nic, czekam, aż zbierze się do dalszych słów. A kiedy to następuje, ledwie ją słyhać.

— Tak strasznie nie lubiłam, że on się szybciej wspina, że... chwyciłam go za nogę... — Wtula się mocniej. — Pobiegłam po mamę, ale... — Jej głos jest otwartą raną, każde słowo ledwie się przeciska przez zdławione gardło. — Był moim bliźniakiem... moją drugą połówką. A ja go zabiłam...

Moje siarkowe serce rozpada się na milion kawałków.

— Tak mi przykro — szepczę w jej włosy. — Ale miałaś tylko siedem lat, to nie była twoja wina. Przytulam ją mocniej i tak strasznie chciałbym dla niej to jakoś naprawić. Ale nawet moja magia nie może przegnać jej osobistych demonów. Musi sama się z nimi zmierzyć. Ja mogę ją tylko trzymać, gdy płacze.

Kiedy tak siedzę z twarzą zanurzoną w jej włosach, czując, jak szloch wstrząsa jej ciałem, zastanawiam się, czy miłość rzeczywiście wszystko przezwycięża, bo jeśli nie, to wbrew temu co jej obiecywałem, chyba mamy przerabane.

FRANNIE

Kiedy dojeżdżamy do Luca, na parkingu Taylor i Riley siedzą na masce samochodu tej ostatniej, a ja próbuję sobie przypomnieć, kiedy im powiedziałam, gdzie on mieszka.

— Co one tu robią, do diabła?

— Gotują się do skopania mi tyłka — mówi Luc.

— No, zasłużyłeś sobie.

Patrzy na mnie spod podniesionej brwi, od czego mnie przechodzi dreszcz.

Parkujemy pod budynkiem Luca, staram się pozbierać, kiedy dziewczyny do nas doskakują. Cieszę

się, że Taylor wygląda niemal normalnie. Dzisiaj był jej pierwszy dzień w szkole po tym, co było z jej tatą, i była nieźle zdołowana.

— Przyjechałyśmy cię porwać — mówi Riley, obejmując mnie od tyłu.

— Jedziesz z nami, dziewczynski wieczór — dodaje Taylor.

— To nie wieczór i to nie środa. O co chodzi?

— Zamknij się i rób, co ci każą — uśmiecha się znacząco.

Podchodzę, żeby ją uściskać.

— Jak sobie radzisz?

— Świetnie — zapewnia, ale wygląda na trochę zmieszaną.

— Tata dzisiaj wrócił do domu? Zerka na Riley.

— Tak.

— Dobrze się czuje?

— Tak.

Czekam, aż rozwinie wypowiedź, ale uznaję, że pewnie nie chce o tym gadać.

— No więc co się dzieje?

— Jedziesz z nami.

— Przykro mi, mamy z Lukiem pewne zajęcia. On spogląda na mnie i widzę, jak jego wzrok kieruje się na krzyżyk pod moją koszulą.

— Nie, w porządku, myślę, że powinnaś pójść. Patrzę na niego groźnie.

— Myślałam, że mamy plany. — W każdym razie ja miałam. Plany z udziałem chłodnej pościeli i gorących ciał.

— Idź, Frannie. — Odsuwa się od nas, rozglądając się po parkingu i budynkach z rosnącą troską na twarzy.

— Nic ci nie jest?

— Nie — niemal warczy. — Jedźcie już.

Coś się nie zgadza. Z trudem odrywam wzrok od Luca i rozglądam się po parkingu, a potem patrzę na Taylor.

— Dokąd jedziemy?

— To niespodzianka — mówi z błyskiem w oku. Odwracam się, by pocałować Luca na pożegnanie, a on wciąż strzela oczami na boki.

— Co jest? — szepczę mu do ucha, kiedy pochyla się ku mnie.

— Nic. Zobaczymy się później. — Całuje mnie, a ja puszczam go niechętnie.

Wskakuję na tylne siedzenie samochodu Riley. Kiedy wyjeżdżamy z parkingu, Riley przygląda mi się we wstecznym lusterku.

— No a teraz poważnie. Co robimy? — pytam.

— Zobaczysz — odpowiada do lusterka.

— Jak mnie znalazłyście? Nigdy wam nie mówiłam, gdzie Luc mieszka.

Riley znowu zerka na mnie w lusterku.

— Owszem, mówiłaś. Pamiętasz, wtedy w szkole...?

— No właśnie nie... Więc... — oglądam się na blok Luca, niknący w oddali — to jest jakieś dziwne, nie sądzicie?

Taylor odwraca się do mnie.

— Rzuciłaś nas dla Lucyfera. Nie pozostawiłaś nam wyboru.

Lucyfera? Nagle w mojej głowie odzywa się alarm. Muszę zachować spokój. Panikowanie w niczym nie pomoże. Czuję ciężar krzyżyka na piersi i staram się tchnąć w niego siłę.

— Tak, pewnie tak. Przepraszam. No a co z Riley i Trevorem? Oni są tacy sami. — Czekam na reakcję Taylor.

Wymieniają szybkie spojrzenia, po czym Taylor odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem.

— Tak, ją też musiałam porwać. Niewłaściwa reakcja. Kurwa! I kiedy teraz na nią patrzę, zauważam po raz pierwszy, że jej oczy lśnią czerwono. Odrobinę za szarymi tęczęwkami, ale na tyle, że w cieniu w samochodzie można to zauważyć.

Nie wiem, co jest grane, tyle że na pewno mam przerabane.

Patrzę, gdzie by tu wyskoczyć z auta, ale jesteśmy już poza miastem i nie ma tu znaków stopu.

Kierujemy się na jakieś pustkowia. Riley prowadzi o wiele szybciej niż zwykle, bo w przeciwnym wypadku otworzyłabym drzwi i wyskoczyła w biegu. Staram się nie wariować, kiedy rozglądam się po okolicy... i nagle pojmuję. Jedziemy do kamieniołomu.

Parkujemy przy szlaku prowadzącym do kąpieliska, otwieram drzwi i zaczynam wysiadać. Taylor — czy ktokolwiek to jest — błyskawicznie odwraca się za mną.

— Ej, dokąd idziesz?

To rzeczywiście dobre pytanie. Dokąd idę? Patrzę na drogę gruntową. Do głównej jest przynajmniej pół mili przez gęsty, cichy las. Za wcześnie, by ktoś przyjechał się wykapać. Nie mam gdzie uciekać.

— Donikąd. A co my tu robimy?

— Tak sobie przyjechałyśmy. Może popływamy na golasa. Jak sądzisz?

No, świetny pomysł.

— Nie za bardzo. Woda jest lodowata.

Taylor rzuca spojrzenie na Riley, jej oczy błyskają czerwienią.

— Będziemy musiały się przytulić, żeby się rozgrzać — mówi z lubieżnym uśmiechem.

Niedobrze. Patrzę, jak Riley wsuwa kluczyki do kieszonki szortów i rusza ścieżką. Taylor trzyma się z tyłu, przepuszczając mnie. Ruszam za Riley, kombinując, jak by tu zdobyć te kluczyki.

Idziemy nad wodę, Taylor przechadza się nad krawędzią i siada na skale. Oczy jej błyszczą i zły uśmiech wykręca kąciki jej ust.

— Rozbierzmy się. Woda wygląda świetnie.

— Noo... świetny pomysł — potakuje Riley, przyglądając mi się z tym samym błyskiem. — Ale ja muszę się wysikać. Zaraz wracam. — Oddała się chyłkiem między drzewa. Cholera, kluczyki też poszły.

Taylor wstaje i podchodzi do mnie.

— Wyglądasz na zdenerwowaną. Wyluzuj — mówi, chwytając mnie za rękę i ciągnąc do skał. Jest gorąca, tak jak zawsze był gorący Luc. Sadza mnie, staje za mną i masuje mi ramiona, po czym zaczyna mi zdejmować koszulę przez głowę.

Ściągam ją w dół.

— Za zimno na to. Nie żartuję — mówię.

Nie odwracam się, żeby na nią spojrzeć, tylko słyszę pomruk. Muszę myśleć, ale serce łomocze mi w uszach, utrudniając koncentrację. Nagle w drzewach słyszę leciutki szelest. Podnoszę wzrok i wypuszczam powietrze, który wstrzymywałam, a on wychodzi spomiędzy drzew, jedwabiste czarne włosy połyskują w słońcu. Dzięki Bogu.

— Luc — mówię, odtrącając Taylor i wstając. Stawiam krok w jego kierunku, ale wtedy on podnosi głowę.

— Cześć, Frannie — odzywa się z szelmowskim uśmiechem w płomiennych czerwonych oczach. — Jestem Belial.

Patrzę na niego i wiem, że powinnam uciekać, ale nogi mi wrosły w ziemię, i nagle czuję się lekko oszołomiona. Kątem oka widzę, że Taylor oddała się chyłkiem ścieżką.

— Nie mogę przestać o tobie myśleć od tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy przed twoim domem. — Ma aksamitny głos i czuję, jak nogi mi miękną. Idzie

powoli do przodu, aż staje przede mną. Dotyka mojej twarzy, zostawia palący ślad na obojczyku. — Wszystko w porządku, Frannie. Będzie cudownie. — Gorące dłonie suną wokół mojej talii, przyciągając mnie do jego płonącego ciała.

Czarna mgła przenika mój mózg, kiedy się w nim rozpływam. Przypomina Luca i mimo woli zatracam się w jego dotyku. Kiedy jego wargi dotykają moich, ledwie mogę oddychać. Obejmuję go i przyciskam swoje ciało do niego, ale nagle w jakimś zakątku umysłu słyszę „nie!”. Robię głęboki wdech i próbuję myśleć. Niemal odruchowo moja ręka wędruje do krzyżyka zwisającego mi z szyi, kiedy z wysiłkiem trzymam się ostatniego pasma swojej świadomości. Ostatnim skrawkiem wolnej woli wyzwalam się z jego pocałunku, podnoszę na niego wzrok i uśmiecham się.

Nagle zrywam krzyżyk z szyi i wbijam mu w oko.

Zwierzęcy ryk wstrząsa lasem, kiedy on pada na kolana, wbijając palce w kipiącą twarz. Przez chwilę drży jak miraż i coś przerażającego wyłania się spod jego skóry.

Woń zgniłych jaj błyskawicznie przejaśnia mi w głowie. Odwracam się i co sił pędzę ścieżką, nie oglądając się za siebie. Nie mam za diabła pojęcia, co zrobię, jak dopadnę samochodu. Czy to jest w ogóle samochód? Gdzie naprawdę są Riley i Taylor? I nie wiem, co jest prawdziwe.

Staram się nie płakać, ale i tak już płaczę i kiedy pędzę ścieżką, wszystko mi się zamazuje na zielono, więc zauważam leżącą tam Taylor, dopiero kiedy się o nią potykam i twarzą naprzód lecę na ziemię.

Wstaję na nogi, bo słyszę, jak coś sunie w naszą stronę przez las. Belial. Cholera!

Chwytam Taylor pod ramiona i ciągnę, ale poruszamy się za wolno i Belial nas dogania. Opieram ją

o drzewo i staję przed nią, przysiadając w pozycji bojowej, kiedy on wypada z zarośli na ścieżkę.

— Frannie! Dzięki Bogu! — Luc chwyta Taylor

i zarzuca ją sobie na ramię. — Idziemy! — Pcha mnie przed sobą i biegniemy ścieżką, a kiedy docieramy do drogi, rzuca Taylor na tylne siedzenie shelby obok Riley, która leży tam nieprzytomna. Wsiadamy do samochodu i zamykamy drzwi.

— Jezu, Luc! Co... — ale nagle sobie przypominam.

Belial! On był w czarnej shelby obrze tamtej nocy. To nie jest Luc.

Serce mi przestaje bić.

— O kurwa!

— Co się dzieje, Frannie? Nic ci nie jest? — Autem zarzuca, kiedy dodaje gazu, wypuszczając do tyłu żwir.

Zerkam na Taylor i Riley, potem z powrotem na Beliala. Co mam robić? Oddycham i usiłuję myśleć. A kiedy się odwracam, widzę na środku drogi wysoką kruczowłosą dziewczynę. Dziewczynę z łóżka Luca.

— O kurwa! — powtarzam.

Spodziewam się, że Belial zwolni, ale on patrzy prosto przed siebie, zdeterminowany, i przyspiesza. Podnoszę ramiona w oczekiwaniu na uderzenie ciała w przednią szybę, ale dziewczyna znika.

Rozpływa się bez śladu.

Kiedy już jesteśmy prawie przy głównej drodze, chwytam kierownicę i skręcam nią. Samochód znosi na prawo, ledwie mija drzewo, zanim Belial wyrywa mi kierownicę i kontruje, sprowadzając auto na drogę.

— Co ty u diabła wyprawiasz?!

— Idź do diabła! — krzyczę i znowu chwytam kierownicę, ale on mnie odpycha.

— Frannie, błagam! Przestań, bo nas zabijesz! Patrzę mu w oczy. Boże. Wygląda jak Luc. I wtedy do mnie dociera... co powiedział, kiedy nas znalazł na

ścieżce. Powiedział „dzięki Bogu”. Czy Belial by tak powiedział? A Luc?

— Luc?

— A niby kto? — Na dźwięk ochrypłego głosu z tylnego siedzenia podskakuję, dławi mnie smród zgniłych jaj.

Odwracam się i widzę Beliala — chyba. Ale nie wygląda już jak Luc. Nie ma wątpliwości, kim jest: parująca czerwona skóra, płaska ściągnięta twarz i rogi. Szponiaste ręce obejmują szyje moich najlepszych przyjaciółek. Ale najbardziej jego tożsamość zdradza czarna wydzielina cieknąca z pozostałości po lewym oku.

Luc wciska hamulec niemal do dechy. Odwraca się i wymierza w Beliala lśniąca pięść.

— Naprawdę chcesz to zrobić? — pyta diabeł, potrząsając nieprzytomnymi ciałami Riley i Taylor.

— Pewnie, Frannie jeszcze dużo zniesie, prawda?

— Grymas rozciąga jego skórzaste usta, odsłaniając kły. — Śmiało, strzelaj.

LUC

— Luc? — mówi Frannie, ponaglając mnie wzrokiem.

— Nie mogę — opuszczam pięść. — On ma rację. Jeśli ich nie zasłoni, mój strzał je zabije.

— Dobry chłopczyk. — Belial uśmiecha się kpiąco.

— Czego chcesz? — pytam. Dławi się ochrypłym kaszlem.

— Musisz pytać? Myślałem, że skoro jesteś diabłem pierwszego stopnia i takie tam, to jesteś bystrzejszy.

O piekło i szatani.

Spoglądam na Riley i Taylor. Czy mogę je poświęcić za Frannie? Rozum mówi, że tak, ale moje irytujące,

świeżo nabyte sumienie mówi, że nie. Poza tym jeśli to przeżyjemy, Frannie mi nigdy nie wybaczy.
— Więc jak to niby ma być? — pytam pomimo guli w gardle.
— Frannie wysiada z wozu — Belial wskazuje pobocze, gdzie teraz stoi Avaira z niezadowoloną miną na nieskazitelną twarz — i zrobimy sobie w lesie małą imprezę — kończy z ohydny uśmiechem. Patrzę na Frannie, kiedy ta sięga do klamki. Znika cierpki, cytrusowy zapach przerażenia, a pojawia się słodko-pikantna woń rodzynek i goździków — jej dusza jest gotowa do zgarnięcia. Mimowolnie chwytam ją za nadgarstek. Próbuje się wyrwać, ale kręcę głową, patrząc na nią błagalnie.
— Nie ma wyboru, Luc — mówi ze spokojnym, zrezygnowanym wyrazem twarzy. Zabiera mi rękę, a ja ją puszczam, myśląc gorączkowo. Otwierając drzwi, ogląda się na mnie po raz ostatni, wysiada i staje obok Avairy. W mgnieniu siarki staje przy niej Belial i zatrzaskuje drzwi. Odjeżdżam powoli i widzę we wstecznym lusterku, jak Belial chwytą Frannie za rękę i zaczyna ją ciągnąć przez drogę do lasu. Widzę, że jest słaby. Krzyż wyrządził mu więcej szkód, niż chce przyznać. Nie powinien potrzebować Avairy, ale ona podąża za nim jako wsparcie, wymierzając rozszarżoną pięść w tył mustanga-
Nagle wrzucam wsteczny i wciskam gaz do dechy. Riley i Taylor spadają z tylnej kanapy na podłogę. Schylam się, kiedy strzał Avairy wywala tylną szybę. Belial puszcza Frannie i podnosi pięść dokładnie w chwili, gdy uderzam go z pełną prędkością. Przelatuje przez samochód i spada na drogę przede mną, ale nie czekam, żeby się przekonać, czy tam zostaje. Wrzucam jedynekę, otwieram drzwi pasażera i zwalniam, kiedy docieram do Frannie. Ona daje susa na

przednie siedzenie, a ja wciskam gaz do dechy i ruszam z ciągle otwartymi drzwiami, przejeżdżając Beliala w drodze do szosy.

Frannie siada na fotelu, zamyka drzwi i przez wytłuczoną tylną szybę patrzy na bryłę na drodze.

Belial. Avairy nigdzie nie widać.

— On nie żyje?

— Niestety, sama shelby cobra nie wystarczy, żeby go zabić, ale przez jakiś czas pocierpi — słyszę swój drżący głos. — Prawdę mówiąc, twój krucyfiks w jego oku pewnie wyrządził mu bardziej długoterminowe szkody. To go na jakiś czas odsądzi. — Chwytam ją za rękę. — Nic ci nie jest?

— Tak myślę — mówi, oglądając się, kiedy wyjeżdżamy na główną drogę.

Czuję, jak drży, kiedy ją obejmuję i przytulam do siebie. Nigdy już jej nie puszczę.

ROZDZIAŁ 19

Taniec z diabłem

LUC

Frannie prostuje nogi Riley i siada obok niej na łóżku.

— Nic im nie będzie?

— Nic. Po prostu chwilę potrwa, zanim odzyskają przytomność. Opętanie przez demona może nieźle dołożyć.

— Możecie tak sobie wskakiwać do ciał innych ludzi, kiedy chcecie?

Niemal się krztuszę na tę myśl, ale nagle sobie przypominam, jak byłem we Frannie — jakie to było niewiarygodne.

— Jeśli człowiek jest oznaczony dla Nieba, to jest zakazany, ale w innych wypadkach owszem.

Zwykle jest to dość niemiłe. W środku jest ciasno... ślisko i śmierdząco.

— Jak to działa? Jesteś razem z takim człowiekiem w środku?

— Mniej więcej. Jeśli demon próbuje cię kontrolować, tylko bardzo silny śmiertelnik potrafi mu się przeciwstawić, więc zwykle to jest tak, jakby śmiertelnika tam nawet nie było, bo zajmowałby miejsce. Ale nie zawsze tak jest. — Myślę znowu o tym, jak tańczyłem z Frannie, i czuję, jak przechodzi mnie dreszcz, przyprawiając o drzenie.

Frannie patrzy na swoje przyjaciółki na łóżku.

— Będą coś pamiętały z Beliala i Avairy?

— Pewnie nie. Opętany śmiertelnik jest jakby usypiany. Nie będą pamiętać, i pewnie najlepiej, żeby nie wiedziały, co się stało.

Wstaje, podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramionami.

— Skąd wiedziałeś?

I w tym właśnie problem. Zorientowałem się dopiero, jak było już prawie za późno. Kręcę głową.

— Kiedy wysiedliśmy z samochodu, mój szósty zmysł brzęczał. Nie przyszło mi do głowy, że Belial i Avaira uciekną się do opętania. Wymyśliłem, że ty odjedziesz z Taylor i Riley, Belial się pojawi, żeby ruszyć za wami, a ja go dopadnę. Ale kiedy tylko odjechałyście z parkingu, brzęczenie ucichło. Ze wstydem wyznaję, że dopiero po kilku chwilach domyśliłem się, co jest grane, a kiedy już się domyśliłem, było prawie za późno. Wiedziałem, w którym kierunku pojechaliście... i nagle przypomniałem sobie kamieniołom. Tamtej nocy był tam Belial.

— Czego on chce ode mnie?

— Tego samego, czego ja chciałem. — Serce mnie boli. Wiem, jak trudno jej tego słuchać. Ale musi zrozumieć, że oni nie zrezygnują, dopóki ona nie zostanie oznaczona. Tak czy inaczej. — Dalej będą po ciebie przychodzić.

Sztywnieje.

— To okropność. Dlaczego właśnie mnie się to zdarza?

Przytrzymuję ją mocniej.

— Nie wiem — odpowiadam. Chciałbym wiedzieć. Wzdycha i wtula twarz w moją klatkę piersiową.

— A więc zawsze tak będzie. — Przez rzęsy przekrada się łza, a ja ją wycieram. — Chcę tylko żyć normalnie.

Pragnę ją trzymać i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, ale nie zamierzam już okłamywać Frannie.

— Myślę, że normalność porzuciłaś, kiedy się zakochałaś w demonie. — I może w aniele. Ta myśl siedzi jak kamień w moim rdzeniu, przytłaczając mnie. Całuję ją w czubek głowy i wzdycham. — Ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek zrezygnowali.

— Nic nie możemy zrobić?

— Możemy uciekać, ale nie wiem, czy jest takie miejsce, w którym by nas nie znaleźli.

Na jej twarzy odmalowuje się nagle determinacja.

— Ja zamierzam żyć własnym życiem. Bo jeśli nie, to jaki sens miałyby walka? Równie dobrze mogłabym dać im się oznaczyć już w tej chwili.

Przyciągam ją mocniej do siebie. Chciałbym, żeby to było takie proste.

— Jest twój dar, Frannie.

— Co masz na myśli?

— Twój wpływ. Jeśli jest na tyle silny, by zmienić mnie, powinnaś umieć użyć go do obrony własnej.

— Jak to działa?

— Będziesz musiała to jakoś sobie rozgryźć, ale jak już się nauczysz go kontrolować, powinien ci zapewnić trochę ochrony.

Podnosi na mnie wzrok i widzę w jej oczach strach i niepokój.

— Co robi Belial?

— Belial jest stworzeniem Żądy, inkubem, więc jego technika zwykle polega na uwodzeniu i wysysaniu duszy. Ale to tylko wobec śmiertelników, którzy są już oznaczeni, jak sądzę. — Pamiętam rozmowę z Belialem pod drzewem Frannie. — Powiedział, że zasady się zmieniają... — Czuję, jak ona drży w moich ramionach.

— To do dupy — mówi, oglądając się na Taylor i Riley na łóżku.

I właśnie wtedy Taylor otwiera oczy. Raptownie wciąga powietrze i siada.

— Co, u diaska... ?

— Cześć, Tay — mówi Frannie, podchodząc do niej i siadając obok. Riley ze stęknieniem też otwiera oczy, ale ciągle sprawia wrażenie zamroczonej.

— Co się dzieje? — Taylor patrzy na swoje ubranie i rozgląda się podejrzliwie.

— Spokojnie — mówię i naciskam lekko. Riley siada, wciąż oszołomiona.

— Cześć, Ry. Jak się czujesz? — pyta Frannie.

— Jak kupa — odpowiada. Taylor obraca się i patrzy na mnie.

— Gdzie my jesteśmy, do cholery?

— Witam w moich skromnych progach — mówię z uśmiechem i kolejnym pchnięciem. — Nie pamiętacie, jak przyszłyście?

Jej oczy trochę się przejaśniają.

— Może...

— Chcecie jeszcze piwa? — Ruszam do lodówki.

— Nie! — Riley w zasadzie krzyczy, pocierając głowę.

Wsadzamy je do auta Riley, po które pojechaliśmy z Frannie, i patrzymy, jak odjeżdżają. Rozglądam się i wzdycham z ulgą, myśląc, jak niewiele brakowało — dla wszystkich nas. Opiekuńczo obejmuję Frannie ramieniem i prowadzę ją ku schodom do mojego mieszkania. Już w środku zasuwa wszystkie zasuwy i zamyka zamki, a ja wymiotuję na plac boju, taki mój piekielny odstraszak. Potem ona układa się na mnie, czuję, jak moje serce przyspiesza. Ciągle trochę drży... czy to może ja? Nie jestem pewien.

— Dobrze się czujesz? — szepczę jej do ucha.

Przyciska się do mnie.

— Już tak — odpowiada i podnosi na mnie zaciekawione oczy. — To co mówiłeś wcześniej... o tym, że możecie wchodzić w ciała innych ludzi...

— Tak?

— Tak się zastanawiałam... mógłbyś... no wiesz... zrobić to ze mną?

Wbijam wzrok w podłogę, mając co najmniej małe poczucie winy, i patrzę, jak czubek mojego buta skubie brudne stokrotki linoleum.

— Już robiłem.

O dziwo, ona się uśmiecha.

— Kiedy?

— Zanim cię pocałowałem po raz pierwszy.

— Chyba zanim ja pocałowałam ciebie. Uśmiecham się szeroko.

— W zasadzie ja pocałowałem cię pierwszy. Tylko że ty wtedy spałaś.

— Mógłbyś to znowu zrobić? — śmieje się. — Te rzeczy, kiedy jesteś u mnie w środku. Obiecuję, że nie zasnę.

Serce mi rośnie. Ale kiedy fantazuję, że wśliznę się przez usta Frannie, że znowu w niej z nią będę, uświadamiam sobie, że może już nie jestem w stanie tego zrobić. Wszystko się szybko zmienia.

— Nie jestem pewien.

Wspina się na palce i całuje mnie, a potem patrzy mi głęboko w oczy i szepcze:

— Spróbuj.

Całuję ją raz jeszcze, przyciągam ją do siebie najmocniej, jak się da, a kiedy jej usta się rozchylają, wpuszczam przez nie esencję. Znowu się dziwię, że to takie łatwe — na pewno dzięki temu, że zaprasza mnie do środka. Czuję ten sam oszłamiający pęd odczuć co za pierwszym razem, z których wielu nazwy już znam. Miłość, na pewno, ale też radość, nadzieja i czysty podziw dla jej piękna. W środku jest jeszcze piękniejsza, a to już coś. Tańczymy, a ja jestem w Niebie.

Zostawiam na zewnątrz tyle siebie, żeby kontrolować swoje ciało, i kiedy trzymam jej ciało, pieszcze ją w środku, piję jej westchnienia i jęki, badając ją także na zewnątrz. Czuję fizyczną reakcję jej ciała — nie wspominając o mojej. Nim zdaję sobie sprawę, co się dzieje, jesteśmy w łóżku, nasze koszule na podłodze, i zatrzymuję się tylko najwyższym wysiłkiem woli. Z bólem serca, niechętnie wycofuję swoją esencję i zostaję z tym samym poczuciem pustki i samotności w ludzkiej postaci.

Siada na łóżku i psioczy:

— Dlaczego przestałeś?

— Świadomy akt nieczysty z demonem zapewni ci bilet w jedną stronę prosto do Otchłani. Tego jestem pewien. Nie możemy tego zrobić, dopóki nie mam pewności, że to jest dla ciebie bezpieczne.

— Oni... Wy... Bierzecie wszystko. Moje życie... wszystko. Niczego więcej nie chcę. Tej jednej rzeczy tylko. Proszę! Jesteś prawie człowiekiem.

— Tego nie wiem. To jest chyba kierunek, w którym podążam... i naprawdę chcę, żeby to było... oczywiście. — Boże, jak ja tego chcę. — Ale już sam fakt, że wciąż mogę cię opętać... — dygoce — oznacza, że to jeszcze nie jest bezpieczne.

Rzuca się na poduszki i zdmuchuje z twarzy niezdyscyplinowane kosmyki.

— To boli.

Podnoszę się na łokciu i całuję ją.

— Tylko ty jedna na świecie wiesz, kim jestem, kim nie jestem i kim chcę być. I jakimś cudem i tak mnie kochasz. Nie będę cię na nic narażać, Fran-nie.

Przetacza się na bok i wpatruje w moje oczy. Szelmowski uśmiezek igra w kącikach nadąsanych ust.

— To było niesamowite — mówi, sunąc opuszką palca wskazującego po moim obojczyku i przypra-

wiając mnie o dreszcze. Nagle jej uśmiech jaśnieje. — Pewnie i tak lepsze niż seks.

Też się uśmiecham. Strasznie chciałbym jej udowodnić, że się myli. To było niesamowite. Zupełnie fantastyczne. Ale nie wyobrażam sobie, żeby seks z Frannie był doznaniem mniej intensywnym.

— Ile pamiętasz?

Z uśmiechem na ustach sunie palcem przez moją klatkę piersiową i dalej aż do guzika od spodni.

— Wszystko.

Mimowolnie też się uśmiecham.

— Interesujące.

Palec wędruje po brzuchu wzdłuż paska, doprowadzając mnie do szaleństwa, i już mam się na nią rzucić, kiedy pyta:

— A swoją drogą, gdzie jest Piekło?

— W jądrze.

Patrzy mi w twarz zdumiona.

— Ziemi?

— Tak.

— Więc te wszystkie dzieci, które się przekopują do Chin, napotykają piekielną niespodziankę.

— Właśnie — chichoczę.

— Jak się tam dostałeś? Czy przyszedł po ciebie ktoś taki jak ty?

— Nie. Jestem stworzeniem piekielnym. — Zerkam na nią ukradkowo, niepewien, jak to przyjmie, ale wygląda na zamyśloną.

— Co to znaczy?

— Demony zostały stworzone w Piekle. Nigdy nie byliśmy ludźmi.

— Nie kumam, jak to działa.

— Jesteśmy zrodzeni z grzechu. Moim grzechem jest Pycha, tak jak pierwotnie króla Lucyfera. Sama nazwa na to wskazuje. Tylko stwory Pychy są na tyle aroganckie, by przyjąć Jego imię.

Spogląda na swoją dłoń spoczywającą na mojej piersi.

— Byłoby dziwne, gdybym powiedziała, że chyba cały czas to wiedziałam?

— Owszem — uśmiecham się.

Zagląda mi w oczy i odwraca wzrok. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale je zamyka. Uśmiecham się szeroko. Podnoszę palcem jej brodę.

— Co?

Rumieni się, widzę, że jest zakłopotana.

— Nic — spuszcza powieki.

— No widzę, że jednak coś.

— Chcę dotknąć twoich rogów — wyrzuca, nie patrząc na mnie.

— Dlaczego? — pytam skrzywiony. Odwraca się do mnie plecami.

— Nieważne, to głupie.

Przekręcam ją do siebie i dźwigając się na łokciu, pochylam się nad nią.

— Nie uciekniesz z krzykiem? Podnosi głowę i całuje mnie.

— Po tym, co zrobiłeś do tej pory? Jak sądzisz? Zamykam oczy, zrzucam ludzką powłokę i drzę, kiedy czuję, jak palce Frannie suną powoli przez moje włosy. W jej dotyku też jest drżenie, kiedy jednym palcem obwodzi podstawę mojego lewego rogu, potem podjeżdża do koniuszka i wraca. Czuję, jak obie jej ręce owijają się wokół nich, kiedy mnie ciągnie w dół do pocałunku, i znikają, kiedy zatapiam się w niej.

Kiedy się podnoszę, wpatruję się w szafirowe oczy, szukając jakichkolwiek oznak strachu czy obrzydzenia, ale widzę tylko miłość. Ciągle nie mogę uwierzyć, że to spojrzenie jest skierowane na mnie.

— Czy oni jeszcze tego spróbują? No wiesz, czy wykorzystają znowu Taylor i Riley?

Wzdycham i muskam palcem jej nos, wargi, podbródek i szyję, przystając przed tym obłąkańczo seksownym czerwonym stanikiem.

— Pewnie nie. Wiedzą, że będziemy się tego spodziewać.

— Co zrobimy?

Kładę się na wznak, kręcę głową.

— Nie wiem. Mój szósty zmysł podupada na siłach. To niebezpieczne, Frannie. Nie zauważam już ich nadejścia tak jak kiedyś. Nie jestem pewien, czy wciąż potrafię cię chronić.

— Muszę mieć jeszcze jeden krucyfiks — uśmiecha się. — A ty chyba potrzebujesz amuletu. Czegoś do odstraszenia złych duchów.

— I że niby skąd miałbym wziąć ten amulet?

Gdybym nie był pewien, że to niemożliwe, przysięgłbym, że jej oczy płoną. Siada i odwraca się ode mnie, odpinając stanik i zsuwając go. Patrzę i czuję... poruszenie... i muszę z całych sił się powstrzymać, żeby nie skoczyć na nią w tej sekundzie. Przesuwa poduszkę przed siebie i odwraca się, włosy zasypują jej połowę twarzy. Rzuca mi swój stanik z grzesznym uśmiechem, który zawstydziłby każdego demona.

— Twój amulet — mówi.

— Jeśli sądzisz, że to odstraszy złe duchy — podnoszę bieliznę do góry — to niewiele o złych duchach wiesz. — Patrzę na nią i staram się kontrolować oddech. — Nie masz też pojęcia, co mi robisz. — Prawdę mówiąc, to ja też nie mam pojęcia, co ona mi robi. To jest całkowicie niezbadany obszar. Cokolwiek to jednak jest, podoba mi się.

Uśmiecha się szelmowsko.

— Wcale mi nie jest przykro — mówi.

I nagle pojmuję. Już mam odpowiedź. Waham się tylko sekundę, pożerając Frannie wzrokiem, po czym

wieszam jej stanik na moim zagłówku, a jej rzucam koszulę.

— Mówię to z wielkim bólem, ale musisz się ubrać. Gabriel ma coś, czego potrzebujemy.

FRANNIE

— Nie pozwolę mu się oznaczyć — mówię w drodze do Gabriela.

— Szkoda. To byłby najpewniejszy sposób. Ale są inne rzeczy, niemal równie dobre.

— Na przykład?

— Jako Dominacja ma dostęp do wiedzy, w którą ja nie jestem wtajemniczony. Ma też moc, o jakiej ja mógłbym tylko marzyć.

Myślę o naszym pocałunku — jak się po nim czułam — i podnoszę dłoń do ust i wzdycham.

— Co jest między wami? — Głos Luca jest łagodny, ale z ostrą nutą.

— Nic. — Chyba.

— Jesteś beznadziejnym kłamcą.

— Nie jestem — kłamię. Ale jestem. Bo coś jednak między nami jest. Nie mam pojęcia co. —

Pocałowałam go.

Luc wciska hamulec tak, że aż zarzuca nas na pobocze.

— Że co?

— Pocałowałam go.

Patrzy na mnie gniewnie, wściekłość gotuje się w jego oczach.

— Kiedy?

— Zanim my... zasadniczo — mówię.

— Zasadniczo? Co to znaczy: zasadniczo? Jego gniew uwalnia mój.

— Wiesz co? To nie twoja sprawa. Przynajmniej nie leżał prawie goły w moim cholernym łóżku! I nadal nie mam pewności, czy nic nie robiłeś z Avairą!

Zaciska szczęki, mruży oczy.

— On też cię całował?

Zsuwam się na siedzeniu i splatam ramiona na klatce piersiowej, żeby go nie uderzyć.

— Powiedziałam już, że to nie twoja sprawa.

— A to dopiero — mówi zgryźliwie — nie tylko doprowadzasz do upadku demony, ale i Dominacje.

— Wraca na drogę i tępo patrzy przed siebie. — Więc chcesz go? Bo czegokolwiek chcesz, możesz to w zasadzie mieć, przy tym całym wpływie.

Zabijam go wzrokiem.

— Zawieź mnie do domu. — Ciasno obejmuję się ramionami. Boję się, że ból w piersi wywoła łyzy gniewu, ale zmuszam się, żeby nie płakać. Nie dam mu tej satysfakcji.

Znowu zjeżdża na bok i siedzi, wpatrując się przed siebie. Całą wieczność.

— Stąd dojdę piechotą — mówię w końcu i sięgam do klamki.

— Stój — jego ręka błyskawicznie chwyta mnie za nadgarstek.

Wyrywam mu się.

— Puszczaj! — Ale kiedy odwracam się, by na niego spojrzeć, widzę łagodną twarz i głębokie oczy.

— Frannie, proszę, staraj się pamiętać, że jestem w tym nowy. Ciągłe targają mną uczucia, emocje, których nawet nie zacząłem rozpoznawać. Nie wiem, co mam z nimi robić. Nie miałem na myśli tego, co powiedziałem. Przepraszam.

Znowu muszę walczyć ze łzami. Naprawdę chcę być na niego wściekła. Chcę go nienawidzić, bo to jest uczucie bezpieczniejsze niż miłość do niego. Ciągnę za klamkę.

— Za późno. — Wsiadam z samochodu, ale przechodzę ledwie dziesięć kroków i on już obejmuje mnie od tyłu.

— Złaż ze mnie!

Przejeżdżający ulicą samochód zwalnia i przystaje na poboczu w chwili, gdy chwytam rękę Luca i przerzucam go przez ramię. Wysoki, chudy mężczyzna w wieku mojego taty wsiada i wytrzeszcza na mnie oczy.

— Potrzebujesz pomocy, panienko?

Patrzę na Luca i przez sekundę jestem wścieklejsza, bo on się śmieje.

— Myślisz, że to zabawne — szydę. Ale nagle dociera do mnie, jak śmiesznie musimy wyglądać, i już nie mogę powstrzymać głupiego uśmiechu, który wypełza mi na usta.

— Panienko? — mówi facet, stawiając ostrożny krok w naszą stronę.

Luc wstaje z ziemi, a ja dostaję napadu dzikiego chichotu. Patrzy na faceta.

— Nic nam nie jest. — Spogląda na mnie. — Chyba. Nie mogę pohamować śmiechu, ale kiwam głową.

Facet najwyraźniej nie ma pewności, więc ogromnym wysiłkiem woli jednak przestaję chichotać.

— Dziękuję, ale nic mi nie jest. Nieufnie patrzy na Luca.

— Skoro pani pewna...

Odchrząkuję i staram się przybrać poważną minę.

— Jestem pewna.

Kiedy on wsiada do swojego wozu i odjeżdża, czuję, jak Luc obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie.

— Skończyłaś już z łojeniem mi skóry? — mówi do moich włosów, a ja słyszę uśmiech w jego głosie.

— Może. — Obracam się w jego objęciach i ścieram mu brud z policzka. — A ty przestałeś mnie już wkurzać?

— Może — uśmiecha się szeroko.

Chwyta mnie za rękę i ciągnie do samochodu. Ale kiedy odjeżdżamy, coś, co powiedział, uderza mnie mocno, jak pięść w żołądek, i nagle robi mi się niedobrze.

— Myślisz, że oszukiwałam? Obejmuje mnie ramieniem.

— Co?

— Powiedziałeś, że mogłabym mieć wszystko, czego bym chciała. Czy ja cię zmusiłam, żebyś mnie kochał?

Odwraca się i patrzy mi w oczy z ubawionym uśmiechem na doskonałych ustach.

— Owszem.

— Ale ja naprawdę mam na myśli zmuszanie. No wiesz, że tak naprawdę nie chciałeś, ale pod moim... wpływem... ten wpływ czy cokolwiek to jest, co zdaniem Gabriela umiem robić... no wiesz. Kazałam ci.

— To nieistotne.

— Nie dla mnie.

— Frannie, ważne, że to co czuję, jest prawdziwe i szczerze. Nie chciałbym wrócić do tego, czym byłem. Skąd się tu wzięłam, nie jest ważne, ważne jest, że tu jestem.

— To po prostu głupie. Zupełnie jakbyś powiedział, że ograłam cię w pokera, bo oszukiwałam, ale ty się cieszysz, że mam wszystkie twoje pieniądze.

— Gdybyś zabrała mi pieniądze i kupiła mi za nie raj, to ja bym się cieszył. A to właśnie zrobiłaś. — Przyciąga mnie do siebie.

Odpycham go i wyglądam przez okno, kiedy Luc wyjeżdża na drogę. Czuję na sobie jego wzrok, ale nie mogę na niego patrzeć, wiedząc, co zrobiłam. Zyskałam zupełnie nowe pojęcie o określeniu „psychologiczne sztuczki”. Ale bardziej, jakimś samolubnym zakątkiem umysłu, nienawidzę, że on nie zakochał się we

mnie z własnej woli. Został zmuszony. Nie kocha mnie dla mnie. Kocha mnie, bo nie miał wyboru.

LUC

Frannie wygląda przez okno, a Gabriel siedzi na kanapie i patrzy na mnie, jakbym zwariował.

— Osłona jest skuteczna tylko w wypadku aniołów i niektórych śmiertelników. O ile pamiętam, koleś, to nie jesteś aniołem.

— Co to znaczy: niektórych śmiertelników?

— No, Adam i Lilith byli pierwszymi ludźmi, na których ją wypróbowaliśmy, i doskonale wiesz, jak nam poszło. Ale na innych podziałało. — Wzrusza ramionami. — Sam pomyśl.

— Masz na myśli Ewę, tak? Adama i Ewę? — odzywa się Frannie od okna.

— Jasne — uśmiecha się krzywo — na Ewę też nie podziałało, ale pierwszą żoną Adama była Lilith. Odwraca się i patrzy na niego, potem na mnie, jakby w nadziei że potwierdzę, że Gabriel postradał zmysły. Kręcę głową.

— Długa historia — mówię i zwracam się do Gabriela: — Dlaczego osłona nie działała na Frannie? Gabriel patrzy na mnie groźnie.

— Działała. Dopóki ty się nie pojawiłeś.

— Och.

— Co nie działało na mnie? Co to jest osłona?

— Zasadniczo to osłona przed wykryciem przez zło — wyjaśnia Gabriel. — Skrywa przed wszystkimi istotami piekielnymi.

W jej oku błyska nadzieja.

— Może mnie też ukryć przed aniołami? Smutny uśmiech pojawia się na ustach Gabriela.

— Nie.

— Dlaczego na mnie nie działała? — pyta przygnębiona.

— Nie wiem. Czasami działa częściowo. Wystarczy jeden demon, który jest szczególnie na ciebie wyczulony, z jakiegokolwiek powodu... — tu patrzy na mnie.

Ona też, niepewnie.

— Mówisz więc, że nawet z tą osłoną Luc i tak mnie znalazł.

— Na to wygląda. — Gabriel nie odrywa ode mnie wzroku.

Kiwam jej głową pocieszająco i uśmiecham się. Tak się boi, że moja miłość do niej jest wynikiem manipulacji. Szkoda, że nie widzi, czym teraz jest ta miłość. Jak wielka jest. Może i nawet zaczęło się wszystko od jej wpływu, ale to, co teraz czuję... to nie kwestia wpływu. To ona po prostu.

Jej wzrok przenosi się na Gabriela.

— Wypróbuj to teraz na mnie.

— Ciągłe jesteś pod osłoną. Myślę, że dlatego do tej pory znalazł cię tylko Lucyfer.

Marszczę brew.

— I Belial z Avairą.

— O czym ty mówisz? — pyta Gabriel niespokojnie.

— Wasz radar jest do dupy. Są tu od kilku tygodni. Jego zaskoczenie przeradza się w niechęć.

— Powinieneś mi powiedzieć, ale jestem pewien, że Belial znalazł ciebie, frajerze. Ty jesteś jak piekielny odgromnik. Ciągłe jesteś z nimi związany i tę psychiczną więź ciężko będzie zerwać.

Mam pomysł, jak ją zerwać choćby w tej chwili.

— I w ten sposób wracamy do mojego pierwotnego pytania.

Gabriel patrzy na mnie nieufnie.

— Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tego próbował z demonem. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

— Ale ja już nie jestem demonem, pamiętasz?

— Cieleśnie może i stajesz się śmiertelnikiem, ale twoja istota ciągle należy do nich: ciągle jesteś stworem Podziemia.

Wiem, że ma rację, bo gdyby było inaczej, nie udałoby mi się zrobić tego, co niedawno robiłem z Fran-nie.

— Skoro nikt nie próbował tego z demonem, to skąd masz pewność, że na mnie nie zadziała? Co ryzykujesz?

— Ryzykuję... no cóż, zobaczymy. Istnieje ryzyko śmierci. Siły Światła, zwłaszcza siły tak potężne, zwykle zabijają siły zła. Nawet gdybym cię nie zabił, zmieniłbym cię w sposób, którego nawet nie umiem przewidzieć.

Oczy Frannie wypełniają się troską.

— Czy ktoś mi powie, co się tu dzieje?

Gabriel spogląda na nią z sardonycznym uśmiechem.

— Lucyfer prosi o cud. Wywraca oczami.

— Czyż nie prosimy wszyscy? Ale naprawdę... Mimowolnie się uśmiecham.

— On nie żartuje. O to dokładnie proszę.

— Cud — powtarza Frannie, jakby czekała na puentę.

— Tak.

Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

— Świetnie.

Gabriel chwytą jej dłoń.

— Osłona Światła czyni anioły niewidzialnymi dla sił zła. Anioł może chronić śmiertelnika pod swoją osłoną, kiedy ona nie działa bezpośrednio na śmiertelnika. Po części z tego powodu tu jestem: żeby chronić ciebie. — Patrzy jej głęboko w oczy.

Czekolada.

Zazdrość rośnie, ale dławię ją — ze względu na Frannie.

— Twój radar jest do dupy i osłona najwyraźniej też szwankuje. Ja czuję twoje nadejście z odległości kilometra — uśmiecham się drwiąco.

Gabriel nadal nie odrywa wzroku od Frannie.

— Pozwoliłem ci wykryć moją obecność. Miałem nadzieję, że to cię odstraszy.

Śmieję się ostro.

— Jasne!

— No więc czym jest ta osłona? Co Luc musiałby zrobić? — pyta Frannie.

Gabriel odrywa wzrok od niej i rzuca mi cyniczne spojrzenie.

— Musiałaby mu wyrosnąć aureola. Frannie wywraca oczami.

— Bądź poważny.

Obaj na nią patrzymy śmiertelnie poważnie.

— Świetnie — powtarza.

Gabriel zerka na mnie z powątpiewaniem.

— To działa tylko na czyste serca o najczystszych intencjach.

— No to sama mogłam ci powiedzieć, że na mnie nie zadziała — mówi Frannie ze śmiechem.

— Niebezpiecznie byłoby — Gabriel dalej patrzy na mnie — zastosować ją w wypadku śmiertelnika oznaczonego dla Piekiła, a myślę, że ciebie dzieli od tego kilka kroków.

— Więc taka osłona by go zabiła? — Uśmiech Frannie znika.

— Tak.

— No więc on tego nie robi.

Patrzę na nią, lekko zszokowaną, na jej szeroko otwarte oczy. Moje intencje są czyste, wiem o tym.

Jedyna moja intencja to uratowanie Frannie przed losem, na który nie zasługuje. Ale moje serce? Tego już

nie jestem taki pewien. Jeśli jest czyste, to Frannie je takim uczyniła.

— Co muszę zrobić? Jak to działa? — pytam, wiedząc, że muszę spróbować. Jeśli nie będę mógł chronić Frannie, będę bezużyteczny. Gorzej nawet. Będę kulą u nogi, latarnią morską dla Podziemia. Gabriel przygląda się Frannie, zapewne zastanawiając się, jak ona zareaguje, jeśli cokolwiek złego spotka mnie z jego ręki. Wściekłość, zemsta... same grzechy.

— Gabrieli, to moja decyzja, nie jej — mówię, ściągając na siebie jego uwagę.

Odrywa od niej wzrok, patrzy na mnie i kiwa głową.

— Chwila moment — wtrąca Frannie. Na jej twarzy maluje się gniewne niedowierzanie, ale w oczach ma strach. — Mówisz poważnie, że on może umrzeć?

Przez chwilę widać po Gabrieli zakłopotanie. Nie umie skłamać...

— Jest takie ryzyko, bo on ciągle jest uwiązany do Piekła.

— Co to znaczy?

— Jest stworem Piekieł bez względu na to, czym się staje w tej chwili. Jego siła życiowa została spłodzona w Piekło i zawsze będzie miał tam powiązania.

Czuję, jak w środku wszystko mi się gotuje, w miarę jak rośnie moje obrzydzenie do tego, czym jestem. Nie mogę na nią patrzeć. Nie zniósłbym, gdyby w jej oczach pojawiło się to samo obrzydzenie do mnie.

Ale kiedy ona nie reaguje, zerkam w jej kierunku. Patrzy mi w oczy i jej twarz zastyga.

— Moim zdaniem nie powinieneś tego robić, Luc. Nie dla mnie. Bo ja cię nie kocham. Nie chcę cię już.

I chociaż wiem, że kłamię, miazdzący ból w mojej piersi jest niemal obezwładniający.

— Nie mówisz poważnie.

— Owszem. Nie chcę kogoś, kto kocha mnie, bo musi. Chcę takiego, który kocha mnie dla mnie samej.

— Czuję, jak moje serce zamiera, kiedy odwraca się do Gabriela. — Co musi się wydarzyć, żebyś mnie oznaczył?

— Musisz sobie wybaczyć.

Na ułamek sekundy ból wykrzywia jej twarz, ale równie szybko się ona wygładza.

— Wybaczyć sobie... za Matta, rozumiem?

— Tak — odpowiada Gabriel ze smutnym uśmiechem.

Wszystko we mnie pragnie, żeby ona była bezpieczna _ aby Gabriel ją chronił. Ale nie powiedziałem jej, że kiedy zostanie oznaczona dla Niebios, to niechybnie między nami zajdą pewne zmiany. Gabriel to powiedział: nieważne, czym się staję, jestem stworzeniem Piekła. Życie Frannie i jej priorytety zmieniają się, kiedy zostanie oznaczona dla Niebios. Nie będzie mnie już chciała ani potrzebowała. Ale będzie bezpieczna.

— Zrób to, Frannie — mówię i odwracam się. Bo pomimo moich najlepszych intencji w moim głosie wyraźnie słyhać ból.

Przez długą chwilę panuje cisza, a kiedy się odwracam, Frannie wygląda, jakby miała wątpliwości.

Jest zagubiona.

Wreszcie odzywa się Gabriel:

— Chociaż mówię to niechętnie, to jest niewłaściwy powód. Ty w końcu sobie wybaczysz, a kiedy to się stanie, zostaniesz oznaczona dla Nieba. Nie jesteś w stanie tego wymusić, nawet dla niego. —

Ostatnie słowo rzuca ostro i jego twarz wykrzywia się od emocji chyba niezbyt anielskich.

Frannie patrzy na mnie, łza spływa jej po policzku. Rzuca mi się w ramiona i niemal wydusza ze mnie życie.

— Luc, nie rób tego. Wymyślmy coś innego. — Czuję, jak jej serce łomocze o moją klatkę piersiową. Odsuwam się, całuję ją i patrzę na Gabriela.

— Zróbmy to.

— Nie! Przestańcie! — krzyczy, ściskając mnie mocniej i chowając twarz w mojej piersi.

— Frannie — mówi Gabriel słodkim, melodyjnym głosem — Lucyfer ma rację. Jeśli chcecie być razem, muszę to wypróbować.

Frannie odrywa twarz od mojej piersi i patrzy na niego. On znowu promienieje — ależ się lubi popisywać. Wydaje się jednak, że to działa, bo jej ucisk słabnie. Ale nagle czuję jej dłonie na mojej twarzy i nie mogę się oprzeć, kiedy przyciąga mnie do siebie i całuje.

Gabriel staje przede mną.

— Zdejmij koszulę.

Ściągam ją przez głowę, a Frannie bierze ją ode mnie i tuli do twarzy. Gabriel podnosi rękę do mojego czoła, a ja zauważam, że jest wilgotne. A więc płonę gorętszym płomieniem niż Jezioro Ognia.

Woda święcona.

Oczywiście, że ta cholerna osłona musi zawierać wodę święconą. Bez wody święconej te świętoszki chyba nie są w stanie ruszyć palcem. Wstrzymuję oddech — co teraz jest trudniejsze niż kiedyś — i zaciskam oczy z bólu. Czuję, jak skóra na moim czole pokrywa się pęcherzami i łuszczy się tam, gdzie Gabriel zaznaczył kółko. Kiedy jego ręka przesuwana się na moją klatkę piersiową i zostawia pęcherzowaty czerwony ślad na moim sercu, słyszę, jak z mojego gardła dobywa się jęk i tylko z najwyższym wysiłkiem nie odsuwam się od jego dotyku i nie składam się wpół. Krzywię się, bo Gabriel dobrze się bawi.

Przestań być takim cholernym dzieckiem i staw temu czoło. Tego właśnie chcesz.

Zgrzytam zębami, widzę, że Frannie łka, co przeszywa bólem moje serce. Gabriel wypowiada jakieś słowa w pradawnym języku, ale ja ich nie słyszę. Nie słyszę nic prócz Frannie. Tylko ona się liczy.

I nagle jest w moich ramionach, całuje poranioną skórę mojej klatki piersiowej. Otwieram oczy, ona podnosi na mnie wzrok, łzy płyną jej po policzkach.

— Przepraszam — szepcze.

Mój ból zagubił się w jej twarzy. Biorę ją w ramiona.

— Dlaczego mówiłaś takie głupie rzeczy?

Ostro czuję jej oddech, resztki jej szlochu, kiedy podnosi rękę do mojego pokrytego pęcherzami czoła.

— Nic ci nie jest?

— Nic a nic.

Biorę koszulę z jej ręki i drzę, kiedy jej palec przesuwają się po pręgach na mojej piersi. Wsuwam koszulę, biorę Frannie za rękę i ciągnę ją do drzwi.

— Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

FRANNIE

Dziadek siedzi po drugiej stronie stolika, na kozetce, z łokciami na kolanach, z zapomnianą fajką w ręku. Wygląda trochę blado i przez chwilę boję się, że będzie miał atak serca. Patrzy groźnie na Luca, siedzącego obok mnie na kanapie.

— Demon — powtarza po raz szósty. Z początku się śmiał i mówił, że mamy go nie robić w konia. Już się nie śmieje.

Luc spokojnie znosi dziadkowe spojrzenie.

— Byłem demonem. Nie jestem pewien, czym teraz jestem.

— Człowiekiem — mówię. — Zamieniasz się w człowieka.

Luc posyła mi ostrożny uśmiech.

— Jak to sobie wyobrażasz? — Głos dziadka nie brzmi tubalnie. Wręcz przeciwnie: brzmi nienormalnie słabo.

— Frannie... Frannie jest wyjątkowa — mówi Luc.

Teraz już głos dziadka grzmi.

— To wiem! To niczego nie wyjaśnia. Dlaczego tu jesteś?

— Bardzo pana przepraszam, ale to wszystko wyjaśnia. Frannie ma wyjątkowe talenty. Moc, która jest bezcenna dla Podziemia. Przybyłem nabrać praw do jej duszy w imieniu Piekła, ale jej moc mnie zmieniła.

Dziadek zrywa się z kozetki.

— Zabieraj się od niej! Frannie, chodź tu. — Rzuca się ku nam i chwyta mnie za ramię, po czym ściąga mnie z kanapy. Gdy już jestem po drugiej stronie stolika, opiekuńczo chowa mnie pod ramieniem.

— Dziadku, proszę. Wysłuchaj nas.

— Słyszę was głośno i wyraźnie — mówi, patrząc gniewnie na Luca. — Zabieraj się tam, skąd przyszedłeś. Frannie nie jest dla ciebie.

— On mnie nie chce! — wybucham, a potem z rumieńcem uśmiecham się do Luca. — No, w każdym razie w ten sposób.

Luc też się uśmiecha, ale zaraz jego twarz poważnieje.

— Proszę pana, naprawdę potrzebujemy pańskiej pomocy.

W głosie dziadka pojawia się jad, którego nigdy wcześniej nie słyszałam.

— Mam ci pomóc w zaciągnięciu mojej wnuczki do piekła?

— Nie, chcę, żeby mi pan pomógł w oznaczeniu jej dla Niebios.

Słyszę, jak zachłystuję się powietrzem i rzucam się spod ramienia dziadka.

— Ty gnojku! Mówiłeś, że dziadek ma nam pomóc w ukryciu.

— Musisz wymyślić, jak sobie wybaczyć, Frannie. Myślę, że twój dziadek ma największe szanse ci w tym pomóc. Ta osłona może zadziałać, ale jeśli nie, to tylko

Gabriel może zapewnić ci bezpieczeństwo. On cię kocha, Frannie, i ma pewne chody na samej górze. Może zdoła załatwić ci rozsądne warunki.

— Chcę mieć swoje życie, do diabła!

— O czym wy mówicie? — Dziadek patrzy z mieszanką przerażenia i konsternacji.

— Jeśli dusza Frannie będzie oznaczona dla Niebios, nie można już jej oznaczyć dla Piekieł. Ale nie można jej oznaczyć dla Niebios, dopóki sobie nie wybaczy śmierci...

— Cicho! — krzyczę. — Przestań! Nie chcę tego!

— Ale tego potrzebujesz — mówi Luc, patrząc mi głęboko w oczy.

— Idź do diabła!

— Pójdę, ale nie wezmę cię ze sobą.

Jestem wielką kulą sfrustrowanego gniewu. Chcę zabić go za to, że wbił mi nóż w plecy.

— Wynoś się!

— Frannie? — Z wściekłości zapomniałam, że dziadek tu jest. — Mów do mnie.

Spoglądam na niego i wszystko rozplywa się w potoku łez. Obejmuję go i trzymam z całych sił.

Dziadek siada na kozetce, biorąc mnie ze sobą, a ja kładę głowę na jego ramieniu i płaczę chyba całą wieczność. Kiedy podnoszę głowę i rozglądam się, Luca nie ma.

— O czym on mówił, Frannie? O jakim wybaczeniu sobie?

Łzy znowu się przelewają i w gardle mnie dławi. Nie mogę tego powiedzieć, prawda? Nie dziadkowi.

Bo jeśli on mnie znienawidzi, mnie to zabije. Ale kiedy zaglądam mu w oczy i widzę całą jego mądrość...

— Zabiłam Matta, dziadku.

Nic nie mówi, ale kiedy łzy znowu zaczynają płynąć, przyciąga mnie do klatki piersiowej i tuli mocno, a ja czuję się najbezpieczniej od dziesięciu lat. Zapadam w niego wyczerpana. Kiedy odzyskuję świadomość-

mość, nadal mnie trzyma. A wtedy zaczynamy rozmawiać... i mówię mu wszystko.

Nie odzywa się przez bardzo długi czas, aż jestem pewna, że wszystko zniszczyłam. Teraz kiedy wie, jakim jestem strasznym człowiekiem, wszystko się zmieni nieodwracalnie. Ale on patrzy mi twardo w oczy i mówi:

— Wygląda na to, że przez całe lata miałaś w głowie od groma bzdur.

Nienawidzi mnie. Wiem to. Czuję, jak zapada mi się klatka piersiowa, jak moje serce się kurczy.

— Posłuchaj, Frannie. Nie było mnie tam i nie wiem, co się stało, ale znam to serce — klepie mnie po plecach — to dobre serce. Jeśli to co mówisz, to prawda, był to straszliwy wypadek.

Silnie kręcę głową, jakbym mogła wyrzucić z niej poczucie winy.

— Ale ja byłam taka wściekła... Nienawidziłam go.

— Jestem pewien, że nie mogłabyś nikogo nienawidzić, nawet gdybyś się starała. Nie masz tego w sobie. Po mojemu to co się stało, już się nie odstanie. To niczyja wina.

Ale on się myli. To była moja wina.

— Każdy nosi ze sobą własne gówno. Wiem to najlepiej. Po śmierci twojej babci... — Kręci głową. Trochę mocniej ściska moje ramię. — Człowiek taką już ma naturę, że się wini, kiedy się zdarzają złe rzeczy. Zastanawia się, co mógł zrobić, żeby coś się potoczyło inaczej.

Widzę poczucie winy na jego twarzy i to strasznie mnie boli.

— To co się stało z babcią, to nie twoja wina, dziadku. — To była moja wina. Powinnam bardziej nalegać na mamę, żeby do niej poszła.

— Ale i tak będę tak czuł. — Zabiera rękę z moich ramion i chwyta moją dłoń. — Byliście z Mattem sobie

najbliżsi. Nie wiem, co się zdarzyło na tym drzewie, ale cokolwiek to było, ty nie wyszłaś z tego bez szwanku. Nadejdzie jednak taki czas, kiedy zaczniesz patrzeć na to tak, jak trzeba: że to był wypadek. Czuję, jak twarda kula zimnego przerażenia, którą nosiłam w piersi od dziesięciu lat, mięknie trochę. Część tego, co powiedział, jest prawdą. Nie chciałam zabić Matta. Więc może nie jestem potworem. Ale moja wina nie jest ani trochę mniejsza. Tulę się do boku dziadka i siedzimy tak jeszcze kilka godzin.

ROZDZIAŁ 20

O wilku mowa

LUC

Przez trzy dni siedziałem na gałęzi drzewa przed oknem Frannie, zanim znowu zechciała ze mną rozmawiać. Miała ciężki czas z egzaminami, ale pomogło posiadanie wysoko postawionych przyjaciół. Przy odrobinie boskiej interwencji skończyła pozytywnie.

Nie wybierałem się po dyplom. No bo ile można mieć świadectw ukończenia szkoły średniej? Ale przyszło mi do głowy, że tego mogę potrzebować, jeśli rzeczywiście zamieniam się w śmiertelnika.

Chowam się w cieniu tablicy wyników, czekając na Frannie, kiedy ktoś mnie klepie w ramię.

Odwracam się i widzę Gabriela opartego o słupek bramki, uśmiechającego się do mnie z wyższością, i uderza mnie myśl, jak jestem ślepy bez szóstego zmysłu, który prawie zanikł.

Macha idiotyczną bordową szatą, którą musiałem przywdziać na uroczystość.

— Ładny ciuszek.

— Idź do diabła.

— Nie ma mowy — mówi, odrywając się od słupka.

Oglądam się na trybunę główną, gdzie pojawia się Frannie z rodziną.

— Dlaczego... ? — zerkam na nią.

— Dlaczego się wycofałem? — dopowiada za mnie.

— Bo ona dokonała wyboru.

— Skąd wiesz?

— Żartujesz sobie, tak? Spójrz na siebie.

I wtedy pojmuję. Staję się człowiekiem — i to ona dla mnie zrobiła. Tak bardzo musiała mnie pragnąć.

Resztki mojej mocy wzbierają i czuję trzaski wyładowań na skórze.

— I pewnie wyszedłeś z tego bez szwanku? Zachowałeś skrzydła?

— Przez jakiś czas ta kwestia wisiała na włosku

— uśmiecha się.

— Gdyby ona... gdyby to się potoczyło inaczej, zrezygnowałbyś z nich?

Zerka na Frannie i znowu na mnie, po czym uśmiecha się krzywo i podnosi brew.

— A miałbym wybór?

Widzę w jego oczach — co usiłuje ukryć, może nawet przed sobą, za drwiącym wyrazem twarzy — że chętnie zrezygnowałby dla niej ze skrzydeł. Wchodzi za tablicę.

— Nie myśl, że przestanę czuwać tylko dlatego, że ty nie jesteś już zagrożeniem dla jej duszy. Daj mi tylko pretekst, a rozniosę cię w kawałki. — I znika, jakby go w ogóle nie było.

Patrzę z boiska, jak mama Frannie robi zamieszanie wokół jej fryzury i czapki. Tylko Frannie potrafi wyglądać seksownie w tej śmiesznej czapce i kiece. Wyobrażam sobie, co ma pod spodem, i pod spodem tego podspodu. Przy odrobinie szczęścia będę miał szansę później to sprawdzić. Już wiem, że nie czerwony stanik. Może coś czarnego... koronkowego...

Razem z Riley i Taylor wychodzi na boisko, a jej rodzina idzie na trybuny. Wybucham śmiechem na widok miny pana Cavanaugh, kiedy jego córka podchodzi i całuje mnie. I nagle widzę, że obserwuje mnie dzia-

dek, surowym spojrzeniem. Ale już kiedy mam odwrócić wzrok, uśmiecha się i kiwa mi głową.

Frannie zerka na trybuny, na ojca.

— Będziemy musieli coś z tym zrobić.

— Myślę, że to przegrana sprawa — mówię, choć mam nadzieję, że się mylę. Przyciągam ją do siebie i całuję.

— Niedobrze mi się od was robi. Wynajmijcie sobie pokój — parska Taylor.

Riley chwytą Taylor za rękę i ciągnie ją w kierunku sali gimnastycznej.

— Ustawiają się, chodźmy.

Obejmuję Frannie ramieniem, rzucam spojrzenie na jej ojca i ruszamy przez morze bordowych czapek i szat do szeregu ustawiającego się za salą gimnastyczną.

Zaczyna grać muzyka i wszystkie dobre małe lemingi idą w dwuszeregu. Kazano nam zachować półmetrowy odstęp, ale Frannie obejmuje mnie i tuli się, kiedy idziemy na boisko zająć swoje miejsca.

Nie mogę jakoś pozbyć się szerokiego uśmiechu z twarzy.

Siadamy, ja rozglądam się po wszystkich tych spoconych ciałach smażących się na słońcu, kiedy dyrektor Grayson gędzi o nowych początkach i tym podobnych bzdurach. Po półgodzinie mniej więcej doskonale rozumiem, dlaczego zawsze unikałem tych ceremonii dyplomowych jak plagi szczurów.

Już dochodzę do przekonania, że po siedmiu tysiącach lat wreszcie umrę z nudy, gdy zaczynają wyczytywać nazwiska i nasz rząd wstaje. Idę przez podium, a dyrektor Grayson podaje mi dyplom z szerokim uśmiechem i skinieniem głowy mędrca. Czekam u stóp schodów na Frannie, a kiedy ona idzie ku mnie, jej szata powiewa na wietrze, podkreślając jej kształty. Mimowolnie fantazjuję o tym, co będzie później. Ma zostać na noc u Taylor. Zastanawiam się, czy da

się namówić na zmianę lokalizacji. Już jest przy mnie. Podrywam ją do góry i całuję.

— Hmm, miłe — mówi, kiedy ją odstawiam na ziemię. — Na pewno właśnie zapunktowałeś u rodziców.

Patrzę na trybuny i widzę, że jej rodzice stoją z otwartymi ze zdumienia ustami, tata z aparatem zapomnianym w dłoni. A dziadek się śmieje.

— Jak tam plan?

— Pracuję nad nim. Ale na pewno nie obejmuje molestowania mnie na oczach rodziny.

Po ceremonii jej rodzina schodzi na murawę, tata ciągle patrzy gniewnie.

— Więc idziesz na imprezę z Taylor i Riley? — zagaja mama. Stara się być radosna, ale jej uśmiech jest sztuczny jak cyrkonia.

Frannie wywraca oczami.

— Tak, mamó.

Dziadek podchodzi do mnie i poklepuje mnie po plecach.

— Luc się o nią zatroszczy. Mamy umowę. Co nie, synu?

Uśmiecham się z ulgą.

— Tak, proszę pana.

— Myślę, że Frannie jest w dobrych rękach — dodaje, puszcżając oko.

Sztuczny uśmiech mamy Frannie nie daje jednak rady, kiedy ona patrzy spode łba na dziadka.

— Tato, no naprawdę, to nie jest twoja sprawa.

— Nie, masz rację. To sprawa Frannie — i tym razem puszcza oko do wnuczki.

— Mówiłam już — odzywa się Frannie. — Idę na imprezę z Taylor i Riley, mamó. Znasz naszą umowę. I nie zapomnij, że zostajemy u Taylor na noc.

Patrzy na mnie podejrzliwie i widzę, że jej tata jest gotów zaprotestować, ale wtedy właśnie pojawiają się Taylor i Riley i chwytają przyjaciółkę.

— Dzień dobry, pani Cavanaugh — mówi Taylor.

— Porywam Frannie, dobra?

Wzrok taty Frannie łagodnieje odrobinę, a mama mówi:

— Dobra. Ale chcę, żebyście się nie rozstawały.

— Zerka na mnie i znowu na swoją córkę. — Ani na chwilę.

Nagle Taylor patrzy na tatę Frannie. Jej cała twarz łagodnieje, wręcz myślę, że zaraz się rozpłacze.

— Dziękuję, panie Cavanaugh. Tata strasznie się cieszy, że zaczyna nową pracę. Naprawdę jest wdzięczny, że mu ją pan znalazł.

— Nie ma sprawy. Tyle przynajmniej mogłem zrobić. Cieszę się, że tata czuje się lepiej.

— Doradca naprawdę nam pomaga — dodaje Taylor. Waha się, a potem podchodzi do pana Cavanaugh i bierze go w objęcia. Z początku zaskoczony, podnosi w końcu ręce i poklepuje ją po plecach.

— Bardzo się cieszę, że mogłem pomóc — mówi.

Taylor się odsuwa i po raz pierwszy zauważam rumieniec na jej policzkach. Potem w jej oku na powrót pojawia się zwyczajny dla niej błysk. Bierze pod ramię Frannie i Riley.

— Idziemy, dziewczyny. Mamy w planach poważną imprezę.

Frannie żegna się z rodziną, a ja wyciągam rękę do jej dziadka, który raczy mnie silnym uściskiem.

Następnie odwracam się do pana Cavanaugh. Waha się, ale w końcu podaje mi rękę. Na koniec ściska ją nadzwyczaj mocno, znacząco — ostrzegawczo.

— Miłego wieczoru — mówię do wszystkich ze swoim najbardziej pokrzepiającym uśmiechem i kła-

niam się. Odwracam się, by w ślad za Taylor i Riley odejść na parking.

I serce mi przestaje bić.

Avaira.

Stoi plecami do nas, długie, proste kruczoczarne włosy połyskują w jasnym czerwcowym słońcu. Chowam Frannie za siebie i czuję, jak moja gasnąca moc skrzy się na powierzchni zwiniętej prawej pięści. Avaira odwraca się powoli, a ja podnoszę pięść, po czym wypuszczam powietrze, które wstrzymywałem, a moje serce znowu zaczyna bić.

To nie ona.

Wpadam w paranoję, skoro wszędzie widzę Beliała i Avairę. Bo na pewno gdzieś tu wciąż są — i są zdesperowani. Muszą wiedzieć, że czas się kończy.

Obejmuję Frannie, która wygląda na zdumioną, a tętno mi wraca do normy, kiedy idziemy do samochodu Riley. Frannie tuli się do mnie. Zerka przez ramię na przyjaciółki, zajęte ściąganiem sobie nawzajem czapek i spinek do włosów.

— O co to chodziło? — pyta szeptem.

Kręcę tylko głową. Mruży oczy, ale odpuszcza, bo dziewczyny nas doganiają.

— Więc zobaczymy się później?

— Nie darowałbym sobie. Ile czasu potrzebujecie?

Wszystkie trzy wzruszają ramionami.

— Jedziemy teraz do Taylor się przebrać, a potem od razu do Gallaghery. Więc może z pół godziny?

Całuję ją ponownie.

— Do zobaczenia — mówię, wiedząc jak zwykle, że nie zamierzam jej spuścić z oka. Nigdy tego nie robię, ale ona nie musi tego wiedzieć. Nie ma sensu jej stresować bardziej, niż już jest zestresowana. Zrobię wszystko, żeby mogła się czuć, jakby żyła normalnie — w każdym razie chwilami.

FRANNIE

On myśli, że nie wiem, że mnie śledzi. Dałam mu do zrozumienia, że chcę mieć swoje życie, więc bardzo się stara mi je zapewnić. Nic nie mówię, żeby nie pozbawiać go złudzeń, ale tak z ręką na sercu, to lubię wiedzieć, że jest gdzieś w pobliżu. Kiedy nie mogę spać nocą, wyglądam przez okno na blask księżyca za gałęziami drzew odbijający się od maski cobry i chciałabym być na zewnątrz z nim. Rozglądam się po podwórku Gallaghery zamglonymi piwem oczami i widzę go, jak opiera się o drzewo i wygląda goręcej niż piekło. Już mam ruszyć do niego chwiejnym krokiem, kiedy Riley i Trevor wymykają się pomiędzy drzew. Zmieniam kierunek, podchodzę do niej i wyciągam z włosów jeżyny, a Trevor tymczasem wraca na stopnie werandy, gdzie siedzi jego paczka.

— Hej, Ry — uśmiecham się. — Sporo czasu spędzacie w szopie Gallaghery, co nie?

Nawet w słabym świetle księżyca przesączonym przez gałęzie drzew widzę, jak się rumieni.

Rozpoznaję ten błysk w oku, bo ostatnio widuję go w lustrze.

— On jest niewiarygodny, Fee. Wiesz, co potrafi zrobić...

Podnoszę rękę.

— Za dużo informacji! — Ale nie mogę się powstrzymać od uśmiechu. Fajnie, że jest taka szczęśliwa.

— A kiedy powiecie Taylor?

— Trevor porozmawia z nią jutro, chyba. Ale mówił to samo wczoraj... i w zeszłym tygodniu.

Wybucham śmiechem.

— Ona go rozniesie na strzępy, i on o tym wie. Myślę, że ty będziesz musiała to zrobić.

Wydaje jęk, kiedy wpada na nas Taylor, krzycząc i niemal powalając mnie na ziemię. Taylor chwieje się

niebezpiecznie, a Riley łapie ją i pomaga utrzymać równowagę.

— Chodźcie ze mną imprezować, frajerki — chichocze Taylor i bierze nas pod ramiona.

— Hej, Trev — krzyczę. — Chodź no tu!

Patrzy nieufnie, potem powoli, z wielkim niepokojem, rusza do nas po schodach. Kiedy wreszcie staje przed nami, wolną ręką chwytam go pod ramię.

— Tay, Riley i Trevor straszliwie chcieliby ci coś powiedzieć — mówię, po czym wymykam się spomiędzy rodzeństwa i łączę im ręce.

Gdyby Taylor nie potrzebowała oparcia, pewnie odepchnęłaby ramię brata, ale ponieważ potrzebuje, to opiera się na nim.

— Co?

Riley i Trevor wymieniają spojrzenia, a potem podają sobie ręce, zamykając w ten sposób kolo.

Ja się odwracam szczęśliwa i znowu się rozglądam.

Za domem zainstalowało się Roadkill. Delanie śpiewa głośno piosenkę Paramore. Zadziwiające, o ile lepiej brzmią z kimś, kto naprawdę śpiewa. Reefer podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się. Macham do niego. Śmieję się na wspomnienie tekstu Taylor, która nazwała go dziwakiem z Guitar Hero. No jest dziwakiem, jest, i fajnie.

Nagle ogarnia mnie wzruszenie. To na pewno wina piwa, bo moje oczy łzawią, kiedy zdaję sobie sprawę, jak bardzo będę za tym wszystkim tęsknić. Ale mam nadzieję, że nie będę tęsknić za Lukiem.

Do tej pory bałam się zapytać, co się stanie po rozdaniu dyplomów.

Idę do niego chwiejnym krokiem i oglądam się na swoich przyjaciół, kiedy słyszę wrzask Taylor:

— Wy głupie dupki! — Chce kopnąć Riley, ale w efekcie ląduje na tyłku w błocie.

Odwracam się uśmiechnięta i idę dalej do Luca. A kiedy go dopadam, zarzucam mu ramiona na szyję i opieram się, żeby nie stracić równowagi. Kładę głowę na jego piersi, obejmuję go w pasie i przytulam się mocno.

— Cześć — mówię do jego koszuli.

— Dobrze się bawisz?

— Tak, ale ty nie.

— Dlaczego tak myślisz?

— Nie wiem. Tak tylko stoisz tu.

— Lubię na ciebie patrzeć — mówi, ściskając mnie trochę mocniej.

— Fee! Jesteś do dupy! — krzyczy do mnie Taylor. W odpowiedzi odrywam się od Luca i gwizdzę na nią. Potem wsuwam rękę we włosy Luca, przyciągając do siebie jego twarz. Uśmiecha się i ulega, a kiedy mnie całuje, naprawdę nie chcę się od niego odrywać.

— Chodź — szepczę mu do ucha, wsuwając dłoń pod jego tizert i muskając palcami jego skórę w talii. Chcę go, natychmiast.

— Dokąd idziemy? — Czuję, jak ciało mu sztywnieje, kiedy zaczepiam palcami o guzik od jego spodni.

— A tak na mały spacer. — Odwracam się i ciągnę go za pasek spodni w kierunku jego samochodu.

— A twoi przyjaciele? — pyta z uśmiechem. — Może to wasza ostatnia wspólna impreza?

— Do diabła z moimi przyjaciółmi.

Ciągnę go za linię samochodów na poboczu do mustanga zaparkowanego w pobliżu lasu. Tam opieram go o auto i przywieram mocno do jego ciała. Roadkill chyba ma przerwę, bo teraz słyszę Led Zeppelin nawalające z boomboxa o schodach do nieba, ale mnie obchodzi tylko Luc.

— Co miałaś na myśli? — pyta, przyglądając się mojej twarzy, jakby czegoś na niej szukał.

— Znalezienie naszych własnych schodów do nieba. Twoje tylne siedzenie wygląda na wygodne.

Jeszcze

nie miałam okazji go wypróbować — mamrocze, odchylając się od niego, by otworzyć drzwi. I chociaż jestem trochę nieprzytomna, przez opary alkoholu dociera do mnie mocny zapach zgniłych jaj. Już mam się odwrócić, ale gorące ramiona oplatają mnie od tyłu. Odruchowo padam nisko i chwytam rękę spoczywającą na mojej talii. Tracę równowagę, kiedy przerzucam tego kogoś przez ramię. Jeszcze widzę jego twarz i padam plecami w błoto. Jedno oko Beliala patrzy na mnie czerwonym płomieniem. Drugie zakrywa czarna łatka. W następnej sekundzie ktoś mnie podnosi z ziemi i wrzuca do auta Luca.

LUC

Podnoszę Frannie z ziemi i wrzucam ją do auta, a Belial zbiera się i rusza do ataku. Mobilizuję resztki swojej mocy i uderzam go w klatkę piersiową ciosem tak żalosnym, że jeszcze kilka tygodni temu sprawiłby mnie w zakłopotanie. A teraz jestem z niego wręcz dumny. Belial leci na plecy, co spowalnia go na tyle, że zdążam do auta, nie dając mu czasu na ponowną mobilizację. Pamiętając ostatni raz, zarzucam osłonę na samochód — pewnie za słabą, żeby go zatrzymać, ale nic więcej nie mam — i odpalam silnik.

Kiedy jednak zerkam we wsteczne lusterko, widzę jasny blask białego światła i kogoś stojącego obok Beliala. Gabriel? Niewątpliwie. Ale wygląda inaczej, jest jakiś mniejszy.

Oddycham głęboko, żeby przywrócić sercu normalny rytm.

— Nic ci nie jest, Frannie?

— Nic — mówi, a kiedy na nią zerkam, stwierdzam, że nie wygląda nawet na przerażoną.

— Jesteś pewna? Uśmiecha się wręcz.

— Owszem. — Nagle jej głowa zwiesza się do tyłu i Frannie zamyka oczy.

— Frannie? — trącam ją. Bezskutecznie.

— Och, na grzechy Szatana — klnę pod nosem.

I co teraz? Nie mogę jej zawieźć do domu w tym stanie — pijaną i ubłoconą. Może do mnie?... Ale tam nie jest bezpiecznie. Potrzebuję pomocy. Pozostaje więc w zasadzie jedna możliwość. Przy odrobinie szczęścia nie wygoni nas do domu.

Kiedy Gabriel uchyla drzwi i patrzy na Frannie, zawiniętą w koc w moich ramionach, otwiera szeroko oczy i usta.

— Chyba nie...

— Nic jej nie jest, nie szalej. Po prostu nie najlepiej przyswaja piwo.

— Myślałem, że nie musisz już jej upijać.

— Złaż z drogi, dupku. — Mijam go i wchodzę do salonu.

— Nie pobrudź... — urywa. — Co ona robiła? Zapasy w błocie?

Kładę ją na kanapie.

— Prawie. Nie możesz jej po prostu pokropić wodą święconą i trochę przemyć?

Patrzy na mnie z wyższością.

— Niektóre rzeczy naprawdę wymagają cudu. To jednak wymaga tylko proszku z wybielaczem.

Zdejmij jej ubrania, to wrzucę je do pralki.

— Myślę, że lepszym wyjściem byłby cud. Dochodzę do wniosku, że młodzieńcze hormony to siła, z którą trzeba się liczyć. — Zerkam na Frannie i kręcę głową. — Prawdę mówiąc, dają mi nieźle popalić.

Uśmiechowi, który pojawia się na jego ustach, daleko do anielskiego, brwi podjeżdżają wysoko do góry.

— Ja to zrobię. — Pochyla się i ściąga jej zabłocone tenisówki.

Odpycham go.

— Zaczekaj w kuchni.

Wzrusza ramionami i odchodzi powoli w tym kierunku, cały czas z szelmowskim uśmiechem. Kiedy znika, ściągam jej koszulę przez głowę.

Cholera! Miałem rację: czarna koronka. Co za strata.

Kiedy już nie ma na sobie dżinsów, owijam ją szczelnie w koc i rzucam jej ubrania Gabebwi. Padam na krzesło przy kanapie i zamykam oczy, a głowa mi leci do tyłu. Kiedy Gabe wraca, siada na krześle naprzeciwko mnie.

— Dzięki za pomoc — mówię, patrząc na Frannie. — Nie mogłem jej zabrać do domu w tym stanie. Jej rodzice już wiedzą, że jestem diabłem, a teraz, kiedy już nim nie jestem, mam nadzieję pokazać im, że się mylą. — Wskazuję ją ruchem ręki. — To nie poprawi mojej sytuacji.

— Czy ona ma dzisiaj nocować w domu? — pyta.

— Nie. U Taylor.

— Więc możemy ją tam podrzucić. Przełykam dumę.

— Poza tym... dzięki za pomoc na imprezie. Nie jestem już takim demonem jak kiedyś. Niewiele mi zostało z miotania ognia.

— O czym ty mówisz?

— No wiesz... o Belialu... na imprezie.

— To nie ja.

— Niech ci będzie, nieważne. Ale dzięki. Kręci głową z uśmiechem.

Wpatruję się w śpiącą postać, tak drobną, na kanapie.

— Gabriel?

— Tak.

— Jej dusza jest wciąż czysta, prawda? Ja jej nie... no wiesz... nie skaziłem ani nic? Już nie umiem sam powiedzieć.

Troska przemyka po jego obliczu, nim zbiera się na odpowiedź:

— Nie mają do niej prawa, jeśli o to pytasz. Ale nie jestem pewien, jak długo to potrwa, jeśli ona będzie się z tobą zadawać. Masz zły wpływ.

— No pewnie. Słuchaj, a może powinienem oczekiwać w każdej chwili rozgromienia? No wiesz, gniew Boży i takie tam?

Znowu się uśmiecha.

— Niestety nie, ale nie zaszkodziłoby, gdybyś się wycofał.

Wiem, że ma rację. Zawsze to wiedziałem, ale...

— Nie mam już wyboru w tej kwestii. Nie umiem się trzymać od niej z daleka.

— Tak. Skumałem to, kiedy pozwoliłeś się spalić żywcem wodą święconą.

— Czy to oznacza, że osłona na mnie nie działa?

— Trudno powiedzieć. Jeśli Belial i Avaira od kilku tygodni się tu czają, jak mówisz, to na pewno cię śledzą.

Znowu zerkam na śpiącą Frannie. Musi być jakiś sposób, żebym mógł ją ochronić.

— Więc może gdybyśmy po prostu zniknęli... wyjechali gdzieś... byłaby bezpieczna?

— Może. Dopóki nie spróbujecie, nie dowiemy się tego. Ale wiesz równie dobrze jak ja, które rozwiązanie jest najlepsze.

— Oznaczenie jej duszy dla Nieba — mówię zrezygnowany. — Dlaczego to takie ważne, żeby sobie wybaczyła?

Jego twarz nagle robi się absolutnie anielska.

— Przebaczenie to klucz do wszystkiego, Lucyferze.

— Wy, niebiańscy, wszystko potraficie utrudnić. — Przesuwam się na krześle, prostując. — Co by się stało, gdyby Belial... po prostu ją zabił? — Na myśl, jak niewiele brakowało, żeby już to zrobił, czuję straszliwy ucisk w piersi.

— Trafiałaby do Limbo ze wszystkimi innymi nie-oznakowanymi duszami i wiesz, że Michał szybko by ją awansował do Nieba. Esencja Frannie, jej dusza, stanowi tu klucz. Z naszego punktu widzenia ona jest nie mniej wartościowa w Niebie niż na Ziemi.

— Tak mniej więcej sam wykombinowałem. — Widziałem tę esencję i wiem, że Gabriel ma rację. Tańczenie z nią, mieszanie jej z moją... Nigdy niczego takiego nie doświadczyłem. — Nie pozwolę, żeby jej się coś stało.

— Wiem. Na to właśnie liczę. — W jego głosie wyraźnie brzmi groźba.

Znowu na nią spoglądam.

— Nie pozwolę, żeby ją dopadli — mówię, wiedząc, że oni to także ja. Ale na razie kładę się obok niej na kanapie, obejmuję ją i trzymam tak, jakby od tego zależało moje życie. Bo i jestem pewien, że zależy.

ROZDZIAŁ 21

Ogień i siarka

FRANNIE

— Słuchaj, z całym tym niepokalanym poczuciem to tylko drażniłem Lucyfera.

Odrywam głowę od drzwi samochodu i spoglądam na Gabe'a przez zamroczenie kaca.

— Co?

— Wiesz... tamtej nocy, jak przyszliście. Po tym jak powiedział ci, czym jest...

— A, tak. Więc nie jestem Marią?

— Nie.

— Dzięki Bogu. Byłabym zasraną matką — mówię, pocierając czoło. — Poza tym mam nadzieję, że nie będę długo dziewicą. — Z powrotem opieram głowę o okno z uderzeniem, które budzi pod czaszką falę bólu i zamienia mój mózg w tapiokę. — Auu... —jęczę.

— Dobrze ci tak — śmieje się Gabe.

— Spadaj.

Zajeżdżamy pod mój dom, mama wychodzi na werandę. Gabe otwiera moje drzwi i pomaga mi stanąć. Sprawdzam, czy utrzymam się na nogach, i ruszamy do wejścia, ale Gabe musi mnie mocno ciągnąć. Kiedy docieramy do schodów, poddaje się i bierze mnie na rękę.

— Dobrze się bawiliście, dzieci? — świergocze mama.

Bardzo bym chciała wiedzieć, ile siedemnastoletnich dziewcząt może pokazać się z kaczem o dziewiątej rano w ramionach jakiegoś faceta (nawet jeśli tym facetem jest autentyczny anioł, czego moi rodzice o Gabie zapewne nie wiedzą) i usłyszeć pytanie, czy się dobrze bawiły? To obrzydliwe. Oczywiście, gdybym tu leżała w ramionach Luca, wyglądałoby to inaczej.

— Dobrze się bawiliśmy, Frannie? — Gabe stara się nie śmiać i gdybym miała tyle siły, zapodałabym mu fangę w nos.

Ale mamrocę tylko „zamknij się” do jego ramienia.

Mama podąża za nami, kiedy on niesie mnie schodami, i razem kładą mnie do łóżka. Słyszę, jak moje siostry chichoczą, ale nie otwieram oczu, żeby zobaczyć, które dokładnie.

Gabe siada na skraju mojego łóżka. Sunie palcem po linii mojej szczęki i chociaż czuję się nieżywa, przechodzi mnie dreszcz.

— Nic ci nie będzie?

— Nic, o ile mnie zastrzelisz — błagam. Pochyla się i jego usta suną po moim policzku aż do ucha, do którego szepcze:

— Tego nie mogę.

Chichocze, a ja się zastanawiam, czy ja mogłabym zastrzelić jego.

— To idź do diabła — mówię, przewracając się na bok i naciągając kołdrę na głowę.

Słyszę szuranie mamy paplającej o rosół. Ale Gabe ciągle tu jest — czuję go.

— Czego chcesz? — mamrocę w pościel.

— Tego samego co zawsze. Chcę oznaczyć twoją duszę. Musisz sobie wybaczyć.

— Nie.

— Dlaczego? Dlaczego się przy tym musisz upierać?

Ani myślę pozwolić sobie na płacz.

— Bo muszę — wyrzucam przez łzy. — Co musisz?

Przez niego dudni mi w głowie.

— Możemy to zrobić kiedy indziej?

— Zróbmy to teraz. Co to znaczy, że musisz? Jęczę, kiedy ostry ból przeszywa mój mózg. Ściągam kołdrę z głowy, żeby zaczerpnąć powietrza.

— Nie mogę tego zrobić. I tak wiesz wszystko, o czym myślę. Nie możesz po prostu wyjąć mi z głowy tego, czego szukasz, i zostawić mnie w spokoju?

— Gdybyś to myślała, mógłbym. Do tego właśnie próbuję cię doprowadzić: do miejsca, w którym wiesz, dlaczego nie możesz do tego dopuścić.

— Bo nie.

— Dlaczego?

— O Boże! Idź sobie!

Łóżko skrzypi, kiedy przysuwa się bliżej. Czuję w uchu jego chłodny oddech.

— Nigdzie nie pójdę, Frannie. Zawsze będę przy tobie, choćby nie wiem co.

Jego wargi muskają mój policzek i nagle znika mi ból głowy, a pojawia się głęboki ból gdzie indziej. W miejscu, które zdecydowanie nie powinno boleć. Obracam się i chwytam go za włosy. Jego usta dotykają moich... dokładnie w chwili gdy mama wraca do pokoju z dwoma parującymi kubkami w dłoniach. — Och! O Boże — mówi.

Oczy Gabe'a uśmiechają się do moich moment dłużej, nim wstaje z łóżka i oznajmia:

— Naprawdę muszę już iść.

— Och, proszę nie wychodzić — mówi mama z niezdarnym uśmiechem, podając mu kubek. — Proszę zjeść zupy.

— Dziękuję, pani Cavanaugh — uśmiecha się — ale Frannie jest w dobrych rękach. — Odwraca się do

mnie. — Zajrzę do ciebie później — dodaje, wycofując się w kierunku drzwi.

— Bra. — Więcej sylab nie jestem w stanie z siebie wydusić.

Wychodzi, a ja kładę się na boku twarzą do drzwi, ignorując mamę i jej zupę, i próbuję rozgryźć, co się właśnie stało. I myślę o Lucu. Ma przyjść dzisiaj wieczorem, a ja mam wypróbować na rodzicach ten cały wpływ, jeśli rozgryzę, co to jest — może zmienię ich zdanie o nim.

Ale może najpierw muszę popracować nad własnym umysłem.

Myślę o jego shelby cobrze zaparkowanej w tej chwili po drugiej stronie ulicy i serce bije mi mocniej. Kocham go. Wiem o tym. Więc dlaczego, do cholery, wciąż chcę całować Gabe'a?

LUC

Jadę za Gabrielem i Frannie do jej domu i przez większość dnia siedzę przed wejściem. Patrzę w jej okno, zastanawiając się, co powiedzieć, żeby zrobić wrażenie na jej rodzicach albo chociaż przekonać ich, że nie jestem już diabłem wcielonym. Ale kiedy tu siedzę, wpatrując się w jej okno, czuję we wnętrznościach ostry ból i z dołu dobiegają mnie głosy. W miarę upływu czasu ból staje się coraz ostrzejszy, a głosy przybierają na sile, aż nie mogę ich już ignorować.

Piekło i szatani, czy to boli mnie brzuch? Jestem głodny? Podnoszę ramię, żeby pomasować sobie brzuch, czuję swój zapach i wydaję jęk. Siarka się nie umywa do mojego obecnego zapachu. To dopiero odór. Małe ma szansę zrobić dobre wrażenie na rodzicach Frannie. Bycie człowiekiem okazuje się skrajnie kłopotliwe — i trochę obrzydliwe.

Przed zmierzchem, kiedy upewniłem się, że Gabriel tu jest, odjeżdżam do domu wziąć prysznic i po drodze zawijam do McDrive'a. Okazuje się, że big maki nie są takie najgorsze. Kto by pomyślał. Okazuje się też, że z człowieczeństwem wiąże się zaskakująco dużo minusów. Lista rzeczy, których będę potrzebował, choćby tylko w dziale higieny osobistej, jest powalająca. Myślę o wszystkim, o co muszę się zatroszczyć, zanim moja magia całkowicie zniknie — mnóstwo kont bankowych i inwestycji, mnóstwo fałszywych tożsamości dla siebie i Frannie, na wypadek gdybyśmy musieli uciekać, może stypendium w UCLA

— kiedy przestępuję próg swojego mieszkania i ostry zapach siarki uderza mnie jak kij bejsbolowy w twarz. Mimowolnie krzywię się na ten odór. No dobra, może jednak teraz wcale nie śmierdzą tak strasznie. Jak mogłem kiedykolwiek uważać zapach siarki za miły?

Podnoszę łzawiące oczy na Beritha, mojego szefa. Nawet jeśli nie wyczuwam już obecności demona ani Boga, powinienem był się tego spodziewać. Jest tutaj w całej swojej piekielnej chwale: dymiąca, chropowata, pokryta czarnymi plamami karmazynowa skóra, krótkie skrócone czarne rogi, które niemal drapią sufit, i ogon owinięty wokół futrzanej talii satyra. Chociaż nigdy nie przyzna, z którego grzechu został zrodzony, fakt, że zawsze przywdziewa krótką czerwoną szatę i nosi złotą koronę, mówi sam za siebie. Pycha. Stoi tyłem do mnie, podziwiając grafikę Dorego przy kuchni.

Zastanawiam się, czy się nie wycofać, zamykając drzwi

— w ogóle mnie tu nie było — ale dostrzegam, jak strzyże szpiczastym uchem, i pojmuję, że już za późno.

Wchodzę i zamykam drzwi za sobą. — To wizyta towarzyska, Bericie, czy czegoś potrzebujesz?

Odwraca się powoli, skrobiąc podkówną po linoleum, zostawiając wśród stokrotek tłące się nacięcie.

W jego płonących czerwonych oczach nie ma ani krzty-ny humoru, a kiedy wykrzywia w grymasie płaską, ściągniętą twarz, błyska kłami. Odzywa się niskim, zgrzytliwym sykiem:

— Od ciebie potrzebowałem, żebyś wykonywał swoją pracę, Lucyferze. Żebyś ją wykonywał, nie wbijając mi noża w plecy. Naprawdę sądziłeś, że zasługujesz na moje stanowisko? No ale teraz już wszyscy wiemy, że nie, prawda? Zademonstrowałeś swoją niekompetencję w sposób wyjątkowo widowiskowy, zwłaszcza dla króla Lucyfera.

Odór psiego oddechu i gnijącego mięsa zagłusza siarkę. Czuję go, zanim słyszę warkot. Piekielne psy. No świetnie.

— W tym budynku nie wolno trzymać zwierząt, Bericie. Bardzo mi przykro, ale będziesz musiał zabrać pieska... — zerkam na drzwi łazienki, kiedy wyłaniają się z niej trzy potężne czarne psy, w tym jeden o trzech głowach, i wszystkie z płonącymi czerwonymi ślepiami, które charakteryzują stworzenia piekielne — och, przepraszam, pieski, i wyjść.

— Jaka szkoda. Myślałem, że będziemy się dobrze bawić. Jesteś tu już tak długo, że przyszło mi do głowy, że trochę tęsknisz za domem.

— Nie, naprawdę mi tu dobrze, dziękuję.

W błysku dymiącego czerwonego światła przenosi się na drugą stronę pokoju i dławię się, kiedy płonąca pięść zaciska się na moim gardle, niemal unosząc mnie nad ziemią. I po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że naprawdę jestem człowiekiem, bo moje płuca łakną powietrza, kiedy tak wiszę pozbawiony dopływu tlenu.

— Zupełnie ci tu nie jest dobrze! — grzmi i rzuca mną przez pokój.

Uderzam ciężko o ścianę, twarzą do przodu, i padam na podłogę w łapy psów, z wysiłkiem łapiąc powietrze. W tej chwili zamienianie się w człowieka

naprawdę działa na moją niekorzyść, a krew płynąca mi po czole i do oczu zdecydowanie nie pomoże mi w starciu z psami.

Siadam, na luzie przecierając czoło ramieniem, ignorując rwanie w głowie i warkot psów.

— Czy to naprawdę było konieczne? Czerwone oczy Beritha płoną, a jego twarz rozciąga się w ohydny uśmiech.

— Krew? Och, z każdą chwilą jest coraz lepiej

— mówi, podchodząc, i szybkim ruchem pazura przejeżdża mi po klatce piersiowej, przecinając tiszert i ciało jak miękkie masło. Kiedy więcej krwi sączy się z rany na mojej piersi, podnosi głowę, niucha w powietrzu i wykrzywia twarz. — Wiedziałem, że nie pachniesz, jak należy. Chociaż mogłem mieć katar.

— Krwawe oczy zerkają na psy. — To oszczędzi mi zaciągania cię do Czułości Ognia. O wiele łatwiej niż z Belialem i Avairą. — Powoli kręci głowę, żalosne skrzywienie chropawych ust. — Trójka moich prymusów... jakaż szkoda... — Błyska oczami. — Aczkolwiek taki właśnie jest los zdrajców. Król Lucyfer zobaczy, jaki popełnił błąd w osądzie, kiedy to ja oznakuję duszę tej małej. Ty i Belial nigdy na to nie zasługiwaliście.

Belial i Avaira wrzuceni do Czułości Ognia. Powinienem być zachwycony, a mnie się wszystko w środku przewraca. W Podziemiu nie ma drugiej szansy.

Wzdycha i uśmiecha się.

— Mawiają, że jeśli chcesz, by robota była wykonana dobrze, musisz wykonać ją sam. Ale ja nie rozumiem, Lucyferze. To powinno być proste. Taka maleńkie, bezradne coś.

Twą Frannie, tak zapraszająca do pocałunku, pojawia mi się przed oczami. Maleńka — tak. Ale zdecydowanie nie bezradna.

Zerka na psy.

— Cerber, Bargest, Gwyllgi, zostawiam was do wykonania zadania. Ja mam swoje — przenosi wzrok na mnie — a w zasadzie powinienem powiedzieć „twoje” zadanie do wykonania.

I wtedy się przeobraża w ludzką postać. Moją ludzką postać. Nie!

Przełykam strach z gulą w gardle.

— Naprawdę nie sędzę, żebyśmy byli w stanie robić za bliźniaków, Bericie. W końcu staramy się nie wzbudzać podejrzeń. Bliźniaki przyciągają za dużo uwagi

— mówię, wstając z podłogi.

Patrzę, jak moja twarz wykrzywia się do mnie.

— Nie martw się. Niedługo będziemy we dwóch

— zapewnia. Strzela palcami i psy rzucają się na mnie, nim on dociera do drzwi.

Ileż ja bym w tej chwili dał za paczkę psich krakersów.

FRANNIE

Budzę się, gdy błyskawica przeszywa mi mózg. Przewracam się na bok i wstrząsana torsjami wiszę nad śmietnikiem, kiedy obraz Luca, leżącego bezwładnie na podłodze i pokrytego krwią, migocze pod moimi powiekami.

— Nie!

Spanikowana mama staje przy moim łóżku.

— Frannie, jesteś chora? Co się stało?

W otępieniu mogę powiedzieć tylko „nie”. I powtarzać raz za razem. Zupełnie jakby wszystkie komórki mojego mózgu miały zwarcie. Nie mogę funkcjonować. Ani myśleć.

Zaczyna mnie podnosić do pozycji siedzącej.

— Chodź, kochanie. Pojedziemy do lekarza.

Odzyskuję głos.

— Nie! Muszę do Luca. — Serce mi bije niemożliwie szybko, grozi mi hiperwentylacja, gwiazdy mi tańczą przed oczami. — Muszę go znaleźć.

I właśnie wtedy na podjeździe rozlega się dźwięk klaksonu. Wyskakuję z łóżka i biegnę do okna. Luc parkuje w swojej shelby cobrze. Uśmiecha się do mnie i macha ręką wytkniętą przez okno.

— O Boże! — Czuję, jak krew znowu zaczyna mi płynąć. Żyje. — Muszę iść, mam — mówię, zapinając dżinsy pod luźnym tiszertem i ruszając w dół na drżących nogach.

— Frannie! O co chodzi? — pyta mama, goniąc mnie.

— Nic, daj mi tylko chwilę. — Wychodzę za drzwi i zatrzaszukuję je za sobą. Podbiegam do auta i wskakuję do środka, rzucając się na Luca.

— Tak się cieszę, że cię widzę — mówi z szelmowskim błyskiem w oku.

Odsuwam się i patrzę na niego. Żyje —jeszcze.

— Coś się wydarzy. Widziałam cię...

— Co, Frannie? Co widziałaś? — Nie wygląda na przestraszonego ani zatroskanego. Jeśli w ogóle miałabym jego wygląd określić, to słowem „żądny" albo „spragniony".

— Widziałam krew... a ty...

— Nie żyłem? — kończy z szerokim uśmiechem. Kiwam tylko głową.

— Czy wyglądam na martwego, Frannie?

— Teraz nie. Ale to się stanie.

— Co? Co ma się stać?

— Nie wiem... może Belial...

— Zająłem się Belialem — przerywa mi, potrząsając głową. — Już nie musisz się nim przejmować.

— Co to znaczy? Nie żyje?

— Bardzo.

— No to chodzi o coś innego... Wiem, że jesteś w niebezpieczeństwie.

— Nic mi nie będzie, nie martw się.

Ale się martwię. Przyciąga mnie do siebie i całuje, a ja zaczynam się uspokajać. Oddycham coraz wolniej, serce mi już chyba bije normalnie. Podnoszę na niego wzrok.

— To naprawdę upiorne, Luc. Obiecuj, że będziesz na siebie uważał.

— Od urodzenia na siebie uważam. Nic się nie stanie. Chciałabym mu wierzyć. Podnoszę wzrok, widzę, że

mama patrzy na nas z okna. Na pewno myśli, że zwariowałam, co ani trochę nie poprawia naszej sytuacji. Zwłaszcza po tych wcześniejszych scenach z Gabrielem. Wzdycham.

— Więc... jesteś gotów?

— Na co?

— No wiesz. Na przedstawienie dla rodziców?

— Och, na to, tak.

— Daj spokój, Luc. Myślałam, że jesteś w tym dobry. Naprawdę chcę, żebyś mógł mieszkać tu latem.

— Jeszcze bardziej teraz. Chcę być blisko niego.

— W tej chwili wyjątkowo nie mam na to nastroju. Wolałbym być z tobą sam. — Jego oczy płoną, a mnie przechodzi dreszcz.

— O czym myślisz?

— O tych wszystkich skandalicznych rzeczach, które mógłbym ci zrobić. Do czego bym cię doprowadził, gdybyś mi pozwoliła.

Z trudem przełykam ślinę i biorę głęboki oddech, kiedy on przyciąga mnie do siebie.

— Skąd to się nagle wzięło? To ty przecież mówiłaś... no wiesz. — Ale rzecz w tym, że też zaczynam myśleć o tych skandalicznych rzeczach.

— Zmieniłem zdanie. Pragnę cię — mówi, gorącymi ustami dotykając mojej szyi.

Odchylam głowę, żeby ułatwić mu dostęp.

— A więc ta cała afera o nieczystość to... co? Teraz już nieważne?

— Nie, nieważne — powtarza i sięga pod moją koszulkę. — Moglibyśmy przeskoczyć na tylne siedzenie...

— Jezu, Luc! Moja matka patrzy na nas przez okno! — Odpycham go i poprawiam koszulkę. — Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz?

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa — odpowiada z szelmowskim uśmiechem.

— Świetnie, więc chodźmy do ciebie.

— U mnie jest bałagan. Ktoś wpuścił do środka psy, a one dobrały się do śmietnika. Podarły wszystko na strzępy.

— Co? Kto to zrobił?

— Taki tam stary kumpel. Nie ma się czym przejmować — mówi z uśmiechem całkiem już niecnym i przez sekundę jestem pewna, że czuję woń zgniłych jaj. — Jedźmy więc gdzie indziej. Chcę cię gdzieś, gdzie mogę doprowadzić cię do szaleństwa. — Całuje mnie mocno i głęboko, potem poprawia się na siedzeniu i odpala silnik. Kładzie mi dłoń na udzie i wyjeżdża z podjazdu.

Stajemy na rogu Pierwszej i Amistad, w pobliżu parku na obrzeżach mojej dzielnicy. Ledwie stanęliśmy, a on już mnie dopada. Rozglądam się, park jest prawie pusty. Na placu zabaw nikogo nie ma, ostatnie mamy właśnie pchają wózki przez ulicę w różowym zmierzchu.

Poddaję się gorącym pocałunkom Luca, a jego dotyk, tak gorący, przyprawia mnie o gęsią skórę. Po długim, głębokim pocałunku odsuwam się, by zaczerpnąć powietrza, serce mi łomocze, słyszę jego słodki szepc w uchu.

— Tak bardzo cię pragnę.

Drzę, gdy wsuwa mi ręce pod koszulkę i odpina stanik. Przebiegam dłońmi po jego klatce piersiowej i sięgam pod tiszert.

— Nigdy tego nie zapomnisz, zapewniam cię — mówi, a opuszki jego palców suną przez mój brzuch w kierunku guzika dżinsów.

I wtedy zauważam, że on płonie. Już dawno nie był taki gorący. Robi mi się duszno.

— Chwila — mówię, chwytając go za rękę w ostatniej chwili. — Nie wiem, do czego to zmierza. Od tygodni mi powtarzasz, że nie możemy tego zrobić. Muszę pomyśleć. — Ale naprawdę ciężko się myśli, kiedy on mi oferuje to, czego chcę najbardziej na świecie.

Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że widzę gniew na jego twarzy, ale zaraz się wygładza w absolutny spokój.

— O czym tu myśleć? Mam już dość czekania, Frannie. Tak bardzo cię pragnę, że nie mogę już tego znieść. Zobaczysz, będzie ci cudownie. Zrobię ci takie rzeczy... — Dalej już nie może mówić, bo jego gorący język wsuwa się do mojego ucha.

Nie mogę się skupić, bo myślę o tym, co on może mi zrobić, a czego ja pragnę, ale coś z jego wcześniejszych słów ciągle brzmi w mojej głowie. „Nie możemy tego zrobić, dopóki nie mam pewności, że to jest dla ciebie bezpieczne”. Biorę głęboki oddech i staram się powiązać ostatnią pracującą komórkę mózgową z ustami.

— Co się zmieniło, Luc?

— Ja. To bezpieczne, wiem. Teraz jestem człowiekiem. Nie mogą nas dopaść.

Tak strasznie chcę mu wierzyć, ale ta jedna komórka mózgową uparła się, żeby dojsć do głosu.

Odpycham jego rękę, która walczy z guzikiem dżinsów.

— To nie ma sensu. Mówiłeś, że teraz jesteśmy w większym niebezpieczeństwie, bo nie widzisz, jak

nadchodzą. — I nagle znowu to czuję, zgniłe jaja. O Boże. Siarka. Belial?

Oczy Luca płoną czerwienią, rozświetlając ciemności samochodu.

— Daj spokój, skarbie. Umieram — mówi. A ja mam wrażenie, że siła ciężenia zdwoiła moc, a na całej Ziemi zabrakło tlenu. Luc w życiu nie nazwałby mnie skarbem.

Ja pierniczę! Belial! Skup się!

Słyszę w głowie głos Gabe'a: „Jeśli kiedykolwiek będziesz w potrzebie, wiesz, gdzie przyjść”. I chociaż podejrzewam, że to zły znak, że mam w głowie tyle głosów nie swoich, w tej chwili tego nie żałuję.

— Wiem, gdzie możemy pojechać — mówię, zapinając stanik i starając się nie panikować. — Mamy taki dom pod opieką, tu zaraz za rogiem. Nikogo tam nie ma, będziemy sami. — Głos mi drży, a serce próbuje popełnić samobójstwo, rzucając się niestrudzenie o moje zębra.

— No, taką rozmowę to rozumiem. Gdzie to jest?

— pyta, uruchamiając silnik.

— Skreć w lewo.

Robię z nim objazd, mijając dom Taylor, swój od tyłu, bo udaję, że się zgubiłam, a tymczasem zastanawiam się, co robić. Aż wreszcie dojeżdżamy do domu z wielkim zygokaktusem w donicy i huśtawką na werandzie.

— To tu — mówię, wskazując dom Gabe'a.

— Wreszcie. Już myślałem, że się ze mną drażnisz. Ten facet wkurza mnie maksymalnie.

— Zaparkuj na podjeździe.

On wjeżdża, a ja się zastanawiam, czy postąpiłam właściwie. Czy narażam Gabe'a na niebezpieczeństwo? Będzie wiedział, że to nie jest prawdziwy Luc? A najważniejsze pytanie, które zżera mnie żywcem

— skoro to jest Belial, to gdzie jest Luc? Widok jego

zakrwawionego ciała na podłodze mnie prześladowa, więc opanowuję przerażenie i przetykam zółć, która podeszła mi do gardła.

Kiedy wysiadam z samochodu, moja panika przeradza się w rozpacz. Dom jest ciemny. A jeśli Gabe'a nie ma?

Niby-Luc obchodzi samochód, chwytam mnie i ruszamy do wejścia. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że nie mam klucza, a nie mogę przecież zapukać, bo dom rzekomo jest pusty...

— Frontowe drzwi chyba nie są zamknięte na klucz — mówię i mam nadzieję, że to prawda.

Przy drzwiach stwierdzam, że to bardziej niż prawda. Wręcz same się otwierają. W środku jest ciemno.

— Przypomnij mi, żebym nigdy ci nie powierzał opieki nad domem — parska niby-Luc.

— No tak... — Myślę gorączkowo. Może Gabe ma coś złotego albo srebrnego, czego mogłabym użyć. Przepycha mnie za próg i zamyka za nami drzwi. Ciemno tu jak w piekle, on mnie dopada — wszędzie mam jego ręce. Kiedy rozpaczliwie rozglądam się w ciemności, nie muszę widzieć nic, żeby pamiętać, że wszystko jest białe. Żadnego złota, żadnego srebra. Nic w ogóle.

— Poszukajmy łóżka — dyszy mi w ucho niby-Luc.

— Hm... może na górze — mówię na tyle głośno, że jeśli tu ktokolwiek jest, to mnie usłyszy.

Ciągnie mnie na schody, oświetlone tylko cieniutkim paskiem światła księżycowego przecinającego salon z okna, i pokonujemy kilka dolnych stopni. Kiedy jednak jesteśmy już przy poręczy, niby-Luc rozgląda się nieufnie.

— Że niby czyj to ma być dom?

— Przyjaciela.

Patrzy na mnie z wykrzywioną twarzą, a kiedy spoglądam na niego w świetle księżyca, przeradza się

w... w coś. Po kilku sekundach góruje nade mną, pali mnie skóra głowy, tam gdzie chwycił mnie za włosy. Odór opalanych włosów i zgniłych jaj jest nie do zniesienia, oczy mi łzawią. Odruchowo opadam na kucki i robię wymach nogą wysoko w jego klatkę piersiową, ale on trzyma mnie w powietrzu, więc nie mam jak się zamachnąć. Chrzęst jego kości jest jednak jednoznaczny. To chyba chichot — nie na taką reakcję miałam nadzieję — tyle że brzmi on sucho i dławiąco, niemal jak kaszel.

— Och... jaka ognista! — dyszy. — Uwielbiam ogień. — Po czym ściąga mnie ze schodów. — Bardzo sprytne, śmiertelniczko. Ale widzisz, my, demony, mamy szósty zmysł. — Odwraca się i syczy głośno:

— Spóźniłeś się, Gabrielu.

Zbieram siły i wykonuję kolejny zamach, tym razem w ramię trzymające mnie w powietrzu. Ale w zasadzie go nie dotykam. Łypie spode łba, potrząsając mną.

— Wcześniej to było urocze, ale teraz staje się irytujące. Przestań.

Moje serce zamiera, ale nagle rozlega się wielki, dochodzący jakby z zewnątrz, harmonijny głos Gabe'a

— surround sound deluxe.

— Lepiej, żebyś ją puścił, Bericie.

I oto on, u szczytu schodów, tyle że ja go nie widzę. Widzę tylko niewyraźny kształt, z którego emanuje silne białe światło. Jego blask oświetla całe pomieszczenie, w tym potwora, który mnie pochwyił. Podnoszę na niego twarz i słyszę własny jęk, kiedy cała krew w moim ciele stygnie w jednym momencie. To nie Belial. Ten jest większy i wygląda wstrętniej, o ile to możliwe, i woń wydziela o wiele gorszą — jakby w panice i tak już nie oddychało mi się trudno.

— Gabrielu, zawsze miałeś niebywale ucieszne poczucie humoru. Dlaczego miałbym puszczać swój łup?

— Bo ona nie jest twoim łupem. Nie masz do niej prawa. Jej dusza jest czysta.

— Hmm... tak. Lucyfer nie za bardzo przygotował mi grunt, prawda? Uznał to zadanie za ambitne.

— Łypie na mnie okiem i znowu ni to chichocze, ni to się krztusi. — Zakochać się! Zakochać się! — Śmieje się szczekliwie. — Jakież to staroświeckie!

— Tak, to było całkowicie odmieniająca, zmieniająca życie wydarzenie. Słyszałeś może takie powiedzenie, że miłość wszystko przewycięża?

— Cóż, koniec końców jednak nie przewyciężyła, nieprawdaż? On nie żyje, a ja trzymam łup.

— „Nie żyje” to chyba względne określenie, nie sądzisz?

Serce mi łomocze na dźwięk głosu Luca. Ale kiedy obracam się w kierunku kuchni, jak ozdoba choinkowa na sznureczku, serce mi zamiera. Luc jest zakrwawiony, tiszert ma w strzępach i kilka głębokich ran na piersi, ramionach i prawym policzku.

— O mój Boże — wykrztuszam.

— Wasz Bóg nie ocali żadnego z was — dyszy potwór i chichocze. Podnosi mnie na wysokość oczu. Czuję się, jakby odrywano mi głowę od ciała. — Teraz należysz do drużyny przeciwnej.

— Poważnie musisz to jeszcze raz przemyśleć, Be-ricie — mówi Luc, wchodząc z kuchni do salonu. Berith śmieje się — gromki ryk wstrząsa całym domem.

— Ty mi grozisz? Ty? Półmartwy śmiertelnik bez mocy? — warczy, stawiając moje stopy na podłodze, gdzie nadal dyndam jak pacynka. — Jak skończę, podzielę się z tobą tą małą maskotką. — Potrząsa mną.

— Och, ależ ja mam siłę. I ileż ironii znajduję w fakcie, że wspomniałeś o maskotkach...

Na widok uśmiechu Luca moje serce charkocze, wyciągam do niego rękę. Patrzy mi w oczy, a za nim

w ciemnej kuchni widzę pięć par wielkich, płonących czerwonych oczu wpatrujących się we mnie. Luc odsuwa się na bok i w tym samym momencie strzela placami. Trzy ogromne czarne psy, przy czym jeden trójgłowy, wypadają z kuchni z obnażonymi zębami i w ułamku sekundy dopadają mnie. Tyle że nie mnie — dopadają jego. Tego czegoś, które mnie trzyma. Luc też tam jest. Trzyma moją rękę i krzyczy coś do mnie. Przez jazgot psów i własne oszołomienie nie mogę zrozumieć co, ale nagle pojmuję. On mówi: „Użyj go, Frannie!”

Wpływu. Co mam zrobić? Nawet nie wiem, co to jest ani jak działa.

— Puść mnie. — Słyszę zduszony, chrapliwy własny głos. Nic się nie dzieje. Próbuję ponownie, głośniej: — Nie chcesz mnie! Puść mnie!

Czuję, jak jego uchwyt się zwalnia, kiedy drugą ręką uderza w atakujące psy. Luc ciągnie mnie za ramię. Psy są wszędzie, kąsają i warczą.

— Nie chcesz mnie! — krzyczę.

Wyszarpuję się Berithowi, zostawiając za sobą sporą garść przypalonych włosów, a Luc ciągnie mnie przez pokój. Jeden z psów podąża za mną, przysiadam, gotowa do ataku, ale Luc odciąga mnie, zanim moja noga dosięgnie psa.

— Wierz mi, nie chcesz wkurzyć Bargesta. Zwłaszcza po tym, jak właśnie uratował nam żałosne tyłki.

— Bargesta?

— To mój stary kumpel. Przez długi czas służyłem w jakby takim psim patrolu, strzegącym Bram Piekieł. Bargest i ja byliśmy bardzo blisko niemal przez tysiąc lat, chociaż w całym moim człowieczeństwie niefortunnie długo mnie rozpoznawał — wskazuje na krwawiące ślady pazurów na piersi.

Bargest przechyla łeb i skomle, a potem odwraca się i siada, tyłem do nas, i warczy na kotłowaninę u stóp

schodów. Nie mogę patrzeć, jak psy rozszarpują Be-ritha, więc odwracam się do Luca i znajduję miejsce, w którym mogę go dotknąć.

— Dlaczego mnie nie zaatakowały? — pytam, tuląc się do jego prawego boku.

— Powiedziałem im, że mają tego nie robić — znowu się uśmiecha. — A mój amulet, czyli twój czerwony stanik, przydał się do podania zapachu. Teraz Bargest ma cię chronić.

Puszczam Luca i odwracam się na psa, który siedzi przede mną i niemal dorównuje mi wzrostem.

— Chronić mnie przed czym? Twarz Luca ciemnieje na chwilę.

— Przed Piekieł — mówi — i wszystkim, co się w nim kryje.

Przysuwam się już do niego z powrotem, kiedy czuję, jak coś muska moje rozczochrane włosy. Luc nagle zgina się wpół.

— Ach...

— Luc? Co się stało?

Z jękiem podnosi wzrok na Beritha, na jego twarz wykrzywioną z bólu i oczy płonące czerwienią. Nagle dostrzegam błysk rękojeści sztyletu sterczącego z pleców Luca. Wyciąga go i wtedy pojmuje. Złoto. Słabość Luca.

Serce wyskakuje mi z piersi, przeładowane adrenaliną. Odwracam się do Beritha i widzę, że Gabe schodzi do niego, spowijając go białym światłem. Zupełnie jakbym patrzyła na chmurę w czasie wyładowania elektrycznego. Małeńkie płomyki światła błyskają w białym świetle. Wszystkie włoski na ciele stają mi dęba, powietrze jest gęste od ozonu. A kiedy z dłoni Gabe'a wystrzeliwuje piorun i uderza Beritha, krzyczę.

Twarz Beritha wykrzywia się w udreće, a jego ryk przetacza się po domu, podczas gdy psy kontynuują

atak. Ale skupia się na Lucu i na mnie, a pod wyrazem bólu widać triumfujący uśmiezek. Patrząc skamieniała od strachu i wściekłości, a w dłoni Beritha pojawia się kolejny złoty sztylet. To mnie wybudza z osłupienia.

— Nie! — wrzeszczę. — Zostaw go w spokoju! On się już dla ciebie nie liczy. — Wysuwam się do przodu, stając pomiędzy nim a Lukiem. — Pójdę z tobą, jeśli go zostawisz.

Kiedy Berith ryczy zwycięsko, Luc chwytą moją rękę, wciąż zgięty wpół. Kręci głową, oczy ma szeroko otwarte i wytrzeszczone, kiedy dławi pełen udreki jęk. Smużki czarnego dymu unoszą się z krwawiącej rany w lewej łopatce.

— Nie. Użyj wpływu.

Nie mogę myśleć. Przetykam szloch i zwracam się do Beritha:

— Przestań! — krzyczę znowu, a Bargest warczy, kiedy odsuwam się od Luca i stawiam kolejny krok do przodu. — Zostaw Luca w spokoju! Pójdę z tobą. Tylko zostaw Luca w spokoju. Błagam!

Serce mi dudni, kiedy ruszam powoli w jego kierunku. Rozdziera mi się koszula, bo Bargest próbuje chwycić ją w pysk, ale ja dalej idę. Białe światło Gabe'a jaśnieje jeszcze bardziej w ostrzeżeniu, które ja ignoruję, wchodząc w zasięg Beritha.

On podnosi łeb i znowu ryczy. W tym samym momencie czuję, jak ciało na moim ramieniu rozdzierają pazury. Przysiadam i rzucam się na jego drugą szponiastą łapę, w której wciąż trzyma złoty sztylet. Chwytam go, wykręcam i z przysiadu wyskakuję w górę, z całą siłą wbijając mu go w pierś.

— Idź do piekła! — krzyczę.

Ale mój krzyk tonie w jego ryku, wysokim i długim. W dźwięku, który na pewno przebija moją błonę bębenkową. Uderzam w podłogę, zamykam oczy

i wstrzymuję oddech, nie wiedząc, co poczuję, kiedy Berith mnie zabije.

Kiedy jego krzyk zamiera, obsmaża mnie potężny żar. Nie czuję jednak udręki, tylko spokój. Może śmierć, nawet z ręki diabła, nie jest jednak taka zła.

Nagle zdaję sobie sprawę, że ta gorączka pochodzi zza mnie, i otwieram oczy, i widzę Bargesta, który oddziera ramię Berithowi. Odwracam się i dostrzegam Luca, którego już nie tylko oczy, ale całe ciało świeci na czerwono. To jego żar czuję, bo narzucił na mnie osłonę.

Znowu rozbłyskuje światło Gabe'a, niemal mnie oślepiając. Berith wrzeszczy i przez blask widzę gęsty czarny wysięk sączący się z miejsca, w którym sztylet przeszył mu pierś. Kosmyki oleistego dymu spowijają jego tułów. Jakiś akustyczny ładunek odrzuca mnie do tyłu, a kiedy światło Gabe'a przygasa, z Beritha pozostaje tylko wrzask syczącego czarnego dymu i odór palącego się mięsa oraz siarki. Zniknął zarówno on, jak i psy.

Gabe pędzi schodami w dół, jego blask cały czas przygasa, i teraz widzę wyraz jego twarzy. Udręka.
— Gabe?

Mija mnie pędem, a moje serce zamiera z przerażenia, kiedy słyszę za sobą głuchy łoskot. Odwracam się i widzę obraz, z którego nie mogłam się otrząsnąć od chwili, gdy się z nim obudziłam: Luc leży bezwładnie na podłodze, umazany krwią i trupio blady.

ROZDZIAŁ 22

Odkupienie

FRANNIE

W szpitalu jest zbyt zimno i zbyt jasno i pachnie i nienawidzę tego miejsca. Ale nie mogę wyjść, mimo że powiedziano nam już, że Luc z tego nie wyjdzie. Nie mogę go tu zostawić.

Daję radę tylko dzięki Gabebwi. Obejmuje mnie ramionami, w których czuję się jak w kokonie, i nie puszcza mnie, nawet kiedy mi zszywają ramię.

— Nie rozumiem — mówię przez łzy. — Był człowiekiem, więc dlaczego te wszystkie piekielne rzeczy, z którym Berith wyjeżdżał, działały? To już nie był Luc.

W oczach Gabe'a widzę ból, na jego twarzy maluje się współczucie.

— Zmieniłaś go fizycznie, ale jego siła życiowa była uwiązana do Piekła. Taki był od siedmiu tysięcy lat. Oddzielenie w gruncie rzeczy nie jest możliwe. A na koniec z tego skorzystał. Zebrał tę piekielną siłę, żeby cię uratować.

Myślę o Lucu — o jego gorączce i jak lśnił, kiedy użył ostatka swojej mocy, by mnie osłonić — i moje serce wysycha do twardej kulki. Powinien był uratować siebie, nie mnie.

Ludzie przechodzą przez szpitalną poczekalnię, jakby to był zwykły dzień. Jakby świat nie skończył się

przed chwilą. Jak to możliwe? Świat dokoła nas powinien się rozpaść.

Ramię mnie szczypie, bo mija znieczulenie, czuję ciągnięcie bandaży i szwów, ale wołałabym, żeby było gorzej. Wołałabym, żeby Berith zabił mnie. Potem może Luc i ja bylibyśmy razem. Chowam twarz w dłoniach i czuję wokół siebie ramię Gabe'a, jak przyciąga mnie do siebie.

— Takie rzeczy nie mogą się zdarzać. To wszystko moja wina.

— Przykro mi, Frannie.

— To jest nie w porządku. On był dobry. Wiem to. On nie należy do Piekła.

— Nie był oznaczony dla Piekła. Nie ma gwarancji, że tam trafił.

— Ale powiedziałaś, że Berith zabrał go z powrotem do Piekła.

— Nie, Frannie. Tego nie wiem. Wstrzymuję oddech.

— To znaczy, że on może być w Niebie? Głaszcze mnie po włosach.

— To możliwe. Jego dusza śmiertelnika była czysta.

LUC

Jest cicho i biało. I pusto. Otchłań. Tak jak mój umysł. Wiem, że mam ciało — moje, chyba, ale nie widzę go ani nie czuję. Jestem spokojny, płynę swobodnie. Ale nagle w zawrotnym pędzie coś mnie ciągnie przez czas i przestrzeń.

Król Lucyfer.

Kiedy zatrzymuję się i zawroty głowy ustają, otwieram oczy pewien, że jestem w Pandemonium. Ale znajduję się na końcu długiego białego korytarza, który gi-

nie w oddali. Przedemną kołyszą się drewniane drzwi z obłazącą z farby tabliczką „Limbo”.

Limbo. Tu po śmierci trafiają do posortowania nieoznaczone dusze.

W takim razie chyba jestem martwy.

Nagła świadomość, że już nigdy nie zobaczę Frannie, nie dotknę jej, nie pocałuję, zwala mnie z nóg.

Walczę o oddech, ale przypominam sobie, że nie muszę już oddychać. Nie żyję.

Ale Frannie żyje. Jest bezpieczna.

To ta wiedza pozwala mi oczyścić umysł. Frannie jest bezpieczna. Skoro ja nie przeszkadzam, Gabriel oznakuje ją i wszystko będzie dobrze. On ją ochroni. To dobrze. Tylko tak mogłem ją opuścić, w żaden inny sposób bym tego nie zrobił. Teraz będzie jej lepiej.

Zbieram się i wchodzę przez chybotliwe drzwi do bezkresnego pomieszczenia. Sufit wisi nisko, z bucującym oświetleniem jarzeniówek, ale ściany rozciągają się w nicość. Przedemną jest stare drewniane biurko z różnymi magazynami rozrzuconymi na ciemnym ponacinanym blacie, na froncie widnieje prowizoryczna tabliczka przyklejona taśmą. Niechlujnym, pochyłym gryzmołem grubym markerem napisano na nim: „Weź numerkę i zajmij miejsce”. Obok zauważam plastikowy czerwony dozownik numerków. Podchodzę do dozownika i zaglądam w głąb. Widzę ciągnące się w nieskończoność rzędy czarnych plastikowych krzeseł, z których większość jest zajęta przez niezliczone dusze oczekujące, aż poznają swój los. Reszta przemieszcza się bez celu dokoła, biadoląc i płacząc, że nie żyją. Wszystkie są w odcieniach szarego albo beżowego, niektóre mienią się czarno, cynobrowo albo ochro-wo — kompromis. To są dusze, które przed śmiercią nie zostały oznaczone, ponieważ nie opowiedziały się po żadnej ze stron.

Po raz pierwszy patrzę po sobie, oczekując czarnego obsydianu, tymczasem widzę jasną biel z pasmami szafiru i różu. Biel? Przez kilka minut wpatruję się w nią z nabożną czcią, po czym otrząsam się i wyciągam bilet z podajnika. Oddziera się papierowa nalepka i moim oczom ukazuje się wielkie **JEDEN** na zielonym papierze, w złotym listku. Podnoszę wzrok na monitor nad biurkiem. Widnieje na nim napis: „W tej chwili obsługiwany jest numer 64 893 394 563 172 289 516”. Znowu zerkam na swój numererek.

Pierwszy.

— Numer pierwszy, proszę się zgłosić do biura numer jeden. — Słyszę wyraźnie w głowie bezpłciowy głos, ale na monitorze nic się nie zmienia. A kiedy tak stoję, zastanawiając się, gdzie niby mam znaleźć biuro numer jeden, przede mną materializują się drzwi z wielką złotą jedyką. Obracam klamkę i powoli otwieram drzwi.

Zbieram się i przekraczam próg, by znaleźć się w wielkim, jasno oświetlonym pomieszczeniu z ogromnym mahoniowym biurkiem i krzesłem o wysokim oparciu. Wygląda tu podejrzenie zachęcająco. Pokrzepiający zapach hikory napływa od radosnego ognia palącego się w wielkim kominku w głębi. Beżowe skórzane kanapy i krzesła stoją pomiędzy licznymi regałami na książki. Pośród tytułów rozrzuconych na mahoniowym stoliku kawowym widzę „Czyściec” Dantego i mimowolnie się uśmiecham. Michał przygotował się do zajęć.

Odwrócony jest plecami; kiedy unosi się tuż nad podłogą obok kominka, białe szaty poruszają się delikatnie na nieistniejącym wietrzyku.

Bardzo teatralne.

Odwraca się powoli i uśmiecha, ale w tym uśmiechu nie ma ani odrobiny ciepła. Szarpie za swoją czarną kozołą bródkę i przygląda mi się. Ciemne oczy i skóra

kontrastują z bladoniebieskimi oczami, które wyglądają, jakby świeciły, i nadają mu złowieszczy wygląd

— z założenia niewątpliwie ma być onieśmielający. Michał się na tym zna.

— Witaj, Lucyferze. Najwyraźniej Wszchemogący nadał ci tryb przyspieszony. Powinieneś musieć czekać.

— Wskazuje na wygodne z wyglądu, skórzane krzesło przed biurkiem. — Usiądź.

— Nie, dziękuję, wolę stać. — Zbyt długo istniałem, żeby teraz pozwolić sobie na brak czujności w obecności archaniola. Zwłaszcza tego. Od wiecznego ferowania wyroków nabawił się kompleksu Boga.

Cała koncepcja z niewinnością do chwili udowodnienia winy stosuje się też do Nieba i Piekła, więc Limbo jest pod kontrolą Nieba. A dokładnie Michała. Można by pomyśleć, że to działa na ich korzyść, ale Michał wierzy w prostą kontrolę jakości, więc ostatecznie liczebnie Piekło ma przewagę.

Ruszam krok do przodu.

— O co chodzi? Dlaczego nie jestem w Piekle?

— Jeśli tak ci zależy, by jak najszybciej zacząć się smażyć w ogniu piekielnym, to nie ma sprawy.

Mylnie sądziłem, że może jesteś zainteresowany przedyskutowaniem innych opcji. — Macha ręką z lekceważeniem i odwraca się, by sięgnąć za biurkiem.

Przełykam dumę, wraz z wielką gulą w gardle.

— Czekaj! — Idę za nim do biurka i padam na skórzane krzesło. — Jakie inne opcje?

Jego wzrok łagodnieje, na twarzy pojawia się cień ubawienia.

— Wygląda na to, że ktoś w królestwie śmiertelników chce, byś wrócił. Ba, dość rozpaczliwie chce. To naprawdę wzruszające. Tak się składa poza tym, że ten ktoś ma sporej siły dar wpływu, co najwyraźniej rozciąga się na kwestie niebiańskie, bo Gabriel ma ogromne problemy z mówieniem „nie”.

W głowie mi się kręci. Czy to możliwe? Czyżby Fran-nie miała tyle wpływu, by przywrócić mnie do życia? Nigdy nie słyszałem o takich rzeczach. Ale też nigdy nie słyszałem o demonie, który się staje człowiekiem...

— Sądząc z wyrazu twojej twarzy, to byłaby dla ciebie dopuszczalna alternatywa?

Rzucam zadumę, by przywołać uśmiech na twarz, i po moim policzku spływa łza. Ścieram jedno i drugie i patrzę twardo na Michała.

— To możliwe?

— Tak. Ale są pewne warunki. To nie jest darmowy przejazd.

Serce mi zamiera. Kruczek. Zawsze jest jakiś kruczek.

— Jakie warunki?

— Wiemy tyle, że Frannie cię zmieniła. Jej wpływ jest ogromny.

Nie mówi tego, ale w jego oczach czytam, że pod pojęciem „ogromny” rozumie „niebezpieczny”. Śmiertelnik z wpływem na śmiertelników to jedno. Ale Śmiertelnik z wpływem na piekielnych i niebiańskich to zupełnie co innego. On się jej boi.

Jakby czytał w moich myślach, bo na pewno czyta, atmosfera robi się gorąca.

— Ona chce cię teraz i dostała cię, czyniąc cię śmiertelnikiem. — Ostatnie słowo wyrzuca jak coś paskudnego w smaku. — Nikt z nas natomiast nie wie, co się stanie, kiedy ona już nie będzie cię chciała. Ludzie w końcu bywają zmienni. — Wsłuchuje się we własne słowa najwyraźniej z siebie zadowolony, a ja przeżuwam je w duchu.

Wiem, że to wpływ Frannie — jej miłość — mnie zmienił, ale nigdy nie przestałem się zastanawiać, co się stanie, kiedy jej uczucia wygasną. Jeśli nie będzie mnie już chciała, czy pozostanę człowiekiem? Umrę? Zamienię się z powrotem w demona?

— Jakie warunki? — pytam znowu z ciężkim sercem. Nie ma co zgrywać odważniaka, kiedy on siedzi w mojej głowie.

— Przekonasz ją, by wybaczyła sobie, tak żeby Gabriel mógł ją oznaczyć dla Nieba.

Wydaje się to dość proste i cały czas chciałem to zrobić, ale nie tęsknię za wyrazem jej oczu, kiedy to mówię. Coś niezdecydowanego pomiędzy chciwością a nieczystością.

— Co się z nią stanie, kiedy zostanie oznakowana?

— To nie twoja sprawa — mówi z lekceważącym machnięciem ręki.

Zrywam się z krzesła.

— Nie moja jak diabli. — Opieram ręce na biurku i pochylam się ku niemu. — Ona chce życia. Jeśli zostanie oznaczona dla Piekła, nie będzie miała żadnego. Będzie marionetką króla Lucyfera. Powiedz mi, że jeśli zostanie oznaczona dla Nieba, stanie się inaczej.

— Nie mogę powiedzieć, co się stanie. To nie mój zakres obowiązków.

Głos mi drży, jakbym starał się zachować gniew pod kontrolą.

— Nie wierzę ci.

Patrzy na mnie gniewnie i kręci głową.

— Biedny, żaloszny chłopczyku. Takie zachowanie tutaj nie ma żadnego znaczenia. Zrobisz to albo spłoniesz w Piekło.

Spoglądam po sobie. Biel. Nie wiem, jak to możliwe, ale jestem czysty. Nie czarny. Nie szary. Nie czerwony. Biały.

— Jaki grzech pośle mnie do Piekła?

Uśmiech ma ubawiony, ale pod tym pozorem kryje się frustracja.

— Żartujesz sobie.

Nie mogę czytać w jego myślach, ale mogę w oczach. On blefuje. Głosem spokojnym, łagodnym zarzucam mu kłamstwo.

— Nie musisz odsyłać mnie do Frannie, ale nie możesz mnie odesłać do Otchłani.

Jego oczy płoną czerwienią już chwilę przed tym, jak wali pięścią w blat. W moich uszach jego głos brzmi nieostro jak trzask pioruna, ale w głowie słyszę te słowa wyraźnie obleczone w ryk.

— Może nie, ale mogę sprawić, żebyś tego pożałował!

Czy Niebo może być żywym Piekłem? Jeśli ktokolwiek potrafi to sprawić, to Michał. Ale to lepiej, że to moje żywe Piekło, a nie Frannie. Zanim spojrzałem w oczy Michała, myślałem, że oznakowanie Frannie dla Nieba byłoby dobrym wyjściem. Na ogół nie traktują oni zbyt brutalnie swoich, no i Gabriel by o nią dbał...

Teraz nie jestem pewien. Jedyłą szansą Frannie na życie może być pozostanie nieoznaczoną. Gabriel by jej nie zdradził... Chyba?

— Świetnie. Niech będzie Otchłań.

Pod wpływem wstrząsu szeroko otwiera oczy. Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi oczekiwał. W nieuzasadnionej pewności siebie zapomniał śledzić moje myśli.

— Chyba mnie nie rozumiesz. Zrobisz to. Ja ci dam drugą szansę. Powinieneś być wdzięczny.

— Nie wierzę w drugie szanse.

Odwracam się i ruszam do drzwi. Kiedy trzaskam nimi, warkot Michała milknie i wszystko staje się ciche i białe. Znowu płynę. Jeśli ta nicość to Niebo, to może dokonałem złego wyboru. Nie jestem pewien, czy dam radę tak unosić się całą wieczność.

Ale nagle wyobrażam sobie szafirowe oczy Frannie i już się nie unoszę, tylko szybuję. Słyszę jej śmiech,

czuję jej dotyk, zupełnie jakby była tu ze mną. I nagle moja esencja miesza się z jej esencją. To jest Niebo.

FRANNIE

W moim śnie Luc i ja tańczymy pod gwiazdami — wirując i śmiejąc się, jakbyśmy byli jedną osobą, dzielącą jedno ciało. Czuję go wszędzie, wewnątrz i na zewnątrz. Jego dotyk jest jak niebo, słyszę swój jęk. Chcę być tak blisko niego zawsze — teraz, zaraz umrzeć w jego ramionach.

— Frannie? — słyszę w uchu łagodny głos Gabe'a. Kiedy otwieram oczy, a one dostosowują się do ostrego światła, dopiero po sekundzie odzyskuję orientację. Wciąż znajdujemy się w szpitalnej poczekalni, a Gabe tuli mnie do piersi.

— Ej, Frannie, obudź się. — Gładzi moje osmalone i splątane włosy.

Pieczenie w ramieniu i wiele mówiący swąd spalonych włosów potwierdzają, że to wszystko to nie był tylko zły sen.

— Frannie? — powtarza.

— Tak, już się budzę. Możemy pojechać do domu? Proszę — mamrocze z twarzą wtuloną w niego, bo czuję, jak łzy szczypią mnie w opuchniętych oczach.

— Hej — mówi Gabe, a ja czuję jego palec pod brodą, jak podnosi mi twarz, żebym na niego spojrzała. Więc spoglądam, a on się uśmiecha, w niebieskich oczach nie ma już bólu.

— Co? — pytam. — Co się stało? — Podnoszę wzrok na uśmiechniętego lekarza w zielonym szpitalnym stroju.

— Zakończyła się operacja państwa przyjaciela — mówi lekarz. — Naprawdę nie potrafię tego wyja

śnić, to jakiś cud. W karetce go reanimowano, ale kiedy tu dotarł, był w fatalnym stanie. Na stole operacyjnym na długo go straciliśmy, ale zdołaliśmy przywrócić mu funkcje życiowe. Naprawdę nie powinien był przeżyć...

— Co... co pan mówi? — W moim głosie desperacja aż wyje.

— Wygląda na to, że z tego wyjdzie. Pewność będziemy mieli za kilka godzin. Proszę się modlić. Moje serce eksploduje na milion kawałków, czuję, że grozi mi hiperwentylacja. Łzy spływają mi po policzkach, kiedy walczę o oddech i chowam twarz w dłoniach.

— O mój Boże, Luc.

ROZDZIAŁ 23

Z Bożą pomocą

FRANNIE

W końcu rano dostaję pozwolenie, żeby wejść do Luca, ale nie mam siły nawet na niego spojrzeć. Bo pomijając wszystko inne, wiem, co musi się stać, i od dwóch dni się tym zadrezczam. Tępo patrzę w okno na spowijającą świat mgłę, która wszystkiemu nadała nierzeczywisty wygląd. Wiem, że powinnam coś powiedzieć, ale nie ufam swojemu głosowi. Biorę głęboki oddech i próbuję się skupić na tym, co muszę zrobić.

Opieram czoło o szybę.

— Lekarz nie powiedział, że znalazł coś... coś dziwnego, kiedy ci grzebał w środku?

— Nie.

— Więc to chyba oznacza, że teraz jesteś człowiekiem?

— Chyba tak.

Nie mogę oddychać. Muszę wyjść. Ruszam do drzwi, nie odwracając się.

— Chyba muszę już iść.

— Frannie, porozmawiaj ze mną. — Jego głos, taki pełen rozpacz, zatrzymuje mnie.

Podnoszę dłoń do twarzy, próbuję usunąć ślady łez. Powoli odwracam się do niego, a jego mina niemal mnie zabija. Jak mogę to zrobić? Nie mam tyle siły. Opuszczam wzrok na podłogę.

Wyciąga do mnie rękę, a ja jestem bezradna. Podchodzę do łóżka i siadam na skraju. Od jego dotyku moje serce przyspiesza, ale nadal na niego nie patrzę.

— Powiedz mi, co myślisz — mówi. Oczy znowu wypełniają mi się łzami.

— Myślę, że nie powinniśmy być razem. Jestem dla ciebie niedobra.

Wzdycha ciężko. A kiedy się odzywa, nawet nie próbuje udawać, że mówi poważnie.

— Ty? Ty jesteś niedobra dla mnie?

Nie mogę uwierzyć, że się ze mnie nabija. Że lekceważy to wszystko. W środku wzbiera mi gniew, słyszę to w swoim głosie.

Odrywam wzrok od pościeli i patrzę na niego z goryczą.

— Przeze mnie omal nie zginąłeś. Byłeś nieśmiertelny, a ja cię tego pozbawiłam. Gdyby nie ja, żyłbyś wiecznie.

— Nieśmiertelność jest przereklamowana. Sporo się już nażyłem wiecznie.

— Tak tylko mówisz. — Odwracam głowę, żeby pozbierać myśli.

Sięga dłonią do mojego policzka i obraca moją twarz do siebie.

— Frannie, popatrz na mnie. — Niechętnie patrzę mu w oczy. — Dla tego uczucia — wolną rękę kładzie na piersi — oddałbym wszystko. Powiedziałbym, że moja nieśmiertelność to niewygórowana cena, ale nie czuję, jakbym cokolwiek zapłacił. Mam wrażenie, że to mnie zapłacono najbardziej wartościową rzeczą, jakiej można pragnąć. — Spod moich rzęs wypływa łza a Luc ściera ją palcem.

— Kochasz mnie. Czego jeszcze mógłbym pragnąć?

Czuję na policzkach gorące łzy, kiedy pochylam się, by go pocałować.

— Mną się nie przejmujcie. — Nie wiadomo skąd Gabe pojawia się na krześle pod oknem. Wygląda anielsko w każdym calu.

Luc patrzy na niego groźnie.

— Musisz z tym skończyć. Mamusia cię nie uczyła, że trzeba pukać?

I wtedy pojmuję. Wiem, co musi się zdarzyć. Zrywam się, czując się tysiąc razy lżejsza, i podchodzę do Gabe'a. Chwytam go za rękę i ściągam z krzesła.

— Musimy pogadać.

Ciągnę go do drzwi, a Luc patrzy na nas z lekkim rozbawieniem, ale i z troską. Znajdujemy ławkę na korytarzu. Siadam z łokciami na kolanach, opierając czoło na dłoniach. Gwar szpitalny to biały szum — pospolity — i skupiam się na nim, żeby spowolnić wirowanie w głowie. Wplątam palce we włosy i wbijam wzrok w podłogę między stopami.

— Chcesz mnie oznaczyć dla Nieba.

— Tak — mówi Gabe.

— I jeśli to zrobisz, to oni przestaną po mnie przychodzić.

— W końcu.

— Ale muszę sobie wybaczyć?

— Tak.

Odślaniam twarz zaskoczona, że czuję się tak lekko.

— Dogadajmy się — mówię, a w moim sercu podnosi się kotwica.

Gabe rozsiada się wygodnie i uśmiecha do mnie, kiedy wchodzę z powrotem do sali, w której leży Luc. Siadam na skraju jego łóżka, a on mruży oczy i splata palce z moimi.

— O co chodziło? — nie umie ukryć zazdrości w głosie.

— O nic — mówię.

Puszczając moją rękę i przygląda mi się badawczo. Muskam palcem jego policzek, przesuwam wzdłuż bandaża na jego twarzy, a on drży. Wzdycha i sięga do mojej twarzy.

— Wiesz, kiedy powiedziałem, żebyś użyła wpływu na Beritha, chciałem, żebyś ocaliła siebie, nie mnie.

Przyciskam policzek do jego dłoni.

— Nie mogłam myśleć. Po prostu... wiedziałam, czego chcę.

Przyciąga mnie do pocałunku, ale kiedy tylko nasze wargi się stykają, rozlega się pukanie do drzwi.

Przytrzymuje mnie za szyję, kiedy próbuję się wycofać, i dokończamy pocałunek. Potem się uśmiecha i woła:

— Proszę!

Drzwi się otwierają. Gabe uśmiecha się, cały z siebie dumny, że zapukał.

— Głowy do góry! — mówi, macha nadgarstkiem i przez pokój leci mały srebrny przedmiot z łańcuszkiem.

Luc chwyta go w powietrzu, zanim uderzy go w twarz.

— Dzięki — mówi do Gabe'a. Gabe opiera się o framugę.

— Nie jestem twoim chłopcem na posyłki. Jak znowu będziesz czegoś potrzebował, sam się rusz.

Patrzę na przedmiot w dłoni Luca. To krzyżyk. Większy niż ten ostatni, ze szpiczastym końcem.

— Tamtej nocy miałem go dla ciebie. — Uśmiecha się blado. — Ale zanim ci go dałem, coś odwróciło moją uwagę. — Wkłada mi krzyżyk do ręki i zamyka ja-

Gabe wchodzi do sali.

— Jutro idziesz do domu.

Odsuwam się od Luca i spoglądam na Gabe'a.

— Skąd wiesz?

Posyła mi ironiczne spojrzenie i pada na krzesło pod oknem.

— Gabriel... — Na twarzy Luca maluje się to zdenerwowanie, to gniew, aż w końcu staje na zmieszaniu. — Skąd..?—pyta.

— Decyzja już zapadła. Nigdy nie podlegałem Michałowi. — Zerka na mnie z błyskiem w oku. — Ona tego chciała, a ty na to zasłużyłeś. — Znowu patrzy na Luca, teraz już z powagą. — No i potrzebujemy twojej pomocy.

— Dzięki. — Luc kiwa mu głową.

— To i tak nie była moja decyzja — odpowiada z uśmiechem. — Zrobiłeś wrażenie na Nim. — Tu wznosi oczy do sufitu.

Patrzę skołowana to na jednego, to na drugiego.

— O czym wy gadacie?

— Przez ciebie archaniołowie trzęsą portkami. To mało przydatna odpowiedź.

Gabe wstaje, podchodzi do łóżka i kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Powiedzmy, że doszło do pewnych tarć, ale rozwiązaliśmy już problem. — Spogląda na Luca. — Jak się czujesz?

Uśmiecha się zwycięsko i ściska mi rękę.

— Niezwyciężony.

— No to pamiętaj tylko, że już nie jesteś niezwyciężony, bo jeśli chcesz czuwać nad Frannie, to lekko-myślność nie jest najlepszą strategią.

Luc wznosi oczy do nieba. Uśmiech Gabe'a mnie oślepia.

— Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewałem, więc zorganizowałem ci pomoc. Jest świeżo po szkoleniu, wręcz skończył je dopiero wczoraj, ale do tej roboty nadaje się jak nikt.

— Witaj, Frannie. — Ten głos jest melodyjny, jak głos Gabe'a, ale inny. Jakby lżejszy.

Odwracam się i po drugiej stronie pokoju widzę chłopca, może siedemnastoletniego, średniego wzrostu, o włosach piaskowych, oczach niebieskich jak niebo i z twarzą... no... anioła. Opiera się o ścianę, ręce trzyma w kieszeniach dżinsów i uśmiecha się do mnie.

Brakuje mi powietrza, nogi się pode mną uginają.

— Matt? — ledwie mogę wydusić z siebie głos. Wygląda dokładnie tak jak w moich myślach, tak jak go sobie wyobrażałam.

Uśmiecha się tak, że na moich siatkówkach wypala się blask.

— We własnej osobie... no jakby osobie. Odwracam się do Gabe'a.

— Przecież... — zaczynam, ale nie mogę dokończyć myśli.

Matt się śmieje — wydając dźwięk jak dzwoneczki wietrzne.

— Jestem twoim aniołem stróżem. Kto by pomyślał, prawda? W końcu to ja wklejałem ci we włosy gumę do żucia i kradłem ci rower.

Moje drżące nogi zaczynają się ruszać, niosąc mnie przez salę. Łzy płyną mi po policzkach, ale nic nie mogę na to poradzić. Nie mam pojęcia, co począć z kotłującymi się we mnie emocjami. Ale kiedy do niego dochodzę, to moje poczucie winy dochodzi do głosu. Nie mogę patrzeć mu w oczy.

— O mój Boże... Matt... przepraszam cię. Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

— Nie ma za co, Frannie. Musisz dać sobie z tym spokój.

— Nie mogę. — Podnoszę wzrok na Gabe'a, który przewierca mnie wzrokiem. Niemal czuję, jak buszuje w mojej głowie, szukając odpowiedzi.

— Musisz albo moja obecność tutaj nie ma sensu. — Zerka na Luca.

W brzuchu mam galaretkę, zamiast głowy kłęb waty. Nie mogę myśleć. Nagle jednak przez mgłę przeziara jakaś myśl.

— Mama i tata! O Boże! Oni umrą, jak cię zobaczą! — Chwytam gwałtownie oddech, kiedy dociera do mnie, co powiedziałam. — To znaczy...

Matt znowu mnie przyciąga do siebie.

— Nie, Frannie. Oni nie mogą wiedzieć. Nikt nie może.

— Dlaczego?

— Tak po prostu. To absolutnie zakazane pokazywać się komuś, kto nas zna. Zwłaszcza rodzinie.

Odsuwam twarz od jego ramienia.

— Ja cię znam. Zerka na Gabe'a.

— W pewnych okolicznościach można zrobić wyjątek — mówi niskim, oficjalnie brzmiącym głosem.

Podnoszę wzrok, a Gabe kręci głową. Uśmiecham się, ale nagle znowu zaczynam płakać.

— Więc zabiłam cię i tylko ja mogę cię odzyskać? I to ma być w porządku?

— Nie mam pojęcia, co powiedzieć, żebyś zrozumiała, że to nie twoja wina.

— Bo to była moja wina. — Łkam w jego tiszert, za-smarkując go dokumentnie. — Byłam tam, pamiętasz? To ja cię szarpnęłam za nogę i zrzuciłam z drzewa.

— Wiesz, że ja teraz nie mogę kłamać, tak? To nie była twoja wina. Musisz w to uwierzyć.

Zaczynam się czuć naprawdę skołowana, kiedy zaciska mi się gardło. Puszczam go i z rękoma na kolanach próbuję wciągnąć powietrze do zapadających się płuc.

— Wezwijcie pielęgniarkę! — krzyczy Luc i słyszę, jak walczy ze stojakiem na kroplówkę.

Ale nagle czuję zapach letniego śniegu i ramię Gabe'a.

— Oddychaj, Frannie — mówi. Jego chłodny oddech wpada mi do ucha.

Dygoczę i mocniej przytulam się do niego.

— Powoli — szepcze.

I nagle się okazuje, że ma rację. Jeśli oddycham powoli, wciągam trochę powietrza. Gwiazdy tańczące mi przed oczami zaczynają blednąć.

Prostuję się, Gabe mnie puszcza. Wpatruję się w Matta, wycierając nos rękawem. Nie mogę w to uwierzyć. Tak strasznie chciałam, żeby wrócił, i oto jest. Znowu się tulę do jego piersi.

— Dlaczego wyglądasz na siedemnastolatka? Albo tak jak ja sobie wyobrażałam ciebie jako siedemnastolatka? Jak to się stało, że nie wyglądasz na siedmiolatka?

— To kamuflaż — uśmiecha się szeroko. — Czasami muszę być widoczny, a siedmiolatek łąjący za tobą wyglądałby głupio, nie sądzisz?

— Pewnie tak.

Luc chrząka głośno. Na jego twarzy widnieje głupkowaty uśmiech, kiedy zaciągam do niego Matta.

— Matt, to Luc. Luc, to Matt.

Luc ściąga brwi, po czym otwiera szeroko oczy.

— To byłeś ty! Na imprezie... z Belialem.

— To był mój sprawdzian bojowy — odpowiada Matt z powagą.

— Pewnie zdałeś?

— Oczywiście. — Matt gromi go wzrokiem, po czym odwraca się do mnie. — Nie będę w pobliżu nieustannie — mruży oczy i zerka na Luca — bo robicie takie rzeczy, że ja zupełnie nie muszę na nie patrzeć. Ale jeśli będziecie mnie potrzebować, przybędę.

Luc wyciąga do niego rękę.

— Cieszymy się, że mamy wsparcie.

Matt patrzy na rękę Luca, na jego twarzy maluje się niemal odraza. Nagle znika radość, którą czułam

jeszcze przed chwilą. Patrzę na nich i próbuję pojąć, co się stało, a Luc tymczasem opuszcza rękę.

— Nie zgrywaj bohatera, Lucyferze — mówi Gabe, żeby przerwać krępujące milczenie. Patrzy na Luca twardo. — Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zawołaj.

— Tak, mamusiu — pada niechętna odpowiedź.

— A skoro mowa o mamusiach, to masz gości.— Gabe się uśmiecha.

Rozlega się pukanie do drzwi, Matt znika, a w drzwiach stają moi rodzice z torbą McDonalda w ręku.

— Dar niebios — mruczy Luc, po czym się krzywi: — Do szpitalnego wiktury trzeba się długo przyzwyczajać.

Wykręcam się od rekolekcji, w których uczestniczy moja rodzina, bo ciągle się lecę po „ataku psa”.

Przetrząsam natomiast komodę, decydując, czego będę potrzebować w Los Angeles, i zerkam na Luca, który stoi przy mojej toaletce. Wszedł ze szpitala tydzień temu, większość opatrunków już mu zdjęto. Od zewnętrznego kącika prawego oka aż na środek policzka wije się krwista blizna. Mroczny i niebezpieczny, jest teraz ciachem z blizną. Mhm... mniem.

— Bierzesz to? — pyta z podniesioną brwią, a ra-miączko mojego czarnego koronkowego stanika zwisa z jego palca.

— Pewnie tak. Muszę mieć coś do rozgrzania tych chłopaków w UCLA.

Z pociemniałą twarzą wsadza stanik z powrotem do szuflady.

— Oczywiście jeśli pojedziesz ze mną, nie będę miała czasu na takie duperele. — Siłę się na swobodę, podchodząc do niego i obejmując go, ale cała jestem spięta.

Związuje mi włosy na karku, jego twarz się wypo-gadza.

— A gdzie miałbym być? Wzdycham nerwowo.

— Więc przyjedziesz do UCLA?

— Spróbowałabyś mnie powstrzymać — mówi z szelmowskim uśmiechem.

Rozglądam się po swoich tapetach i po raz pierwszy czuję, jak bardzo będę tęsknić za domem. Ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że w tym momencie dom jest wszędzie tam, gdzie jest Luc.

— Co tam będziesz robić?

— Zaliczę może jakieś wykłady... znajdę robotę. — Wzrusza ramionami. — Cokolwiek.

— Mając siedem tysięcy lat doświadczenia zawodowego, powinieneś coś znaleźć bez trudu — zauważam.

— Nie sądzę, żeby było dużo ofert na zaganianie dusz do Piekła.

— To Los Angeles. Zdziwisz się.

Śmieje się, ale nagle poważnieje i przyciąga mnie do siebie mocniej.

— Naprawdę nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. To się nie skończyło, wiesz. Jeśli król Lucyfer daruje Berithowi życie, on wyśle kogoś innego... albo sam wróci, bo teraz to jego osobista sprawa. — Kciukiem pociera się po brodzie. — A możliwe, że go zabiłaś. Sądząc po reakcji, jego słabością było złoto. Ten sztylet w serce... ciężko powiedzieć.

Sama nie wiem, co czuję na ten temat. Odsuwam się i patrzę na Luca, próbując otrząsnąć się z nagłej fali poczucia winy.

— Więc jeśli to prawda, to zgodnie z twoimi słowami jestem na pewno oznaczona dla Piekła?

Błyska oczami i blednie.

— O czym ty mówisz?

— Jeśli go zabiłam, jestem jak Tom. Powiedziałeś, że nie ma żadnych okoliczności łagodzących. Prosto do piekła. Żadnych wymówek, żadnego zbierania dwustu dolarów. Widzę w jego oczach niepewność.

— To było w samoobronie. I zabijanie demona to co innego — mówi, jakby sam sprawdzał, jak to brzmi.

— Teraz robisz wyjątki? Ale z ciebie hipokryta. Na jego twarzy pojawia się niezadowolenie. Jakby dało się to załatwić stanowczością, mówi:

— Nie jesteś oznaczona dla Piekła.

A kiedy nic nie odpowiadam, odwraca się do okna, z twarzą ciemną i ponurą.

— To moja wina — mówi, patrząc w dal. — Nie powinienem był się tu pojawiać.

— Wysłałiby kogoś innego, kogoś takiego jak Belial.

Kręci powoli głową i odwraca się do mnie, by spojrzeć mi w oczy.

— On by cię nigdy nie znalazł.

Ale Luc mnie znalazł. Byliśmy połączeni od zarania. Przytulamy się do siebie.

— Chcę tylko, żebyś była bezpieczna — szepcze mi we włosy. — Gabriel i Matt poradzą sobie z tym lepiej niż ja.

— Teraz czuję się bezpieczna — mówię, wciąż wtulona w niego.

— Nie damy rady zrobić tego sami, Frannie. Będziemy potrzebować pomocy Gabriela i Matta. Zwłaszcza jeśli nadal chcesz jechać do Los Angeles.

Odsuwam się i patrzę mu w twarz.

— No dobra, więc jeśli wyjazd do Los Angeles nie jest dobrym pomysłem, to co proponujesz?

— Powinniśmy po prostu wyjechać. Znaleźć jakąś kryjówkę. — W głębi jego oczu widzę ten szelmowski

uśmiech. — Może kupić gdzieś jakąś bezludną tropikalną wyspę... tylko my, ubrania nieobowiązkowe. Śmieję się, ten pomysł brzmi kusząco.

— Ja bym tak mogła, ale przecież mówiłeś, że mogą nas znaleźć wszędzie.

Chyba jest dobrej myśli.

— Tak było wcześniej. Zauważyłaś? Berith nie wiedział tamtej nocy, że jestem u Gabriela. Nie powinienem go zaskoczyć. No i miałem ze sobą psy, więc moja osłona je też ukryła. Z pomocą Matta może to się udać. — Zastanawia się chwilę i dodaje z uśmiechem: — I myślę, że Los Angeles to miejsce równie dobre jak każde inne, żeby się ukryć.

Mam nadzieję, że przecucie go nie zwodzi, ale w tej chwili chcę tylko zatracić się w nim. Przytulam się do niego mocno i chowam twarz w jego klatce piersiowej.

— Kocham cię.

— Wiem. To jedyna rzecz, która mnie ocaliła. Jesteś moim odkupieniem. — Pochyla się i całuje mnie. Wpatruję się w jego doskonale oczy, lekko przesuwam palcem po bliźnie na policzku. Przymyka powieki i drży, a potem wzdycha. Przytulam się mocniej, wiedząc, czego pragnę.

— Zrób to jeszcze raz.

Z uśmiechem otwiera oczy, ale marszczy brew.

— Chyba już nie umiem.

Wyprężam się na całą długość, zarzucam mu ramiona na szyję i przyciągam do pocałunku.

— Spróbuj — szepczę mu w usta, chcąc znowu poczuć się tak blisko niego.

Zamyka oczy, nabiera oddechu, pochyla się i całuje mnie głęboko. Po chwili się odsuwa.

— Nie mogę. Moja esencja jest teraz ludzka: mam duszę. Nie mogę opuścić ciała, jeśli żyję. — Ale nie wygląda na rozczarowanego. Uśmiecha się.

Puls mi przyspiesza, dreszcze rozchodzą się po całym ciele, budząc każdą komórkę.

— A to oznacza, że możemy...?

Kiedy zagłąda w moje oczy, widzę głębokie czarne kałuże i mogłabym przysiąc, że widzę też jego duszę. Nagle rozjaśnia się i kiwa głową. Pochyla się, całuje mnie i padamy na łóżko, zanurzamy się w sobie, i wiem, że to nie może być złe.

LUC

Nie miałem pojęcia, że można się tak czuć. Całuję ją i czuję, jak moje nowe serce z ciała i krwi rośnie mi w piersi, wypełniając mnie nieopisaną rozkoszą.

Możemy być razem. Naprawdę razem.

Jej ręce sięgają do guzika moich dżinsów i żałuję, że już nie mogę zrzucić ubrań jak za dotknięciem różdżki.

Ale to było moje dawne życie. Nie... żadne życie. Po prostu egzystencja. Obejmuję Frannie, przyciągam ją mocniej do siebie. To jest życie.

Odsuwam ją, przyglądam się jej i czuję pewność, że jeszcze nigdy nie widziałem takiego piękna.

Zamyka oczy, kiedy przesuwam palcem po jej brwi, nosie, i już prawie docieram do warg, kiedy ona nagle otwiera oczy i jej twarz wykrzywia się z bólu.

- Nie! — dyszy, zrywając się. Czuję jej przerażenie, jakby to było moje własne.

Ze spopielałą twarzą przewraca się na bok i wymiotuje do śmietnika przy łóżku. Siada i przyciąga kolana do klatki piersiowej.

— Ja... — ledwie słyszę jej szept. Podnoszę się i siadam przy niej.

— Co? Co zobaczyłaś?

— Nadchodzi — mówi zduszonym głosem. Nagle wyskakuje z łóżka i wciąga koszulę.

— Kto? — pytam, próbując nadażyć. Wstaję i zapinam dżinsy. — Kto nadchodzi, Frannie? Pokój zaczyna wirować, po czym pojawia się w nim Gabriel, bez pozorów człowieczeństwa. Unosi się nad podłogą w powiewającej białej szacie i widzę przerażenie Frannie odbijające się w jego oczach. Obok niego pojawia się Matt.

— Nadchodzi.

I nagle, jak kula burząca, uderza Frannie jakaś siła, podnosi ją z podłogi i miota nią o ścianę. Matt rzuca się za nią, ale nie zdąża. Frannie zsuwa się bezwładnie na podłogę.

— Frannie! — Już jestem po drugiej stronie pokoju i pochylam się nad zwiniętą postacią, a kiedy podnoszę ją w ramionach, widzę, jak jej skóra zaczyna parować. Ma z tysiąc stopni. Frannie! — powtarzam, potrząsając nią. Nagle otwiera oczy i już rozumiem.

Są lśniąco czerwone.

— Lucyferze — mówi głosem swoim i nie swoim jednocześnie. — I kto teraz ma łup?

— Nie! — słyszę swój głos jakby z dużej odległości, a gniew niemal rozdziera mnie na pół.

— Bericie! — głos Gabriela wibruje w moim ciele. — Nie możesz tego zrobić. Nie masz prawa.

— Och, ależ mam... mam. — Usta Frannie rozciągają się w złowieszczym uśmiechu. — Mam specjalne rozkazy od samego króla. Wszystko uchodzi.

Trzymam Frannie, a kiedy patrzę w te płonące oczy, wiem, że to już koniec. Jeśli król Lucyfer pragnie jej tak mocno, że chce machnąć ręką na wszystkie zasady, to nie jestem pewien, czy nawet sam Wszechmogący mógłby ją ocalić.

Nie mogę się poddać.

Patrzę na krzyżyk wiszący na łańcuszku na jej szyi. Złoty. Zrywam go i unoszę nad nią.

Ale Matt chwyta mnie za nadgarstek. Patrzy na mnie gniewnie i wyrywa mi krzyżyk z dłoni. I ma rację. Wygnałbym Beritha, ale jakim kosztem?

Frannie odsuwa się ode mnie, a ja ją puszczam. Nagle jednak, kierowany odruchem, sięgam po jej rękę i trzymam ją mocno. Frannie ciągle tu jest, więc nie mogę stracić z nią kontaktu. Podnosi się — wydaje się wyższa — i odwraca, by spojrzeć mi w oczy.

— Jakież to urocze, Lucyferze. Ale nie panujecie nad sytuacją, nie sądzisz? — Chwyta mnie za twarz i składa na moich ustach głęboki pocałunek. Ale to nie Frannie, to Berith, i czuję, jak pasma jego esencji przesuwają się przez moje wargi.

Odsuwam się, a ona dyszy głośno i jej twarz wykrzywia się, kiedy zduszone „nie” wydobywa się z jej wnętrzości. Gabriel wyrywa mi ją z rąk. Trzyma ją jednym ramieniem i palcem wskazującym nakreśla kółka na jej czole, szepcząc przy tym coś, czego nie słyszę dokładnie.

Jej oczy się otwierają, wciąż płonące czerwienią, twarz rozciąga się w grymasie.

— Powodzenia, Gabrielu.

Wiem, że to idiotyczne, ale czuję zazdrość, że Gabriel może coś zrobić, a ja tylko stoję i patrzę, i muszę powściągnąć chęć, by zabrać mu Frannie.

— Waleczna sztuka — odzywa się Frannie zduszonym głosem, zdecydowanie nie swoim.

— Walcz z nim, Frannie — mówię, sięgając po jej rękę.

Jej twarz wykrzywia się z wysiłku.

— Masz wyjść. — Jej głos jest tylko odrobinę głośniejszy niż szept, ale to jej głos. Ciało wije się w ramionach Gabriela. Ten kładzie ją na łóżku, a ja biorę ją w ramiona, przekazując jej całą swoją siłę.

— Właśnie, Frannie — mówi Gabriel. — Masz moc. Użyj jej.

Zalewa mnie fala nadziei. Wpływ. Frannie ma wpływ. Jeśli będzie walczyć, jeśli będzie chciała wystarczająco mocno...

— Nie chcesz tu być. — Jej głos jest silniejszy, a kiedy otwiera oczy, widać w nich tylko płonący krąg wokół tęczęwek. — Nie chcesz... mnie — warczy.

Ciągle się wije od wewnętrznej walki o kontrolę, ale nagle nieruchomieje, jakby jedno z nich się poddało. Patrzę w jej oczy ogarnięty taką paniką, że niemal odchodzę od zmysłów.

— Frannie?

Na chwilę wywraca oczami, z głębi ciała dochodzi jęk, przybierający na sile. Twarz jej czerwienieje, oczy wychodzą na wierzch. W błysku czerwonej energii napręża się, po czym opada bezwładna.

Pomimo paniki przytulam ją do piersi.

— Frannie? Słyszysz mnie?

Wreszcie podnosi na mnie wzrok jasnoniebieskich oczu — wciąż przerażonych, ale przytomnych.

— Odszedł — mówi ze zmęczonym uśmiechem. Biorę kilka głębokich oddechów, żeby spowolnić łomoczące serce, potem schylam się, by ją pocałować.

FRANNIE

Ściskam rękę Luca, który siada obok mnie na łóżku.

— Dobrze sobie poradziłaś. Twój wpływ jest coraz silniejszy — mówi.

Ciągle dygoczę i szcękam zębami.

— Dlaczego tylko trochę pamiętam, co się działo?

— Możesz pamiętać jedynie te momenty, kiedy miałaś kontrolę.

— Czuję się jak przejechana przez autobus. Dlaczego to nie przypomina doznań z tobą?

— No, przede wszystkim ja nie zaczynałem od rzucania tobą o ścianę — mówi Luc. Wymieniają z Gabe'em spojrzenia, przy czym Luca jest mściwe. — Ale też pewnie jest inaczej, kiedy zapraszasz demona do środka.

Matt pada na krzesło przy biurku i patrzy gniewnie na Luca. Gabe patrzy z kolei na mnie ze smutnym uśmiechem. Wzruszam ramionami, bo nie wiem, co powiedzieć, ale nagle znowu wstrząsa mną dreszcz i czuję mdłości. Ni z tego, ni z owego zaczynam płakać, zupełnie nie mogę powstrzymać łez. — Nie będę miała życia, prawda? — pytam pośród szlochów.

Luc przytula mnie mocno, ale nie odpowiada. Gabe stoi przy drzwiach i po prostu się we mnie wpatruje.

— Nikt nie zna przyszłości, Frannie. Cokolwiek się wydarza, zmienia wszystko inne. Ale problem polega na tym, że jesteś wartościowa dla obu stron. Szansa na to, że dasz radę przez to przejść nieoznaczona, jest w zasadzie żadna. A kiedy już zostaniesz oznaczona, przez którąkolwiek stronę, można będzie tobą manipulować. Oczywiście trudno powiedzieć, że jestem obiektywny, ale gdyby już ktoś miał mną kierować, to wołałbym, aby to nie było Piekło.

Czuję wielki ciężar w sercu. Wiem, co musi się stać, wiem, czego potrzebuję, ale...

— Jak mam sobie wybaczyć najgorszą rzecz, jaką w życiu zrobiłam? Najgorszą, jaką ktokolwiek kiedykolwiek zrobił?

— Zaczynaj od przypomnienia sobie, co się naprawdę stało. — Matt siada w nogach łóżka. Luc uwalnia się ode mnie i podchodzi z Gabe'em do drzwi, dając mnie i Mattowi trochę przestrzeni. — Spadłem, bo wspinałem się za szybko. To była moja wina.

Gardło mi się zaciska, kiedy to sobie przypominam.

- Nie. Chwyciłam cię za kostkę. Byłam wściekła i ściągnęłam cię z drzewa.
 - Przestań. Za długo już się tym zadrezczasz. To nie była twoja wina. Musisz dać sobie z tym spokój.
 - Obejmuje mnie i siedzę tak chyba całą wieczność.
 - Chcę, żebyś wrócił — mówię w końcu.
 - Masz mnie — uśmiecha się. Tak mi ciężko na sercu.
 - Ale nie tak naprawdę. Ciągłe nie żyjesz.
 - Masz rację. Nie mam życia, które bym miał, gdybym nie spadł z drzewa, ale od tego powód mojej obecności tutaj nie jest dla mnie mniej ważny. I to też nie znaczy, że umarłem z twojej winy. Patrzy na mnie długi czas i nie wiem, co powiedzieć. W końcu Matt się odzywa.
 - Gabriel mówi, że musisz sobie wybaczyć, bo inaczej nie może cię chronić. — Uśmiech rozciąga mu usta. — Musisz to zrobić, Frannie. Nie mogę spartaczyć pierwszej roboty z powodu niewspółpracują-cego klienta. To będzie źle wróżyć na resztę wieczności.
 - Nie mogę...
- Przerywa mi, a jego uśmiech znika.
- On mówi, że musisz zrozumieć, dlaczego nie możesz się pozbyć poczucia winy.
 - Bo... — Walczę ze łzami i wyciągam dziennik spod materaca. Chyba wszystkie moje rozmowy z Mattem są w tym zeszycie. Wszystko, co mu powiedziałam, tak żeby miał kawałek mnie, moje życie. Jak potrzebowałam zachować go żywego w moim sercu. — Musiałam go prowadzić, żeby nie zapomnieć. Musiałam się nienawidzić, bo dzięki temu ból wciąż był świeży. Część ciebie ten dziennik utrzymywał przy życiu.
 - Teraz jestem pewna, że będę wymiotować. W środku utknęło mi coś, czego organizm chce się pozbyć.
 - Jak mam to zrobić? Jak mam dać sobie spokój?

— To, że czujesz smutek, jest okej. Ale musisz się pozbyć poczucia winy. To musi pochodzić ze środka. Musisz pamiętać, co się naprawdę wydarzyło.

Opieram czoło na kolanach i zamykam oczy, czekając, aż mdłości ustaną, ale one tylko przybierają na sile, kiedy odgrywam tę scenę w głowie. Matt się wspina, jego stopa się obsuwa. Mocniej zaciskam oczy i wydaję jęk, kiedy on spada. W myśli widzę, jak moja ręka sięga do niego, ale w dłoni zostaje mi tylko jego tenisówka. Słyszę swój krzyk, kiedy uderza o ziemię.

Otwieram oczy, przekręcam się na bok i szarpana torsjami wiszę nad śmietnikiem, ale nie wymiotuję. Matt obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Drzę cała.

Wreszcie podnoszę głowę i patrzę na niego, a łzy ciekną mi po policzkach.

— Dlaczego musiałeś spaść? Wzrusza ramionami.

Nie zdumiewa mnie to, jak bardzo czuję się wściekła, ale że ta wściekłość jest skierowana na niego.

— Powinieneś być zwolnić, bardziej uważać. Kiwa głową.

— Ale ty nic nie mogłaś zrobić. To był wypadek.

Chowam twarz w dłoniach i opanowuję gniew. Kiedy mijają mi dreszcze, biorę dziennik z łóżka i przyciskam go do czoła, a potem mu podaję.

— Zrobiłam to dla ciebie... chociaż bardziej chyba dla siebie. Cały czas byłeś jedyną osobą, z którą mogłam naprawdę rozmawiać.

Bierze go ode mnie z uśmiechem.

— Też z tobą rozmawiałem. Słyszałaś mnie? Powiedziałem, żebyś trzymała się od niego z daleka — zerka na Luca.

Serce mi zamiera.

— Dlaczego tak strasznie nie lubisz Luca?

— Dlaczego? Żartujesz sobie chyba, co? O mało cię nie zabił, Frannie. To jeden z nich.

— Już nie, teraz jest jakby mój — poprawiam podniesionym glosem.

Luc z Gabe'em przestają szeptać i patrzą na nas. Luc podchodzi z zatroskaną twarzą.

— On ma prawo do swojej opinii i sporo powodów, żeby myśleć tak, a nie inaczej. Rzeczywiście omal cię nie zabiłem... i to nie raz.

— Nie, to przeze mnie ty o mało nie zginąłeś — przypominam mu.

Matt patrzy na Luca, minę ma ciągle skwaszoną.

— Nie mogę myśleć, że w ogóle jesteś w pobliżu mojej siostry. A jeśli ją skrzywdzisz w jakikolwiek sposób, zabiję cię.

Luc kiwa głową, wytrzymując wzrok Matta.

— Zrozumiano.

Luc odwraca się i patrzy twardo na Gabe'a i wiem, że myśli to samo co ja. Gabe powiedział, że Matt nadaje się do tej roboty najlepiej ze wszystkich aniołów, ale ja zaczynam powątpiewać.

Matt pochyla się, dotykamy się czołami. Mówi cicho, tak żebym tylko ja go słyszała:

— Frannie, jest mi z tym naprawdę ciężko. Jesteś pewna co do Luca? Jakoś nie mogę się zmusić, żeby zaufać demonowi, choćby nie wiadomo co Gabriel mówił.

— Jestem pewna, Matt. On mnie kocha. Nie możesz po prostu zajrzeć do jego myśli? Wtedy się przekonasz.

— Przykro mi, ale zajmuję taką pozycję w łańcuchu pokarmowym, że nie mam tych akurat umiejętności. Trzeba być co najmniej Dominacją.

— Proszę, daj mu szansę.

W jego oczach znowu pojawia się coś twardego, kiedy zerka na Luca, ale nagle bierze mnie w ramiona, przytula i słyszę śmiech w jego głosie.

— Nie będziesz na mnie próbować tego swojego wpływu, co?

— To zależy tylko od ciebie — odpowiadam z uśmiechem.

LUC

Patrzę na Frannie z Mattem, kiedy stoję przy drzwiach z Gabrielem, i wiem, że o to chodzi. „Porozmawiaj ze mną na zewnątrz” — myślę, a on kiwa głową i wychodzi ze mną na korytarz.

— Ona jest gotowa — mówię.

— Tak.

— Powiedz, że o nią zadbasz. Jak sobie przypomnę wyraz oczu Michała... — wzdrygam się.

Gabriel opiera się o ścianę.

— Będziemy chronić jej tyłek, który jest bardzo ładny — odpowiada z uśmiechem.

— Możesz być poważny chociaż przez dwie minuty? — Patrzę na niego spode łba.

— Dobra. Wyluzuj. Wszechmogący wie, że ona jest wyjątkowa. I pamiętaj, Mojżesz nie miał spieprzonego życia. Nic jej nie będzie. Nigdzie nie pójdzie.

— Ale też nie zostanie ze mną. Muszę po prostu wiedzieć, że nic jej nie będzie, zanim pozwolę jej odejść.

Wytrzymuje mój wzrok i zaciska zęby, kiedy się nad tym zastanawia.

— Nie zamierzam udawać, że nic się nie zmieni, ale to, co się stanie później, zależy od Frannie. Ty już nie jesteś demonem. Jesteś człowiekiem, z czystą duszą i całkowicie czystym kontem. Jeśli Frannie ciągle będzie cię chciała — niemal się dławi tymi słowami — to nie ma powodów, dla których nie moglibyście być razem.

I o to chodzi: jeśli ona nadal mnie będzie chciała. Będzie należała do Nieba. Do Gabriela. Będzie mnie

potem chciała? Jej życie mnie przerasta, mnie — byłego demona. Nie minie dużo czasu i nie będzie mnie potrzebowała ani chciała. Otwieram drzwi i patrzę na nią. Wygląda na taką zmęczoną, ale też na spokojną, i wiem, że nadszedł czas.

Gabriel wchodzi do pokoju, ja stoję za nim, przystając tuż za progiem. Ale nagle Frannie wyciąga do mnie rękę, więc podchodzę do niej, żeby poczuć jej dotyk.

— Jesteś gotowa — mówię, a ona kiwa głową. — Dobrze — mruczę pod nosem. — To dobrze — powtarzam trochę głośniej. Dobrze dla niej. Całuję ją szybko, wstaję i odwracam się do Gabriela. — Dobra — mówię, dając mu znak.

— Co dobra? — pyta z uśmiechem.

— Oznacz ją. Jest gotowa.

— To się stało, zanim weszliśmy do tego pokoju. Co myślałeś, że mamy jakieś ceremoniały na tę okoliczność?

Patrzę na niego z wściekłością.

— Ty dupku. Myślałem, że dasz jej jakieś ostrzeżenie, i tyle.

— Skoro jest gotowa, to po co jej ostrzeżenie?

— Przestańcie gadać o mnie, jakby mnie tu nie było — odzywa się gniewnie Frannie.

— Powinienem był cię ostrzec? — nabija się Gabriel.

Frannie uśmiecha się szeroko.

— Nie, ale może trzeba było ostrzec Luca. Podchodzę do niej.

— O czym ty mówisz?

Oczy Frannie są jaśniejsze niż kiedykolwiek.

— O oznakowaniu. Berek! Patrzę na Gabriela oszołomiony.

— Żartujecie sobie.

— To był jeden z warunków Frannie — wzrusza ramionami. — Poza tym zrobiłeś wrażenie na właściwym

Bóstwie, chociaż Michał zdecydowanie nie był z tego powodu zachwycony.

Próbuję przetrwać słowa Gabriela.

— Jestem oznaczony... dla Nieba... — dukam.

— Mógłbyś chociaż poudawać szczęśliwego. Bo jak nie, to będę musiał to cofnąć.

Czuję, jak szeroki uśmiech rozlewa się na mojej twarzy, kiedy Frannie wyciąga do mnie rękę. Siadam twardo na krześle przy jej łóżku.

— Ja piernicę.

Matt uśmiecha się z powątpiewaniem.

— Mógłbyś to powtórzyć? Demon oznaczony dla Nieba... — Kręci głową.

— Więc co się teraz stanie? — pyta Frannie. — To znaczy z moim życiem? Z college'em i w ogóle — przelotnie zerka na mnie, potem z powrotem na Gabe'a — z wami?

Gabriel siada przy niej na łóżku i chwytają za rękę, najwyraźniej zmuszając się do jakiegoś wyznania. Ale jego oczy mówią to, czego on sam nie potrafi. Widzę to jak na dłoni, nawet jeśli ona nie widzi. Dla niej poświęciłby swoje skrzydła. Wystarczy, że ona poprosi.

Opuszcza wzrok, ale mocniej ściska ją za rękę.

— To, co się teraz wydarzy, zależy od ciebie.